

Ostatnie śledztwo radcy Abella  
i wachmistrza Kukulki

# Dolina gniewu



KRZYSZTOF  
BOCHUS

KRZYSZTOF  
BOCHUS

Dolina  
gniewu

SKARPA  
WAR  
SZAW  
SKA

# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Prolog

Rozdział I. Dolina Krzaczastego Młyna

Rozdział II. Prosta sprawa

Rozdział III. Archiwum Forstera

Rozdział IV. Źródło życia

Rozdział V. Kruchy lód

Epilog

Podziękowania

Indeks nazw topograficznych wraz z odpowiednikami nazw współczesnych

Przypisy

Redakcja  
*Paweł Wielopolski*

Korekta  
*Magdalena Świerczek-Gryboś*

Projekt graficzny okładki  
*Mariusz Banachowicz*

Skład i łamanie  
*Marcin Labus*

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2023  
© Copyright by Krzysztof Bochus, Warszawa 2023

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze  
ISBN 978-83-83291-58-1



**Wydawca**

Agencja Wydawniczo-Reklamowa  
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.  
ul. Borowskiego 2 lok. 24  
03-475 Warszawa  
tel. 22 416 15 81

[redakcja@skarpawarszawska.pl](mailto:redakcja@skarpawarszawska.pl)  
[www.skarpawarszawska.pl](http://www.skarpawarszawska.pl)



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

*Mojemu przyjacielowi Sławkowi Lipińskiemu*

*Nigdy nie było tylu fałszywych proroków, tylu kłamstw,  
tyle śmierci, zniszczenia i łez co w naszym stuleciu,  
w wieku dwudziestym, wieku postępu techniki, cywilizacji,  
masowej kultury i masowego mordu.*

Erich Maria Remarque, *Czarny obelisk*

Ta książka to fikcja literacka i wytwór wyobraźni autora. Autor, korzystając ze swojej licentia poetica, starał się oddać realia opisywanych miejsc, ale tylko w takim zakresie, na jaki pozwalała fabuła powieści.

# Prolog

**26 stycznia 1945, Marienwerder**

Ciężarówka z trudnością wspinała się na wzniesienie. Koła, chociaż owinięte łańcuchami, ślizgały się po zaśnieżonej drodze. Oficer z dystynkcjami leutnanta Wehrmachtu na ramionach siedział w szoferce obok kierowcy. W rzeczywistości nosił niższy stopień, zaledwie sturmbannführera SS, ale czarny mundur mógł się w tym przypadku okazać przeszkodą w powierzonej mu misji. I bez tego była wystarczająco trudna.

Obok drogi ciągnął się bez końca sznur ludzi i wozów zaprzężniętych w wybiedzone konie. Wszyscy zmierzali w stronę Gdańska i zbawczego morza. Z dala od sowieckich zagonów pancernych, siejących śmierć i zniszczenie. Na zakręcie powstał zator. Grupka uciekinierów zatrzymała się nad padłym zwierzęciem i wycinała mu z boku płaty mięsa.

– Usunąć się! – krzyknął oficer, wychylając się z szoferki, lecz ci nie zareagowali. – Zróbcie przejazd. To rozkaz!

Wyciągnął pistolet i oddał dwa strzały w powietrze. Dopiero wtedy niechętnie posłuchali. Trzymając parujące kawałki mięsa i zakrwawione noże w rękach, wreszcie zeszli z drogi.

Dalsza trasa wiodła już po prostym terenie. Znał ten krajobraz. To była arkadia jego dzieciństwa, pochodził przecież z Pomorza. Szpalery lip okalające kręte drogi, grube kreski kościołów na horyzoncie, schludne domostwa z pruskiego muru i lodowe połączenia pól, przełamywane tylko gdzieniegdzie ciemnymi jezorami lasów i zarośli.

Przez chwilę myślał, że wyrastające co jakiś czas dziwne pagórki po obu stronach to stogi siana pokryte śniegiem. Ale przecież to był koniec stycznia, a nie sierpień. Potrzebował chwili, żeby zrozumieć, co tak naprawdę widzi.



Oto starsi ludzie siedzieli lub leżeli zamarnięci przy drodze, którą posuwał się pochód. Stracili wszelkie siły, bo nikt nie miał zamiaru się o nich zatroszczyć.

– Dojeżdżamy! – Kierowca wskazał ręką majaczący w oddali masyw katedry.

Śnieg zacinał coraz mocniej. Przejeżdżali obok zrujnowanej chałupy z pustymi oczodołami okien. Widać było ozebrowanie stodoły. Odpowiednie miejsce, pomyślał oficer, notując je w pamięci.

Powoli przebijali się przez wąską drogę. Ledwie widzieli jej zarys pomiędzy zwałami śniegu po obu jej stronach. Nadal mocno wiało, można było odnieść wrażenie, że wiatr jest z każdą godziną bardziej porywisty. Gdzieś ze wschodu dobiegało głucho mruczenie dział. Sowici byli coraz bliżej.

Minęło pół godziny, nim dotarli na miejsce. Miasto wyglądało na opuszczone. Zamek wyrósł przed nimi niespodziewanie jak wielka ośnieżona skała. Przez gotycką bramę wjechali na wewnętrzny dziedziniec. Z tej wysokości widać było dolinę rzeki – biały bezkres skrzający się lodem.

– Zatrzymaj się – rzucił oficer do kierowcy.

Wyskoczył z wozu i podszedł do tylnej burty. Dwaj siedzący tam żołnierze spojrzeli na niego pytająco. Mieli oszronione twarze, na wąsach i rzęsach skrzył im się lód. Oficer dokładnie ich otaksował, ale tak naprawdę interesował go eskortowany ładunek w rogu paki. Odsunął przykrywający go brezent. Jego oczom ukazały się dwie solidne skrzynie, dębowe z metalowymi okuciami dla wzmocnienia. Właśnie takich używano do przewozu pieniędzy w Danziger Bank.

– Wyładować – rozkazał krótko.

Weszli do zamku. Żołnierze, uginając się pod ciężarem skrzyń, zrobili dwa kursy. Oficer szedł przodem, przyświecając im latarką. Pod nogami chrzęścił im gruz z potłuczonego fajansu i majoliki.

Po godzinie było po wszystkim. Zapakowali się do ciężarówki i ruszyli w drogę powrotną. Dojechali do widzianej wcześniej chałupy ze zrujnowaną stodołą.

– Krótki postój – rozkazał kierowcy. – Odlejemy się.

– Tak jest! – Kierowca nacisnął hamulec i samochodem zakolebało na resorach.

Oficer zeskoczył na ziemię i z ulgą rozprostował nogi. Wyjechali o świcie, a przejechali przez cztery godziny niecałe sto kilometrów. Podszedł do samochodu od tyłu i otworzył burtę.

– Odlejcie się, tylko żeby wam fujarki nie poodpadały od tego mrozu! – zawołał.

Odpowiedział mu rechot żołnierzy. W milczeniu patrzył, jak odchodzą parę metrów obok śnieżnej zasy i nieporadnie mocują się z rozpinaniem spodni. Podszedł do nich krok bliżej. Mocz znaczył ciemne frędzle na śniegu. Wyciągnął broń i oddał dwa strzały. Pierwszy żołnierz upadł od razu na twarz. Drugiego źle trafił, bo ten na odgłos wystrzału przekręcił głowę. Miał w oczach niedowierzanie. Oficer nacisnął ponownie spust. Kula przeszła policzek żołnierza i utkwiała w mózgu.

Esesman się odwrócił. Kierowca kuczał obok wozu z opuszczonymi spodniami. Próbował uciekać, ale zaplątał się i upadł na wznak. Oficer podszedł do niego, niespiesznie, repetując broń. Ostatni strzał zabrzmiał sucho jak złamany patyk. Stado spłoszonych gawronów wzbiło się w niebo.

Oficer rozejrzał się czujnie dookoła. Nigdzie nie widać było śladów życia.

Wsiadł za kierownicę i uruchomił silnik. Pierwsza część planu wykonana. Wszystko szło, jak należy. Rozkaz brzmiał: nie pozostawiać żadnych świadków.

# **Rozdział I**

## **Dolina Krzaczastego Młyna**

## 1.

**23 marca 1945**

Monotonny warkot silników samolotu Focke-Wulf 200 działał usypiająco. Abell wyjrzał przez okienko. Lecieli na stosunkowo niskiej wysokości, aby uniknąć alianckich myśliwców. Pod nimi rozpościerał się połyskujący metalicznie bezmiar Morza Północnego.

Co czekało go u celu tej ryzykownej eskapady? Co zastanie w Gdańsku? W mieście, któremu tak wiele poświęcił i które go tak bezprzykładnie zdradziło? Kiedy opuszczał je w październiku ubiegłego roku, był przekonany, że ostatecznie zamyka pewien rozdział swego życia, do którego nie ma już powrotu. A jednak siedział teraz w bombowcu, kierując się na wschód, skąd wszyscy uciekali z obawy przed sowieckimi hordami barbarzyńców. Jak zwykle pod prąd, uśmiechnął się do siebie zamyślony.

Co więcej, nie wiedział nawet, do jakiej Holandii wróci. Kraj podzielony był na dwie części<sup>[1]</sup>. Południowe Niderlandy zostały wyzwolone przez aliantów już jesienią 1944. Jednak północ z Rotterdamem i Amsterdamem nadal pozostawała w rękach niemieckich, choć sytuacja mogła zmienić się w każdej chwili.

W tych okolicznościach na cud mógł zakrawać fakt, że udało mu się zdobyć miejsce w samolocie. Wykorzystał swoje znajomości w holenderskiej placówce SD<sup>[1]</sup>. Jego dawny kolega z gdańskiego Kripo załatwił mu zgodę na lot do Gdańska wojskowym bombowcem długodystansowym, który miał zabrać znad Bałtyku ostatnich funkcjonariuszy SD.

– Christian, wiesz, że to szaleństwo – powiedział mu Kurt.

Abell milczał. Siedział ze stoickim spokojem na niewygodnym fotelu, w pełni świadomy, że jego rozmówca ma rację.

– Nawet nie jest pewne, czy dotrzecie na miejsce. Polecicie bez żadnej osłony. Alianci mają całkowitą przewagę w powietrzu, a Gdańsk przejęli Sowieci. To los na loterii. Startujecie w nocy, ale nad ranem, nad Bałtykiem, będziecie już widocznym celem.

– Muszę to zrobić, Kurt. Nie mam wyboru.

Jeszcze tydzień wcześniej nic nie zapowiadało takiego biegu wydarzeń. Mógłby nawet powiedzieć, że doczekał się małej życiowej stabilizacji. Anna bawiła się w swoim pokoju. Słyszał, jak mówi pieszczotliwie do lalki, którą zdobył dla niej na pchlim targu w Rotterdamie. W kuchni syczał ekspres do kawy. Gabi parzyła ją z kawy zbożowej i resztek cykorii. Do Holandii też dotarła wojenna bieda.

Ta mikstura wykrzywiła twarz, ale nigdy nie dał tego po sobie poznać. Miał przecież wszystko, czego potrzebował. Dwie kobiety, które wypełniały mu całe życie, były jego losem i przeznaczeniem. To dzięki nim miał dla kogo żyć, wstawać rano i borykać się z losem. Niegdyś w odległym złotym mieście strzegł prawa i porządku. Uganiał się za bandytami, którzy pozostawiali po sobie głowy ofiar zakopane w piasku na bałtyckiej plaży. Lubił to życie wypełnione adrenaliną i mrokiem. Teraz był życiowym rozbitkiem, outsiderem bez munduru i jakiegokolwiek przynależności. Całą energię poświęcał na zdobycie węgla na zimę, leków dla Gabi czy mleka dla Anny. I było mu z tym dobrze. On już wykonał swoją normę, a świat, który znał i rozumiał, na jego oczach obracał się w rumowisko. Przyszłość stanowiła jedną wielką niewiadomą, ale jednak była nadzieja. Niemcy przegrywali wojnę. Mogło być tylko lepiej.

Dlatego nie oczekiwał od losu zbyt wiele. Chciał tylko doczekać końca wojny i czasów, gdy Ania pójdzie do szkoły. Pragnął obserwować, jak rośnie i zamienia się w młodą kobietę. A potem poprowadzić ją do ołtarza i zatańczyć na jej ślubie.

Gabi postawiła przed nim parujący kubek i siadła obok. Otuliła nogi pledem, było przeraźliwie zimno. W tym momencie zadzwonił telefon. Christian podniósł się szybko, tknięty złym przeczuciem. Przyłożył do ucha słuchawkę.

– Znaleźli go – powiedział krótko Kukulka.

– Gdzie?

W skupieniu wysłuchał informacji przekazywanych przez wachmistrza.

– To pewne? – zapytał cicho, jakby chciał usłyszeć zaprzeczenie.

– Jeszcze wczoraj na bank. Ale tam rozpętało się piekło. Sowiesi są u bram miasta, wszystko może się zmienić. Trzeba szybko decydować.

– Dobrze, niedługo oddzwonię. – Abell odłożył słuchawkę.

Wrócił do stołu. Żona popatrzyła mu prosto w oczy. Znał to spojrzenie. Czujne, taksujące, wypełnione bezbrzeżnym smutkiem.

– Wiemy, gdzie jest – powiedział.

– To na pewno on? – Dostrzegł, jak nagle wstrząsnął nią dreszcz.

– Nie ma wątpliwości. Leży w lazarecie, w dawnym pensjonacie na terenie Oliwy.

– Dobry Boże, a więc jednak żyje.

– Zgadza się, przynajmniej tak było jeszcze wczoraj... – Urwał nagle, uświadamiając sobie, że to nie najlepszy moment na obdzieranie Gabi ze złudzeń.– Podobno ma zapalenie płuc, stan jest ciężki, ale z tego się wychodzi...

W pokoju zapadła przytłaczająca cisza. Słyszał, jak zza okna, gdzieś z okolic portu, doleciał ich przytłumiony dźwięk syreny okrętowej.

Co miał jej powiedzieć? Że jego teść, Piotr Morel, bezsensownie wpakował się sam w paszczę lwa? I że niepotrzebnie opuścił wyzwolony już Toruń, aby wydostać z Gdańska swoją ostatnią żyjącą krewną? Ta ryzykowana eskapada skończyła się tak, jak przypuszczał. Ciotka zmarła w kilka dni po przybyciu Piotra do miasta, a on sam ugrzązł w jej mieszkaniu. Pozbawiony środków do życia, żywności i z galopującym zapaleniem płuc. Z ostatniej wiadomości, jaka dotarła do Rotterdamu, wynikało, że jego stan się pogarsza. Powinien natychmiast opuścić miasto, ale nie potrafił tego zrobić. Śmierć zbierała nad Bałtykiem krwawe żniwo. Tysiące ludzi umierały w zrujnowanych mieszkaniach i szpitalach pozbawionych leków, w przeładowanych statkach posyłanych na dno przez sowieckie torpedy, na bombardowanych bez ustanku z powietrza trasach panicznej ucieczki przed azjatycką nawałą.

Śmierć spowszedniała, spoglądała z każdego leja po bombie, z latarni przy gdańskiej Alei Hitlera, na których kołysały się dziesiątki zamarzniętych wisielców, z tabliczkami na piersi: „Byłem dezercerem” albo „Nie wierzyłem w zwycięstwo”. Śmierć nie robiła już na nikim żadnego wrażenia. Wypęzła z cmentarnych alejek i zaułków pamięci, w które spychała je przez wieki ludzka

bojaźń. Teraz panoszyła się na ulicach, stała się stanem powszechnym i naturalnym, obdartym z wszelkiego mistycyzmu i religijnych odniesień, wrośniętym niczym rakowa narośl w cielsko tej wielkiej, skazanej na zagładę aglomeracji.

Towarem rzadkim i pożądanym stało się za to samo życie, nieustannie zagrożone przez niezliczoną ilość czyhających nań pułapek i niebezpieczeństw. Najwytrwalej o przetrwanie walczyli ci, którzy najbardziej przysłużyli się zagładzie III Rzeszy. Legiony funkcjonariuszy partyjnych i akolitów reżimu, esesmani mający ręce zakrwawione po łokcie i ich żony w pożydowskich futrach, wysocy oficerowie, którzy pogardzali kapralem i tej wojny nie chcieli, a jednak prowadzili ją przez sześć lat na lądzie, wodzie i powietrzu, realizując szaleńcze marzenia Führera kosztem niezliczonych żołnierskich i cywilnych ofiar. Wszyscy oni szturmowali ostatnie transportowce i zwykłe łajby, które zabierały uciekinierów na zachód. I wszyscy, sięgając po wpływy, pieniądze i przekupstwo, próbowali wyrwać się z tego jądra ciemności.

Abell dobrze znał tych ludzi. Wiedział, do czego są zdolni i nie miał złudzeń, że walcząc o swoje życie, będą dążyć do celu po trupach. Osamotniony Piotr Morel, do tego Polak, nie miał żadnych szans na ratunek. Był skazany na zagładę. Należało się z tym pogodzić, tak jak przyjmujemy do wiadomości śmiertelną chorobę, przed którą nie ma ratunku. *C'est la vie!* To jest życie! Tak podpowiadał zwykły rozsądek i instynkt samozachowawczy.

– Pojadę do Gdańska i go sprowadzę – powiedział nagle, przerywając milczenie.

– Nie wymagam tego od ciebie, nie mogłabym...

Christian ujął jej dłoń, a ona mocno ścisnęła jego palce.

– To zbyt niebezpieczne, oboje o tym wiemy.

– Ale wykonalne. Łatwiej do tego piekła się dostać niż z niego wyjechać. Między Rotterdamem a Gdańskiem nadal funkcjonuje łączność telefoniczna. Poza tym mam jeszcze kolegów z dawnych czasów. Popytam, może w najbliższych dniach będzie jakiś transport na wschód.

Gabi patrzyła na niego uważnie, widziała jak drżą jej wargi. Bardzo wyszczupiała w ostatnich tygodniach.

– Nie chcę stracić ciebie, żeby odzyskać ojca...

– Pamiętasz porwanie Ani? Gdyby wtedy nie udało się jej uratować, jak wyglądałoby dziś nasze życie? Z Piotrem jest podobnie. Nie moglibyśmy sobie wybaczyć, że nie zrobiliśmy wszystkiego, żeby go uratować.

– Dobrze więc. – Skrzyżowała ręce na klatce piersiowej. – Obiecuj mi jednak dwie rzeczy.

– Jakie?

– Nie daj się zabić. Wróc żywy.

– A drugie życzenie?

– Weź ze sobą Kukulkę. Niech cię chroni tak jak zawsze.

– Jeśli tylko się zgodzi.

## 2.

### Oliwa, 23 marca 1945

Gdzieś niedaleko trzasnęła gałąź. W sekundę później usłyszał stłumiony świst zabłąkanego pocisku. Abell zatrzymał się i bacznie rozejrzał dookoła. Musiał być ostrożny. Sowieci tego dnia zajęli okoliczne wzgórza w Sopocie i rozpoczęli bezpośredni ostrzał miasta<sup>[III]</sup>. Kanonada nasilała się w godzinach rannych; pod wieczór, tak jak teraz, było spokojniej. Widział tylko purpurową lunę na wschodzie. Rosjanie nieuchronnie zbliżali się do śródmieścia Gdańska. Miał mało czasu. Musiał go wykorzystać, bo los mógł mu nie podarować drugiej takiej szansy.

Wyszedł z lasu i stanął na zboczach wzgórza. Przed nim rozciągała się Dolina Krzaczastego Młyna. Na dole, pośrodku spłaszczenia terenu, wyrastał rozległy, podłużny budynek, wyglądający jak wąż przyczajony w mroku. Tylko w jednym oknie tliło się jakieś światło.

Nareszcie był u celu. Dawny pensjonat, Luftkurort Strauchmühle<sup>[III]</sup>, od kilku miesięcy pełnił funkcję lazaretu wojennego. Pamiętał, że niegdyś było to idylliczne miejsce. Słynęło z dobrej kuchni i możliwości wypoczynku na świeżym powietrzu. Restauracja serwowała najlepsze zeppelinów w mieście. Teraz śmierdziało wokół zgnilizną i śmiercią, w powietrzu unosił się



przenikliwy i zatykający nozdrza smród, zapewne podchodzący od zwierzęcej padliny lub od płytko zakopywanych zwłok.

Postawił wyżej kołnierz płaszcza i ruszył naprzód. Od ziemi ciągnęło wilgocią. Z trudnością wyciągał buty z lepkiej brei. Śnieg topniał powoli, odsłaniając leśne wykroty wypełnione śmieciami i szpitalnymi odpadkami. Wszędzie wały się zużyte strzykawki, sterty zaropiałej odzieży, fiolki i dziwnie pokrzywione nocniki, tak jakby wszystkie te przedmioty padły ofiarą furiata z potężnym młotem w dłoni. Zakrwawione bandaże owijały się wokół drzew, furkocząc na wietrze. Zapewne obsługa szpitala wykorzystywała leśne doły do zakopywania kłopotliwych odpadków.

Schodził ostrożnie, przytrzymując się karłowatych krzewów. Po kilku minutach był już na dole. Płaski teren przypominał jasny jezor przyprószony śniegiem. Dalszą drogę przegradzał mu niewielki zagajnik przesłaniający budynek lazaretu.

Zrobił krok w tamtym kierunku, kiedy usłyszał jakiś szelest za plecami. Sięgnął za pazuchę po lugera, ale spóźnił się o ułamek sekundy. Uderzenie było bardzo silne, przeszył go ból w plecach i upadł twarzą w zbrylony śnieg. Najpierw poczuł zimne i twarde pazury na swojej szyi. A potem śmierdzący oddech i zapach zwierzęcej sierści.

– Bruno, dość! – Dobiegający zza pleców głos brzmiał chrapliwie i zdecydowanie.

Abell obrócił się na znak. Snop światła z latarki całkowicie go oślepił. Nie widział napastnika. Wiedział, że to coś, co stało tuż-tuż i kołysało się na boki na dwóch nogach, przypominało niedźwiedzia.

– Nie mam złych zamiarów! – krzyknął.

– Jesteś Niemcem?

– Tak. Oficerem Kripo.

– Nie ma już żadnego Kripo. I na pewno nie masz dobrych zamiarów. Po co się tu skradałeś?

– Odsuń ode mnie tego bydlaka! – Abell przekręcił się na bok i niepostrzeżenie wymacał kolbę lugera.

– Jeszcze tu rozkazujeś? Kurwa, przez takich jak ty przegraliśmy tę wojnę.

Mężczyzna wyszedł z cienia. Widać było teraz jego mocarne łydki wbite w wielkie buciory.

Abell wyszarpnął broń i wycelował w punkt półtora metra nad buciorami.

– Ani drgnij – rzucił i szybko podniósł się na nogi. Odpowiedział mu pomruk zwierzęcia. – Jeśli nie posłuchasz, pierwszą kulkę zarobi Bruno. A potem oberwiesz ty. I nie doczekasz końca wojny, a przecież bardzo byś chciał, prawda?

Postać po drugiej stronie milczała. Abell czuł smród bijący ze zwierzęcej sierści.

– Widzę, że masz dość tej wojny i całego tego gówna. Rozumiem to. Może nawet masz rację. Dla porządku jednak, liczę do trzech i tak jak powiedziałem: kulka dla Bruna, kulka dla ciebie. Raz...

– Przestań! – Dyszkant mężczyzny wzbił się w powietrze, płosząc stado wron, które nagle zerwały się z gałęzi pobliskiego drzewa i wzleciały ku niebu. – Mnie możesz zabić, ale tego zwierzęcia nigdy.

– Co ty nie powiesz? – Abell sięgnął po latarkę i oświetlił mężczyznę. Miał posturę drwala i szopę rudych włosów wysypujących się spod narciarskiej czapki, głęboko nasuniętej na uszy. – Taki z ciebie przyjaciel zwierząt?

– Żebyś wiedział. Tylko Bruno pozostał po zwierzyńcu, który tu kiedyś był, niedaleko stąd, w Dolinie Radości<sup>[IV]</sup>. Przed wojną, znaczy. Byłem tam strażnikiem i w jakimś sensie pozostałem. Potem przyszła wojna i wszystko się zmieniło. Najpierw ukradziono sarny, potem którejś nocy wyprowadzili bizona. Na mięso poszły, tak jak zresztą i daniele. Tylko Bruno ocalał. Nie dałem go ruszyć. Oswoiłem go nawet trochę. Wyprowadzam misia na łańcuchu jak psa.

– Dlaczego mnie zaatakowałeś?

– Myślałem, że to złodzieje jacyś przyszli. Albo że Ruscy. Podobno są już blisko centrum Gdańska. Prawda to? – W oczach mężczyzny zapalił się ognik lęku.

– Chyba tak. Słuchaj, nie jestem żadnym złodziejem. Muszę odszukać kogoś w lazarecie. Działa jeszcze?

– Taaa, chociaż codziennie pielęgniarce ciągną jakieś zwłoki i zagrzebują, o tam, w lesie. – Wskazał ręką za siebie. – Zresztą, jakie to ma teraz znaczenie?

Tamci są jak zwierzęta. To Azja. Gwałcą, palą i rabują. Słyszał pan, co wyprawiali w Nemmersdorfie<sup>[V]</sup>?

– Słyszałem. – Abell potrząsnął głową. Wieści o przerażającej masakrze dokonanej przez Sowietów podczas pierwszego ataku na Prusy Wschodnie dotarły nawet do Rotterdamu.

– Panie, to dzicz! Torturowali, a potem zgwałcili wszystkie kobiety, stare i młode. Ukrzyżowali je, przybijali kowalskimi gwoździami do wozów drabiniastych. Zabili nawet dzieci. Kto tak robi? To dzikusy! Wszystkich nas czeka taki los, jeśli zdobędą Gdańsk. Ale Führer na to nie pozwoli! Zobacz pan! Słyszałem ministra Goebbelsa w radiu. Wkrótce rzucimy na front Wunderwaffe, cudowną broń, która przepędzi te barbarzyńskie hordy z powrotem na ich stepy!

– My nie byliśmy lepsi.

– Co pan wygaduje! To dywersja! Doniosę na pana władzom!

Abell już nie słuchał. Zaśnieżoną ścieżką dotarł pod budynek lazaretu. Drzwi wejściowe były zamknięte. Wąska strużka światła wydostawała się z małego okienka na zewnątrz, znacząc śnieg pomarańczowym refleksem.

Załomotał pięścią w drzwi, raz i drugi. Bez efektu. Ponowił próbę ze zdwojoną siłą i po chwili usłyszał jakieś szuranie po drugiej stronie, jakby ktoś przesuwiał unieruchomioną nogę po podłodze.

– Kto tam? Szpital zamknięty! – usłyszał starczy głos po drugiej stronie.

– Szukam kogoś. Jest tu w lazarecie! – odkrzyknął.

– Lazaret zamknięty! Proszę przyjść rano.

– Jestem radca Abell z Kripo! – Christian postanowił sięgnąć po ostateczny argument. Jego legitymacja służbowa straciła ważność pół roku temu, ale kto by się teraz tym przejmował. – Patrz pan, a potem otwieraj, bo inaczej wejdę tu po swoim.

Przyłożył legitymację do szyby. Zobaczył po drugiej stronie twarz jakiegoś starca i jego nienaturalnie wielkie oczy. Po kilku sekundach usłyszał chrobot klucza w zamku. Pchnął drzwi i wszedł do środka.

Stojący przed nim mężczyzna miał pewnie z sześćdziesiąt lat, ale wyglądał na osiemdziesiąt. Ubrany w znoszony mundur feldgrau przytrzymał kurczowo oburącz stary karabin typu Mauser Gew98, jakby bał się, że broń

wypadnie mu ze skostniałych dłoni. Ze spodni wystawała mu koszula, która kiedyś była biała.

– Kapral Schulze z Volkssturmu. – Wyprężył się nieporadnie. – Skierowano mnie do ochrony lazaretu. Miałem rozkazy, żeby nikogo...

– Radca kryminalny Christian Abell. Spocznij, kapralu. Muszę odnaleźć i wywieźć ze szpitala ważnego świadka. Działam na polecenie komendantury miasta.

Urwał, bo w tym momencie na zewnątrz, w niewielkiej odległości od budynku, eksplodował jakiś pocisk. Lampa nad ich głowami zakotłowała się niepokojąco. Ze ściany odpadł kawałek pożółkłego tynku. Abell miał wrażenie, że słyszy w oddali dziwny szum, ale ten hałas szybko zanikł.

Wartownik przysiadł na podłodze i bezradnie zakrył rękoma głowę. Jezu, do czego to doszło, pomyślał Abell. Tacy starcy mają bronić Gdańska przed Rosjanami?

Zauważył telefon stojący na ladzie. Starzec zauważył jego spojrzenie.

– Muszę zadzwonić do Greta, siostry oddziałowej – powiedział Schulze, gramoląc się z podłogi. – Dopiero wtedy wejdzie pan do środka. Rozkaz to rozkaz. Teraz to siostra tu rządzi, bo został już tylko jeden lekarz, zresztą pewnie śpi. Operował dzisiaj na żywca sześciu pacjentów. Nie ma już nawet morfiny. Żeby pan wiedział, jak ci ludzie krzyczą.

### 3.

Piotr Morel uniósł z wysiłkiem powieki. Ostatnio wszystko, co robił, przychodziło mu z trudnością. Przekręcanie ciała na bok dla uniknięcia odleżyn, wypróżnianie się do emaliowanego nocnika pod pryczą czy przetykanie skromnego posiłku, zupy z brukwi i chleba ciemnego jak smoła z nie wiadomo czego. Najgorsze było oddychanie. Straszliwy ciężar tłamsił jego świszczące płuca i trzymał je w żelaznym uścisku. Bolało. Każda próba zaczerpnięcia powietrza była jak wojna o wszystko. O chwilową ulgę, o nadzieję, o życie. Zasnąć też nie mógł. Sąsiad obok bez przerwy słuchał radia i komunikatów dowództwa obrony miasta. Jakby to mogło coś jeszcze zmienić.

Popełnił błąd, wracając do Gdańska, gdy wszyscy z niego uciekali, ale teraz było już za późno na takie dywagacje. Miał pełną świadomość, że życie ucieka z niego bezpowrotnie. Żałował tylko, że nie zobaczy już córki. Ani swojej jedynej wnuczki... Ania była tak mądra. I żywa jak srebro. Tę ciekawość świata odziedziczyła po matce. A przenikliwe spojrzenie po Christianie...

Zerknął w bok i ujrzał szare oczy, tak bardzo znajome. Stojący przy łóżku wychudzony mężczyzna przypominał widmo. Jezusie Nazareński! To nie mogła być prawda!

– Piotrze. Znalazłem cię.

Morel potrzebował dłuższej chwili, aby dotarły do niego te słowa.

– Christian?

– We własnej osobie.

– Jakim cudem? Jak tu dotarłeś?

– Byłem przejazdem i pomyślałem, że wpadnę.

– Wszyscy stąd uciekają jak szczury z tonącego okrętu, a ty...

– Wiesz, że nigdy nie czułem się dobrze w stadzie.

– Teraz obaj zginiemy.

– Słyszałem od siostry przełożonej, że robisz się już marudny. To dziedziczne u Morełów... Za długo tu leżysz. Czas zmienić otoczenie. Zabieram cię stąd, staruszku.

Morel z trudnością opanował nagły atak kaszlu. Boże! Cuda jednak się zdarzają. Zawsze był religijny, ale teraz miał wrażenie, że doświadcza boskiej interwencji w sposób szczególny.

– Ale jak...

– Nie gadaj tyle. Wszystko opowiem ci w drodze. Musisz tylko zwlec się z tego wyrka. Mam tu fotel, pożyczony od siostry.

Abell wskazał ręką stojący za nim wehikuł na pokrzywionych kółkach. W progu scenę tę obserwowała siostra Greta. Była młoda. Mleczną karnacją podkreślały oczy ciemne jak węgiel. Abell spojrzał na nią porozumiewawczo, a ona ledwie dostrzegalnie skinęła głową.

– Nie dam rady...

– Oczywiście, że dasz. Siostra nam pomoże. Poddajes się? No nie, nie zrobisz tego córce, a już zwłaszcza wnuczce, prawda? Czeka ją na ciebie w Rotterdamie. Mam miejsce w samolocie. Odlot o północy.

– Jak się tam dostaniemy?

– Transport załatwi Kukulka. Będzie na nas czekał niedaleko stąd. Znasz wachmistrza. Dotrze na czas, choćby nie wiem co. Damy radę. A teraz siadamy do pionu. No już, nie rób trudności, teściu.

Drugi chory, leżący tuż obok, patrzył na nich szeroko otwartymi oczami. Nie miał białek. Zakrywał je rozległy wylew.

– Ciii! – powiedział nagle, podkręcając gałkę stojącego obok steranego radioodbiornika. – Nasi nadają komunikat.

– Wojska sowieckiego najeźdźcy nadal prowadzą naloty i ostrzał miasta, nie oszczędzając ludności cywilnej – odezwał się głos w radiu. – Zniszczeniu uległo wiele budynków na ulicy Grosse Wollwebergasse, zagrożona jest Zbrojownia, doniesiono o zniszczeniach w szpitalu Świętego Ducha, w Fabryce Farb i Lakierów w Oliwie. Od wczoraj trwają zmasowane naloty, ostrzał śródmieścia i Wrzeszcza. Nasze wojska dzielnie i skutecznie odpierają ataki barbarzyńców. Nigdy się nie poddamy, bo alternatywą jest tylko śmierć i zniewolenie z rąk azjatyckiego agresora. Zwycięzimy! Nasza wiara w Führera jest niewzruszona!

– Panie radco, już czas. – Głos siostry Grety brzmiał zdecydowanie. – Zaraz zamykamy lazaret na cztery spusty. Zawsze tak robimy wieczorem. Wyjedźcie od tyłu przez piwnicę, tam jest taka rampa, poradzicie sobie...

#### 4.

Sierżant Sergiej Makarow podniósł rękę. Sunące za nim postacie w żołnierskich szynelach natychmiast znieruchomiały. Jego żołnierze mieli do niego zaufanie, a on na nie zasłużył. Nikt nie chciał zginąć za pięć dwunasta, na chwilę przed ostatecznym pogromem faszystowskiej bestii. A już na pewno nie on, Makarow, karząca ręka rewolucji proletariackiej, zbrojne żądło niezwyciężonej Armii Czerwonej.

Nadszedł czas zemsty za upokorzenie w pierwszych dniach wojny, kiedy Niemcy bili ich, jak chcieli. Ledwie wymknął się z niedobitkami z kotła pod Smoleńskiem. Leżał później w rowie, półnagi i drżący, i widział tych skurwysynów, jak gwałcili ich ziemię, jak wjeżdżali w nią jak w masło. Germańce mijaly go, siedząc okrakiem na swoich czołgach i samochodach pancernych, obżerając się winogronami z ukraińskich sadów, tak że sok spływał im po rozchełstanych mundurach. Wyglądali jak półbogowie, jasnowłosi i niepokonani. Ta pancerna nawała była nie do zatrzymania. Ich politruk zdezerterował w pierwszym dniu wojny. Wtedy, przyznaje, zwątpił w wielkość towarzysza Stalina i niezwyciężoną potęgę Kraju Rad. Ten jeden, jedyny raz w życiu.

Nigdy nie pozbył się gryzącego poczucia wstydu z tego powodu. Jak mógł zwątpić w czerwony sztandar? On, którego rewolucja proletariacka wyswobodziła z chłopskiej biedy i upodlenia? Wyciągnęła za uszy z sioła na dalekiej Kamczatce i skierowała do szkoły, nauczyła pisać i czytać i obuła w kamasze zamiast łykowatych kapci z kory brzozonej i szmat, w których chodzili wszyscy w ich wsi. A potem wezwała do Armii Czerwonej, która miała sztandar rewolucji zatknąć na wieży Eiffla w Paryżu i innych burżujskich kurwidołkach. Makarow czuł się teraz potrzebny. Był jak trybik w potężnej stalowej maszynie. Przelali wiele krwi, zanim tu doszli. I teraz nadchodził ich czas. *Job twoju, germańska mać!*

Pamiętał słowa dowódcy na wczorajszym apelu.

– Jesteście na ziemi wroga! To przeklęta Germania! Niszczcie, palcie, bierzcie odwet!

Ktoś z szeregu krzyknął:

– A niemieckie kobiety?

– Te dziwki? Są wasze! – zawołał komandir; odpowiedziały mu tumult i oklaski.

Makarow dostał rozkaz, aby jak najszybciej dostać się do stacji w Oliwie. Niespodziewanie na ich drodze przez opustoszały park wyrósł ten budynek. Wyglądał jak pensjonat, ale Makarow nie miał złudzeń. Niemcy bronili się zażarcie, każde nadające się do tego miejsce zamieniali w punkt oporu. Wiedzieli, jebani faszyści, co ich czeka. Makarow splunął pod nogi i dał znak.

Czerwonoarmiejcy posuwali się teraz tyralierą, kryjąc się wśród drzew.

## 5.

Nawet nie musieli używać granatu. Makarow wskazał na Igora, dwumetrowego drwala z Syberii, a ten jednym uderzeniem potężnych barków wyważył drzwi wejściowe. Dalej poszło już jak z płatka. Makarow jedną serią z pepeszy skosił jakiegoś starucha w wojskowym mundurze, który spojrzał na nich tak, jakby zobaczył diabła. Celował w głowę, widział, jak kule wybijają czarne otwory w tej pomarszczonej, faszystowskiej mordzie. Ciało zważyło się na ziemię, z bezładnych rąk wysunął się karabin i z metalicznym trzaskiem uderzył o terakotę.

Wbiegli w szary korytarz. Gdzieś przed nimi trzasnęły drzwi. Makarow kątem oka, przez ułamek sekundy, dostrzegł jakąś kobietę w białym kitlu. Rzuciła przerażone spojrzenie w ich stronę i zniknęła za drzwiami. A więc to szpital! Na pewno są tu te niemieckie sukiny, które pachną inaczej niż kobiety w ich wsi. Coś już o tym wiedział. Ta, którą gwałcił pod Kościerzyną, miała taką aksamitną skórę, jakby nigdy nie splamiła się pracą i kąpała w kobyliim mleku. Nazistowska szmata!

Nagle budynek ożył. Z piętra zaczęły dobiegać okrzyki przerażenia, tupot nóg, hurgot przesuwanych łóżek. Makarow nakazał dwóm żołnierzom zostać na dole i pilnować wejścia. Rozkazał im też mieć baczenie przez okno na teren wokół szpitala.

– Nikt nie może się stąd wydostać, zrozumiano? – Sierżant spojrzał na nich wymownie i zmarszczył brew. Podpatrzył ten mars u komandira, a tego czarta wszyscy się bali. – Jak zobaczycie, że ktoś spierdala, rozjebać bez rozkazu. Jasne?

– Kobiety też?

Młody żołnierz z ognistymi krostami na twarzy przestąpił nerwowo z nogi na nogę. Dosłali mu go przed trzema dniami w ramach uzupełnienia. Podobno w cywilu był nauczycielem. Niby inteligent, a cymbał jaki. Durak! Musi się pozbyć tego gówniarza. Nie pasuje mu do oddziału.



– A co to za pytanie, żołnierzu? Jak mówię, że wszystkich, to wszystkich.

Skinął ręką i ruszył do przodu. Za plecami słyszał ciężki tupot buciorów. Dobiegli do załomu korytarza i puścili serię. Kule odłupywały kawałki tynku, spadające na ziemię niczym krowie placki. Swoich ludzi puścił przodem, i kazał im opanować piętro i czekać na rozkazy. Sam, z Igorem, swoim zaufanym żołnierzem, skierował się schodami w dół.

One zawsze chowały się na dole, nigdy na górze.

## 6.

Ciałem siostry Greta Herkel wstrząsały dreszcze. Miała wiele dni na to, by oswoić się z tym, co nieuchronne. Także i tutaj docierały przerażające wieści o gwałtach i okrucieństwach Sowietów. Jeszcze tydzień temu oglądała kronikę „Die Deutsche Wochenschau”, na której widać było leżące pokotem martwe kobiety z podwiniętymi spódnicami i zakrwawionymi nogami. A jednak miała nadzieję, że los oszczędzi jej tego koszmaru. Tylko raz była z mężczyzną. Z Hansem, w ostatnią noc przed jego wyjazdem na front. Obiecał, śmiejąc się, że wróci i wtedy naprawdę pokaże jej, co potrafi. Był taki dumny, że trafił do słynnej 6. Armii.

Hans już jednak nie wróci. To było niemożliwe. Trudno bowiem wrócić bez połowy ciała, które urwał mu sowiecki moździerz pod Stalingradem. Jak miało by to wyglądać? Jak przywitać taki przepołowiony korpus? Z połową tego zbójeckiego uśmiechu, bez tej szorstkiej szczeciny na policzkach, która tak ją łaskotała i przeszywała dreszczem? To już lepiej, aby pozostało wspomnienie Hansa takim, jakim był przed Stalingradem, przed tą jedyną nocą pełną jej cichych krzyków, westchnień i spazmów.

Miała dopiero dwadzieścia pięć lat. Inne dziewczęta w jej wieku mają przed sobą całe życie. Mogą marzyć, kochać i zakładać rodziny. Czy są gdzieś jeszcze takie? Na dalekich antypodach na przykład? Greta mogła jedynie śnić o mężczyźnie bez jednej ręki i nogi i modlić się każdego ranka o jeszcze jeden normalny dzień. Bez tego koszmaru, który właśnie dotarł do ich lazaretu.

Zbiegła po schodach, zbierając ze sobą dwie pozostałe siostry. Z pomocą doktora przygotowały w piwnicy tydzień wcześniej schowek, za szafą z pościelą. Na wszelki wypadek, oby nigdy nie nadszedł... Dla chorych i tak nic już nie mogły zrobić. Ci kalecy ludzie o kulach, z przeżartymi płucami lub dogorywający w malignie, nie nadawali się do żadnej ewakuacji. Zresztą gdzie niby mieliby uciekać?

Przyspieszyły kroku. Jeszcze korytarz z ledwo tłącą się żarówką. Z piętra dobiegały krzyki. Usłyszały trzask, jakby ktoś rozłupał orzech włoski w drzwiach. Karen trzymała się za jej plecami, była niewiele młodsza od niej. Elza jednak wyraźnie zostawała z tyłu, miała szósty krzyżyk na karku i ledwie poruszała słoniowatymi nogami.

Drzwi po lewej, rozdzielnia elektryczna. Kolejne to magazyn leków, teraz prawie pusty. Jeszcze kilka kroków. Wrzaski na górze się nasiliły. Dobiegło je dzikie, nieledwie zwierzęce wycie. Greta miała wrażenie, że rozpoznaje głos doktora Arnolda. Padło kilka strzałów i nastąpiła cisza. Elza potknęła się i upadła ciężko na podłogę. Z rozbitych kolan kapła krew.

– Jeszcze kilka metrów – ponagliła ją Greta, pomagając jej wstać.

– Nie dam rady...

– Musisz! Jeszcze trochę, to już niedaleko. Tam będziemy bezpieczne...

Nareszcie! Były już przed drzwiami komórki. Greta, ciężko dysząc, sięgnęła po klucz. Jezu? Gdzie on jest? Przecież wkładała go do kieszonki! Bezradnie wywracała ją na nice.

– Co jest? – Karen patrzyła na nią z przerażeniem w oczach.

– Chyba zapomniałam wziąć klucz z tych nerwów. – Greta miała łzy w oczach.

– *Ty isziesz kljucz? K czortu twój kljucz, jeśli ja zdies?*<sup>[2]</sup> – Głos zza ich pleców sprawił, że kobiety wzdrygnęły się jak oparzone wrzątkiem.

Obróciły się z piskiem i skamieniały z przerażenia. We wnętrzu korytarza po drugiej stronie stało dwóch żołnierzy. Pierwszy, z furazerką przechyloną zawadiacko na bok głowy, patrzył na Gretę oczami wygłodniałego wilka. Drugi, dużo wyższy, z lubieżnym uśmiechem przyklejonym do twarzy, rozpiął powoli płaszcz.

– Jesteśmy pielęgniarkami. Musimy wracać do chorych – powiedziała Greta. Przerazenie niemal odebrało jej mowę. Słyszała, jak szybko oddycha stojąca obok Karen.

– *Frau, komm!* – Makarow podszedł do drzwi i wyważył je jednym kopnięciem.

– Musimy już wracać. Jesteśmy potrzebne na górze – powtórzyła mechanicznie Greta jak zepsuta lalka.

– *Sjuda!* – Sierżant pchnął ją w stronę magazynu. – *Wsie!*

Olbrzym trącił mocno Elżę lufą w plecy. Niemka zatoczyła się i uderzyła głową o ścianę. Krzykiem i biciem żołdaci wepchnęli je do pomieszczenia. Makarow przekręcił włącznik. Rozbłysła słabym światłem ledwie tłąca się żarówka, zawieszona pod sufitem na gołym drucie.

Sierżant czujnie zlustrował magazyn. Kopnął z buta w dużą szafę, z której wysypały się pokrwawione prześcieradła i poszewki. Wszędzie wały się kosze z brudami. Emaliowane nocniki stały ustawione na krzywej półce. Było zimno.

Idealne warunki, żeby sobie ulżyć i wziąć co swoje od tych niemieckich kurew.

– *Na ziemi!* – rozkazał.

Nie zareagowały. Wtuliły się w siebie, łapiąc się za ręce i szlochając, jakby ten akt nieposłuszeństwa mógł choć na chwilę oddalić nadchodzący koszmar.

Makarow podszedł do Greta i z rozmachem uderzył ją w twarz. Poleciała do tyłu, uderzając głową o beton. Gdy się ocknęła, leżały już pokotem obok siebie na podłodze. Czuła, jak olbrzym brutalnie drze na niej pończochy, jak zrywa z niej majtki. Zionął zepsutym oddechem, miał wybałuszone oczy i krwawe cętki na twarzy. Wszystko wokół niej wirowało, obraz falował i rozmywał się na brzegach.

– Żołnierzu, odsuń się, najpierw jebie dowódca – powiedział Makarow. – Zacznę od tej wyszczekanej kurwy. Apetyczna i ładnie pachnie. Ty weź sobie którąś z tych dwóch.

– Lubię takie tłuściejsze. – Igor wskazał na sparaliżowaną ze strachu Elżę.

– No to do dzieła. To nasza zdobycz wojenna.

Greta zamknęła oczy. Czuła, jak ten bydlak się na nią gramoli, rozerwał jej bluzkę, a potem zmiążdżył piersi. A potem wtargnął w nią nagle i brutalnie.

Odebrało jej dech. Dobry Boże, dlaczego właśnie ją to spotkało? Nigdy nikomu nie zrobiła krzywdy, była uprzejma i miła, z poświęceniem wykonywała swoje obowiązki i ratowała życie tych nieszczęśników, którzy z frontu wschodniego trafiali do ich lazaretu. Wierzyła, że Bóg wynagradza dobrych, a karze tylko złych. Tak twierdził pastor Stielike podczas płomiennych kazań w kościele. Tyle że najpierw Najwyższy odebrał jej Hansa, a teraz oddał ją w ręce tego barbarzyńcy.

Zbierało się jej na wymioty, żołdat dźgał ją niezmordowanie, czuła nieznośny ból w podbrzuszu. Zagryzła wargi do krwi, próbując opanować mimowolne spazmy. Musi to przetrzymać, inaczej ten zwierz zabije ją w tej piwnicy.

Kiedyś wreszcie skończy. Tak, powinna myśleć o czymś innym. Zająć umysł, wyprzeć ten koszmar, zdusić ten ból. Zaczęła liczyć. *Eins, zwei, drei...* Musi opuścić swoje ciało jak w tych opowieściach o zmarłych. Pozostawić je na ten czas w szponach tego bydlaka i ulecieć myślami gdzieś daleko, tak jakby jej tu w ogóle nie było. Jest przecież silna, przeżyje to. Po wojnie pójdzie do szkoły pielęgniarskiej, znajdzie miłego chłopca. Poszuka kogoś, kto będzie miał taki olśniewający uśmiech jak Hans. *Vier, fünf, sechs...* Pojadą razem na Rugię, tam są takie piękne plaże. Boże, kiedy on skończy?! *Sieben, acht, neun...*

Cały czas trzymał ją za gardło. Brakowało jej powietrza, łzy spływały po policzkach i mieszały się ze śliną wyciekającą z wykrzywionych ust. Nagle poczuła, że uścisk zelżał. Może wreszcie skończył?

Makarow wygiął ciało w łuk. Tego było mu trzeba! Po tych tygodniach przed ofensywą styczniową spędzonych w zimnie, gównie i znoju. Siedzieli w okopach i nawet nie mieli się gdzie wysrać. A potem, gdy ruszyli do przodu na Prusy Wschodnie, każdy dzień wypełniony strachem mógł być tym ostatnim. Fryce nie sprzedawali tanio skóry. *Oj nie, job twoju mać!* Bronili się zażarcie, przyszło im walczyć o każdą ulicę, o każdy dom. Ale warto było. *Za rodinu, za Stalinu!* Ta szmata pod spodem płaciła za jego żołnierską poniewierkę. Była tylko wojennym łupem, bezimienną Frau, niemiecką kurwą obsługującą proletariackiego zdobywcę. Była nikim. Nieruchoma lalka z rozwartymi nogami. Więc gwałcił i używał – bo mógł. Takie były prawa wojny, nie on, Makarow, je wymyślił. Nie mówiąc już o tym, że te burżuazyjne szmaty miały w sobie coś, co go pociągało. Czarownice jebane! Były inne niż ich

baby pozostawione na wschodzie z ich czarnymi stopami i szczerbatymi gębami. Te niemry to inny sort. Złotego zęba na przedzie u nich nie uwidzisz. Zadbane, wymuskane takie.

Zerknął kątem oka w bok. Igor też nie próżnował. Słyszał jego sapanie i stękanie, widział goły pośladek opadający na tę staruchę. To się trafiło babie na starość, taki dąbczak, mołodiec!

Sam jeszcze nie doszedł. I dobrze, bo ta szmata była ładna. Wymłócić trzeba za wszystkie czasy, na teraz i na zapas, bo nie wiadomo, kiedy trafi się następna okazja. Obróci ją teraz na brzuch i skończy. Chwycił ją za włosy i szarpnął tak, że pielęgniarzka zawyla z bólu. A potem odpocznie chwilę i przetrznie tę najmłodszą faszystowską sukę, która leżała obok z konwulsyjnie zaciśniętymi powiekami. Dopiero wtedy resztę chłopaków zawoła. Niech sobie też ulżą. A potem się te kurwy *pod stienku* postawi i jedną serią zetnie. Ot co.

Nie od razu się zorientował, że coś jest nie tak. Nawet bardzo nie tak. Nagle przestał słyszeć Igora, a przecież przedtem szeregowy dyszał jak miech kowalski w jego rodzinnym siole Kałakoły. Spojrzał w bok i zobaczył, że żołdat leży nieruchomo, jak rażony gromem. Co jest?! Wtem dojrzał, że na potylicy Igora wykwita jakaś krwawa pręga. O żesz kurwa, twoja nie moja!

Podniósł się na kolana, podciągając gacie. I w tym momencie poczuł zimny dotyk metalu na karku. No nie? To było tak nieprawdopodobne, że aż potrzaskał z niedowierzaniem głową.

Odwrócił się powoli, przekręcając ciało. Stojący przed nim mężczyzna był wysoki i otulony eleganckim płaszczem. Patrzył na Makarowa uważnie, tak jak badacz spogląda na owada. Na pewno nie przejawiał uniżoności ani strachu wobec podoficera zwycięskiej Czerwonej Armii. Przeciwnie, miał na twarzy pogardliwy grymas, który nie wróżył nic dobrego. A najważniejsze, że trzymał w ręku pistolet. Znaczący, uzbrojony gad był. Skąd się ten cudak tu nagle wziął, do kurwy nędzy, całą przyjemność Makarowowi psując? Przecież sierżant zostawił wartę na górze. Przysnęli, sobaki, czy co? A może to dywersant z Volkssturmu, czający się w piwnicy? Politrak uprzedzał ich, że w Gdańsku fryce różne niespodzianki na nich szykują.

Chciał wstać, ale ostra komenda zatrzymała go w miejscu.

– *Nie nada, towariszcz.*

I jeszcze skurwysyn po rosyjsku mówił! Makarow zerknął na bezwładne ciało Igora. Ten typ nie żartował. Trzeba myśli ogarnąć. Na czasie zyskać. Na górze miał tuzin swoich ludzi, nie wypuści faszysty żywego.

Opadł na kolana i opuścił głowę.

– Proszę wstać. – Abell zwrócił się do Greta przyglądającej się tej scenie szeroko otwartymi oczami.

– To pan...

– Byliśmy już na rampie, gdy usłyszeliśmy hałasy w piwnicy. Domyśliłem się. Dowiozłem wózek z ojcem do budki tego stróża z niedźwiedziem. Mój człowiek miał przyjechać dopiero za pół godziny. I wróciłem. Przepraszam, że tak późno...

– Zabiją pana – powiedziała bezradnie Greta, wstając na nogi i zataczając się tak, że Abell musiał ją przytrzymać. – A potem nas wszystkich. To zwierzęta...

Wstydliwym ruchem obciągnęła fartuch i zakryła rękoma piersi. Nie mogła utrzymać się na nogach. Wstrząsała nią fala skurczy. Było jej przeraźliwie zimno. Spojrzała na koleżanki. Elza miała nieprzeniknioną twarz. Matczynym ruchem obejmowała szlochającą Karen. Przeżyły, ale na jak długo? Ten fatalny wieczór jeszcze się nie skończył.

Abell nie spuszczał z oczu klęczącego Rosjanina. Szumiało mu w głowie. Musiał się spieszyć, a nie miał planu B. Ile zostało mu czasu? Minuta, dwie? Przecież żołdaci na piętrze za chwilę zaniepokoją się nieobecnością dowódcy. Ten wyrwidąb, którego unieruchomił uderzeniem kolbą pistoletu w czaszkę, za chwilę odzyska przytomność. A jeśli nie wróci, co stanie się z Piotrem Morelem, przykutym do fotela? Sowietci i tak go znajdą. Uległ impulsowi chwili. To nie było mądre. Ale przecież nie mógł tak zostawić lazaretu na łasce Rosjan. I tych sióstr, które niczemu nie było winne...

– Jest tu jakieś wyjście na zewnątrz? – zwrócił się do Greta.

– Mam mówić przy nim? – Siostra zlustrowała klęczącego Rosjanina.

– On nie zrozumie.

– Na pewno nie przez hall. – Westchnęła ciężko. – Widziałam tam żołnierzy. Miałyśmy tu przygotowaną skrytkę – pokazała ręką szafę z bielizną – ale teraz raczej już się nie przyda. Oni zaraz tu będą. Chyba jesteśmy w pułapce.

– Na pewno? – Abell spojrział na nią badawczo.

– Nie wiem. Jezu! Nic mi nie przychodzi do głowy. – W głosie siostry słychać było panikę.

– Jest wyjście – powiedziała nagle siostra Elza.

– Gdzie? – Greta była całkowicie zaskoczona.

– Przez szyb do starego śmietnika na końcu korytarza. Był nieczynny, drzwi są zabetonowane. Jednak jest jeszcze właz z boku. Od niedawna wrzucamy tam większe odpadki. Dwa metry w dół. Może nie zajrzą do tego szamba.

– Uciekajcie. – Abell zdecydował w jednej sekundzie.

– Niech Bóg ma pana w opiece. – Greta pożegnała go długim spojrzeniem. Po chwili pielęgniarki zniknęły za drzwiami.

Makarow podniósł głowę. Abell schwycił lugera za lufę i ruszył w jego stronę. Musiał uśpić tego żołdaka, i to jak najszybciej. Hałas na górze się nasilał. Słychać było wrzaski i śpiewy. Znaleźli spirytus leczniczy? Zamachnął się, chcąc trafić klęczącego Rosjanina kolbą w skroń. Nie chciał zabić kacapa, ale musiał go powstrzymać.

Sierzant tylko na to czekał. Uniósł się na piętach i runął do przodu. Z całym impetem uderzył głową w pierś Abella. Ten zachwiał się na nogach, a następnie poleciał w tył. Uratowała go ściana, niwelując siłę uderzenia i nie pozwalając osunąć się na podłogę. Pistolet wypadł mu z ręki i potoczył się pod okno. Na chwilę szczepili się w zapaśniczym uścisku, próbując przełamać opór przeciwnika i zdobyć przewagę. Tarzali się po podłodze, przewracając regał i stojące na nim szklane kolby, miażdżąc resztki szkła i plamiąc skórę żrącymi odczynnikami.

– *Ja trachnu tiebia!*<sup>[3]</sup> – Rosjanin łokciem boleśnie uderzył go w zębra.

Na chwilę odskoczyli od siebie, ciężko dysząc. Makarow zaatakował pierwszy. Wymierzając potężne cepy, młócił powietrze. Abell uchylał się zręcznie na luźno rozstawionych nogach. W walce wręcz był bez szans, Rosjanin górował nad nim wagą i masą mięśniową. Jednak nie w walce na pięści. Radca już po kilku sekundach zorientował się, że ma do czynienia z tępym osiłkiem. Musiał to zakończyć jak najszybciej i wiedział, jak to zrobić.

Zaprocentowały lata treningów w dusznej salce bokserskiej w podziemiach budynku Kripo na Karrenwall. Wyprowadził lewy prosty w szczękę Rosjanina. To go nie powaliło, ale zastopowało w miejscu. Widział jego oczy, wielkie

i wychodzące teraz z orbit. Poprawił uderzeniem w grdykę, to nie było rycerskie, ale zawsze skuteczne. Rosjanin nagle sflaczał, jakby jego ciało straciło masywność. Schwycił go za płuwy, przepocone włosy i uderzył prosto w ścianę, znacząc ją krwawą smugą.

Podniósł z ziemi pistolet. Koszula lepiała mu się do ciała, w skroniach czuł nieznośny ucisk. Miał wrażenie, że w pomieszczeniu brakuje powietrza.

Teraz wyjdzie z tego przeklętego miejsca, przebiegnie do załomu korytarza, zdejmie wartowników w hallu, o których mówiła siostra. Po jednej kuli w czoło. Jak na strzelnicy. Zrobi to i zniknie w ciemności. Po dwóch minutach powinien już być w domku stróża. Odbierze Piotra i między drzewami przepchnie go z wózkiem pod zachodnie wzgórze. Tu zostawi fotel, weźmie Piotra na plecy i wdrapie się na szczyt góry. Po lewej ręce, obok zrujnowanego pawilonu z białym dachem, na szutrowej drodze powinien czekać Kukulka. Jak się postarają, zdążą jeszcze na samolot. A rano będą w Rotterdamie.

Zatknał lugera za pasek i otworzył drzwi.

*– Ruki w wierzch! I na ziemi!*

Patrzył prosto w czarne otwory luf. Celowali do niego z kilku pepesz. Darli mordy, wrzeszczeli, szarpali go, ściągając na ziemię. Widział ich szeroko otwarte usta, z wywalonymi dziąsłami i ociekające śliną.

*– Gdzie komandir? Gdzie?*

A potem poczuł świst kolby i ziemia zatańczyła mu pod nogami. Wszędzie zrobiło się nagle czarno. I zupełnie bezdźwięcznie.

## 7.

Kukulka otulił się głębiej płaszczem. Było kurewsko zimno. Zresztą tej zimy wszystko szło nie tak. Zerknął na zegarek. Radca powinien już tu być kwadrans temu. A to znaczyło, że w lazarecie zdarzyło się coś niespodziewanego, co wywracało do góry nogami cały plan. Szkoda by było, bo bardzo się napracował, by nie zawieść Abella.

Obrzucił przelotnym spojrzeniem landarę, którą ukrył na ścieżce w krzakach. No nie łatwo było ją zdobyć. Miasto dusiło się od nadmiaru.



Jeszcze niedawno tłoczyło się tu blisko milion ludzi, głównie uciekinierów z Prus Wschodnich. Zatarasowane były wszystkie drogi wyjazdowe. Na nabrzeżach koczowały tysiące ludzi, wypatrujących zbawczych statków, które miały zabrać ich na zachód, z dala od budzących grozę Sowietów. Mijał te kilometry ludzkich wraków, wózków dziecięcych wyładowanych dobytkiem, pierzyn, skrzyń owiniętych sznurami, bo nawet gwoździ już brakowało, i nie mógł pozbyć się wrażenia, że tak wygląda koniec świata. Tego świata, którego wprawdzie nie akceptował, ale jednak w jakimś sensie znał i wewnątrz oswoił.

Nigdy nie wierzył w ludzi jako takich, w szlachetny gatunek homo sapiens. Filozofię zostawiał Abellowi. Jego wychowała ulica. Był przekonany, że o wszystkim, jak zawsze, decydowała brutalna siła. A także spryt, przebiegłość i determinacja. No i stało się tak, jak musiało się stać. Jednych bandytów, tych z hakenkreuzem, zastąpili drudzy, tyle że z sierpem i młotem. Okazali się silniejsi i tyle w temacie.

Tysiącletnia Rzesza, kurwa! Chcieli rządzić światem, a nie potrafili uchronić swojej własnej ziemi, swoich miast, kobiet i dziewczynek, jeszcze dzieci, przed zastępami tych kacapów. Gdzie był teraz ten fircyk, gauleiter w białym, szytym na miarę mundurze? Podobno spierdolił motorówką na Hel. Gdzie były te legiony wrzeszczące: *Ein Volk, Ein Reich, Ein Führer*<sup>[4]</sup>? Abell zawsze mu powtarzał, że naziści doprowadzą Niemcy do katastrofy. I miał rację, tylko co z tego?

Jego zadaniem było znalezienie środka lokomocji, żeby wywieźć ich i starego Morela na lotnisko i tylko on wiedział, jak karkołomne jest to zadanie. Podobno jeszcze tydzień temu przepelniony Gdańsk funkcjonował w miarę normalnie. Jeździły tramwaje, działały elektrownie i wodociągi. Na Alei Hitlera nadal wieszano dezertorów, a służby sprawdzały przepustki, tropiąc mitycznych dywersantów. A potem jednego dnia wszystko się załamało – 23 marca Sowieci zdobyli Sopot i rozpołowili niemiecką obronę. Po rozpoczęciu ostrzału artyleryjskiego zapanował chaos. Pozory jakiejś dyscypliny wyparowały w okamgnieniu. Spanikowane masy ludzkie przemieszczały się po Gdańsku i Gdyni w poszukiwaniu schronienia przed bombardowaniem i drogi ucieczki z ogarniętej pożogą metropolii.

Samochody na chodzie, motocykle, a nawet riksze były na wagę złota. On jednak miał pewną przewagę nad tymi nieszczęśnikami. Po pierwsze, zapewniały mu ją dolary, w jakie wyposażył go radca. Po drugie, wiedział, gdzie szukać, choć na początku nie szło mu za dobrze. Pierwszy adres okazał się kupą dymiących ruin. Taki pech. Nie miał też szczęścia, gdy rozpytywał o swojego zaufanego szpicla pracującego w porcie. Tydzień wcześniej ewakuował się do Bremy na pokładzie frachtowca. Bogu dzięki dobry policjant ma w głowie gruby notes z podobnymi adresami. Może nie był kiedyś najlepszym gliną, ale ze szpiclami zawsze znajdował wspólny język. To znaczy, on tak uważał, oni niekoniecznie.

Stary Lanzmann na jego widok wybałuszył oczy, jakby zobaczył ducha.

– Pan wachmistrz?

– We własnej osobie.

– Trochę pana nie było w mieście. Nikt za panem nie płakał. – Stary spojrzał z niechęcią na Kukulkę i splunął pod nogi.

– Myślałeś, że się mnie pozbyłeś, Lanzmann? Tak bez pożegnania? Pomarzyć dobra rzecz. Nigdy nie zapominam o starych znajomych. A już zwłaszcza o szpiclach Kripo.

Lanzmann skrzywił się, jakby słowa Kukulki przyprawiły go o niestrawność.

– Ach tam! Zaraz szpicla. Wymuszonego współpracownika co najwyżej... Poza tym to już dawno i nieprawda.

– Posłuchaj, szmaciarzu. – Kukulka podszedł bliżej do swego rozmówcy. – To ja, Kukulka, decyduję, czy jesteś nadal szpiclem, czy już nie. Tylko ja. Zrozumiano? A po drugie, jeśli jeszcze raz spluniesz w mojej obecności, to wsadzę ci ten szczurzy pysk do kibla i nie doczekasz końca wojny.

Lanzmann cofnął się gwałtownie, przywierając plecami do ściany.

– No co pan?

– Jeszcze nie skończyłem. Wojna wojną, ale kultura musi być, bo ja dobrze wychowany jestem. Ktoś mi dzień dobry mówi, to ja odpowiadam tym samym, a jakże. W wolnej chwili poczytać lubię, bo w książkach różne mądre rzeczy są. Nie trawię też chamów. No tak mam po prostu. I dlatego, kurwa, wymagam dobrych obyczajów, nawet od takich gnid jak ty. Nic się w tym temacie nie zmieniło. Czy to jasne?

– Oczywiście, panie wachmistrzu. – Konfident gorączkowo potakiwał głową.

– To dobrze. Bo przecież nie chciałbyś mnie wnerwić, prawda? Staję się wtedy nieobliczalny i robię rzeczy, których później żałuję.

– W żadnym wypadku, panie wachmistrzu.

– No, to *ad rem*, Lanzmann. Nie wytrzeszczaj tak gałów. To po francusku jest. Przejdźmy teraz do interesów. Potrzebuję jakiegoś środka lokomocji, może być motocykl z koszem. Muszą się na nim zmieścić trzy osoby.

– A skąd ja panu teraz wytrzasnę samochód albo motocykl? – Lanzmann rozłożył ręce w teatralnym geście. – Przecież widzi pan, co się dzieje. To jest koniec świata. Każdy by chciał czmychnąć z tego piekła. Kobiety, panie wachmistrzu, i to takie z lepszych sfer, są gotowe oddać się za kanister benzyny. Byleby tylko uciec przez tymi Azjatami.

– Toteż ja nie do jakiegoś szeregowego złodzieja udaję się, tylko do głównego machera w porcie. Nadal mam wszystkie twoje papiery, Lanzmann. Wiem, że wszystkich znasz i dużo możesz. Jesteś złodziej pierwsza klasa, nie ściemniaj mi tu.

– Pan wachmistrz tak od razu z grubej rury...

– Mnie nie oszukasz, znam cię lepiej niż ty siebie samego. Na pewno pomyślałeś o ratowaniu własnego tyłka. Przecież nie zamierzasz tu kiblować do przyścia Sowietów, prawda? Ta młoda dupeczka, coś ją przygarnął rok temu, na pewno wołałaby stąd zniknąć, zanim pojawi się tu Iwan, prawda? O proszę, zobacz, właśnie macha do nas panienka z okienka.

Dziewczyna, owinięta kołdrą, wyszła po chwili na próg domu.

– Wszystko w porządku, Walter? – zapytała, obrzucając spłoszonym spojrzeniem Kukulkę.

– Oczywiście, kochanie. To stary znajomy. Interesy... Idź do domu, bo zmarzniesz.

– No właśnie, narzeczony dobrze gada. Wezmę tylko to, co mi potrzebne, i Walter wróci pod kołderkę – dorzucił Kukulka.

Dziewczyna zniknęła z powrotem w baraku.

Lanzmann westchnął z udawaną rezygnacją. Diabli nadali tego psa! Już o nim zdążył zapomnieć w ostatnich miesiącach. Tyle że sytuacja się zmieniła. Po prawdzie bał się Kukulki jak ognia, ale wachmistrz nie służył już w Kripo.

Podobno popadł w niełaskę i razem ze swoim pryncypałem, tym milczkiem radcą, wyemigrowali do Holandii. Takie dobre wieści szybko się rozchodzą. Zwłaszcza po porcie.

– Nic mi pan nie zrobi – powiedział i podniósł głos o jeden ton. – Nie służy pan już w policji. Nie ma już Kripo, nic nie ma. Owszem, mam schowaną benzynę do motocykla. Ale dla siebie i Heike.

– Nie ma Kripo, ale ja jestem. A ja zawsze dostaję to, czego chcę, Lanzmann. Już zapomniałeś, jak ci obiłem mordę ostatnio, gdy mnie okłamałeś?

Szpicel zasłonił się odruchowo ręką.

– Nie bój się. Ja kulturalny człowiek jestem. Zrobimy tak. Zostawię ci dwieście dolarów. Patrz, kładę je na stole. To kupa pieniędzy, szkoda mi ich, ale wiesz, spieszę się.

– Nie ma mowy. – Lanzmann nawet nie spojrział na zwinięte w rulon dolary.  
– Nie boję się. Nie zabije mnie pan, bo nic to panu nie da. Benzynę mam schowaną, tylko ja wiem gdzie. Nie tutaj, taki głupi nie jestem.

– Nie boisz się, mówisz? – Kukulka zmrużył oczy i wyciągnął zza paska lugera. – Masz rację, nie zabiję cię, bo trupy nie gadają. Ale mogę uczynić z ciebie kalekę. Przestrzelę ci kolana. Najpierw jedno, żebyś zdążył otrzeźwieć i pójść po rozum do głowy.

– Nie zrobi pan tego. – Lanzmann zadrżał na całym ciele.

– Chcesz się założyć? – Kukulka wyprostował rękę z pistoletem. – Wiesz, że mam kiepską opinię, prawda? Twoja sprawa, po prawdzie to twoje kolano. No to od którego mam zacząć? Prawego czy lewego?

Lanzmann ciężko westchnął. Widział po oczach wachmistrza, że ten nie żartuje. Zresztą poznał go już na tyle, by spodziewać się po nim wszystkiego, co najgorsze. Jak takiemu mogli dać kiedyś odznakę Kripo?

– Dobrze więc – powiedział z wysiłkiem. – Wezmę te dwieście dolarów.

– Teraz już tylko sto pięćdziesiąt.

– Jak to?

– Straciłem przez ciebie mnóstwo czasu. A czas to pieniądz.

– Nie może pan choć raz odpuścić?

– Nie było tego pytania, Lanzmann.

\*

Trochę się natrudził, żeby skruszyć opór tego złamasa, a teraz wszystko brało w łeb? Ponownie spojrzął na zegarek. Już pół godziny po umówionym czasie. Dobrze znał Abella, radca nigdy nie nawalał, a już na pewno nie w takiej sprawie. Samolot odlatywał o północy, jeszcze kwadrans i będzie za późno na cokolwiek. Coś się wydarzyło w lazarecie, tylko co? Abell nie odnalazł Morela?

Było mu zimno. Zrobił kilka przysiadów, by rozgrzać zziębnięte ciało i odegnać chłód. Potruchtał kilka razy od ściany lasu do skraju wzgórza. Musiał coś zdecydować. Czekać nadal czy udać się w stronę lazaretu, ryzykując, że w tej ciemności rozminą się z Abellem po drodze?

W tym momencie usłyszał kilka przytłumionych wystrzałów. Dobiały od strony lazaretu. Teraz dwie serie! Słyszał tępe plaśnięcia, tak jakby kule uderzały o mur. Ruscycy dotarli do szpitala i natknęli się na Abella?

Ruszył gwałtownie w dół, ślizgając się po zboczu. Po drodze chwycił się gałęzi i pni, aby nie stracić równowagi. Po kilku minutach był na miejscu. Znad czubków ciemnych krzewów wyrastało rzęsiście oświetlone górne piętro lazaretu. Od budynku dzieliło go teraz tylko kilka metrów. Dobiały go krzyki. *Bystrzej, bystrzej!* To jednak Ruscycy!

Kukulka przykucnął za pochylonym drzewem. W kwadracie okna zobaczył postać żołnierza. Miał na głowie furazerkę. W ręku trzymał wielką szpitalną butlę. Przytykał ją łapczywie do otwartych ust. Pewnie spirytus, widział, jak ciecz spływa mu po mundurze. Nagle obraz w oknie się zmienił. Pojawili się dwaj inni żołnierze. Byli już pijani w sztok. Zobaczył ich bordowe, spocone twarze. Uginali się pod jakimś ciężarem. Po chwili wydzwignęli na parapet coś, co Kukulka w pierwszej chwili wziął za podłużny mebel.

– *Ty możesz latać, czubak?*<sup>[5]</sup> – darł się wyższy z nich.

Przechylili nosze i ciało poleciało w dół. Wtedy zobaczył przez sekundę twarz ofiary. Starszy mężczyzna z zaciśniętymi powiekami. Po kilku sekundach ciało głucho uderzyło o kamienny podjazd.

Zapanowała cisza, którą przerwał jakiś hałas. Schylony Kukulka przemknął między drzewami. Na betonową ścieżkę podjechał rosyjski gazik z odkrytym nadwoziem. Wyskoczył z niego młody kierowca. Poprawił futrzaną czapkę na głowie i sięgnął po machorkę. Jej ostry zapach szybko rozniósł się w powietrzu.

Kukulka wstrzymał oddech, ukryty za betonowym kręgiem, kilka metrów od Rosjanina. Widział jego lekko zezowate oczy.

Coś działo się w drzwiach wiodących na podjazd. Słyszał rosyjskie komendy wydawane głosem nieznoszącym sprzeciwu. A potem to zobaczył. Pierwszy szedł jakiś olbrzymi, rozchełstany żołnierz z zakrwawioną twarzą. Na jego widok kierowca rzucił peta w śnieg i szybko otworzył drzwiczki do gazika. Następnie w drzwiach pojawili się dwaj żołnierza. Ciągnęli za nogi po ziemi bezwładne ciało. Eleganckie półbuty, długi trencz złobiący ślad w śniegu. Głowa mężczyzny podskakiwała na nierównościach podjazdu. Kukulka widział jego twarz ledwie przez parę sekund, ale to wystarczyło, aby pozbyć się wszelkich złudzeń. To był radca.

Abell musiał być nieprzytomny. Miał zamknięte oczy. Z pomiędzy rozwartych ust wyciekała strużka krwi, pozostawiając szkarłatne korale na śniegu.

Soldaci dociągnęli go do samochodu. Chwycili ciało pod pachy i wrzucili jak worek kartofli do środka.

Kukulce przemknęła przez głowę myśl, że mógłby kilkoma strzałami położyć kacapów, wskoczyć za kierownicę i na pełnym gazie odjechać w stronę Gdańska. Trzy kule. Kierowcy między oczy. Tamtym dwóm w brzuch. To mogło się udać... Nigdzie nie było widać Morela, ale lepszy wróbel w garści... Podniósł się na zeszywniałych nogach, ale szybko ponownie przykucnął. Na progu stanął ruski podoficer, za nim na zewnątrz wysypała się gromada podpitych żołnierzy z pepeszami w ręku. Mieli porozpinane rozporki, zataczali się, uderzając z hukiem o drzewa.

– *Kto eto?* – Kierowca wskazał ręką na ciało radcy.

– *Żiwyje miertwiecy. Otwieditie jego k komandiru* – odparł podoficer.

– *Nie łuczszje li zazstrielić jewo na miestie?*

– *Nie twoja gołowa. Idi!*

– *Spokojna gołowa. Ja dostawljju faszista!*<sup>[6]</sup>

Kierowca zsalutował i wskoczył do auta. Kukulka z rozpaczą wpatrywał się w odjeżdżający samochód spowity chmurą spalin.

Pierdolone kacapy, zdusił w ustach przekleństwo. Mieli z radcą dobry plan. Przeprowadzili prawidłowe rozpoznanie i znaleźli igłę w stogu siana. Cudem

załapali się na samolot do Gdańska. Zdobył motocykl, co było nie mniejszym cudem. Mieli tylko wydobyć Morela z tego parszywego lazaretu i odlecieć o północy w siną dal. I finito. Oby dalej od tych zdobywców z fujarami na wierzchu. A potem mogliby uwalić się do nieprzytomności w Rotterdamie i doczekać końca wojny.

Tak, to był dobry plan. Z naciskiem na był.

Teraz pewne było jedno: że dla niego, Kukulki, wojna się jeszcze nie skończyła.

# **Rozdział II**

## **Prosta sprawa**



## 1.

### 24 marca 1945, Oliwa

Najpierw doleciały go zapachy: wszystkie ostre, drażniące nozdrza, zatykające płuca. Co to było? Smród benzyny i żołnierskich onuc, smaru i spalonego metalu? A potem dobiegły go głosy, obce, szeleszczące, równie wrogie i źle wróżące.

Otworzył z trudem oczy. Głowa mu pękała, jakby ścisnęła ją twarde, rozżarzone obcegi. Najważniejsze, że żył. I że nic mu nie złamali. Nos miał cały, szczękę też. To już coś. Ten Rosjanin uderzył go wtedy, w lazarecie, kolbą pepeszy prosto w czoło. Potem poprawił ciosem w skroń. Mogło być gorzej. Dotknął ręką twarzy i wyczuł zastygłą krew. Tak szybko? No tak, na mrozie posoka krzepnie szybciej.

Gazik podskakiwał, jakby pozbawiony był resorów. Wrzucili go na podłogę tylnego siedzenia. Czuł ciężkie buciory eskorty na swoich nogach. Tylko jego głowa była wolna. Rzucano nią na wszystkie strony, jak bezpańską piłką, uderzała w metalowe krawędzie. Miał wrażenie, że ta część ciała nie należy już do niego. Może byłoby lepiej, gdyby uwolniła się i spadła gdzieś tam, pod koła, zagrzebując się w śniegu? I zabrała ze sobą te wszystkie ciężkie myśli, które teraz obsiadły go i ciągnęły w czarną dziurę bez dna?

Co zrobili z Piotrem? Znaleźli go i zatłukli na miejscu? Zostawił go na wózku inwalidzkim... To był impuls. Musiał spróbować ratować te siostry, gwałcone przez zwierzęta w ludzkiej skórze. A może jednak popełnił błąd? Rozsądniej było uciekać w ciemność, może byliby już w samolocie? Co teraz przeżywa Gabi? Widział oczami wyobraźni, jak żona krąży nerwowo po pokoju, marszczy czoło, zagląda do pokoju Ani, rozmawia z nią, a jednocześnie umiera z niepokoju, rozpada się wewnątrz na tysiąc kawałków... Zawsze była tak delikatna, nieprzystosowana do tego świata, w którym przyszło im żyć...

Uniósł się lekko na łokciach. Gazik wjechał do rozległego parku. Potrzebował chwili, by rozpoznać to miejsce. Ujrzał wypalony Pałac Opatów Oliwskich. Nie zatrzymali się jednak tutaj, samochód podjechał dalej, pod samą katedrę. Hełmy na obu wieżach spowite były warkoczem sinego dymu.

Eskortujący go żołnierze wywlekli go z gazika i brutalnie popchnęli go w stronę wejścia do świątyni.

– *Bystrzeje!*

Abell minął wpółotwarte odrzwia i zatrzymał się jak sparaliżowany. Tak mogłoby wyglądać piekło. W nawie środkowej płonęły ogniska, do których czerwonoarmiści wrzucali stare modlitewniki i połamane ławki. Ogień oświetlał dantejskie sceny dziejące się w świątyni. Cały kościół wypełniony był tłumem wepchniętych tu siłą cywilów. Nieszczęśnicy ci, drżący na ciele i zawodzący płaczliwymi głosami, trzymali się w grupkach, blisko siebie, jakby ta iluzoryczna wspólnota mogła zapewnić im bezpieczeństwo przed szalejącymi żołdakami.

Ci ostatni zajęci byli przede wszystkim plądrowaniem kościoła. Do stosu pod ołtarzem wrzucano haftowane chorągwie, dewocjalia, a nawet piszczałki, odbijane kolbami pepesz ze słynnych organów. Abell widział, jak dwaj żołdaci oderwali część organowego kantoru i z wysiłkiem zepchnęli go na dół. Zabytkowy mebel z trzaskiem rozbił się o posadzkę, raniąc przy okazji parę trzymających się za rękę staruszków.

Inni, niczym głodne zwierzęta, krążyli po świątyni, wyłapując kobiety. Ciągnęli je za włosy do nawy północnej, wypełnionej szeregiem marmurowych nagrobków i ołtarzy. Tutaj je gwałcili. Pod kamienny sufit unosiły się dzikie wrzaski, sapania i przekleństwa żołnierskiej tłuszczy, odbijały się od barokowych ołtarzy, madonn o smutnych obliczach, frasobliwych Jezusów o misternie udrapowanych włosach; od kolumn i ciężkich, haftowanych chorągwi, aby opaść z powrotem na ten upodlony, święty, nieświęty padół. Co pewien czas słyhać było strzały. Jakąkolwiek próbę oporu, zwłaszcza ze strony Niemców próbujących ochronić swoje żony i córki, karano śmiercią.

Pod nagrobkiem rodziny Kosów ustawiła się kolejka chętnych. Wszyscy niecierpliwie poganiali grubego żołnierza gramolącego się na leżącą nieruchomo kobietę. Widać było tylko jej palce, kurczowo wbite w terakotę.

– *Nu, dawaj! Horoszo! Mołodiec!*

Najmłodszy z tych oczekujących na swoją kolej nie mógł mieć więcej niż kilkanaście lat. Na twarz wypełził mu krwawy rumieniec. Obficie się pocił. Miał oczy człowieka kompletnie oszalałego, działającego w amoku.

Nawa na całej długości wypełniona była podobnymi kopulującymi żołdatami. Jeśli Bóg naprawdę istniał, to tej nocy zapomniał o tej świątyni.

Przeszli kilkadziesiąt metrów i dotarli do ambitu<sup>[7]</sup> okalającego prezbiterium. Ta część korytarza podzielona była na kilka prowizorycznych cel. Oddzielono je od siebie przegrodami ze zwalonych lub potrzaskanych mebli: ławek, konfesjonałów i pogruchotanych ołtarzy. Do jednej z nich wepchnięto Abella.

Stojący pod ścianą wartownik rzucił mu niechętnie spojrzenie i wymownie potrząsnął automatem.

– *Nie dwigajsia, sobaka!*<sup>[8]</sup>

Abell miał świadomość, że stąd nie było ucieczki. Jeśli w rękach Rosjan były katedra i Pałac Opatów, to znaczy, że opanowali już całą Oliwę. Szybko im poszło. Tylko od strony broniącego się jeszcze Gdańska słyszał głuchy pomruk artylerii.

Zabrakło mu paru godzin. Gdyby samolot wyleciał z Rotterdamu dzień wcześniej, gdyby dotarł do lazaretu poprzedniego wieczora. Gdyby nie ten splot niedających się przewidzieć przypadków, zapewne nie znalazłby się w tej beznadziejnej matni. Gdyby...

„Nie daj się zabić. Wróc żywy”.

Spojrzał na wartownika. W jego oczach żarzyła się nienawiść.

## 2.

Kukulka pochylił się niżej nad motocyklem. Wilgotny chłód przenikał go do szpiku kości. Zgrabiały mu ręce. Drobiny zmarzniętej ziemi pryskały spod kół na boki. Na wschodzie wznosiła się krwawa luna. Rosjanie nadal ostrzeliwali Gdańsk. Oliwa pozostawała jednak w złudnej ciszy. Prawie w żadnym z niskich domów po obu stronach drogi nie paliło się światło. A przecież na pewno nie

wszyscy mieszkańcy zdążyli się ewakuować. Słyszał jedynie dziwny poszum, jakby tysiące ust powtarzały słowa błagalnej modlitwy. A może to wiatr tak zawodził?

Mógł jeszcze zdążyć na samolot. Ich misja dobiegła końca. Zrobił, co do niego należało. Nie wyszło, zdarza się. A on, Kukulka, miał tylko jedno życie. Jak każdy.

Abell znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Wachmistrz był związany z tym mężczyzną niewidzialną nicią męskiej lojalności. Łączyły ich wspólne tajemnice, także przelana krew. Wiele mu zawdzięczał, ale tak po prawdzie, to już po wielokroć spłacił swoje długi. Każdy sąd, także ten Najwyższy, by to przyznał. Pozostawanie w mieście zdobytym przez Ruskich było samobójstwem. Jak miałby wyciągnąć Abella z rąk Sowietów? Z jednym gnatem przeciwko Armii Czerwonej? Sam, w pojedynkę? Przecież to, kurwa, jest niemożliwe.

Dojechał do skrzyżowania i zatrzymał się na chwilę. Widział w świetle księżycy wąską drogę wiodącą na lotnisko. W pół godziny byłby na pokładzie focke-wulfa. Nacisnął czapkę mocniej na uszy i skręcił w prawo w stronę Gdańska.

Nie ujechał nawet kilometra. Na drodze pojawiły się nagle dwa cienie. Jeden machał rękami, drugi wycelował w wachmistrza długi karabin.

– Stać! Bo będziemy strzelać! – usłyszał po niemiecku.

Kukulka zwolnił i zatrzymał się na poboczu.

– A wy kto? – zapytał.

– Patrol Volkssturmu!

Wyższy z mężczyzn podszedł do niego ostrożnie, lekko powłócząc nogą. Miał na sobie za duży mundur z demobilu i pikelhaubę pamiętający czasy Wielkiej Wojny. Lepsze wrażenie robił jego młodszy towarzysz. Trzymał przed sobą karabin, jakby to były widły. W szurzej twarzy płonęły czujne, taksujące oczy.

– Ruscy są już w Oliwie – powiedział Kukulka.

– Złaż z motoru – rzucił mężczyzna w charakterystycznym hełmie. – I ręce do góry!

– Słyszałeś, dziadku, co powiedziałem? Kacapy są tuż-tuż. Dla takich jak wy już po wojnie.

– Hans! – Mężczyzna odwrócił się do swego towarzysza, a ten podniósł wyżej karabin i wycelował w głowę wachmistrza.

– Zaraz, zaraz, coście tacy nerwowi, panowie? – Kukulka wolno zsiadł z maszyny. – O co wam chodzi?

– O twój motocykl, frajerze – odezwał się ten młodszy z karabinem. – Właśnie się zastanawialiśmy, jak stąd spierdolić, a ty spadłeś nam jak gwiazdka z nieba. Ot co.

– To wy, jako Volkssturm, zamiast miasta bronić, napadacie na spokojnych obywateli? Do tego na podoficera Kripo?

– Miasta bronić? – Człowiek w hełmie zaniósł się ni to suchym śmiechem, ni to kaszlem. – Słyszysz, Hans, co za cudak nam się trafił?

– No! – Młodszy nie spuszczał wachmistrza z muszki.

– Widzisz, frajerze, te dwa ciała w rowie? – Stary wskazał ręką za siebie. – Godzinę temu trafiła nam się ta parka. Schowali trochę złota i kosztowności. No, mieli niefart, można powiedzieć. – Wyszczrzył usta w grymasie, który miał być uśmiechem. – Czasy teraz takie, że o siebie trzeba samemu zadbać. Kasę już mieliśmy, potrzebny nam był tylko jakiś środek lokomocji. Wiesz, jak z tym teraz krucho. No i proszę, trafił nam się oficerek z Kripo.

– A teraz mnie chcecie obrabować?

– Obrabować? No co ty! My jako patrol Volkssturmu rekwirujemy pojazd, a ty dostaniesz zaraz kulkę w łeb jako dezertter.

– Widzę, że trafiłem na lepszych od siebie. – Kukulka wzruszył ramionami i rozejrzał się dookoła. – Wszystko rozumiem, ale jakbym tak trochę dolarów dołożył, to puścilibyście mnie wolno?

– Amerykańskich? – Stary łypnął na niego podejrzliwie.

– A jakże, przecie nie ruskich. Miały być na przeżycie, ale jak mus to mus. – Wachmistrz westchnął z rezygnacją.

– Jak amerykańskich, to puścimy, jasne, że puścimy. – Stary spojrzał wymownie na Hansa.

– No, to dogadani jesteśmy. – Kukulka opuścił ręce. – Mam je schowane tak, że nigdy sami byście nie znaleźli.

– Niby gdzie? – nastroszył się Hans.

– Tam, gdzie słońce nie dochodzi, w gaciach. Zaraz zobaczycie...

– No to ruchy. – Hans podkreślił swoje słowa, wysuwając do przodu karabin.

Wszystko rozegrało się w ciągu kilku sekund. Kukulka wcisnął obie ręce za pasek spodni, chwilę nimi gmerał, odklejając plaster, po czym rzucił grubą kopertę pod nogi młodemu.

Hansowi zaświeciły się oczy. Nie wypuszczając karabinu, pochylił się po kopertę. To wystarczyło. Wachmistrz wyszarpnął rękę z lugerem. Kula trafiła Hansa w lewo oko i z cichym trzaskiem ugrzęzła w kości potylicznej. Mężczyzna chwiał się przez chwilę, po czym złamał jak scyzoryk i runął na ziemię, przykrywając kopertę.

Starszy z napastników patrzył na tę scenę jak zamurowany.

– Co ty, kurwa... – odezwał się wreszcie.

– Ani drgnij, śmieciu.

Kukulka nawet na niego nie spojrzał. Podszedł do trupa i przewrócił je na bok.

– No nie! – Podniósł z wyraźną dezaprobatą zakrwawiony pakiet. – I jeszcze mi pieniądze zaświnili.

– Niech mnie pan puści wolno, panie oficerze, błagam! – Do mężczyzny w hełmie dopiero teraz dotarła cała groza sytuacji, w jakiej się znalazł.

– Teraz to „panie oficerze”? A przed chwileczką chcieliście mi łeb odstrzelić?

– To nie ja, to Hans. – Stary trząśł się jak osika. – Ja nawet broni nie mam.

– No i po ci to było, dziadygo? Jak teraz wyglądasz? Ładnie to tak rozbój uprawiać? Na swoich napadać? – Wachmistrz podszedł bliżej i stanął o krok od mężczyzny.

– Błagam!

– Jak się nazywasz?

– Moser. Armin Moser...

– Posłuchaj, Armin, ja bym ci nawet darował. Bo, widzisz, ja pamiętliwy nie jestem, urazy nie chowam po kieszeniach, chyba że mnie ktoś mocno wkurwi.

To kwestia kultury osobistej jest. Ale nie mogę, stary, wybacz, nie mogę. – Wachmistrz pokręcił głową.

– Jak to? – Moser spojrzał z nadzieją w oczach. – Przecież mówił pan...

– Nie skończyłem. Nie mogę, bo pokazałeś mi tamtą parę w rowie. Jest wina, musi być kara. Tak to działa. Wojna nic tu nie zmienia. Rozumiesz?

Gdzieś w oddali eksplodował pocisk. Ziemia ledwie dostrzegalnie drgnęła im pod stopami. A potem zapadła cisza.

Przerwał ją wystrzał z lugera. Moser upadł na znak. Miał otwarte oczy, które wkrótce przykryło bielmo śniegu. Właśnie znowu zaczynało padać.

### 3.

Margaret Braun przetarła ściereczką blat stołu i raz jeszcze spojrzała nań pod światło. Teraz było perfekt, tak jak należy. Wojna nie wojna, porządek musi być. Zlustrowała uważnie pomieszczenie. Lubiała ten dom. Mała kuchnia z wyczyszczonymi na błysk patelniami, wiszącymi pod powalą kuchni. Z boku spizarka, na którą się uparła, kiedy zapadła decyzja o budowie.

– Po co pani spizarka? – przekonywał ją majster. – Teraz paniusie ze śródmieścia stawiają duże przestronne kuchnie. Takie modern jak z katalogu.

– Ja nie jestem żadna paniusia, tylko dziewczyna z ludu, panie majster. – odpowiedziała mu. – Mój tata pracował w rzeźni, a ja sprzątałam po domach. I nie rozbieraj mnie pan tak tymi oczkami, bo po pysku dam. Ot, i taka ze mnie dama. A jak pan nie postawisz mi spizarni, to i zapłaty nie będzie.

Nigdy nie dawała sobie w kaszę dmuchać. A ta spizarka uratowała ją przed śmiercią głodową. Trzymała tu wszystkie weki i konfitury robione latem i jesienią. Zwłaszcza ostatniej wojennej zimy były jak znalazł. No i co z tego, że ostatnio głównie ze spadłych śliwek, kasztanów i ziół zebranych po polach w Parku Oliwskim? Głodny człowiek wszystko przyjmie. Bogaty dostałby sraczki od takiego menu, ale nie ona. Zawsze musiała sobie radzić sama. Narzeczonego zabrał jej kajzer i wysłał do Francji, gdzie szrapnel urwał mu głowę. Cierpiała, ale dyskretnie, tak jak uczyła ją Mutti. Widocznie Bóg tak

chciał, maluczki nic na to nie poradzi. I żyła dalej. A teraz Hitler rozpętał wojnę, po której, tego była pewna, nastąpi koniec świata.

Dlatego musiała się dobrze przygotować na ten koniec. Wymyła ługiem podłogi, wyprała pościel i wyprasowała, złożyła w równe koperty. Po co to wszystko? Głupie pytanie. A jakżeby inaczej? Tam z góry wszystko obserwują i notują w boskiej pamięci. Bałaganiary i dziwki na pewno pójdą do piekła. Przy niej jednak Pan Bóg się zastanowi. Gdzie by tu tę Margaret, córkę rzeźnika z Oliwy, wysłać? Pewnie jakiś przydupas ze skrzydłami podpowie usłudźnie. „Raj wypełniony po brzegi, Panie, tam teraz wszyscy się pchają, co to niby nic nie wiedzieli i nie słyszeli, a każdy niby jakiegoś Żyda uratował, tylko że świadków na to nie ma. Poza tym to samobójczyni, przecież nie będziemy takiej nagradzać?” Ale pan Bóg w ciemię bity nie jest. Powie: „Ty mi tu, aniele, propagandy nie uprawiaj, jeden Goebbels, tam na ziemi, wystarczy. Ja swoje wiem. Wystarczy spojrzeć z góry. Zabrałem Margaret narzeczonego, a ona wiary nie straciła. W życiu nikogo nie skrzywdziła. Dom czysty, że jeść z podłogi można. Jest gotowa do przejścia. Najwyżej trochę w czyścucu posiedzi. I szlus. Ostatecznie to ja jestem Panem Bogiem, chyba że mi coś umknęło, he?”.

Jednego tylko pani Braun nie mogła sobie wybaczyć: że tak późno przejrzała na oczy z tymi nazistami. Nigdy nie wierzyła w Hitlera. Jak można zaufać facetowi z takim świńskim wąsikiem? No ale były lata, gdy i ona kiwała głową i pochwalała. Naziści autostrady budowali? Budowali. Domy wczasowe dla ludzi pracy na pięknej Rugii stawiali? Stawiali. A, i na statki wycieczkowe dla robotników ich było stać. Na takiego Wilhelma Gustloffa<sup>[9]</sup>, na ten przykład. Jaki to piękny statek był!

Tak to wtedy wyglądało. Ludziom żyło się lepiej, bezrobocie spadło, a ona sama miała tyle domów do sprzątnia, że ledwo nadążała. Miała być Tysiącletnia Rzesza i panowanie nad światem. A co wyszło? Jedna wielka katastrofa. Tak jak w poprzedniej Wielkiej Wojnie. Otrzeźwiała dopiero wtedy, jak się wszystko zaczęło. Znowu? Mało to ludzkich istnień te fanatyzmy kosztowały? Fanaberie tych wodzów na górze?

Ludzie jednak niczego się nie nauczyli. A wszystko przez tych fanatyków z hakenkreuzem na ramieniu.

Chyba do usranej śmierci nie zejdzie im bielmo z oczu. Nie dalej jak dwa dni temu odwiedził ją patrol z miejscowym partyjniakiem, arbeitsleiterem



Weissem, na czele.

– Wykonujemy rozkaz gauleitera – powiedział Weiss, wypychając do przodu ten swój bęben opięty mundurem.

– Chcecie mnie do wojska zmobilizować?

– Niech pani sobie nie dworuje, pani Braun. Ja takie wypowiedzi mogę uznać za defetyzm – nastroszył się Weiss.

– A, czyli ludzi macie dość. To dobrze. Na własne uszy słyszałam, jak gauleiter zapowiadał w radiu po wizycie u Führera, że odrzucimy Ruskich do Prus Wschodnich. I co, chyba Ruscy radia nie słuchają? Bo stoją już pod miastem, a Sopot to już zajęli.

– Nie pani głowa. Tylko patrzeć, jak rzucimy do walki nowe dywizje i pogonimy Iwana z powrotem na wschód. Adolf Hitler poprowadzi nas do ostatecznego zwycięstwa.

Margaret Braun zlustrowała dwóch starców z Volkssturmu towarzyszących Weissowi. Mieli spuszczone głowy, uciekali spojrzeniem w bok.

– A właściwie to czemu zawdzięczam ten zaszczyt? – zapytała.

– Sprawdzamy, czy w okolicy nie kręcą się jacyś dywersanci. Szukamy też dezertów z wojska...

– Dywersantów? – Ujęła się pod boki. – A niby czemu mieliby uciekać, kiedy ostateczne zwycięstwo tak blisko? Przecież rzucimy nowe siły, damy bobu Ruskim. Sam pan mówił.

– Nie wszyscy są odpowiednio uświadomieni. – Weiss spojrzał na nią badawczo.

– Tu, na tej ulicy, same kobiety mieszkają. Mężów i narzeczonych żeście nam zabrali. Teraz będziecie stare baby uświadamiać?

– Niech pani miarkuje, z kim pani rozmawia. Jestem zasłużonym towarzyszem partyjnym...

– A pana miejsce nie jest czasami na froncie, towarzyszu partyjny? Tam na pewno przydałby się taki zasłużony towarzysz, ktoś musi przecież zastąpić tych wieszanych na ulicach dezertów.

– Mam tu ważne zadania partyjne...

– Pierdu, pierdu, panie Weiss. Zabieraj się pan stąd z parą tych straszyleń. Ja nigdzie nie zdezerteruję, nie mam dokąd, dzięki takim jak wy.

– Gdyby nie pani wiek... – Weiss próbował zachować twarz. Nigdy nie lubił tej wyszczekanej, rezolutnej staruchy. Po jaką cholere w ogóle się tu fatygował?

– I jeszcze będzie mi tu wiek wypominał. A savoir-vivre gdzie? – Gospodyni zatrzasnęła im drzwi przed nosem.

To właśnie dlatego szykowała się na śmierć. Nie miała nikogo, kto by o nią zadbał. Wiedziała, co wyrabiali Rusczy, nawet z takimi jak ona starymi babami. Na to im nie pozwoli. Niedoczekanie ich! Spojrzała na słoik trzymany na półce. Zebrała w nim kilka porcji trutki na szczury. Wcale nie było łatwo ją zdobyć. Okazało się, że nagle wszyscy wpadli na ten sam pomysł. Tacy uświadomieni... Przypomniała sobie, że w domu wachmistrza, którym się opiekowała od czasu jego wyjazdu do Holandii, widziała kilka opakowań w piwnicy. Dom oberwał bombą, ale piwnica ocalała. No i znalazła te delikatesy.

To dzięki nim była teraz spokojna. Trutka stanowiła jej przepustkę do wieczności. Najpierw zażyje tabletki nasenne. Potem dopiero zje to świństwo, w tej kolejności. Podobno od tego cholerstwa może rozboleć brzuch, a tak trutka zadziała podczas snu. A potem stanie na progu, tam wysoko, i powie: „Jestem. To ja, Margaret Braun. Skierujcie mnie do nieba, bo inaczej zrobię awanturę. Tam czeka na mnie mój narzeczony. I zapewnijcie nam trochę intymności. Bo musimy, no wiecie, odrobić te trzydzieści lat rozłąki. Aha, i głowę mu zwróćcie, koniecznie. I szlus”.

Usłyszała chrobotanie za drzwiami. W pierwszej chwili pomyślała, że to jakiś ptak. Ale przecież wszystkie ptaki już kilka dni temu odleciały. One pierwsze wyczuły zbliżającą się zagładę. Wzięła z lady kuchenny tasak i podeszła do drzwi. Kolejny patrol Volkssturmu? Jezu! O co im tym razem chodzi? Może na członka chcą ją wciągnąć? Już kiedyś tego próbowali ci z NSDAP. Odpowiedziała im wtedy: „Na członka to ja się sama wciągnę, panowie. Jeszcze potrafię”.

Uchyliła firankę w oknie. Na progu zobaczyła mężczyznę w długim palcie. Wyglądał jak cień człowieka. Na jej widok podniósł głowę. Zobaczyła tylko jego oczy, to wystarczyło.

– Jezusie drogi! – Z chrobotem otworzyła drzwi. – Gustl?

– We własnej osobie. – Kukulka przekroczył próg.

– Prędeż bym się diabła spodziewała!

– Na jedno wychodzi, droga pani Braun.

– Co ty tu robisz, nieboraku?

– Sprawy służbowe, pani Braun. Mógłbym się u pani przechować przez kilka dni? Z mojej chałupy została kupa gruzu. – Wskazał ręką za okno.

– Jak możesz pytać? A dom zniszczyła zabłąkana aliancka bomba. Pech taki, sakramencki. Na całej ulicy tylko w twój dom trafiła, jeno piwnica ocalała. A u tego skurwysyna Weissa, wybacz panie Boże, nawet jedna szyba nie wyleciała.

– Dziękuję, pani Braun.

Kukulka ściągnął zeszywniałe od mrozu palto. Dopiero teraz zauważyła, jak bardzo wychudł. Miał sine kręgi pod oczami, jeszcze bardziej poczerniał na twarzy.

– Zrobię ci potrawkę z brukwi i kasztanów. Pychota!

– Proszę sobie nie robić problemu – próbował nieśmiało zaprotestować.

– Cicho! Bo użyję tasaka! I szlus!

#### 4.

Abell zagryzł wargi i poczuł krew. Ile trwało to przesłuchanie? Godzinę? Dwie? Zabrali mu omegę, stracił rachubę czasu. Po postoju w katedrze ponownie wrzucili go do gazika. Jechali przez puste ulice, zatrzymali się dopiero przed budynkiem, w którym rozpoznał Hermann Göring Schule przy Pelonkerweg. Pod próg co chwilę podjeżdżały gaziki, z których wysypywali się oficerowie z mapnikami w rękach. Domyślił się, że Rosjanie urządzili tu sztab. Zabrali mu też buty, idąc, drobił stopami po śniegu.

Pokój przesłuchań urządzili chyba w gabinecie dyrektora. Ze ściany patrzył na niego marszałek Rzeszy. Stał w triumfalnej pozie, podparty pod boki, nie kryjąc swej monstrualnej tuszy. Było chłodno, przez szpary w oknie przenikał swąd spalenizny z podwórza. Aby się ogrzać, Rosjanie rozpalili na podjeździe wielkie ognisko. Podtrzymywali ogień wyrzuconymi przez okno ławkami,

podręcznikami szkolnymi, globusami i starymi atlasami. Widział ogorzałe twarze żołnierzy, niektórzy trzymali się pod boki i tańczyli dziwny taniec na ugiętych nogach.

Przesłuchujących było dwóch. Młody porucznik w mundurze NKWD i włosami zaczesanymi w grzywkę. I tłumacz, pokurcz z rozbieganymi oczami o twarzy rottweilera. Sądząc po śpiewnym akcencie, pewnie jakiś rosyjski Volksdeutsch. Każdą złą odpowiedź, a złe były wszystkie, porucznik kwitował uderzeniem szpicrutą, której nie wypuszczał z dłoni. Bił na odlew w twarz, po nogach, przez plecy. Fachowo, tak, żeby bolało jak skurwysyn. Abell czuł, jak koszula powoli nasiąka krwią, przywierając mu do ciała.

– Jesteś dywersantem z Volkssturmu? – napierał porucznik, uderzając miarowo szpicrutą o wyglansowane oficerki. – Jakie miałeś zadania, mów!

– Nie mam nic wspólnego z Volkssturmem. – Abell oblizał zakrwawione wargi.

– Przyznaj się, faszystowska świni! – Spadł kolejny cios, tym razem na ramię.

– Nazywam się Christian Abell. Nie mam żadnego przydziału wojskowego. Przyleciałem z Rotterdamu, żeby wywieźć z lazaretu chorego teścia.

– Cywile nie przylatują samolotami z Rotterdamu. Znaczy: szpion!

– Nie jestem szpiegiem. Skorzystałem z okazji i dostałem się na samolot. Chciałem wywieźć z miasta ciężko chorego teścia. On potrzebuje leków i opieki lekarskiej.

– Jaką misję ci powierzono? Jaki masz stopień wojskowy? Podaj przydział i numer jednostki! Gdzie jest sztab Volkssturmu? No gdzie?

– Jestem cywilem. Od wielu miesięcy mieszkam w Rotterdamie, ulica Schefferstraat 18...

– Łżesz jak bura suka! W twoim wieku wszyscy byli w wojsku. A może w gestapo? Wyglądasz na takiego.

– Nie mam nic wspólnego z gestapo. Nazywam się Christian Abell...

Radca postanowił bez względu na okoliczności trzymać się jednej wersji. Wiedział z policyjnego doświadczenia, że to jedyna metoda. Przesłuchujący go enkawudzista tylko czyhał na jakąkolwiek niespójność w jego zeznaniach. Sam zrobiłby tak samo na jego miejscu.

– Zaatakowałeś radzieckich żołnierzy! – Kolejne uderzenie po nogach; Abell syknął z bólu. – Pójdiesz za to pod ścianę!

– Gwałcili pielęgniarke w lazarecie. Stałem w ich obronie! Tak nie postępują prawdziwi żołnierze. Obowiązuje was konwencja genewska o ochronie ludności cywilnej.

– Będziesz mi tu kazania wygłaszał, nazistowska gnido? – Rosjanin stracił cierpliwość do Abella. Ciął go szpicrutą przez twarz.

Zabolało. Abell cofnął się instynktownie na krzesło.

– Zapomniałeś już, coście wyrabiali w moim kraju? Nie pamiętasz już? No to posłuchaj! – Rosjanin miał krwiste plamy na twarzy. – Do mojego sioła, Pietrowki, Niemcy weszli na początku lipca 1941. Kilka czołgów, zaparkowali na środku wsi. Nie było już Armii Czerwonej, wycofała się... To była biedna wioska, kilkadziesiąt chałup. Żaden tam bunkier czy punkt oporu. Na nasze podwórko wpadło dwóch żołnierzy. Byli młodzi, jeden miał jeszcze młodzieńcze krosty na gębie. Mnie i ojca wzięli do armii, matka była tylko z moją siedemnastoletnią siostrą Nataszą i moim młodszym bratem.

– Dawaj kury, babo! – ryknął ten z krostami, mierząc do niej z broni.

– Jesteśmy biedni – odparła matka. Trochę mówiła po niemiecku, uczyła w pobliskiej szkole. – Jestem sama z dwójką dzieci. Nie zabierajcie nam kokoszki. Ona znosi jajka. To żywicielka rodziny. Bez niej pomrzemy.

– Dawaj kury – nie ustępowali. – My też jesteśmy głodni. Uwalniamy was od Stalina, zapłata się należy.

– A nie zrobicie nam krzywdy? – dopominała się matka.

– Dawaj kury, a pojedziemy sobie. My z babami nie wojujemy – zarechotał ten drugi.

– Co było zrobić? – kontynuował enkawudzista, nie spuszczać oczu z Abella. – Matka podreptała na skraj lasu. Tam w wykopanym dole trzymała nasze kury. Wszyscy we wsi tak robili. Niemcy kazali matce oporządzić drób i zrobić w największym garze rosół. Przyszło ich jeszcze dwóch. Zeżarli wszystko do ostatniej kosteczki. Ten z krostami beknął i powiedział na koniec: *Danke*. Matka odetchnęła. Najbardziej bała się o Nataszę. Niemcy wsiedli do czołgu. Wyjechali tyłem z podwórka na drogę. A potem odwrócili wieżyczkę i skierowali lufę na nasz dom.

Rosjanin przetarł ręką czoło.

– Trafili prosto w kuchnię, w której dopiero co jedli rosyjski rosół. Moja matka zginęła na miejscu. Natasza straciła obie nogi, zmarła miesiąc później. Ocalał tylko mój brat. Od niego wiem, jak to było. A teraz powiedz mi, faszystowski pomocie, dlaczego twoi towarzysze tak postąpili?

– To nie moi towarzysze, byłem przeciwko nazistom – odparł Abell.

– Teraz, kurwa, wszyscy jesteście anty! Dopiero teraz? Dlaczego tam wtedy, na podwórku w Pietrowce, nie znalazł się żaden sprawiedliwy? Czemu służyła ta zbrodnia? To byli normalni żołnierze, prawda? Nie wiedzieli, że nie można mordować bezbronnych cywilów? Przecież dostali to, czego chcieli! Dlaczego nie odjechali, tak jak obiecali? No, dlaczego, powiedz! – Uderzył Abella na odlew. – Rozumiesz teraz, dlaczego sram na twoje opowieści o gwałtach w lazarecie? Macie to, na co zasłużyliście! Oko za oko! Krew za krew!

– Potępiam te zbrodnie. Współczuję...

– Nie zależy mi na twoim współczuciu, faszysto. Rozumiesz? Oczekuję tylko jednego: współpracy. I prawdy. Ostatni raz: nazwisko, stopień służbowy, numer jednostki. Jakie miałeś rozkazy? Gdzie mieści się sztab Volkssturmu?

– Mówię prawdę. Nazywam się Christian Abell. Bez przydziału. Przyleciałem z Rotterdamu...

– Dość! – rzucił enkawudzista. – I tak już poświęciłem ci za dużo czasu. Jeszcze nie wiesz, co potrafimy. Nie chcesz po dobroci, to pogadamy z tobą inaczej. Wszystko wyśpiewasz, wszystko. Do piwnicy z nim!

## 5.

Mężczyzna w długim płaszczu wszedł na ścieżkę cmentarną i uważnie rozejrzał się dookoła. Przed nim rozciągał się cmentarz Bożego Ciała, za sobą zostawił bastiony Góry Gradowej. Rozkazy były jednoznaczne, a on zwykł wypełniać polecenia przełożonych. Nadciągająca pożoga niczego tu nie zmieniała. Wręcz przeciwnie. *Befehl ist befehl*<sup>[10]</sup>. Zaufano mu, wybrano spośród tysięcy i on doceniał to wyróżnienie.

– Naszym honorem jest wierność – powiedział mu szef. – Nigdy o tym nie zapominaj, Manfred.

– Nie zapomnę. – Wyprężył się w pozycji na baczność.

– Wybrałem właśnie ciebie. To wielki zaszczyt. Kiedyś twoje nazwisko będzie zapisane złotymi głóskami w dziejach partii. Przejdziesz do historii, Manfred. Inni będą ci zazdrościć.

Jakże mógłby zapomnieć? Miał tę dewizę wrytą w pamięci. Był wybranem, zagwią, która przechowa iskrę dla przyszłego pokolenia. Wszystko się zmieni wraz z kolejną Wielką Wojną. Jankesi przejrzą na oczy i wtedy razem pogonią tych Mongołów z powrotem na wschód. Niemcy zrzucą jarzmo. Powrócą dawne porządki. I dawny ład, jedyny, który rozumiał. Połowę gigantycznego zadania, które postawił przed nimi Führer, już wykonali. Oczyszczili Europę z żydowskiej zarazy. Teraz będzie łatwiej. Zachód kontra Wschód. Cywilizacja przeciwko barbarzyństwu. Kultura przeciwko anarchii.

Raz na tydzień, w każdy poniedziałek, miał docierać do skrytki i sprawdzać, czy wszystko jest na swoim miejscu. Dzisiaj był właśnie ten dzień.

Otulił głowę kapturem i przyspieszył kroku. Sowietci byli już w Oliwie. Mogli tu dotrzeć lada moment. Doszedł do grobowca Rennenkampfów i skręcił w lewo przy pochyłym drzewie. To był charakterystyczny punkt orientacyjny. Wiedział, że od tego miejsca dzieli go tylko sto metrów do właściwego grobowca.

Niebo było rozgwieżdżone. Nie potrzebował latarki, aby dotrzeć do celu. Czujnie zlustrował grobowiec. Na pierwszy rzut oka wejście wyglądało na nienaruszone. Następnie sprawdził kłódkę na kracie. Była zamknięta, nie zauważył żadnych świeżych rys. Obejrzał się za siebie, ale nie dostrzegł niczego podejrzanego. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął mosiężny klucz. Otworzył kratę i pochyłony wszedł do krypty grobowej. Dopiero teraz przyświecił sobie, aby sprawdzić spoiny na górnym sarkofagu. Połówka zapalki, którą umieścił tydzień temu pod płytą, również była na swoim miejscu. Na piasku, który rozsypał wokół sarkofagu, nie dostrzegł żadnych podejrzanych śladów.

Wszystko w porządku. Nie mogło być inaczej, mruknął pod nosem. Cofnął się o krok. Zamiótł piasek, ukośnym ruchem, z lewego rogu do góry. Wyszedł na zewnątrz i zatrzasnął kratę. Przekręcił klucz w zamku i schował go do

kieszeni. Czarny kruk siedzący na płocie przyglądał mu się świecącymi ślepiami. Zerwał się zimny, mocny wiatr, porywający w powietrze zeschnięte liście i drobiny śniegu. Nagle pociemniało. Ledwie widział teraz krzyże i szczyty innych grobowców. Słyszał dziwne trzaski i hałasy, tak jakby pokolenia tych gdańskich mieszczan i armatorów postanowiły nagle wyrwać się z podziemnego świata i ruszyć na zachód, śladem tych nieszczęśników na Helu wypatrujących szansy na ucieczkę przed nieubłagany wrogiem.

Wrócił do ścieżki i skręcił w prawo.

– Myślałem, że o tej porze nikogo tu już nie spotkam.

Głos dobiegający zza pleców sprawił, że mężczyzna stanął w miejscu jak zamurowany. A to ci niespodzianka. Powoli odwrócił się za siebie.

Stojący przed nim człowiek przewyższał go wzrostem. Miał na sobie robociarski kombinezon, na który narzucił coś w rodzaju oponczy.

– Co proszę?

– Mówię, że tu teraz pustki.

– A tyś kto?

– Schluge, kamieniarz. Robię nagrobki, to znaczy robiłem. Mieszkam koło cmentarza. To znaczy mieszkałem. Wszystko jest teraz w czasie przeszłym – powiedział mężczyzna i splunął przez ramię.

– Co tu robisz w nocy? – Mężczyzna przyglądał mu się uważnie.

– Mieszkam w warsztacie, koło cmentarza. Ale wczoraj ruski pocisk zniszczył mi budę. Przyszedłem się rozejrzeć, chcę się ukryć przez kilka dni w którymś z grobowców. Znam ten teren jak własną kieszeń.

– Tak?

– No jasne, wiele z nich sam postawiłem. Nawet pomagałem przy grobowcu Klawitterów<sup>[11]</sup>, wie pan, tych stoczniowych krezusów. A pan szedłeś z góry jakby od grobowca tego grafa. Widziałem, tam to sama śmietanka jest pochowana.

– Spozregawczy z ciebie człowiek, Schluge. Z góry szedłem, powiadasz?

– No, to ładny grobowiec jest. Rennenkampfów.

– Jestem z rodziny, chciałem ostatni raz się nad grobem pomodlić. Nie wiadomo, co jutro przyniesie.



- Ano nie wiadomo.
- Zapaliłbym, ale nie mam zapalek.
- Ja mam.
- No to zapalimy jak Niemiec z Niemcem, a potem w drogę.

Mężczyzna wyciągnął paczkę papierosów. Poczęstował kamieniarza, a ten sięgnął do kieszonki na piersi po zapalki. Błady ogień rozświetlił jego twarz. Zaciągnął się z lubością dymem.

- Mocne – powiedział i nagle zacharczał.

Jego rozmówca wbił mu nóż w pierś po samą rękojeść. Wyczekał sekundę, przekręcił ostrze i mocnym ruchem skierował je ku górze. Kamieniarz opadł na kolana, papieros wypadł mu z ręki. Następne cięcie było już śmiertelne. Przepołowiona szyja rozwarła krawędzie, które szybko zabarwiły się ciemną krwią.

Napastnik otarł ostrze o kombinezon trupa i schował je do wewnętrznej kieszeni kapoty. Chwycił ciało za nogi i zawlókł do sterty ze starymi wieńcami i odpadami cementarnymi. Znalezionej deską wyłobił jamę w stercie i wrzucił tam trupa. Następnie przykrył go gałęziami i liśćmi. Resztę zrobi nieustannie padający śnieg.

Wyprostował się i przetarł spocone czoło. Pojawiła się pierwsza przykra niespodzianka, ale poradził sobie. Nie takie rzeczy robili w SS. Nie mógł ryzykować, nie wolno mu było pozostawiać żadnych świadków.

O zbyt wielką stawkę toczyła się ta gra – o IV Rzeszę.

## 6.

Jego oprawca miał na imię Sierioża, tyle Abell wiedział. Nie wyglądał na okrutnika. Ładny chłopiec z lekko perkatym słowiańskim nosem i blond lokami na czole. Nie odzywał się w ogóle do więźnia, był zbyt skupiony na swojej pracy. Tylko raz spojrział na radcę, gdy wartownik doprowadził go do katowni.

– Wiesz, co masz robić, Sierioża – powiedział żołnierz i pchnął Abella na środek celi. – Porucznik chce, aby ten gad wreszcie puścił farbę.

– Bez obaw – mruknął Sierioża.

Pomieszczenie było obszerne, z jednym oknem pod sufitem. Kiedyś pewnie pełniło funkcję magazynu niepotrzebnych lub zepsutych pomocy szkolnych. W jednym z rogów pomieszczenia leżał stos uszkodzonych globusów: dużych i małych, osadzonych na kurzych łapkach i na imponujących podstawach z błyszczącego niklu. Niektóre pochodziły jeszcze z czasów kajzera, Wilhelmińskie Niemcy rozlewały się szeroko niebieskim kolorem po całej Europie. Po drugiej stronie piętrzyły się ludzkie manekiny na lekcje biologii, niektóre bez rąk lub nóg i z wyszczerbionymi czaszkami. *Signum temporis*. Abellowi przemknęła przez głowę myśl, że nie opuści tej katowni żywy. Absurdalna śmierć w równie nierzeczywistym miejscu. Nigdy nie powróci już do Rotterdamu. Przeżył tyle niebezpieczeństw, pracując w Kripo. Dwa postrzały, z których jeden prawie śmiertelny. Cios nożem, który tylko o milimetry minął aortę. Chciano go zasypać w kopalni. Spalić w podziemiach katedry w Marienwerder. Utopić w krzyżackiej studni i na morzu. Zamknięto go nawet żywcem w prosektorium. Nie dał się. Uchronił swoją rodzinę. Uwolnił się od nazistów. Przetrwał wojnę od pierwszego dnia do prawie samego końca.

A teraz okazywało się, że to prawie robi różnicę. Wykończą go Sowieci w tej katowni pełnej globusów i ludzkich piszczeli. Taki los.

Sierioża skończył układanie narzędzi na katowskim stole. Zwykły młotek z odłupanym trzonkiem, dziwne szczypce, obcęgi, piła, taka zwyczajna do metalu, kilka porzewiałych gwoździ. Wyglądało to jak podręczny zestaw wiejskiego majstra, złotej rączki z sowieckiego sioła, co to i płót naprawi, i krzywy mebel przytnie, aby się nie kolebał na podłodze. Abell nie miał jednak złudzeń co do przeznaczenia tych narzędzi. Zbyt wiele widział w swoim życiu. Nie ma takiego cierpienia, którego człowiek nie wyrządziłby bliźniemu, jeśli uzna go za wroga lub jeśli mu to przyniesie wymierną korzyść.

Wartownik przytrzymał radcę na krześle, a Sierioża skrępował mu ręce i nogi zwykłym pasem. Następnie postawił na stole głęboką misę wypełnioną wodą. Na naczyniu w poprzek biegł napis szwabachą: „Czysta woda zdrowia doda”.

– Nie musicie tego robić. I tak nic nie powiem – rzucił Abell, bardziej do siebie niż do nich, bo przecież raczej nie mogli go zrozumieć. – Nie tego

człowieka szukacie.

Wartownik wyszedł. Trzasnęły drzwi. Z murów bił chłód, ale Christian czuł, jak krople potu spływają mu po plecach.

Sierioża zaszedł go od tyłu. Schwycił za włosy i z całej siły wepchnął mu twarz do wody. Abell nie zdążył nawet złapać powietrza. Wierzgał i walczył, ale ucisk był bezlitosny. Po kilkunastu sekundach się poddał. Niegdyś miał wytrenowany organizm. Świetnie pływał, jak wszyscy w jego rodzinie. Potrafił wytrzymać pod wodą dłużej niż inni. Ta umiejętność uratowała mu niegdyś życie, ale teraz był bez szans. Czuł, jak w piersiach nabrzmiwa mu ołowiany ciężar. Najpierw prawie niedostrzegalnie, a potem coraz bardziej boleśnie, powiększając swoją objętość i rozrywając ciało stalowymi igłami od środka. Jego myśli ginęły tak jak jego życie, pod płytką tonią... Ile jeszcze wytrzyma, zanim otworzy usta i zachłyśnie się ostatecznie? Trzydzieści sekund? Dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy... Czy ten oprawca chce go zabić, czy tylko nim wstrząsnąć? Jeśli to drugie, to dlaczego trzyma go tak długo pod wodą? Przecież nie wytrzyma ani sekundy dłużej...

Poczuł nagle szarpnięcie do góry. Łapczywie chwycił hausty powietrza, żelazna obręcz na piersiach zelżała. Woda ściekała mu z włosów. Wielkie metaliczne krople z hukiem rozbijały się o kamienną podłogę. Wirowało mu w głowie.

Po chwili Sierioża ponowił atak. Tym razem trzymał jego głowę pod wodą dłużej niż poprzednio. Abell był na granicy utraty przytomności, w oczach wirowały mu świetliste cętki, płuca rzęziły, wydając świszczący odgłos.

Usłyszał hałas otwieranych drzwi. Enkawudzista i rottweiler.

– Będiesz teraz gadał? Czy wolisz dalej cierpieć za przegraną sprawę, faszystowska gnido. Chcesz umrzeć za swojego Führera?

Abell pokręcił głową.

– Powiesz prawdę, czy wolisz zdechnąć? Mów, bo nie zrozumiałem! – Porucznik przysunął do niego twarz. – Gdzie jest sztab Volkssturmu? Jakie otrzymałeś zadanie?

– Nazywam się Christian Abell. Nie mam żadnego przydziału. Przyleciałem z Rotterdamu... – Słowa więzły radcy w gardle. Wstrząsały nim dreszcze.

– Myślałem, że jesteś mądrzejszy. No ale jak chcesz. – Porucznik wzruszył ramionami i bez słowa wyszedł z celi. Tłumacz patrzył na radcę przez chwilę z ciekawością, tak jakby chciał zapamiętać widok nieszczęśnika. Po chwili podążył śladem pryncypała.

Sierioża nie zwlekał ani chwili. Unieruchomił mocnym chwytem dłoń Abella i przygwoździł ją do poręczy krzesła. W drugą rękę ujął obcęgi. Radca szarpnął się, ale nic to nie dało. Wiedział, co za chwilę się stanie.

Ból był potworny, przenikający do trzewi. Poczul wstrząs, pociemniało mu w oczach. Po brodzie spływała mu ciurkiem krew z przegryzionej mimowolnie wargi.

Sierioża podsunął mu pod oczy zakrwawione obcęgi z jego wyrwanym paznokciem. Wyglądał jak kukurydziany chrupek unurzany we krwi. Rosjanin odrzucił ten szczątek za siebie i schwycił kolejny palec.

Zostało ich jeszcze dziewięć.

## 7.

Gdy odzyskał przytomność, musiał być już świt. Leżał na zimnym betonie, w rękę rwał go nieznośny ból. Tknięty złym przeczuciem rozwinął zakrwawioną szmatę. Palce były na swoim miejscu. Dwa, wyrwali mu tylko dwa paznokcie.

– Musiałeś im strasznie podpaść. – Głos dobiegał spod przeciwległej ściany.

Abell z trudnością przekręcił głowę. Siedzący tam w kucki mężczyzna był w poszarpanym żołnierskim mundurze. Przez czoło biegła mu krwawa szrama.

– Jesteś Niemcem czy ruskim przebierańcem? – zapytał Abell. – Jeśli to drugie, nic ze mnie nie wyciągniesz.

– Major Kurt Lose, ze sztabu 2. Armii generała von Sauckena, dowódcy obrony Gdańska. – Oficer podniósł się na nogi i wyćwiczonym przez lata gestem skłonił głowę. Miał szyję owiniętą białym szalikiem z widoczną plamą krwi.

– Christian Abell, były radca kryminalny w Kripo.

– Były? – Lose uniósł brew. – To jak pan tu trafił i dlaczego tak się nad panem znęcają, jakby złapali samego gauleitera?

– To dłuższa historia. – Abell zmienił pozycję i jęknął z bólu. – Na pewno nie siedzę tu za karę za zbrodnie wojenne. Nie po drodze było mi z nazistami. Poza tym znalazłem się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. A pan, majorze?

– Ostrzelali z samolotu mojego kübelwagena pod dworcem w Langfuhr, wiozłem rozkazy... Kierowca zginął na miejscu. Ja oberwałem w szyję. Kiedy się ocknąłem, już przy mnie byli.

– Torturowali pana?

– Raczej bili, po żebrach, po jądrach. Ale nie mam o to pretensji. Zwycięzca zawsze ma rację.

– Zawsze?

– Oczywiście. Gdybyśmy stanęli na wysokości zadania, wszyscy bez wyjątku – oficer obrzucił Abell przeciągłym spojrzeniem – to już dawno świętowalibyśmy zwycięstwo na Kremlu. Führer ma rację. Zawiedliśmy, my, Niemcy, nie on. A byliśmy tak blisko. Mieliśmy najlepszych żołnierzy na świecie, porywającą ideę, wielki plan. I geniusza na czele narodu. Brałem udział w operacji na Krecie. To się nie mogło udać, Brytyjczycy panowali na morzu, dysponowali doborowymi oddziałami, wspomagali ich Nowozelandczycy. Desant spadochronowy z powietrza tysięcy ludzi, a tylko taki wchodził w rachubę, był więcej niż ryzykowny. Po ciężkich walkach zajęliśmy najpierw lotnisko w Maleme, a potem całą wyspę. Z dwudziestu dwóch tysięcy po naszej stronie zginęła lub została ranna jedna trzecia. Parliśmy do przodu jak taran, jak dawni Rzymianie, morale żołnierzy było na najwyższym poziomie. Zarówno tam, na Krecie, jak i w setkach miejsc na całym kontynencie. A jednak przegraliśmy. Mimo bezprzykładnej w dziejach ofiarności wielu z nas i ofiary krwi ponieśliśmy klęskę. Dlaczego?

– No właśnie dlaczego?

– Zabrakło nam determinacji, a przede wszystkim niezłomności charakteru.

– To znaczy?

– Okazywaliśmy litość tam, gdzie należało zaciskać zęby i robić swoje. Dam panu przykład. W Maleme greccy partyzanci zabili żołnierza z naszej bazy.

W odwecie dowódca policji urządził łapankę i powyciągał z domów trzydziestu dorosłych mężczyzn. Postawił ich pod mur na rynku i chciał rozstrzelać za karę. Jednak nasz dowódca, oficer starej daty z monoklem w oku, stanowczo się temu sprzeciwił. Uznał, że to nieludzkie i niesprawiedliwe. Jego zdaniem ci wieśniacy byli niewinni, nie złapano przecież nikogo na gorącym uczynku. Poza tym chciał zapewne utrzymywać poprawne stosunki z miejscową ludnością. Greków wypuszczono. W tydzień później jeden z tych ocalałych zdetonował bombę przed wjazdem na lotnisko. Ukrył ją w bukłaku na oliwę, przytroczonym do osiołka. Zginęło dwunastu naszych żołnierzy. Tak zemściło się to niemieckie miłosierdzie. Na wojnie nie ma na nią miejsca. Albo my, albo oni.

– To kontrowersyjna teza – powiedział Abell.

– Przeciwnie. Jedyna słuszną. Mam prawo do takich poglądów, bo poświęciłem wojaczce dwadzieścia lat swego życia. Byłem dwukrotnie ranny, odznaczono mnie Krzyżem Żelaznym za odwagę. Trzy miesiące temu w nalocie na Hamburg zginęła moja żona. Wraz z nią mój roczny synek. Nie zdążyłem go nawet zobaczyć.

– Przykro mi...

– Mnie bardziej. Jeszcze à propos miłosierdzia. W maju 1940 roku byłem oficerem w „dywizji duchów” Rommla. Pod Dunkierką brytyjski Korpus Ekspedycyjny znalazł się w pułapce. Mogliśmy zniszczyć ponad trzysta tysięcy żołnierzy i w ten sposób raz na zawsze przetrącić kręgosłup Angolom. Jednak „rycerscy” generałowie von Rundstedt i von Kluge namówili Hitlera, aby odstąpić od ataku. Prawdopodobnie nie tracili nadziei na pokój z Brytyjczykami i zakończenie wojny, której tak naprawdę nie chcieli. A teraz mści się na nas to całe miłosierdzie, to całe kunktatorstwo. Noc w noc naloty dywanowe, angielskie bombowce obracają w perzynę niemieckie miasta. Być może to ktoś ocalały spod Dunkierki zabił mi żonę i syna? Tak jak ten chłop z Maleme, który wysadził w powietrze tuzin dobrych Niemców. Ta wojna wcale nie jest taka czarno-biała, jak się wydaje zwycięzcom, którzy obsadzili nas w roli tych złych.

– Współczuję panu rodzinnej straty – powiedział Abell. – Naprawdę. To jednak nie zmienia faktu, że to my rozpętaliśmy tę wojnę w imię zbrodniczej ideologii, ulegając obłąkańczej woli jednego człowieka. Zatraciliśmy jako naród

zdolność do rozsądnego myślenia. Wpadliśmy w amok, my, kulturalni Niemcy, naród, który wydał na świat Beethovena, Goethego, Hegla i Thomasa Manna. Przyjdzie nam za to zapłacić. Miną pokolenia, zanim zmażemy tę winę.

– Pacyfistyczne bzdury! W takim razie zbrodniarzem był także Cezar, który wyrznął blisko dwa miliony Galów. I Napoleon, za którego imperialne wizje zapłaciły głową miliony Europejczyków. Ale o tym jakoś nie uczą w podręcznikach historii, prawda? Wie pan dlaczego? Bo historię piszą zwycięzcy. I niech pan nie wierzy, że staniemy się na wieki pariasem narodów. Jesteśmy zbyt potrzebni. Zarówno Anglosasom, jak i Sowietom. Wkrótce znowu będą potrzebowali naszych talentów, pracowitości, organizacji. Naszych dywizji i technologii. Stanie się to wcześniej, niż się panu wydaje.

– Nie wierzę w to. Jest zbrodnia, musi być odpowiedzialność – oznajmił stanowczo Abell.

– Naprawdę? A jednak taki wróg reżimu i humanista, dezerterski ze służby policyjnej, siedzi w ruskiej celi?

– Pragnę zauważyć, że pan, nadczłowiek i czysty Aryjczyk gotowy do rządzenia światem, odznaczony Krzyżem Żelaznym, siedzi tuż obok mnie.

Nie było nic do dodania. Obaj mężczyźni byli od siebie tak różni, jak ich życiowe doświadczenia i wojenne losy. Mówili tym samym językiem, ale każdy słyszał coś innego. Nie było żadnego wspólnego mianownika, bo byli z obcych, nierozumiejących się światów. Tyle ich łączyło ile Artura Schopenhauera z Albertem Rosenbergiem. Nawet wspólna opresja, w której tkwili, nie mogła przełamać tego muru wzajemnej niechęci, frustracji i niewiedzy.

Abell oparł rozpalone czoło o wilgotną ścianę. Czuł, jak wewnątrz trawi go gorączka, a jednocześnie wstrząsały nim dreszcze. Było przeraźliwie zimno. Skostniały mu ręce. Miało to tylko jedną dobrą stronę: krew z poranionych palców szybko krzepła, tworząc ciemne narośla w miejscach, w których niegdyś miał paznokcie. Żył na jego rękach przypominały grube powrozy, pulsujące pod skórą i grożące eksplozją.

Kiedyś... Przed oczami przesuwaly mu się wyblakłe obrazy. Ania z przejęciem malująca kredkami jakieś dziwne ryby, z hiszpańskimi wachlarzami zamiast ogonów. Trzymająca go kurczowo za rękę, gdy po raz

pierwszy zaprowadził ją do piaskownicy, do innych dzieci. Poczęstował je cukierkami, aby zyskać ich sympatię.

– To jest Ania – powiedział. – Wasza nowa koleżanka. Mieszkamy od niedawna w tym pięknym domu z pomarańczowej cegły. Pobawcie się razem.

A potem ze ściśniętym sercem, przez uchyloną firankę obserwował, jak Ania stoi nieruchomo w tym samym miejscu, w którym ją zostawił. Dzieci nie zwracały na nią żadnej uwagi. Po godzinie zszedł na dół. Piaskownica była już opustoszała. Podeszedł bliżej i usłyszał, jak córka mówi w pustkę: „Jestem Ania. Lubię malować ryby...”.

Gdzieś z oddali dobiegł go oszalały ryk torturowanego człowieka. Paznokcie? A może Sierioża wydłubywał komuś oczy? Cholera, do czego potrzebne były mu te szczypce?

Popadł w odrętwienie. Teraz nadpłynął obraz Gabi. Tak, to ich ulubiona plaża, szeroka i piaszczysta jak ta pozostawiona za sobą w Brösen. Siedzą w wiklinowym koszu, zasłonięci przed oczami ciekawskich. Zresztą plaża i tak jest o tej porze pusta. Na horyzoncie widać kreskę jakiegoś statku. Krążownik? A może tłusty tankowiec transportujący ropę do portu? Narzuca Gabi pled na plecy i przyciąga ją ku sobie. Ona opiera się, ale przecież widzi, że to tylko gra. Oboje tego chcą. Dotyka jej piersi i brzucha. Czuje, jak rośnie w nim pożądanie. Ona odczuwa podobnie. Muska go delikatnie ręką. Całuje ją głęboko w usta, splatają się językami. A potem ona siada na niego przodem do morza i zaczyna ujeżdżać go miarowo, w górę i w dół, w górę i w dół.

Zaczyna mżyć, ale oni tego nie czują. Zapominają o tym krążowniku na horyzoncie, o balonach przeciwlotniczych unoszących się nad brzegiem, o smrodzie spalenizny dobiegającym ze zbombardowanego portu. Są tu i teraz, w bańce czasoprzestrzeni, z dala od wszystkich i wszystkiego. Sami ze swoim pożądaniem i swoją miłością.

Usłyszał ciężkie kroki za drzwiami. Już rozpoznawał chód wartownika. Wezmą go pod ręce i więcej tu nie wróci. Sierioża dokończy dzieła. I nastąpi kres wszystkiego. Dobrze, że przynajmniej jeszcze raz zobaczył córkę. I że kochał się z Gabi na plaży. Ten ostatni raz.

Wartownik wszedł do celi i zmrużył oczy. Podeszedł do schowanego w cieniu Losego, a Abell mimowolnie odetchnął z ulgą. Zamknął oczy. Czuł, jak pulsują



mu skronie. Jeszcze nie dziś, jeszcze nie teraz...

Z tego odrętwienia wyrwało go kopnięcie w wyciągnięte nogi.

– Zbieraj się, faszysto!

## 8.

Stała w oknie pogrążona w ponurym milczeniu. Dni, które nastąpiły po wyjeździe Christiana, były wszystkie takie same: smutne, dźwięczące ciszą, ciągnące się w nieskończoność. Chciałaby przyspieszyć ich bieg, sprawić, by mignęły jak kręcąca się karuzela z Vroesenpark, ale one i tak stawiały opór. Zwalniały bieg, czepiały się codzienności, przedłużając ponad miarę swoje trwanie.

Wymyślała sobie dziesiątki zadań, które miały zabić czas. Wróciła nawet do malowania, ale porzuciła to zajęcie, gdy Ania stanęła za jej plecami i zapytała: „Mamo, dlaczego wszystko na tym obrazku jest takie szare?”.

Znała przyczynę tego chronicznego niepokoju. Christian, to on ogniskował jej wszystkie myśli i pragnienia. Od wylotu z Rotterdamu nie miała z nim żadnego kontaktu, poza sygnałem z placówki SD, że szczęśliwie wylądowali w Gdańsku. Próbowwała zachować optymizm i trzymać się w pionie, ale gdy minął termin umówionego powrotu – ten pozorny spokój prysnął jak bańka mydlana. A potem dostała wiadomość, że samolot SD wylądował w Rotterdamie, bez Christiana i Kukulki.

Szalała z niepokoju, nie mogła sobie znaleźć miejsca w nagle opustoszałym mieszkaniu. Musiała się przy tym kontrolować, żeby nie zdradzić swego stanu przed córką. Mała jednak była bardzo spostrzegawcza, natychmiast wyczuwała jej nastroje.

– Dlaczego tatuś nie wraca? – zapytała.

– Pewnie coś mu wypadło. Na pewno wróci, córeczko.

– Tata zawsze dotrzymuje słowa, prawda mamo?

– Tak, kochanie. Teraz też tak będzie.

Czy aby na pewno? Co się z nim teraz dzieje? Dlaczego nie wrócił, tak jak to było planowane? Czy jest bezpieczny i czy nie wpadł w ręce Rosjan? Miała

w pamięci jego wysoką postać, gdy otulony szczelnie w płaszcz, odwrócił się do niej w progu i powiedział: „Żadnych lamentów. To będzie prosta sprawa. Zrobimy swoje i wrócimy”.

Martwiła się także o ojca. Byli sobie tak bliscy po śmierci mamy. Właściwie to on ją wychował i ukształtował. Ciężko harował, by zapewnić im utrzymanie. Nauczył otwartości na świat, odróżniania dobra od zła, zawsze na pierwszym planie stawiał jej szczęście.

Gdy Christian poprosił ją o rękę, była niepewna jego reakcji. Na pewno wyobrażał sobie, że wyda ją za jakiegoś przystojnego polskiego rotmistrza, a nie niemieckiego policjanta, zanurzonego po uszy w zbrodnie i tajemnice Wolnego Miasta.

– Rozmawiałem z Christianem. Nie mogłaś lepiej trafić – powiedział.

– Jak to? – zapytała zaskoczona.

– Bardzo cię kocha. Tylko to się liczy. Reszta to pozory.

– Nie zawsze do niego trafiam. Mam wrażenie, że często jest myślami gdzie indziej.

– To prawda, sprawia wrażenie człowieka zamkniętego w sobie, ale przynajmniej nie udaje kogoś innego. Jest prawdziwy. Jeśli znajdziesz klucz do jego wnętrza, będziesz tak szczęśliwa, jak ja z twoją matką.

Nocami leżała w zimnej pościeli oddana wspomnieniom. Tylko one i bliskość dziecka podtrzymywały ją przy życiu. Ona i Christian tej pierwszej nocy, gdy nie mogli się sobą nasycić. Był wspaniałym kochankiem, nieustępliwym, ale też uważnym, wsłuchanym w jej skryte pragnienia, odkrywającym przed nią te doznania, których istnienie tylko podejrzewała. Nie zawsze było z nim łatwo, miał osobną naturę. Być może zamknął się w swojej skorupie po rozwodzie z pierwszą żoną. Wiedziała, jak boleśnie przeżył to odtrącenie. Przypuszczała, że obwiniał się za rozpad tego związku. I czuła, że tej kobiety wciąż nie mógł zapomnieć.

– To ona od ciebie odeszła, a nie ty od niej. Przestań się wreszcie tym zadręczać – powiedziała mu którejs nocy.

– Odeszła dlatego, że mnie przy niej od dawna nie było. Moją prawdziwą rodziną było Kripo.

Kiedyś ukradkiem przeszukała jego szufladę w biurku i znalazła jej zdjęcie. Piękna blondynka w skandynawskim typie. Miała jakiś chłód w oczach kontrastujący z pełnymi ustami.

Początkowo bała się, że nie sforsuje tej niewidocznej dla oka bariery, jaką Christian odgradzał się od innych. Miał trudności z wyrażaniem uczuć, ale z biegiem lat otwierał się coraz bardziej.

A gdy wreszcie stanęli obok siebie jak kobieta i mężczyzna, nadzy, bez okrywających ich lęków, złej przeszłości i pozorów, bliskich sobie jak nigdy przedtem – los jej go zabrał.

Omiotła spojrzeniem córkę. Fizycznie była podobna do niej, ale charakter odziedziczyła po ojcu. Była taka mądra jak na małe dziecko! Rozsądna i poukładana. I ten kolor oczu, zależnie od światła: szarych lub przeraźliwie niebieskich, które nieodmiennie przywoływały jej w pamięci obraz męża.

Obrazy, postrzępione kadry... Christian z nią na korce w Sopocie. Pierwsze spotkanie, od razu śpięcie. Nie zaczęli najlepiej. A potem ciepła noc w Operze Leśnej, jasny profil Christiana, pierwsze pocałunki na ganku rodzinnego domu w Sopocie. Niecierpliwy dotyk, zapach skóry, krople deszczu, poszukujące wargi. Zwariowała na jego punkcie.

A teraz trauma, bezbrzeżny strach, gdy porwali im Anię z rotterdamskiego podwórka. Przeplakiwała całe noce, umierając z niepokoju. Najgorsza była niepewność, co z ich córeczką w ogóle się stało, czy żyje, co przeżywa, zamknięta gdzieś w ciemności. Christian stanął wtedy na wysokości zadania. Mogła się tylko domyślać, co czuł jako ojciec. Wrócił postarzały, pociemniały na twarzy. Nie opowiadał jej zbyt wiele o tym, co się stało. Na pewno musiał jednak dotrzeć do granicy własnych i ludzkich możliwości. Ważne, że dopiął swego i pewnego pochmurnego dnia pojawił się z Anią w Holandii.

Nigdy nie zapomni tego momentu, gdy wprowadził małą do pokoju pensjonatu na wyspie Tewel, w którym wtedy się kurowała. Nigdy mu tego nie zapomni, przenigdy. Tej chwili obezwładniającego szczęścia, bezbrzeżnej ulgi, wdzięczności, która przywracała jej zagubioną wiarę w Bożą Opatrzność.

Czy teraz będzie podobnie? Czy dzięki niemu odzyska ojca? Czy szczęśliwe zdarzenia chadzają parami, czy to tylko przywilej pecha? Co działo się w tym

dalekim mieście, które było teraz tylko wyblakłą fotografią, sztucznie podkolorowanym oleodrukiem, zakotwiczonym gdzieś na rogatkach pamięci?

Gdańsk, który niegdyś kochała, był teraz wrogim terytorium. Ziemią niczyją, czyścem, krainą śmierci i grozy.

Najbardziej obcym przedmiotem w jej mieszkaniu był telefon. Mała, obła skrzynka dobrych i złych wieści. Czasami, gdy odkładała słuchawkę po otrzymaniu jakiejś przykrew wiadomości – wołałaby, żeby ten aparat w ogóle nie istniał, bo dzięki temu zło nie znalazłoby dojścia do jej domu. Zawsze tak miała: nie lubiła złych wieści, sączonych w radio czy kolejkach. Omijała je szerokim łukiem, ulegając złudnemu przekonaniu, że to, o czym nie wie, po prostu nie istnieje.

To dlatego w ostatnich dniach wpatrywała się w aparat wręcz maniakalnie. Modliła się i błagała, by zaterkotał, by jedną frazą unieważnił cały jej lęk i złe przeczucia.

– Jestem, jak mówiłem, to była prosta sprawa. – Słuchawka mogłaby uwolnić z siebie znajomy głos.

Albo inaczej:

– Gabi, wyciągnij z kredensu butelkę goldwassera, wiesz, że obaj lubimy z Piotrem ten szlachetny trunek, likier nad likiery...

Niestety, aparat uparcie milczał. Wrastał w półkę, na której stał, zatracił swój kształt, miała wrażenie, że powoli, niedostrzegalnie dla jej oka dematerializuje się, aż wreszcie zamieni się tylko w mikroskopijny punkt, aż całkiem wyparuje...

Spojrzała na ulicę. Listonosz człapał, omijając srebrne kałuże. Pani Winters w oświetlonym oknie po drugiej stronie obierała jakieś bure, wysuszone strąki. Zima była sroga tego roku. Miasto dotknął głód, brakowało wszystkiego: chleba, mleka, warzyw<sup>[12]</sup>. Dzieciom groził szkorbut. Bała się o Anię, która i bez tego była niejadkiem.

Christian przed wylotem dobrze ją zaopatrzył w pieniądze, ale i one stawały się powoli walutą bez pokrycia.

– Przykro mi, pani Abell – rzucił jej wreszcie pewien straganiarz na targu, u którego dotychczas robiła zakupy. – Pieniądze ma każdy, ale one mleka nie dają.

- Bardzo potrzebuję tego mleka dla dziecka, proszę pana – powiedziała.
  - Jak bardzo? – zapytał i oblizał lubieżnie wargi.
- Więcej tam nie poszła.

## 9.

Obciążona motorówka z trudnością płynęła do przodu. Byli już dobrych kilka mil od brzegu. Huthe odwrócił się za siebie. Nasada półwyspu ledwie majaczyła w szarej mgle. Hel oddalał się z każdą minutą. A wraz z nim to miasto, dzięki któremu wyrósł, które było jego polem walki i areną chwały.

To nic, że teraz przegrali. Jeszcze tu powrócą. Danzig na zawsze pozostanie niemiecki. Sowieci mogą je oddać w ręce polaczkom, ale to i tak niczego nie zmieni. A już na pewno nie na zawsze. Ci podludzie jak zwykle wszystko zepsują. Nie udźwigną tego ciężaru, do tego trzeba niemieckiego geniuszu, zmysłu organizacji i dyscypliny.

Dlaczego przegrali? Idea była słuszna, porywająca, taka się zdarza raz na tysiąc lat. Mieli wielkiego wodza, tytana, który prowadził ich od zwycięstwa do zwycięstwa. Zawiedli ludzie. Generałowie starej daty gardzący kapralem. Tłuste koty na stanowiskach, które zatraciły rewolucyjny zapał i skromność. Tacy jak ten człowiek, który stał teraz zadumany na rufie.

Führer dał mu pełną władzę nad Wolnym Miastem. Dopóki zwyciężali, gauleiter sobie radził. Puszył się, przybierał pozy swego mentora, wydymał wargi jak duce. Jednak gdy zaczęli przegrywać, Albert Forster<sup>[13]</sup> zawiódł. Mógł dać z siebie więcej, przynajmniej on, Huthe, tak sądził.

Obrzucił niechętnym spojrzeniem pryncypała. Pewnie modli się, aby nie nadleciały sowieckie samoloty. Hitler miał rację, gdy wziął go kiedyś na stronę w nowej kancelarii Rzeszy.

– Mam do ciebie zaufanie, Huthe – powiedział. – Forster jest zdolny i błyskotliwy. Lubię go, ale to człowiek w gorącej wodzie kąpany. Gdańsk i Pomorze to trudny odcinek. Jesteś zasłużonym towarzyszem. Wesprzyj gauleitera, miej go na oku, służ mu swoim doświadczeniem.

I tak został prawą ręką Forstera. Zastępcą namiestnika Rzeszy Okręgu Gdańsk–Prusy Zachodnie i nadprezydentem rejencji. Trzymał w ręku wszystkie służby, głównie SD. Wiedział o wszystkim, co działo się w mieście. Miał w swoim sejfie kwity na każdego, także na Forstera i jego nienasyconą żonę. Brzydził się jego pazernością na pieniądze i zaszczyty. Gauleiter zażyczył sobie wystawnej willi na Wyspie Sobieszewskiej. Szkła i żyrandole sprowadzono mu aż z Murano. Obok kazał postawić budynek jadalno-kuchenny i schron przeciwlotniczy. Zapewne zainspirował go ten zdrajca Goering, który pod Berlinem postawił swój sławetny Carinhall<sup>[14]</sup>.

On, Huthe, nie potrzebował zbytku. Nie miał żony ani rodziny, tak jak Führer. Jego rodziną były Niemcy. Mieszkał w skromnym domu, w Langfuhr, jedynym luksusem był kierowca podjeżdżający codziennie służbowym mercedesem. Wystarczała mu władza. To był jego jedyny afrodyzjak. Satysfakcjonowało go poczucie, że służy porywającej idei, która, owszem, wymaga krwi i ofiar, ale zaprowadzi nowy ład w Europie. Wskrzesi Rzym, ale tym razem w teutońskim, doskonalszym wydaniu. Bez Żydów, pacyfistów, komunistów, chorych psychicznie i pedałów. *Ein Volk, ein Reich, ein Führer*. Czysta rasa, stalowa pięść. Nowy kontynent. Przecież Europa potrzebuje przywództwa. Prędzej czy później się zjednoczy. Lepiej, żeby zrobiła to pod kierownictwem rasy urodzonych panów, czyż nie?

Tak, nie udało się, bo tacy ludzie jak Forster zatracili ideowy kręgosłup. Gauleiter kazał powiesić dziesiątki dezertersów, po czym sam czmychnął z pola walki. Gdańsk jeszcze walczył, gdy on wsiadał na motorówkę na Helu.

Dowódca obrony powiedział, że Gdańsk stał się terenem operacji militarnej, nad którym stracił kontrolę, dlatego za zgodą Führera wybiera się na południe Rzeszy, aby tam objąć zarządem nowy teren, bliżej domu. Wierutne kłamstwo.

– Popłyniesz ze mną Huthe – oświadczył. – To rozkaz! Tylko my dwaj znamy szczegóły planu. Gdyby mnie coś się stało, ty przejmiesz berło.

Powiedział „berło”, nie pałeczkę czy cokolwiek normalnego w tej sytuacji. Berło! Huthe potrzaskał głową. Tak jakby mowa była o tronie i monarchii dziedzicznej króla Alberta!

To jednak teraz było nieważne. Liczył się tylko plan. To od niego zależało życie zarówno jego, Huthego, jak i gauleitera. Płynęli w jednej łodzi –

dosłownie i w przenośni. Forster nadal trzymał wszystkie sznurki, musiał mu się więc podporządkować. Cel uświęcał środki. A ten był wielki.

Himmler zawsze powtarzał, że wiedza to potęga. Reichsführer ma rację. Tajemnice, których razem z Forsterem byli depozytariuszami, stanowiły klucz do przyszłości. A już na pewno będzie je można przehandlować z aliantami za własne życie<sup>[VI]</sup>.

## 10.

A jednak nie zabrali go do Sierioży. Wartownik wypchnął go na zewnątrz budynku. Tu czekał już wojskowy gazik z włączonym silnikiem. Kierowca miał na głowie hełm z dziurą po kuli. Na dziedzińcu dogasał wielki stos, rozpalony poprzedniego dnia przez czerwonoarmistów. W jego centrum żarzył się jeszcze laboratoryjny stół z szufladami na odczynniki. Tliły się także resztki zeszytów i dzienników klasowych w twardych oprawach.

Uwagę Abella przyciągnęło zamieszanie przy bocznym wejściu. Ujrzał dwóch żołnierzy z pepeszami eskortujących jakiegoś mężczyznę w długim płaszczu do ziemi. Było coś znajomego w tej postaci. Mężczyzna odwrócił się i spojrzał na Abella. To był biskup Carl Maria Splett<sup>[VII]</sup>. Nie opuścił Gdańska i nie uciekł przed Rosjanami? Abell wizytował go raz czy dwa, przy okazji śledztwa przeciwko księdzu, oskarżonemu o pedofilię i wieloletnie wykorzystywanie młodego ministranta. Abell zapamiętał, że biskup zachował się wtedy właściwie. W przeciwieństwie do innych hierarchów napiętnował i usunął czarną owcę ze stanu kapłańskiego. W pełni współpracował z Kripo, nie próbując niczego zamiatać pod dywan.

Abell skłonił głowę, biskup odpowiedział mu podobnie. Splett miał puste, nieobecne oczy.

Po chwili z budynku wyszedł dziarskim krokiem porucznik z NKWD i tłumacz.

– Gdzie mnie zabieracie? – zapytał Abell.

– *Raus!* – Enkawudzista popchnął go na tylne siedzenie. – Rozkazy z góry. Wkrótce się przekonamy, kim jesteś, pieprzony faszysto!

Jechali aleją Adolfa Hitlera. Na latarniach ciągle wisiały trupy powieszonych dezertów. Rosjanie przyglądali się im z wyraźnym zainteresowaniem. Wszędzie unosił się potworny smród. Wiele ciał musiało się znajdować ciągle pod gruzami. Abell był zszokowany widokiem podbitego miasta. Obok częściowo zburzonego Dworca Głównego drogę zatarasował im zabity koń. Leżał z przewróconym w poprzek ulicy wozem. Wnętrznoci zwierzęcia rozsypały się po jezdni, zmrożone kiszki i jelita skrzyły się w porannym słońcu. Po obu stronach drogi przemykali pojedynczy przechodnie, jakby bali się ujawnić, że jeszcze żyją.

Przejechali przez Holzmarkt<sup>[15]</sup> na Langer Markt<sup>[16]</sup>. Abell z bólem spoglądał na zniszczenia w tej części miasta. Obie strony reprezentacyjnej niegdyś ulicy były wypalone. Przez Lange Brücke<sup>[17]</sup> przemykali ludzie, kierujący się prawdopodobnie na wschód. W oddali widział ciemne postaci targające za sobą sanki, wózki dziecięce, dziwne pojazdy na dwóch kołach zmontowane z wózków inwalidzkich i rowerów. Jakiś starzec ciągnął swoją niedołężną żonę w wielkiej balii do prania. Przebił otwór w metalu, przewłókł łańcuch i niczym juczny koń, pochylony prawie do ziemi, trudził się, aby posunąć się do przodu przynajmniej o kilka metrów. Kobieta miała sparaliżowaną twarz, w kącikach ust gromadziła się zeszklwiona ślina.

Po prawej ręce rozciągała się Speicherinsel, teraz zupełnie wypalona, strasząca kikutami spalonych budynków i magazynów. Płynąca obok Motława była jednym wielkim ściekiem pełnym śmieci. Środkiem nurtu spływały żołnierskie hełmy, nocniki, rozbebeszone pierzyny, a nawet figura świętego Jerzego z jednego z gdańskich kościołów. Jego włócznia wystawała z kanału jak wielki spławik.

Kierowca gazika próbował przejechać przez Lange Brücke do Żurawia, ale utknął, powstrzymany przez zwałisko ruin tarasujące przejście do ulicy Breitgasse, która również płonęła. Rzucając jobami, znalazł wreszcie przejazd wzdłuż Am Brausenden Wasser aż do Wallgasse. Tutaj wojna jeszcze nie dotarła, droga była w zasadzie przejezdna, poza kilkoma lejami po granatach.

Dojechali do Hansaplatz i zatrzymali się przed niezniszczonym budynkiem, w którym Abell rozpoznał archiwum państwowe. Był tu kilka razy jako oficer Kripo w poszukiwaniu dokumentów potrzebnych w śledztwie. Teraz wejścia pilnowało kilku milczących enkawudzistów w grubych szynelach. Byli lepiej



i cieplej ubrani niż większość sowieckich żołnierzy, których widział do tej pory na ulicach. Wszyscy mieli na nogach skórzane oficerki, co także było dla Abella pewnym novum.

Gazik z piskiem opon zatrzymał się przed wejściem.

– *Bystrieje!* – pogonił go żołnierz.

W przeciwieństwie do komendantury sowieckiej w szkole Goeringa w archiwum panowała martwa cisza. Nie było słycać krzyków torturowanych ludzi, nikogo nie wleczono do prowizorycznych katowni jak w Oliwie, nigdzie nie było widać śladów chaosu czy bałaganu. U wylotu każdego korytarza stali nieruchomo strażnicy. To była inna szkoła jazdy. Świat NKWD.

Wepchnęli go do małego pokoju na piętrze. Całą ścianą zajmował regał z dokumentami rejencji w jego rodzinnym Marienwerder. *Signum temporis?* Portret Hitlera leżał bezpańsko na podłodze pod zakratowanym oknem. W środku konterfektu widniała wyrwa. Ktoś wepchnął czubek buta w zdjęcie, pozbawiając Führera nosa i lewego oka.

Abella trawiło straszliwe pragnienie. Od kiedy go pojmano, nie dostał nawet łyka wody ani okrucha najędzniejszego chleba. Miał wrażenie, że gorączka się nasila. Czuł nieznośny ucisk w tyle głowy. Śmierdział.

Próbował zapomnieć o najbliższych, ale niechciane myśli uparcie powracały. Co zrobili z Piotrem? Zastrzelili go na miejscu? Leży nadal na wózku z dziurą w czole, tam, gdzie go pozostawił w korytarzu lazaretu? A jaką śmierć wybiorą dla niego? Wyprowadzą go na wewnętrzny dziedziniec archiwum pod mur czy nie będą się patyczkować i zastrzelą go tu, na miejscu, wśród szpargałów, akt osobowych i dokumentów z jego rodzinnego miasta? Taki będzie jego koniec? Anonimowy, z przestrzeloną głową wśród zakrwawionych archiwaliów? Jak poradzi sobie Gabi bez niego, w tym obcym, okrutnym świecie, jaki wyłaniał się na horyzoncie? A Ania? Jak będzie wzrastać bez ojca? Czy Kukulka żyje?

Te rozmyślenia przerwał nagle zgrzyt otwieranego zamka. Było ich dwóch, w wyprasowanych mundurach i błyszczących butach. W ich oczach nie widział wrogości. Patrzyli na niego jak entomolodzy na złapaną pod szkło muchę.

– *Idi!*

Wyszli na korytarz. Wszędzie śmierdziało spalenizną. Zapach z zewnątrz przenikał nawet przez grube mury archiwum. Minęli więźnia eskortowanego

przez wartownika. Pod rondem kapelusza skrywał opuchniętą twarz i podbite oczy. Szkiełka w jego okularach były potraskane. Abell miał wrażenie, że skądś zna tę twarz. Ach tak, to profesor Wolfgang Drost, dyrektor gdańskiego Stadtmuseum.

Kolejne schody, korytarz, schody. Wprowadzili go do małego pomieszczenia. Na stoliku stała miska z wodą. Obok leżało szare mydło. Na migi pokazali mu, że ma się rozebrać i umyć. A więc jeszcze go nie rozwałą? Do czego jest jeszcze im potrzebny?

Zmoczył twarz, łykając łapczywie krople wody. Ściągnął koszulę, starając się nie zerwać strupów z zaschniętą krwią. Namydlił wolno całe ciało. Krew spływała z niego wraz z mydlinami. Na głowie miał skrzep, wołał go nie ruszać. Bolała go skroń. Odwinął zakrwawioną szmatę i przez chwilę przyglądał się nabrzmiałym, okaleczonym palcom. Ledwie mieściły się w dłoni. Nie mógł nimi poruszyć. Jeśli dostanie zakażenia, nie dotrwa do końca tygodnia.

Jeden z Rosjan jakby wyczuł jego obawy. Podszedł do Abella i wyciągnął z kieszeni płaszcz a flachę samogonu.

– *Dawaj!* – powiedział.

Schwycił Abella za zranioną dłoń i polał ją obficie alkoholem. Radca zacisnął zęby. Przez kilka sekund piekący ból był wręcz paraliżujący. Drugi ze strażników kopnął w jego stronę stos odzieży leżącej w rogu pokoju. Pozostałości po innych nieszczęśnikach? I tak były w dużo lepszym stanie niż jego własne sterane i zakrwawione odzienie. Wybrał czystą koszulę, spodnie, alpejski sweter i długi płaszcz w odpowiednim wymiarze. Dobrał skórzane buty. Chciał związać spodnie skórzanym paskiem, ale Rosjanin natychmiast mu go zabrał.

– *Nie nada.* – Pogroził mu palcem.

Wyprowadzili go na zewnątrz. Przez środek korytarza biegła krwawa smuga. Ciągnęli jakiegoś trupa? Profesora Drosta? Przez okno ujrzał kolejny samochód podjeżdżający pod gmach. Wysypało się z niego kilku cywilów, sami mężczyźni. Nikt z nich nie był w niemieckim mundurze. Słysząc było gardłowe okrzyki poganiającej ich eskorty.

Zatrzymali się przed wielkimi dębowymi drzwiami. Strażnik zapukał, a kiedy w odpowiedzi usłyszał czyjś głos, nacisnął klamkę i weszli do środka.

Abell podniósł ociężałą głowę. Przed sobą miał duży pokój z eleganckim umeblowaniem. Skórzane fotele, gdańska szafa na wprost wejścia, nawet zasuszona paprotka w rogu. Siedzący za biurkiem oficer patrzył na niego uważnie, jakby chciał zarejestrować każdy grymas na twarzy Abella. Był młody, nie mógł mieć więcej jak trzydzieści pięć lat. Typ wielkemiejskiego inteligenta, wąski, orli nos, wysoko sklepione czoło, czarne włosy przylizane do skroni. Miał delikatne kobiece dłonie, między palcami żonglował wiecznym piórem.

– Jestem podpułkownik Leontij Denisow<sup>[VIII]</sup>, z brygady specjalnej II Frontu Białoruskiego – powiedział po niemiecku i uprzejmym ruchem wskazał radcy krzesło. – A to major Leonid Charko.

Wskazał ręką za siebie. Drugi z Rosjan, pulchny czterdziestolatek w przyciasnym mundurze, opierał się o parapet.

Abell potrząsnął głową. W ciągu ostatnich dni odwykł od takiego Wersalu.

– Jestem Christian Abell... – zaczął swoją mantrę, ale ku jego zaskoczeniu, Denisow wszedł mu w słowo, zerkając do leżących przed nim dokumentów.

– Radca kryminalny w Kriminalpolizei, urodzony w Marienwerder. Gimnazjum, dwa lata historii sztuki na uniwersytecie w Monachium, szkoła policyjna w Babelsbergu. Na służbie w Wolnym Mieście Gdańsku od 1929 do 1934, ponownie zatrudniony w centrali Kripo przy Karrenwall jesienią 1944. Następnie zwolniony ze służby, ze zgodą na wyjazd do Holandii.

– No nareszcie. – Abell westchnął z ulgą.

– Bogate akta osobowe – podjął Denisow. – Ceniony przez bezpośrednich przełożonych. Cytuję opinię szefa Kripo, Kellermana: „Inteligentny, wnikliwy oficer skutecznie rozwiązujący przekazywane mu śledztwa. Wielokrotnie kierowany do prowadzenia najbardziej skomplikowanych spraw, zawsze stawał na wysokości zadania. Nieprzekupny, oddany służbie”. W parze z tą laurką nie idą jednak awanse. Mimo trzykrotnych wniosków pozostał pan na swoim stanowisku do końca służby. Wszystkie te wnioski zostały przez władze zwierzchnie odrzucone. Ostatni z nich trafił na biurko samego zastępcy gauleitera Forstera, niejakiego Huthego. Został przekreślony i opatrzony drukowanym: „NEIN!”.

Denisow spojrzał na Abella z zainteresowaniem. Charko nadal nie zmienił swojej pozycji i nie odezwał się ani słowem.

– Może dlatego – kontynuował Rosjanin – że w aktach jest także inna notatka. „Indywidualista, notorycznie nieprzestrzegający hierarchii służbowej. Ma kłopot z wykonywaniem rozkazów przełożonych, których treść odbiega od jego osobistego przekonania o danej sprawie”.

– Nie tylko dlatego – powiedział Abell. – Nigdy nie należałem do NSDAP. Władze znały mój sceptycyzm wobec porządków zaprowadzanych przez Forstera w mieście.

– Może tak, a może nie – odezwał się wreszcie Charko spod okna. – Teraz okazuje się, że wszyscy byli przeciw Hitlerowi. Kłopot polega na tym, że głęboko to skrywali i nikt o tym nie wiedział. Niemcy nadal walczą, a Führer wciąż wam przewodzi, mimo że stoicie jako naród na skraju przepaści.

– Powtarzam, osobiście głęboko nie zgadzałem się z ideami nazistowskimi. Dlatego wyemigrowałem do Holandii. Przez ostatnie lata przebywałem z dala od Gdańska, powróciłem do służby tylko raz, rok temu, ponieważ sprawa dotyczyła mojej rodziny.

– To jednak dziwne. Przeciwników reżimu wysyłano raczej do Dachau, a nie na ciepłą emeryturkę w Rotterdamie...

– To dłuższa historia.

– Zapewne. – Denisow pokiwał głową. – Jednak my mamy dużo czasu, prawda, majorze? – zwrócił się w stronę towarzysza.

– Jakim cudem zdobyliście moje akta, jeśli wolno spytać? – rzucił Abell. – I to w dzień po zajęciu miasta!

– Widzi pan, nie jesteśmy zwykłymi żołnierzami. – Denisow poprawił się na fotelu. – Wspomniałem już, ale pewnie pan nie zrozumiał, że należymy do specjalnej komórki przy sztabie drugiego frontu marszałka Rokossowskiego. Mamy szerokie uprawnienia i jeszcze większe możliwości. Ale o tym za chwilę. Najpierw niech pan coś zje. Kiepsko pan wygląda, a my mamy wobec pana duże oczekiwania.

Charko podszedł do drzwi i krzyknął coś chrapliwym głosem. Niemal natychmiast w progu pojawił się ordynans w wyglansowanych oficerkach. W rękach trzymał tacę. Stała na niej karafka z wodą, było też kilka pająd pszennego chleba, masło i trójkąt żółtego zera z dziurami.

Abell poczuł skurcz żołądka. Przez ostatnie czterdzieści osiem godzin zjadł tylko garść śniegu. Bawili się w dobrych i złych policjantów? Ci pierwsi to troglodyci ze szkoły Goeringa, a ci dwaj oficerowie to ci dobrzy? Razem z Kukulką mieli tę grę opanowaną do perfekcji. Ciekawy był, jak oni to rozegrają.

– Nie przepadam za jasnym pieczywem – powiedział. – Mam po nim wzdęcia.

– Doceniamy pańskie poczucie humoru, Abell. Naprawdę. – Denisow się skrzywił. – A teraz, gdy już pan odegrał rolę bohatera, niech się pan bierze za jedzenie. Będzie panu potrzeba sił, dużo sił. Później złożymy panu propozycję. Mamy nadzieję, że pan ją przyjmie. Oczywiście, o ile okaże się pan inteligentnym człowiekiem, jak o panu piszą w aktach.

– A jeśli odmówię?

– To wtedy zrobimy panu dziurę w głowie. W potylicy. To taki patent NKWD.

## 11.

Mężczyźni w bunkrze zdawali sobie sprawę, że to ich ostatnie zebranie. Ten skrawek ładu był jeszcze otwarty, ale to mogło się zmienić w każdej chwili. Obergruppenführer Jakob Lölgen był tu najstarszy nie tylko wiekiem, ale i stopniem. Wszyscy wiedzieli, że niegdyś był ulubieńcem samego Reinharda Heydricha<sup>[18]</sup>. To z jego rąk, po zakończeniu Intelligenzaktion<sup>[IX]</sup> w Bydgoszczy, Lölgen został przedstawiony do odznaczenia Wojennym Krzyżem Zasługi II klasy z Mieczami „za energiczną, zdecydowaną i odpowiedzialną działalność, która w zarodku dusiła każdy ruch oporu, po części także przy użyciu siły”.

W gdańskim gestapo objął stanowisko szefa Wydziału III. Odpowiadał za wywiad, walkę z sabotażem, ochronę przemysłu i urzędów oraz straż graniczną. To jednak była już historia. Teraz ponosił odpowiedzialność tylko za prawidłowy przebieg tej ostatniej ceremonii.

To był jego pomysł, by w tym podziemnym bunkrze urządzić replikę zamku Wewelsburg<sup>[X]</sup>. Lölgen był niegdyś gościem Heinricha Himmlera w tej rycerskiej warowni. Z zafascynowaniem śledził obrzędy prowadzone przez Reichsführera, który wystąpił w stroju Henryka Ptasznika. Właśnie w tym miejscu rodziła się nowa świecka religia spajająca SS, ów zakon w czarnych mundurach, stanowiący elitę nowej Rzeszy. Wpadł wtedy na pomysł, że w Gdańsku też będą mieli swoją Salę Przywódców w esesmańskiej świątyni. I dotrzymał słowa. Podziemny schron był dobrze ukryty przed okiem postronnych. Miał własne ujęcie wody i połączenie z pobliskimi koszarami. Od morza osłaniały go wydmy porośnięte sosnami. Odbyli tu kilka zebrań, połączonych z capstrzykami i płonącymi pochodniami na zewnętrznej platformie<sup>[XI]</sup>. Raz odwiedził ich nawet nadprezydent Huthe, najwierniejszy z wiernych. Miał podobno niższy numer w NSDAP niż Forster.

Lölgen w milczeniu powiódł wzrokiem po sali. Na podłodze widniał ornament słońca, złożony z dwunastu promieni w postaci stylizowanych runów, na suficie znajdowała się swastyka. W sali płonął też wieczny ogień. Jedenastu mężczyzn siedzących przy okrągłym stole nie spuszczało z niego oczu.

– Towarzysze – powiedział, starając się, by jego głos zabrzmiał twardo i donośnie. – Wiele przeszliśmy. Mamy za sobą długi marsz. Od upadku i ciemności w czasach sprzedanej Republiki Weimarskiej po wiekopomne triumfy, które na zawsze złotymi zgłoskami zapiszą się w niemieckiej historii. To my stanowiliśmy awangardę niemieckiego zwycięstwa. Nie wahaliśmy się, wykonując najgorszą robotę. Także wtedy, gdy trzeba było zatykać nos, przełamywać osobistą słabość i przeprowadzać ostateczne rozwiązanie.

Odpowiedział mu szmer aprobaty.

– To był nasz obowiązek. Osobista ofiara złożona na ołtarzu przyszłych pokoleń. Oczyszcziliśmy Niemcy z Żydów, aby raz na zawsze rozwiązać problem rasy i czystości krwi. Niektórzy z nas byli w Babim Jarze, inni w Stutthof. Jeszcze inni służyli sprawie w lasach Piaśnicy i Bydgoszczy. Niektórzy mówią, że mam na rękach polską krew przelaną podczas Intelligenzaktion. I wiecie co? Gdybym dostał ten rozkaz raz jeszcze, to ponownie wykonałbym go bez wahania!

Tym razem rozległy się głośne okrzyki: *Heil Hitler!* Niektórzy z esesmanów uderzali miarowo rękoma o blat stołu.

– Zanim przejdziemy dalej... Chciałbym teraz uhonorować naszych nowych członków. – Spojrzał na dwóch esesmanów siedzących u szczytu stołu. – Przeżywamy trudne chwile, ale to w niczym nie może zmienić naszych rytuałów. Powstańcie, nowi towarzysze. W imieniu Reichsführera wręczam wam sygnety SS. Noście je zawsze na palcu serdecznym lewej ręki. Pamiętajcie, że pierścień ten jest zewnętrzną oznaką wewnętrznej wartości, zyskanej dzięki walce i służbie. To widomy symbol naszej wspólnoty, bezwzględnej lojalności wobec Führera i jego wizji. Trupia główka przypomina nam, by w każdej chwili być gotowym, poświęcić nasze indywidualne życie dla życia narodu. Runy po drugiej stronie sygnetu są świętymi symbolami naszej przeszłości, z którą na powrót się połączyliśmy poprzez ideologię narodowego socjalizmu. Pierścień otoczony jest liśćmi dębu, prastarego germańskiego drzewa. Pamiętajcie, że sygnety wrócą do Reichsführera w momencie waszej śmierci. Znajdą się na zamku Wewelsburg. Oby jak najpóźniej, ale jesteśmy gotowi na każdą ofiarę.

Nałożył sygnety na wyciągnięte palce wyprężonym jak struna dowódcem. Następnie sięgnął po leżące na stole miecze.

– Wręczam wam też miecze SS. Nigdy nie wyciągajcie ich bez potrzeby! Nigdy nie wkładajcie do pochwy bez honoru! Zachowajcie swój honor tak bezwarunkowo, jak bezwzględnie jesteście zobowiązani szanować swoją cześć i po rycersku chronić wielkie Niemcy! *Heil Hitler!*

Pozostali oficerowie w milczeniu przyglądali się ceremonii. Nawet jeśli niektórzy uważali to za absurdalne przedstawienie, gdy Rosjanie panoszyli się po Gdańsku, nie dawali tego po sobie poznać. Tak ich uczono. Dyscyplina, ślepe posłuszeństwo i wierność. I tak miało pozostać. Do samego końca. Nie potrafili zresztą inaczej. Nie w tym życiu.

– A teraz powróćmy do podstawowego celu naszego spotkania – kontynuował Lölgen. – Pewnie chcecie zapytać o przyszłość. Nie znam wszystkich odpowiedzi. Wiem jedno, że ta wojna nie będzie ostatnia. Zachód z jankesami na czele nie pozwoli Stalinowi zdominować świata. A wtedy wrócimy do gry. Będziecie znowu potrzebni. Wtedy was wezwę! Dzisiaj jednak to nasze ostatnie spotkanie. Możecie ewakuować się na Zachód, najlepiej w stronę Wisły. Nadal kursuje prom między Schiewenhorst a Nickelswalde.

Nasze okręty Prinz Eugen, Leipzig oraz Schlesien w Zatoce Gdańskiej ciągle utrzymują wroga w szachu. Otwarta jest także droga na Pillau.

Informacja ta wywołała widoczną ulgę wśród obecnych. Nikt nie spodziewał się, że Rosjanie wkroczą do Oliwy tak szybko.

– Co będzie z panem, obergruppenführerze? – zapytał sturmbannführer Zecke, a Lölgen spojrzał na niego podejrzliwie. – Zostaje pan jeszcze na miejscu czy także opuszcza Gdańsk?

– Mam oddzielne rozkazy – odparł lakonicznie dowódca.

– A co z archiwum i zbiorami z magazynów? – indagował dalej Zecke.

– To już nie wasza sprawa – odpowiedział po chwili milczenia Lölgen. – Zostały przeniesione w inne miejsce. Gauleiter Forster wydał w tej kwestii stosowne rozkazy. Zostaną wypełnione co do joty.

Lölgen w milczeniu przyglądał się wychodzącym esesmanom. Rzeczywiście, zabezpieczenie archiwum i zbioru specjalnego było kluczowe. Tylko cztery osoby poza nim znały szczegóły tej operacji. Dwie z nich znajdowały się na motorówce do Hamburga. Pozostałe dwie właśnie wykonywały rozkazy. Jedna w Gdańsku, druga poza miastem. Sam wybrał tych ludzi. Najwierniejsi z wiernych. Głęboko zakamuflowani strażnicy. Poczeka na sygnał od nich, że wykonali postawione przed nimi zadanie. A potem też wsiądzie na pokład czekającej na niego motorówki i zniknie we mgle.

## 12.

– Czego ode mnie chcecie? – Abell przełknął ostatni kęs chleba.

– Tylko jednego: współpracy – powiedział Denisow.

– Gardzę Hitlerem, ale to nie znaczy, że zostanę kapusiem – odparł stanowczo Abell.

– Spróbuję pana przekonać, panie radco. Ale najpierw dwa sprostowania. Nie chcemy zrobić z pana kapusia. To nie ta liga. Nałożono na nas specjalne zadania najwyższej wagi, a one wymagają współpracy ze świadomymi, w pełni zaangażowanymi ludźmi po obu stronach. Powiedział pan, że gardzi Hitlerem. Coś więc nas łączy. Różnica polega tylko na tym, że my reprezentujemy naród



ofiar, a pan oprawców. To pana rodacy napadli na nasz kraj, podobnie jak na Czechosłowację, Polskę, Holandię czy Francję, nie odwrotnie. Ot, delikatna różnica, jak powiedział miś do zająca w rosyjskiej bajce. I to Niemcy odpowiadają za komory gazowe i śmierć milionów ludzi. To pana rodacy mają na koncie niezliczone zbrodnie i obozy koncentracyjne.

– Nie brałem udziału w tych zbrodniach.

– Jasne, ale przez lata służył pan w Kripo, które, czy pan tego chce, czy nie, było zbrojnym narzędziem reżimu. Chociażby z tego powodu ponosi pan współodpowiedzialność za zbrodnie popełnione na rzecz i w imieniu narodu niemieckiego.

– Pamiętam czasy, kiedy Stalin był sojusznikiem Hitlera. Trafił swój na swego. Wy też macie sporo na sumieniu – odparował Abell. – Byliśmy w Kripo dobrze poinformowani. Związek Sowiecki to nie kraina powszechnej szczęśliwości. Wiem o terrorze NKWD, gułagach i wewnętrznych czystkach.

– Każda rewolucja ma swoją cenę – nie ustępował Denisow. – A jednak to nie my odpowiadamy za Auschwitz i Birkenau. Gdyby pan nie słyszał, to obozy śmierci. Wpychano tam ludzi, w tym kobiety, dzieci i starców do komór gazowych. A potem palono ich ciała w krematoriach. Niedaleko nas stoi obóz w Stutthof. Pańscy rodacy, wielbiciele Beethovena i Kanta, wymordowali tam sześćdziesiąt pięć tysięcy Polaków. Nie mówiąc o milionach moich rodaków, których trupy pozostawili po sobie na wschodzie.

– Nie brałem udziału w tym zbrodniczym szaleństwie. Pracowałem w policji kryminalnej, owszem, ale tylko w początkowych latach reżimu. Łapałem bandytów i złodziei. Nie mam na rękach krwi niewinnych ofiar. To, że jestem Niemcem, nie czyni mnie od razu współlnikiem zbrodni.

– Może przypomnę cytata pańskiego ulubionego filozofa, Artura Schopenhauera? „Rzadko myślimy o tym, co mamy, lecz zawsze o tym, czego nam brak”. Niemcy nigdy nie zadowalali się tym, co mieli: potęgą przemysłową, wysokim poziomem nauki i techniki, powszechnym dobrobytem. Chcieli czegoś więcej: pozycji mocarstwowej, hegemonii nad innymi, prymatu nad światem.

– Skąd pan wie, że cenię Schopenhauera? – Abell potarł czoło. Miał naprzeciwko godnego siebie przeciwnika. – Dużo pan o mnie wie, pułkowniku.

Zastanawiająco dużo.

– Już w pierwszych godzinach po zdobyciu Gdańska przejęliśmy budynek i archiwa Kripo przy Karrenwall. Zawsze tak robimy, wiedza o wrogu to potężna broń. A potem dotarł do nas meldunek, że w lazarecie oliwskim ujęto Niemca, który uparcie twierdzi, że nazywa się Abell i jest byłym oficerem policji kryminalnej. Sprawdziliśmy to w pana aktach. I dlatego pan teraz tu siedzi.

– Domyślam się, że nie tylko dlatego.

– Nie tylko. Złożymy panu propozycję. Ja i major Charko. Chcemy, aby zrobił pan dla nas coś, na czym nam zależy.

– Dlaczego ja?

– Ponieważ panu może się to udać. Jest pan policjantem, z tych akt wynika, że bardzo dobrym. Zna pan to miasto jak własną kieszeń. Dużo możemy, mamy szerokie kompetencje, ale to jednak dla nas obce i wrogie miasto. A chcemy znaleźć igłę w stogu siana. Pan nam w tym pomoże, nie za darmo oczywiście.

– To znaczy?

– Po pierwsze, uratuje pan swoje życie. Zachował je pan tylko dlatego, że jest w naszych rękach. Inaczej już leżałby pan gdzieś w ruinach z dziurą w głowie. Atak na żołnierza radzieckiego karany jest śmiercią. Natychmiast, bezapelacyjnie.

– Nie boję się śmierci.

– Nie wątpię. Sądzę, że jest pan odważnym człowiekiem. I na swój sposób moralnym, czytałem donosy, jakie składali na pana tutejsi naziści. Niejaki Bromke...

– To zwykła szuja niewarta wzmianki. Jego donosy nie czynią ze mnie bohatera.

– Być może. Ale do rzeczy. Nie tylko o pana tu chodzi, prawda? Przyleciał pan tu z Rotterdamu w jakimś celu. Aby ocalić swego teścia, Piotra Morela. Polaka, zresztą. Jego los jest w pana rękach.

– Piotr żyje? – Abell spojrzał swemu rozmówcy prosto w oczy. Zabiło mu żywiej serce. To była pierwsza dobra informacja, od kiedy trafił w łapy Sowietów.

– Owszem, trzymamy go w lazarecie wojskowym. Jeśli otrzyma na czas odpowiednie lekarstwa, to przeżyje. Jeśli nie, umrze. A zaaplikujemy mu te leki i oddamy pod opiekę naszego lekarza tylko wtedy, gdy gra będzie warta świeczki. Nie starcza nam medykamentów dla swoich, a co dopiero mówić o obcych. Rozumie pan?

Podpułkownik sięgnął po cygaretkę i wyciągnął z niej papierosa. Poczęstował Abella, ale ten odmówił.

– Jeśli stanie pan na wysokości zadania i znajdzie dla nas tę igłę, obaj otrzymacie żelazny glejt od NKWD i bezpiecznie wrócicie do Rotterdamu. Tam czeka na pana żona i córka, prawda? Ile ma lat?

– Nie pana sprawa.

– Jasne. – Denisow rozłożył ręce w przepaszającym geście.

Abell obserwował go czujnie spod współprzymkniętych powiek. Dobrze wyszkolony, inteligentny przeciwnik. Fachowiec najwyższej próby. Do perfekcji opanował sztukę manipulacji ludźmi. Bezbłędnie potrafił rozpoznawać ludzkie słabości, wolał posługiwać się perswazją niż pięścią. Nie musiał, od przemocy byli inni, tacy jak Sierioża. Pewny siebie, świadczyła o tym mowa ciała. Żadnych zbędnych nerwowych ruchów. Pozorna otwartość i półuśmiech przyklejony do twarzy, mający budzić zaufanie. Abell znał takich, spotkał ich wielu w swojej policyjnej karierze. Przez głowę przemknęła mu myśl, że w jakimś sensie byli podobni do siebie. On również zawsze uważał, że największym orężem policjanta jest jego inteligencja i zdolność logicznego myślenia. Choć od pewnego czasu, dzięki Kukulce, doceniał też zalety drogi na skróty.

– Co miałbym znaleźć?

– Archiwum gauleitera Forstera. – Nie uszło uwadze Abella, że Denisow wymienił szybkie spojrzenie z milczącym majorem Charko.

– To znaczy?

– Chodzi o zasób pewnych tajnych informacji mających duże znaczenie zarówno dla nas, jak i naszych polskich towarzyszy. Rodaków pańskiego teścia, nawiasem mówiąc.

– Skąd wiadomo, że Forster coś takiego w ogóle po sobie zostawił? Z tego, co wiem, już kilka dni temu opuścił miasto. Zawsze uważałem go za

niebezpiecznego fanatyka.

– To sprawdzona informacja. Pochodzi z naszych źródeł wywiadowczych, z bezpośredniego otoczenia Forstera. Wczoraj aresztowaliśmy członków pewnego tajnego spotkania w podziemnym bunkrze na Wyspie Sobieszewskiej, niedaleko siedziby gauleitera. To wysocy oficerowie SS. Można powiedzieć, że wpadli w ostatnim momencie. Tempo naszej ofensywy ich wyraźnie zaskoczyło. To była ostatnia odprawa, tej nocy mieli się ewakuować. Zostali poddani specjalnemu... przesłuchaniu. – Denisow chrząknął, jakby wypowiedzenie tej frazy sprawiło mu osobistą przykrość. – Potwierdzili informacje o archiwum.

– I to dlatego wysłano was do Gdańska? – Abell obrzucił spojrzeniem obu oficerów.

– Jest pan bardzo domyślny, Abell. – Denisow uśmiechnął się.

– Jeśli macie w rękach tych spiskowców, śmietankę gdańskiego SS, to po co ja wam jestem potrzebny?

– Kłopot w tym, Abell, że nie udało nam się ująć najważniejszej osoby, przywódcy tego sprzysiężenia. Ci ludzie tworzyli coś w rodzaju tajnego zakonu wewnątrz jądra władzy, na wzór podobnego bractwa, jakie Himmler zawiązał na zamku Wewelsburg. Mamy smoka, ale nie mamy głowy, obergruppenführera Jakoba Lölgena. A to on podobno posiada całą wiedzę o archiwum, po ucieczce Forstera i jego zastępcy Huthego z Gdańska.

Jakob Lölgen. Człowiek z najbliższego kręgu Forstera. Wysoki oficer SS. Fanatyczny, nieprzenikniony, bardzo wpływowy. Abell spotkał go dwa razy i to było o dwa razy za dużo.

– Znał go pan? – Denisow zapytał badawczo.

– Nie – odparł. Oni grali w swoją grę, on musiał w swoją. – Co jest w tym archiwum?

– Nie powinien pan wiedzieć – powiedział Denisow. – To sprawy tajne.

– Nie mogę podjąć się zadania, jeśli nie będę wiedział, czego dokładnie szukam. W takim razie odmawiam.

W sali zapanowała cisza. Przez okno słyhać było wściekle uderzenia wiatru.

– Pułkowniku, myślę, że radca Abell ma rację – odezwał się niespodziewanie Charko. – Chyba w tym przypadku powinniśmy zrobić wyjątek i wtajemniczyć

go w meritum sprawy. Zwłaszcza że może to skruszyć opory i wątpliwości pana radcy.

– Dobrze więc. – Denisow nie wyglądał na przekonanego. – Chodzi o swoisty katalog zawierający dane tysięcy dzieci...

– Dzieci? – powtórzył Abell szczerze zdumiony.

– Tak, polskich dzieci. To był ważny punkt akcji Lebensborn<sup>[XII]</sup>. Na pewno pan o niej słyszał. – Denisow rzucił mu uważne spojrzenie.

– Trochę. Z tego, co słyszałem, Lebensborn wymyślił sam Himmler. Celem tego programu było zwiększenie przyrostu naturalnego. Niemców było ciągle za mało, a plany były imperialne. W przyszłości chciano czystymi Aryjczykami zaludnić podbity Wschód. Wiem, że utworzono specjalne ośrodki, w których niemieckie kobiety czekały na czystych rasowo dawców nasienia. Tyle że pod tą przykrywką urządzano zakamuflowane burdele. A żonom esesmanów kazano rodzić co najmniej czwórkę dzieci. Czytałem kiedyś w Kripo raport na ten temat.

– To tylko część prawdy – włączył się Charko. – Efekt tego programu okazał się daleki od oczekiwań. A przecież trzeba było czymś uzupełniać straty na froncie. Po podbiciu Norwegii i Danii wielkie nadzieje pokładano w Skandynawkach. Były rasowo zbliżone do Niemek. Werbowano je pieniędzmi i wabiono lepszymi warunkami życia. Ale to też zawiodło. Wtedy Himmler wpadł na szatański pomysł. Po co dzieci rodzić, jeśli można je ukraść?

– Ukraść? – powtórzył Abell, teraz naprawdę zdziwiony.

– Przeprowadzono największą w historii grabież ludności. Oczywiście wybierano dzieci spełniające fizyczne atrybuty rasy aryjskiej. Wie pan, blond włosy, niebieskie oczy, podłużne czaszki. Następnie zabierano je siłą polskim matkom i ojcom oraz przydzielano nowym, niemieckim rodzinom, najczęściej bezpłodnym. Planowano wychować je na niemieckich janczarów. Po kilku latach wychowywania w duchu i języku niemieckim te dzieci byłyby na zawsze stracone. Ich prawdziwe pochodzenie jest zresztą najpilniej strzeżoną tajemnicą programu Lebensborn. Podobnie jak nazwiska i adresy niemieckich rodzin, do których trafiły. Polacy chcą odzyskać te dzieci, zanim będzie za późno. Proszę sobie wyobrazić rozpacz ich prawdziwych rodziców. Najpierw

zabrano im kraj, później zdegradowano do roli niewolników usługujących rasie panów. A na koniec ukradziono im największy skarb, ich potomstwo. Polacy nigdy nie pogodzą się z tą kradzieżą. To nasi sojusznicy. Pomożemy im w tym. Sprawa jest najwyższej wagi. To polityka, można powiedzieć.

Abell nie skrywał poruszenia. Tym razem Denisow trafił w czuły punkt. Pamiętał rozpacz, bezbrzeżny lęk i emocje targające nim i Gabi, gdy porwano Annę. To były najgorsze dni w ich życiu. Oddałby bez wahania życie za córkę, ale nikt wtedy nie proponował mu takiej zamiany. Najgorsza była ta niepewność, niewiedza, co tak naprawdę spotkało dziecko, które zniknęło bez śladu z podwórka ich rotterdamskiego domu. Czy żyje, kto je porwał i czy nie zrobił mu krzywdy. Za nic nie chciałby przeżyć takiego koszmaru ponownie. Za żadne skarby świata.

– Błyskawicznie przejęliście wszystkie archiwa w mieście. – Abell uważnie dobierał słowa. – W tym dokumenty i akta Kripo. Jak rozumiem, wśród tych archiwaliów nie ma danych programu Lebensborn. Może po prostu już nie istnieją i nie ma czego szukać? Zostały po prostu spalone, abyście nie dostali ich w swoje ręce. W ten sposób raz na zawsze zostałyby zatarte wszelkie ślady naprowadzające na pochodzenie tych dzieci. Uniemożliwiono by jakąkolwiek próbę ich identyfikacji po wojnie. A przecież o to właśnie idzie gra, jak rozumiem?

– Nie do końca. – Denisow podniósł się zza biurka. – Mamy powody, by podejrzewać, że Forster i tacy ludzie jak jego zastępca Huthe czy Lölgen traktują to archiwum jako dobrze ukrytą kartę przetargową. To jest ich legitymacja ubezpieczeniowa na przetrwanie wojny, a właściwie na czas po wojnie. Być może chcą przehandlować te dane za własne bezpieczeństwo i uchronić swe głowy przed stryczkiem.

– Wystarczy ich złapać i przycisnąć. Macie przecież swoje sposoby. Groźba dziurki w potylicy. Patent NKWD.

– To nie takie proste, Abell. Forster wymknął się z sieci. Podobno uciekł motorówką z Helu na Zachód. Prawdopodobnie jest już gdzieś w Lubece czy Hamburgu. Lölgen zapadł się pod ziemię. Czas pracuje na naszą niekorzyść. Wojna się nie skończyła. Z Mierzei Wiślanej i portu w Pillau nadal ewakuowane są drogą morską tysiące ludzi. Bardzo prawdopodobne, że wśród tej rzeszy uciekinierów znajdują się też dzieci ukradzione Polakom. Jeśli

zostaną z Pomorza przewiezione do Bawarii czy Nadrenii, odzyskanie ich będzie graniczyło z cudem. Poza tym to już nie będzie nasza jurysdykcja.

– Ile mam czasu do namysłu?

– Nie ma pan go w ogóle, Abell. Albo, albo.

Major Charko nie spuszczał Abella z oczu. To była jego rola. Uważne obserwować zachowanie przesłuchiwanego, śledzić jego mimowolne gesty i zachowania. Wczuć się w jego skórę, zakraść do jego umysłu. To w ludzkiej głowie skryte są wszystkie tajemnice. Łamiąc ludziom ręce, wrywając im paznokcie czy torturując na tysiąc znanych sposobów, często nie osiąga się pożądanego efektu. Człowiek jest tylko kupą mięsa, jak pisał Immanuel Kant. Torturowany, wyzna wszystko, byleby tylko zadowolić kata. A majora Charko interesowała prawda obiektywna, a nie miazmaty udręczonego umysłu.

Tak się umówili z Denisowem, gdy zetknął ich los. Podpułkownik grał w tym duecie pierwsze skrzypce. To on umiejętnie pacyfikował i rozbrajał ofiarę, wyduszając z niej potrzebne im informacje. Jednak to Charko był arbitrem, sędzią, który uznawał tę wyduszoną prawdę za użyteczną lub nie. Tak jak niegdyś w Muzeum Sztuk Pięknych im. Puszkina, w którym pracował przed wojną. Klasyfikował wtedy dzieła sztuki, rozpoznawał oryginały i falsyfikaty, te pierwsze oprawiano w paradne ramy, te drugie usuwano na śmietnisko. Był w tym naprawdę dobry, być może najlepszy.

Nie potrafił jednoznacznie ocenić tego Niemca siedzącego przed nimi. Wysoki, szczupły, z szarymi przenikliwymi oczami. Można by go wziąć za wzorzec esesmana, gdyby nie jego akta osobowe. Biła z niego jakaś godność, nie skamlał i nie błagał o życie, jak tyłu przed nim. Wypowiadał się powściągliwie. Raczej nie kłamał i nie kluczył, choć niewykluczone, że mówił tylko to, co uważał za stosowne. Zawahał się tylko raz, na ułamek sekundy, gdy go zapytali o Lölgena. Ciekawe dlaczego? Chciał sobie zachować jakiegoś asa w rękawie? Ostatecznie to były policjant. I zdaje się, że jeden z najlepszych, jakich miała Kripo. Pewnie zna wszystkie techniki manipulacji i sztuczki, które i oni stosowali. Przecież, jak wspominał kiedyś Leontij, to niemieccy instruktorzy uczyli ich przed wojną w szkole kontrwywiadu w Woroneżu. Niedaleko spada jabłko od jabłoni. Trafił swój na swego. Tak czy owak ten Niemiec był im potrzebny.

Czy podoła nałożonemu nań zadaniu? Czy nie przeceniają jego inteligencji i możliwości? Niby miał o co i o kogo walczyć. Jednak ludzie są tylko ludźmi. Mógł spisać teścia na straty i zapaść się pod ziemię po tym, jak go wypuszczą.

– Zanim odpowiem, muszę mieć pewne gwarancje – powiedział Abell.

– Nie będzie żadnych negocjacji. – Denisow poruszył się nerwowo za stołem.

– Jeśli mnie nie wysłuchacie i nie spełnicie moich warunków, rozejdziemy się z niczym – odparł stanowczo Abell. – A przecież tego nie chcecie. Zależy wam na mnie, bo nie macie nikogo lepszego do tej roboty, prawda? Nie znacie miasta, potraficie je tylko burzyć. Nie wszyscy was tu witają jak wyzwolicieli, a już na pewno nie ludzie Forstera. Jeśli rzeczywiście otrzymali rozkazy, aby strzec archiwum, na pewno je wypełnią. Nie mają już nic do stracenia. A ja jestem jednak Niemcem, jednym z nich. Oficerem Kripo. Jak myślicie, komu będzie łatwiej: mnie czy wam?

Obaj Rosjanie milczeli.

– Tak myślałem. A oto moje warunki...

### 13.

Kukulka przysunął spodek z palącą się lampą naftową bliżej środka stołu. W całej Oliwie nie było prądu. Dobrze, że pani Braun zachomikowała w piwnicy całkiem pokaźny zapas nafty. Zmyślna staruszka, całkiem jak jego matka. Może w rzeczywistości pani Braun też była Kaszubką? Musi ją o to zapytać przy następnej okazji. Po chwili namysłu postanowił raz jeszcze rozłożyć i wyczyścić lugera. Wielu policjantów w Kripo wolało nowszego walthera, ale on trwał przy swoim. Lubił ten niezawodny pistolet, wiele razy uratował mu życie. W innych czasach, kiedy wszystko było prostsze.

Wyjął magazynek z chwytu pistoletu. Wyłuskał wszystkie osiem naboju, po czym załadował je ponownie. Nałożył smar na szmatkę i przetaił wewnętrzne mechanizmy, zwłaszcza wyrzutnik. Sprawdził spust, działał, jak należy. Jego kabłąk miał tylko jedną wadę. Z uwagi na swój niewielki rozmiar utrudniał strzelanie w rękawiczkach, ale Kukulka i tak ich nigdy nie nosił.



Złożył lugera i wziął go do ręki. Wycelował lufę w święty obraz na ścianie. W celowniku szczerbinkowym ukazała się głowa gościa z aureolą. Pani Braun na pewno by mu tego zabroniła, uśmiechnął się w duchu. Zawsze uważał, że luger wyjątkowo dobrze układa się w dłoni. Fakt, lufę miał stosunkowo krótką, ale dzięki korzystnemu kątowi w stosunku do chwytu umożliwiał celne strzelanie. Niegdyś był w tym dobry, lepszy nawet od Abella, który regularnie wygrywał konkursy dla oficerów na strzelnicy Kripo.

Dobra zabawka, wierna towarzyszka. Nawet kochanka, można powiedzieć, bo przecież nie rozstawał się z nią nawet w łóżku. Ułożył pieszczotliwie broń na bawełnianej serwecie. Za nic nie zamieniłby jej na inną.

Z dworu dobiegł go dziwny stuk. W innej sytuacji by go zlekceważył, ale nie teraz. To nie był wiatr. Ten zawodził potępieńczo, przycichając i wchodząc po chwili na wyższe obroty. Ten odgłos był mechaniczny, tak jakby jego przyczyną był człowiek, a więc ten gatunek, któremu Kukulka nigdy nie ufał. Przyświecił sobie lampą i spojrzął na zegar. Dwudziesta trzecia piętnaście. To nie był czas na towarzyskie odwiedziny. Zresztą kto miałby się do nich fatygować o tej porze? Chyba tylko Sowieni.

Już sama ta myśl sprawiła, że zerknął mimowolnie w stronę sypialni pani Braun.

– Musisz mi jedno obiecać, chłopcze – powiedziała wczoraj, podając mu chleb ze smalcem i herbatę.

– Co tylko pani chce, kochana pani Braun – odparł, wycierając usta.

– Jak tu przyjdzie Iwan, jeden z drugim, nie pozwolisz im mnie zgwałcić. Wiem, mogę się jeszcze podobać, ale wiesz, nie dla psa kielbasa.

– Gdybym nie bał się odmowy, sam poprosiłbym panią o rękę.

Wyszczrzył się, próbując obrócić jej słowa w żart. Dobrze wiedział, co wyrabiali Sowieni, nawet z takimi staruszkami.

– Masz mnie zastrzelić, zanim się tu wedrą, jeśli nie zdążę się sama otruć, rozumiesz? – Spojrzała na niego bystro.

– Jak to?

– Tak to, Gustl. Jednym strzałem, prosto w serce. W żadnym wypadku w głowę. Chciałabym ładnie wyglądać po śmierci. Wiesz, że tam na górze czeka na mnie Manfred. Nie mogę go zawieść, rozumiesz?

Wymknął się z pokoju. Przeszedł do końca korytarza, za spizarkę. Przysunął drabinę i ostrożnie podważył klapę. Po minucie był już na dachu. Schylił się i wczepiając się zgrabiałymi palcami w dachówki, przeszedł na tył domu. Tu położył się na płasko. Czuł zimno przenikające przez sweter. Wysunął głowę i wyjrzał poza rant rynny. Podwórze oświetlane było tylko przez blade światło księżycy.

Wyteżył wzrok. Masyw pergoli, stara beczka po nafcie, dwie złamane belki w kształcie krzyża. Ani żywego ducha. Chciał się już cofnąć, gdy księżyc wyszedł zza korony drzewa i jaśniej oświetlił białą połą podwórka. Spojrzał w dół i dopiero wtedy to zobaczył. Zmartwił, czuł, jak mocno wali mu serce. Na śniegu wyraźnie widać było świeże ślady ludzkich stóp. Musiały być nowe, lekko prószący śnieg nie zdążył jeszcze ich zakryć. Wiodły za róg domu, tam, gdzie znajdowała się weranda. A więc jednak, kurwa! Pojedynczy zwiadowca? Czy maruder szukający okazji?

Przeczołgał się na drugą stronę dachu. Wyciągnął głowę i spojrział w dół. Zobaczył go właściwie pod sobą. Ludzki cień zaglądnący przez okno do salonu. Niedoczekanie twoje!

Nie było co zwlekać. Podniósł się na ugiętych nogach i skoczył. Musiał jednak źle obliczyć odległość albo tamten usłyszał coś w ostatnim momencie, bo mimowolnie się przesunął. Wachmistrz, zamiast wylądować mu na plecach, walnął nogami o ziemię tuż obok. Zerwał się jednak natychmiast i zaatakował rozjuszony z głową wyciągniętą do przodu. Intruz zdążył się jednak uchylić. Szczepili się rękoma i przez chwilę tarzali po śniegu, walcząc o uzyskanie przewagi.

Po kilku sekundach wachmistrz znalazł się wreszcie na górze. Uniósł pięść do góry i wtedy powstrzymał go okrzyk.

– To ja, Christian!

Kukulka znieruchomiał z ręką podniesioną do góry.

– Skąd mogłem wiedzieć... – wyszeptał wreszcie.

– Skoczyłeś na mnie jak kangur. – Abell klęknął, otrzepując śnieg z twarzy. – Szukałem cię, widziałem, że z twojego domu pozostała kupa gruzów. Pomyślałem, że sprawdzę u pani Braun...

– Myślałem, że to jakiś czerwonoarmiejec. W tej ciemności nic nie było widać. Dobrze, że żyjesz. Skąd się tu wzięłeś?

– Z sowieckiej katowni.

– Byłem pod lazaretem. Widziałem, jak cię ciągnęli do samochodu, nic nie mogłem zrobić. Co się wtedy wydarzyło?

– To długa historia. Wiem, jaki był jej początek, ale nie znam zakończenia.

– Wypuścili cię? Jakim cudem? – Kukulka patrzył na radcę jak na widmo. – Myślałem, że już po tobie.

– Dowiesz się, ale wszystko po kolei.

– Kiepsko wyglądasz. – Kukulka dopiero teraz przyjrzał się dokładnie strupom na twarzy i bandażowi na ręce radcy. – Bili cię?

– Skąd, spadłem ze schodów. Cały czas gadaliśmy o Schopenhauerze. Zaprosisz na gorącą herbatę? Przemarzęłem na kość.

– Herbatę? – Wachmistrz skrzywił się na wspomnienie plujki z pokrzyw przygotowywanej przez panią Braun. – Mam coś lepszego. Butelkę prawdziwego goldwassera. Czekala w mojej piwnicy na lepsze czasy. No, to lepszej okazji chyba już nie będzie.

Gdy skończyli, wstawał już świt. Lampa naftowa tliła się bladym płomieniem. Ich cienie tańczyły na ścianie.

– Mamy pracować dla Sowietów?

Kukulka wpatrywał się w Abella roziskrzonymi oczami. Nigdy dotychczas nie kwestionował poleceń radcy. W tym duecie to Abell był mózgiem, on tylko pięścią. Obaj znali cenę lojalności i męskiej przyjaźni. Wiele razem przeszli. Jednak ta sytuacja była zupełnie odmienna od wszystkiego, co dotychczas przyjmował za pewnik.

– To rodzaj układu. Wolność i uratowanie życia Piotrowi za odnalezienie archiwum.

– Ufasz im?

– Skądże. Wiem jednak, jak bardzo im zależy na tych papierach. Czas działa na ich niekorzyść, dzieci wywożone są cały czas w głąb Rzeszy. Ich sojusznicy, Polacy, na pewno mocno na nich naciskają. To wyższa polityka, nie wnikiem

w to. Potrzebują kogoś, kto jest Niemcem i kto umie poruszać się w tej miejskiej dżungli. Wiedzą, że ze mną mają większe szanse.

– A jeśli nam się uda, a oni nas na koniec wydymają? Przecież są do tego zdolni. To tacy sami naziści, tylko w innych mundurkach.

– To możliwe. Tego nie mogę ci zagwarantować. Na ich korzyść przemawia fakt, że dali mi podpisany glejt. Upoważnia mnie do swobodnego poruszania się po całym Pomorzu i zwalnia ze wszelkiej kontroli przez posterunki sowieckie. Ten glejt działa. Zanim tu dotarłem, zatrzymano mnie dwa razy. Czerwonoarmiejcy tylko zasalutowali i puścili mnie wolno.

– Nie oferowali ci jakiejś zbrojnej ochrony?

– Odmówiłem. Taki ogon byłby tylko ciężarem. Wymogłem na nich, że sam o tym zdecyduję. Przyjąłem tylko kilka kanistrów paliwa. Na pewno się przydadzą.

– Jest jeszcze coś, prawda? – Kukulka spojrział Abellowi prosto w oczy. – Te dzieci...

– Tak, nie ukrywam, że mnie to ruszyło. Nie czuję się współodpowiedzialny za zbrodnie nazistów, nie lizałem im ręki, nie służyłem na kolanach jak inni, nie czerpałem profitów z wysługiwania się reżimowi. Zresztą sam wiesz, jak było... Nie o wszystkim miałem pojęcie, o tych zbrodniach... – Abell potarł skronie. Wydarzenia ostatnich dni i goldwasser robiły swoje. – W pewnym momencie, gdy dotarłem z rodziną do Rotterdamu, pomyślałem, że moja kariera dobiegła końca. Pozostała mi tylko rola męża i ojca. Żeby była jasność, ten Denisow i Charko to nie są ludzie z mojej bajki. A jednak ta moja niemieckość mi ciąży. Może mogłem zrobić więcej?

– Niby co? Wysadzić Forstera w powietrze? Nigdy nie lubiłem tego pajaca z udrapowanym loczkiem na czole, ale co by to zmieniło? Przysłałiby innego. Byliśmy tylko policjantami, mieliśmy wyłapywać tych złych i robiliśmy to dobrze.

– Być może. A jednak czuję, że jeśli odnalazłbym to archiwum, zakładając, że ono rzeczywiście istnieje, przysłużyłbym się słusznej sprawie. Postąpiłbym tak, jak trzeba. Nie mogę ci niczego kazać, wiesz o tym. Sam musisz zdecydować, czy idziesz razem ze mną. Tu wojna już się skończyła.

– Dla mnie nie.

– A więc razem?

– Jasne. Od czego zaczynamy?

– Od Jakoba Lölgena. Pamiętasz tę sprawę z jesieni 1944? Do Kripo wpłynęło doniesienie, że pewną młodą, zamężną kobietę, której mąż walczył na froncie wschodnim, odwiedza wysoki oficer SS. Autorką donosu była wścibska sąsiadka, strażniczka moralności. Prowadziłem wtedy śledztwo w sprawie zabójstw wysokich oficerów, ale kazano mi odwiedzić tę damę i wyjaśnić kwestię prawdziwości donosu. Widocznie nie mieli nikogo innego pod ręką... Zrobiłem to. Dziewczyna była ładna i arogancka. Legitymacja Kripo nie zrobiła na niej żadnego wrażenia. Mieszkała w pięknym domu w Sopocie, zarekwirowanym po Żydzie, którego wysłano do obozu koncentracyjnego. Powiedziała, że to jej sprawa, z kim śpi i komu daje. I żebym dał sobie spokój, bo nie wiem, z kim zadzieram i mogę mieć kłopoty.

– I tak się stało, pamiętam.

– No właśnie. Ledwo wróciłem na Karrenwall, potem wezwano do szefa. Nakazał mi zamknięcie sprawy i wyrzucenie anonimu do kosza. Było mi to na rękę, ale z ciekawości zapytałem jednak o powód zmiany decyzji. Jeszcze kilka godzin wcześniej otrzymałem przecież inne polecenie.

– I co odpowiedział Kellerman?

– Był trochę zmieszany. Najpierw powiedział, że wysłał mnie właściwie do tej damy pro forma. Nasi chłopcy krwawią na froncie wschodnim, a tu jakaś puszczalska żona... To obniżało morale, zwłaszcza że ta wścibska sąsiadka słała donosy na prawo i lewo, także do dowództwa Wehrmachtu. Słowem: wysłał mnie, bo tak wypadło.

– Ale to nie tłumaczyło bezczelnego zachowania tej kurewki, prawda?

– No właśnie. Zapytałem, kim był ten odwiedzający ją oficer. Kellerman wiedział, że potrafię być uparty. Chciał się mnie wreszcie pozbyć. Dlatego, jak sądzę, wreszcie wydukał, że ta kobieta jest kochanką Jakoba Lölgena, wielkiej szychy z SS. Podobno staruch zupełnie oszalał na jej punkcie. To on oczyścił sopocką willę z poprzedniego lokatora dla swojej kochanki. Obsypywał ją prezentami i pożydowską biżuterią. A teraz pytanie: gdzie byś się zadekował na jego miejscu? Gdzie próbowałbyś doczekać końca wojny?

## 14.

Pchnął ją po raz ostatni. Trzymał oburącz za pośladki, przyciskając je do swoich łądźwi. Betty czuła, jak mężczyzna wygina ciało w łuk i drży konwulsyjnie w tym szczytowym akcie rozkoszy. Za chwilę, jak zawsze, opadnie na łóżko i pewnie powie: „O bogowie!”. Stary erotoman. Seksualny wampir i zbok. Największy jebaka w SS.

Zwalił się na łóżko, ciężko dysząc. „O bogowie!”... No jasne. Tylko że niebo nie miało z tym nic wspólnego. Raczej lata praktyki. Potrafiła dogodzić mężczyznom, zawsze wiedziała, czego potrzebują najbardziej. Widziała, jak wodzą za nią oczami, jak się ślinią i rozbierają ją oczami. Wszyscy bez wyjątku: żonaci i kawalerowie, ojcowie i nieopierzone wyrostki z gimnazjum. Rodzina Betty zawsze klepała biedę. Ojciec nie wrócił z Wielkiej Wojny. Matka, aby ich utrzymać, oddawała się pokątnie marynarzom w porcie. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Kiedyś, gdy Betty miała już szesnaście lat, matka powiedziała jej: „Oni widzą w tobie ładną dupę. Tylko to masz. Uroda to twój bilet do lepszego życia. To nie jest kraj dla cnotek. Sprzedaj się dobrze i mądrze wybierz, bo to transakcja tylko na raz”.

Miała rację, tylko dlaczego na raz?

Olaf pochodził z dobrego domu. Jego rodzice mieli drogerię przy Altstädtischer Graben. Był przystojny, wysoki i naiwny jak dziecko. Wpadli na siebie na lodowisku. To znaczy, tak po prawdzie, to ona wyłożyła się celowo tuż przed nim. Już po tygodniu oddała mu się w salonie jego domu wypełnionego antykami.

Skończył po minucie, ale ugrzązł na zawsze, można powiedzieć. Po pół roku, mimo skwaszonej miny mamuni Olafa, wzięli ślub. Mieszkała jak wielka pani, spała w jedwabnej pościeli. Miała nawet małego pieska, jak te damy z Langer Markt paradyjące z przystrzyżonymi czworonogami na smyczy. Nawet jej się spodobało życie młodej mężatki, choć Olaf kończył w łóżku wtedy, gdy ona była w połowie drogi na szczyt.

Nic, co dobre, nie trwa wiecznie. Najpierw zmarła teściowa. A potem wybuchła wojna i wszystko się skończyło. Małżeństwo, dobrobyt, poczucie bezpieczeństwa. Olaf trafił na front wschodni. Wysyłał do niej płaczliwe listy,

tak jakby te lamenty mogły zastąpić jej pustkę w opustoszałym łóżu. Przecież nie mogła skończyć jak jej matka, jako podrzędna kurewka w porcie. Tak, Niemcy to nie był też kraj dla młodych żon.

Uratował ją ten starzec, który już zdążył zapaść w głęboki sen. Olaf był daleko, gdzieś na rosyjskich stepach, a Lölgen był na miejscu. Mężczyzna mocny, władczy i zdecydowany. Wyhaczył ją na capstrzyku z okazji Pomocy Zimowej. Już na drugi dzień klęczała przed nim i pracowała na swoją nową przyszłość. Był nienasycony, a ona płaciła mu sobą, bo była to jedyna waluta, której miała pod dostatkiem. Niebawem przyszła wiadomość, że Olaf zginął na froncie. To tylko przyspieszyło to, co i tak było nieuchronne. Wkrótce Jakob przepisał na nią nowy dom. I już nie było odwrotu. Bo niby dokąd?

Niespodziewany dźwięk dobiegający z parteru wybudził ją z tych rozmyślań. Wybijana szyba? Czy tylko gałąź uderzająca o okno? Spojrzała na Jakoba. Miał szeroko otwarte oczy. Natychmiast oprzytomniał.

– Zejdź na dół i sprawdź, co się stało – powiedział rozkazującym tonem, wciągając spodnie. – Nikomu nie otwieraj. Nikomu! Ubiorę się i zaraz zejdę.

Przez głowę przemknęła jej myśl, że przecież to on powinien zejść na dół, a nie ona. To on był tu nadcłowiekiem, a ona jedynie pochwą. Ale nie wypowiedziała tej myśli głośno. Jakob nie lubił sprzeciwu. Narzuciła na siebie szlafrok i posłusznie zeszła na dół. Było jej zimno w stopy, nawet nie zdążyła nałożyć kapci. A może to Sowietów? Chyba jednak nie, przecież ci barbarzyńcy wyważyliby po prostu drzwi. Dom leżał na uboczu, Jakob specjalnie taki wybrał, z dala od ludzkich spojrzeń i plotek. Albo włamanie? Jakiś wygłodniały rabuś szukał żywności i łatwego zarobku? Jeśli tak, to źle trafił.

Salon zatopiony był w szarości. Nie zauważyła żadnego intruza. W pierwszej chwili pomyślała, że może to jednak tylko gałąź. I wtedy zdarzyły się dwie rzeczy jednocześnie.

Firanka! Wyraźnie się ruszała, lekko zafalowała, układając się w niepokojące fałdy. A więc jednak ktoś wszedł przez taras!

Zaraz potem wyczuła czyjąś obecność. Obróciła się i zastygła w miejscu sparaliżowana strachem. Mężczyzna był wysoki. Nie widziała jego twarzy, tylko oczy. Taksujące, przenikliwe, dziwnie nieruchome. Miała wrażenie, że już kiedyś je widziała, ale przecież to było niemożliwe.

– Czego pan chce? – zapytała.

Mężczyzna podniósł palec do ust, nakazując jej milczenie. A potem, by podkreślić wagę tego gestu, przejechał tym samym palcem po szyi. Wolno skinęła głową, nie chciała go niczym sprowokować. Gdzie jest Jakob? Dlaczego nie schodzi z gnatem w dłoni i nie odsyła tego przyjemniaczka do wszystkich diabłów?

Minęło kilka sekund, zanim dotarło do niej, że Jakob nie zejdzie, że wysłał ją jak owcę na rzeź, by zyskać na czasie i rozplynać się w powietrzu. Powiedział jej przecież ostatnio: „Nie mogą mnie złapać, Betty. Nie mnie”.

Mężczyzna uniósł drugą rękę. Trzymał w niej broń. Cofnęła się odruchowo.

– On jest na górze? – zapytał.

Potwierdziła pospiesznym skinieniem głowy. Mimowolnie westchnęła. Jednak Niemiec, lepsze to niż jakiś enkawudzista albo ktoś taki.

Abell rozejrzał się po salonie. Duży pokój, obok jadalnia z ciemnymi drzwiami prowadzącymi zapewne do spiżarni. Chwycił kobietę i pchnął ją w tamtą stronę. Pasek od jej szlafroka opadł na ziemię. Tkanina rozchyliła się, odsłaniając półkule wielkich piersi. Betty zwolniła kroku, ale przybysz nawet na nią nie spojrzał. Kazał wejść kobiecie do spiżarni i przymknął drzwi.

\*

Lölgen nie czuł strachu. Nurtowało go jednak pytanie, które uparcie wracało do jego głowy. Skąd wiedzieli, że on w ogóle istnieje i gdzie należy go szukać?

Mógł się spodziewać, że po zgarnięciu jego towarzyszy z esesmańskiego kręgu Rosjanie zaczną go tropić, choć do końca miał nadzieję, że nikt go nie sypnie. Przygotował się na taką ewentualność, ale nie przypuszczał, że dotrą do niego tak szybko. Byli przecież braćmi z czarnego zakonu, ślubowali wierność sprawie i wzajemną lojalność. Podczas jednego z mistycznych obrzędów skrzyżowali własną krew. A jednak ktoś go zdradził, pewnie Sowietom go złamali. Mieli swoje metody. Przecież to niepiśmienne bydlęta, dla których przemoc jest chlebem codziennym. Inaczej skąd by wiedzieli, że ktoś tak ważny jak on, obergruppenführer Jacob Lölgen, pozostał jeszcze w mieście?

Odprowadził wzrokiem Betty schodzącą na parter. Sięgnął pod poduszkę i wyciągnął walthera. Umocował go za paskiem z tyłu spodni. Wciągnął szybko



buty i narzucił na siebie gruby sweter. Otworzył okno. Po minucie był już na balkonie. Kafle terakoty były oblodzone, a od wschodu zawiewał zimny wiatr. Przełożył nogi za balustradę i stanął na wąskim cokole. Spojrzał w bok. Dom tonął w ciemności. Już wcześniej opracował drogę ucieczki z willi. Żadnej improwizacji, wszystko zgodnie z przemyślanym planem.

Uczepił się stalowej rynny i objął ją nogami. Podwórze było tylko ciemną czeluścią, ale dla niego oznaczało wolność. Potem pobiegł w stronę lasu. Dotrze ścieżką do kamieniołomu i w przygotowanej zawczasu kamiennej pieczarze doczeka świtu. Schował tam kanister nafty, Kuchenkę polową, trochę żywności i nieprzemakalny płaszcz rybacki. O świcie będzie już na plaży w małej ustronnej zatoczce, dokąd dobieje motorówka z u-boota. Tak było umówione.

Wyczuł nogami twardy grunt. Nareszcie! Obrócił się i w tym momencie poczuł ucisk zimnej stali na skroni.

– Ani drgnij! – Głos był zimny i wrogi. – Wiedzieliśmy, że będziesz tędy nawiewał.

Wiedzieliśmy? A więc ten intruzem nie był sam? Umysł Jakoba Lölgena pracował na najwyższych obrotach. Była jednak i dobra wiadomość. Ten człowiek z cienia mówił do niego po niemiecku, a nie po rosyjsku.

– Jesteś Niemcem? – Obergruppenführer ostrożnie dobierał słowa.

– Nie, kurwa, Eskimosem. – Lufa wwiercała się Lölgenowi w czaszkę. – Przyjechałem zaprzęgiem na południe, bo u nas za bardzo późno.

– To nieporozumienie. Nie wiem, czego chcesz, ale na pewno dojdziemy do porozumienia.

Esesman wykręcił głowę na tyle, żeby zobaczyć napastnika. W ciemności nie widział jednak dokładnie jego twarzy zasłoniętej kapturem. Na pewno nie był w mundurze. Miał na sobie coś w rodzaju szyperskiej kapoty sięgającej do ziemi. A więc cywil. Tylko pistolet był jak najbardziej wojskowy.

– Łapy do góry! – warknął tamten. Pchnął go pod mur, obszukał i szybko znalazł broń.

– Jestem oficerem niemieckim – powiedział Lölgen, odkręcając ponownie głowę. – I to bardzo ważnym. Opuść sobie, bo zapłacisz głowę za ten napad.

– Nie jesteś żadnym oficerem, tylko esesmańską szmatą. Ale w jednym masz rację. Na pewno się dogadamy. A teraz idziemy do domku, bo tu trochę zimno.

Lölgen szedł przodem, z pochyloną głową. Miał jeszcze jedną szansę, ale musiał dobrze wybrać moment. Od tego zależał jego los.

\*

Abell w milczeniu obserwował dwójkę mężczyzn wkraczających do salonu. Lölgen na pewno się postarzał od czasu, kiedy go widział po raz ostatni. Posiwiął, skóra twarzy przypominała pomarszczony pergamin z siatką bruzd i zmarszczek. Jednak w oczach miał nadal tę hardość, którą często widział u esesmanów.

Posadzili go w fotelu na środku salonu. Z dala od stołu.

– Znam cię – powiedział niespodziewanie Lölgen, zwracając się do radcy. – Służyłeś w Kripo.

– Zgadza się, jestem radca Abell.

– Teraz pamiętam! – W oczach esesmana pojawił się błysk zrozumienia. – Niepokorny oficer, który w każdej sprawie miał swoje zdanie. Były z tobą nieustanne kłopoty. Ciągłe spływały na ciebie skargi od zasłużonych towarzyszy. Mieliśmy cię na oku.

– Nic się w tej materii nie zmieniło. Ze mną są ciągle kłopoty. Zapomniałeś dodać, że przez moment prowadziłem dochodzenie przeciwko tobie. Chodziło o niemoralne prowadzenie się i uwodzenie żony żołnierza frontowego.

– To ty... Dlatego tak łatwo tu trafiliście! Byłeś kiedyś w tym domu, prawda?

– Widzę, że potraficie w SS nie tylko mordować, ale i kojarzyć fakty.

– Nie wiem, do czego zmierzacie, ale pewne jest jedno. Właśnie dopuszczacie się aktu zdrady narodowej. Wszyscy jesteśmy Niemcami. Trwa wojna, która jeszcze się nie skończyła. Nikt nie zwolnił nas z obowiązków wobec ojczyzny. A ja nadal jestem oficerem na służbie.

– Dla jasności, Lölgen, nic nas nie łączy poza tym, że obaj mówimy po niemiecku. Brzydzą się takimi jak ty. Oszczędź więc sobie tych hurrapatriotycznych gadek, bo i tak nic nimi nie wskórasz. Mam dla ciebie dwie informacje. Po pierwsze, wiesz coś, co nas interesuje. Nawet nie próbuj

zaprzeczyć. Druga wiadomość: możesz prehandlować tę tajemną wiedzę za własne życie. Nie będzie żadnych negocjacji. Wybieraj: współpraca albo śmierć.

– Dla kogo pracujecie? – Lölgen nie spuszczał oczu z Abella. – Dla Rosjan?

– To nie jest istotne. Liczy się tylko to, czy chcesz przeżyć tę wojnę, czy nie.

– I ta lalunia też. – Kukulka wskazał lufą drzwi spiżarki.

– Możecie ją sobie wziąć. Nie zależy mi na niej. To tylko dziwka, możecie się z nią dobrze zabawić. Obciąża najlepiej w całym Gdańsku.

– To miłe, ale nie jesteśmy zainteresowani.

– Wasza strata. Dorzucę jeszcze pięć tysięcy dolarów. Przyda się na trudne czasy. Z taką kasą urządzicie się po wojnie i zaczniecie wszystko od nowa.

– Interesuje nas tylko archiwum Forstera. – Abell podszedł bliżej, nie spuszczać wzroku z Lölgena.

– Jakiego archiwum? – Twarz esesmana pozostała nieporuszona.

– Dobrze wiesz. To tajne akta gauleitera zawierające dane najwyższej wagi. Forster nie mógł zabrać ich ze sobą, były zbyt cenne, mogłyby przepaść podczas panicznej ucieczki. Kazał je więc dobrze schować na terenie Gdańska. I ty dobrze wiesz gdzie.

– O czym ty bredzisz?

– Mówię o aktach programu Lebensborn, o rejestrach dzieci o aryjskim wyglądem, ukradzionych polskim rodzicom. O nazwiskach ich nowych, niemieckich rodziców i adresach obecnego ulokowania.

Lölgen poczuł ukłucie niepokoju. Skąd ta zdradziecka gnida tyle wiedziała? Pamiętał, że Abella usunięto ze służby dobre pół roku wcześniej. To była jakaś sprawa pomiędzy Kripo a dowództwem Wehrmachtu. Abell zalał mu za skórę po wizycie w domu Betty, więc mu ulżyło, gdy wścibski policjant wyjechał do Holandii. Odetchnął, jak widać przedwcześnie... Tak czy owak decyzja o operacji zapadła dużo później, w lutym 1945. Abell nie mógł o niej wiedzieć. A jednak zadawał niewygodne pytania i znajdował się na tropie tajemnicy, której strzegli najwierniejsi z wiernych.

– Czyli sprzedałeś się Rosjanom, Abell. I pewnie polaczkom też! My, w SS, dbaliśmy o czystość rasy, nie o jej psucie. Słowianie to podludzie, po co nam zdegenerowany narybek?

– Kłamiesz, dobrze wiesz, o czym mówię. Domy porodowe Lebensbornu nie wystarczały. Dlatego wpadliście na pomysł, aby tę lukę wypełnić w inny sposób. Kradnąc i porywając dzieci.

– Pierwsze słyszę. – Esesman wzruszył ramionami.

– Sądzę, że dobrze wiesz, o czym mówię. Oczywiście, także i w tym przypadku SS pilnowała kryterium rasowych. Przynajmniej teoretycznie. Porywano polskie dzieci, które miały cechy rasy nordyckiej. Badaliście je pod kątem wyglądu zewnętrznego, budowy czaszki, rozstawu oczodołów, koloru włosów i oczu. Te, które spełniały te kryteria, kierowane były do dalszej germanizacji i trafiały do niemieckich rodzin, które albo same nie mogły mieć dzieci, albo podejmowały się pełnienia roli rodzin zastępczych.

– Nawet jeśli to prawda, to ja nie miałem o tym pojęcia. – Lölgen pozostawał niewzruszony. – Wykonywałem inne zadania, zwalczałem dywersję i sabotaż. Mieliśmy pełne ręce roboty.

– Łżesz i marnujesz nasz czas. Dwa dni temu na terenie tajnego bunkra SS na Wyspie Sobieszewskiej odbyło się zebranie ścisłego, kierowniczego kręgu SS. Wzięło w nim udział dwanaście osób. Prawie wszyscy wpadli wkrótce po tym zlocie czarownic w ręce Sowieców. Tylko jednej osobie, najważniejszej z tego całego grona, udało się umknąć. Tą osobą byłeś ty, Lölgen. Uzyskałem dostęp do protokołu przesłuchania jednego z pojmanych oficerów. To sturmbannführer Zecke.

Zecke, oczywiście. Lölgen przygryzł wargi. Ten dureń zawsze za dużo gadał...

– Zeznał, że archiwum Forstera istnieje i że zostało dobrze ukryte. Tak, aby Sowieci i Polacy nigdy nie wpadli na jego trop. To było ostatnie zadanie SS. A ty, Lölgen, odpowiadałeś za wykonanie tej misji. A więc oszczędź mi, proszę, tych łgarstw. Z tobą czy bez ciebie i tak dojdziemy prawdy. Wiesz dlaczego? Bo to dla nas sprawa życia i śmierci. Nie cofniemy się przed niczym. Przed niczym, rozumiesz?

Lölgen dłuższą chwilę milczał i przetrawiał w głowie słowa Abella. Wreszcie podjął decyzję. Nie da się złamać. Ten policjant blefował. Chciał go nastraszyć i zmanipulować, a na koniec zmusić do mówienia. Widać, że był dobry w te gierki.

– Nie wiem, co zeznał Zecke. Ludzie pod wpływem tortur plotą różne bzdury. Weźcie pieniądze i tę dziwkę – powiedział, cedząc słowa. – Dobrze wam radzę, Abell.

Abell spojrział wymownie na Kukulkę, a ten nagłym ruchem uchylił drzwi do spiżarni. W progu ukazała się Betty.

– Wszystko słyszałam! – W głosie kobiety pobrzmiwała wściekłość. – Oni celowo zostawili uchylone drzwi. Wiedzieli, co robią. Ty skurwysynie! – Wyciągnęła oskarżycielski palec w stronę esesmana.

– Betty...

– A może jednak „dziwko”? Ty chuju, złamasie, chciałeś mnie oddać jak znoszony łach? Tym dla ciebie jestem? Kurwą?

– Posłuchaj, nigdy tak nie myślałem. Zmusili mnie!

Lölgen był wściekły na siebie. Dopiero teraz uświadomił sobie całą grozę sytuacji. Do tej pory uważał, że jest panem sytuacji. Miał przecież w zanadrzu jeszcze jedną kartę, o której tamci nie wiedzieli. A ta mała zdzira mogła wszystko popsuć.

– Powiem wam! – Kobieta zwróciła się do Abella, nadal miała rozpięty szlafrok, spod którego wystawały kształtne piersi. – Przychodzili tu ostatnio różni tacy. Ponure mordy, zawsze smutni, w czarnych mundurach. Jakby byli spod jednej sztancy. Przy mnie zawsze ścisiali głos, ale raz coś usłyszałam.

– Milcz! – krzyknął Lölgen, ale zaraz urwał, uderzony przez Kukulkę na odlew w twarz. W kąciu ust esesmana pojawiła się strużka krwi.

– Proszę mówić – ponaglił kobietę Abell.

– Rozmawiali o archiwum. Zapamiętałam to słowo. I że jest dobrze ukryte. Czuwają nad nim dwaj głęboko zakamuflowani strażnicy.

– Strażnicy? Na pewno tak powiedział? – Abell nie spuszczał Betty z oczu.

– Na pewno. A Jakob dodał wtedy, że to strażnicy ich Świętego Graala.

– Co jeszcze pani usłyszała?

– Niewiele. Tylko że czuwają w miejscu, którego nikt nie będzie szukał. Znaczą, ci strażnicy.

– Mogę napić się wody? – odezwał się nagle Lölgen i wskazał ręką karafkę stojącą na stole. – Słabo mi...

– Jeśli to ci przywróci pamięć, to proszę.

Abell pozwolił esesmanowi wstać z krzesła. Kukulka odprowadził go czujnie wzrokiem. Esesman ciężko opadł na krzesło przy długim dębowym stole i drżącą ręką nalał sobie wody. Wyglądał tak, jakby nagle uszło z niego całe powietrze.

– Zaraz, jeszcze sobie coś przypomniałam. Tam są krzyże...

Nagle wszystko się zmieniło. W ciągu kilku sekund zdarzyło się kilka rzeczy naraz. Abell zarejestrował nagły ruch ręki Lögena, który wyciągnął coś spod stołu. Ujrzał błysk metalu, ale było już za późno. Padł strzał, w pustym pokoju wybrzmiał jak wybuchający granat.

Betty Knoppers patrzyła na nich przez chwilę oniemiałym wzrokiem, w którym niedowierzanie mieszało się z bólem. Potem w jej ustach pojawiła się krew, która nagle znalazła ujście i buchnęła na zewnątrz. Kobieta najpierw opadła na kolana, a potem z hukiem całym tułowiem uderzyła o podłogę.

– Ty gnido! – Rozjuszony Kukulka wyprostował rękę z pistoletem, mierząc w czoło esesmana, i ruszył w jego stronę, ale powstrzymał go rozkaz Abella.

– Nie strzelaj! – krzyknął Abell.

Lölgen miał nieprzytomne oczy, pistolet przytykał do skroni.

– Niczego się nie dowiecie, zdrajcy! – wycharczał. – Naszym honorem jest wierność!

– Nie bądź głupi, Lölgen – powiedział Abell. – Nie umieraj dla przegranej sprawy. Daję ci oficierskie słowo honoru, że jeśli powiesz prawdę, puszcze cię wolno... Nie warto ginąć dla takich tchórzy jak Forster. Podobno zdezerterował motorówką z Helu. Już pewnie żłopie koniak w Kilonii.

– Nie robię tego dla siebie. Tylko dla przyszłej Rzeszy. Ale ty nigdy tego nie zrozumiesz.

– Nie...

Odgłos strzału był głuchy i stłumiony. Tylko dziura ziejąca w skroni obergruppenführera świadczyła o tym, że to dzieje się naprawdę.

– Szlag! – Kukulka dał głośno upust targającym nimi emocjom. Dopadł ciała i przyłożył ucho do piersi Lögena. Po chwili uniósł głowę i nią pokręcił. – Ten gad nie żyje. To moja wina, powinienem go lepiej pilnować.

Abell nie słuchał. Jego uwagę przyciągnęło ciało kobiety. Miał wrażenie, że ledwie dostrzegalnie się poruszyło. Podszedł szybko i pochylił się nad Betty. Kobieta miała w półprzymknięte oczy. Jeszcze żyła.

– Krzyże, tam są dwa krzyże... – wyszeptała. – I astrolog. Mówili coś o astrologu...

Abell w napięciu przytknął ucho do jej ust. Miał nadzieję, jeszcze coś wyłowić z tej ostatniej spowiedzi. Ludzie uwielbiają kłamstwa, są od nich uzależnieni. Mijają się z prawdą nawet wtedy, gdy to nie jest potrzebne. Kłamstwo jest łatwe i giętkie, tuszuje ludzkie słabości i niegodne uczynki, maskuje prawdziwą naturę i kreuje nową udrapowaną rzeczywistość. Natomiast szczerłość jest trudna i niewdzięczna, kosztuje niewspółmiernie dużo w stosunku do kosztów. Jednak w obliczu nadchodzącej śmierci nawet zatwardziali kłamcy mówią prawdę. Abell przekonał się o tym nie raz.

Dlatego z takim napięciem i nadzieją przytknął ucho do ust gasnącej kobiety. Była to jednak nadzieja płonna. Betty westchnęła głęboko i odeszła.

Dokładnie przeszukali nagle osamotniony dom. Zaczęli od pokoju Betty Knoppers. Poza kilkoma kosmetykami i szafą pełną damskich ciuchów nie znaleźli w nim niczego interesującego. Jeszcze większym rozczarowaniem okazała się rewizja pokoju Lölgena. Postronnemu obserwatorowi trudno byłoby domyślić się, że mieszkał tu obergruppenführer SS, jeden z najwyższych rangą popleczników Forstera w całej prowincji. Pokój urządzone był po spartańsku: metalowe łóżko, nad nim wielka mapa Gdańska. W szafie znaleźli tylko kilka znoszonych płaszczy i garniturów bez metek. Żadnego munduru, żadnych fotografii rodzinnych w ramce, listów, zdjęć czy zapisków. Tak jakby ten dom zamieszkiwali ludzie nijacy i niepozostawiający po sobie żadnego trwałego śladu.

Po chwili zastanowienia Abell raz jeszcze podszedł do mapy. Dopiero teraz zauważył, że plansza wykonana była odręcznie, a nie w pracowni kartograficznej. Widać było przebarwienia po tuszu, którym autor cyzelował nazwy dzielnic i główne punkty miasta. Ratusz, Dwór Artusa, sine nitki trakcji kolejowej, Motława... Radca wodził palcem, mając nadzieję, że zauważy jakiś tajemny symbol albo krzyżyk. Na próżno.

Mimo to zrolował papier i schował go do kieszeni.

## 15.

Abell spał płytkim, niespokojnym snem, przewracając się na pryczy, którą w kuchni dostawiła mu pani Braun. Dudniły mu w głowie ostatnie słowa Betty Knoppers. Tam są krzyże... Strażnicy Świętego Graala... Astrolog. Nie wiedzieć czemu przyśnił mu się obraz dantejskiego piekła. Zobaczył las płonących krzyży nad ciżbą umęczonych, nagich i przeraźliwie jęczących nieszczęśników. I wysokie płomienie liżące ich ciała. Potem obraz odpłynął. Abell zanurzył się ponownie w czarnej czeluści snu. Usłyszał strzały z domu Lölgena i ujrzał ciemną wyrwę w czaszce obergruppenführera.

Wreszcie wybudził się zupełnie, cały mokry. Wstrząsnął nim dreszcz gorączki, podejrzewał, że dostał zakażenia albo leki zaaplikowane mu przez Rosjan jeszcze nie zadziałały. Czuł nieznośny, rwący ból w palcach pozbawionych paznokci. Odwinął bandaż na ręce. Krwi było mniej, ale palce nadal pozostawały spuchnięte. Spojrzał na zegar. Trzecia trzydzieści. Do świtu było jeszcze trochę czasu.

A ten galopował, jak zawsze wtedy, gdy był na wagę złota. Zostało mu niewiele czasu na odnalezienie archiwum. Ciągłe była na to szansa, dopóki Niemcy nie otrząsnęli się jeszcze po niespodziewanym wkroczeniu Rosjan do miasta. Nadal trwała przecież ewakuacja poprzez Hel i Żuławy. Odpływali ludzie, świadkowie, ważne dokumenty. I dzieci, których poszukiwał. Do tego działał w mieście, które nie było już jego. Przypominało najeżony, wrogi organizm, zwierający swoje trujące igły, gdy tylko próbował przeniknąć do jego wnętrza. Kiedyś bronił i strzegł Wolnego Miasta. Teraz w jego oczach był tylko ruskim kolaborantem. Stali za nim Sowietci, ale tak naprawdę był sam. Mógł zaufać tylko Kukulce.

Na razie szło im jak po grudzie. Wizyta w domu Lölgena okazała się katastrofą. Jeśli to obergruppenführer trzymał wszystkie nici w ręku, to jego śmierć wybitnie utrudniała, jeśli nie wręcz uniemożliwiała dotarcie do prawdy. Nie popisali się, stracili ważnego świadka. Co zyskali w zamian? Mapę, na której nic nie było? Słowa klucze, których nie potrafił rozszyfrować?



Strażnicy. Tam są krzyże. Astrolog. Co się kryło za tą tajemną triadą? Powinien zacząć od astrologa.

Potarł czoło w zamyśleniu. Forster we wszystkim starał się naśladować swoich szefów: głównie Hitlera, ale także Himmlera. Było tajemnicą poliszynela, że Reichsführer był przesądny, wierzył w czarną magię i numerologię. Lubił otaczać się wróżbitami i astrologami. Być może Forster poszedł w jego ślady? Może uda się za zgodą Rosjan zajrzeć do akt Kripo na Karrenwall? Być może natrafi wtedy na jakiś dobrze rokujący trop... Warto też pogrzebać we własnej, policyjnej pamięci. Słyszał o pewnym astrologu, nie zawadzi sprawdzić.

Przede wszystkim powinien jednak wyzwolić się ze złych emocji. Uruchomić głowę. Posklejać te strzępy, jakimi dysponował i zbudować jakiś sensowny, logiczny plan, który pozwoli im wygrać wyścig z czasem i pójść do przodu.

Po chwili namysłu sięgnął po dossier przekazane mu przez Rosjan. Przy migotliwym świetle świecy, połykał kolejne stronicie dokumentu, trochę nieporadnie przetłumaczonego na niemiecki.

*Tajne, NKWD, II FB/III/265*

*Program Lebensborn. Data powstania: rok 1935 z rozkazu Reichsführera SS, Heinricha Himmlera. Cel: stworzenie armii „czystych rasowo” Aryjczyków i „odnowienie krwi niemieckiej”. Aby go osiągnąć, w 1935 roku naziści uruchomili program hodowli ludzi.*

*Geneza programu*

*Utrzymujący się od początku lat trzydziestych niski wskaźnik urodzeń, stanowiący przeszkodę w realizacji imperialnych planów podboju Europy. Zamysł stworzenia potężnej rasy panów i zmieszczenia z powierzchni ziemi pozostałych nacji wymagał znaczącego „wkładu” ludzkiego. Z tego powodu zdecydowano o powołaniu programu Lebensborn – „Źródło życia”.*

*Metody*

1. Szerzony w całym społeczeństwie III Rzeszy kult rodzin wielodzietnych. Nałożenie na członków SS „rozkazu płodności” zobowiązującego esesmanów do posiadania licznego potomstwa (przynajmniej czwórki). Niemieckie kobiety zachęcano do rodzenia. Mimo tych wysiłków noworodków wciąż było za mało. Zwłaszcza tych „czystych rasowo”.

Całkowite zakazanie aborcji (choć nielegalnie – przeprowadzano ich wówczas w Niemczech około 600 tysięcy rocznie), otoczenie opieką samotnych matek, a przede wszystkim ich dzieci. Rodzice musieli być modelowymi przedstawicielami rasy aryjskiej.

2. Stworzenie domów porodowych, tzw. domów Lebensbornu, w których miały przychodzić na świat dzieci. Kobiety werbowano zarówno w Niemczech (także wśród tzw. kobiet z kłopotami, matek samotnych lub mających kłopoty z prawem), jak i w innych krajach europejskich, głównie w Skandynawii.

W rzeczywistości były to zakamuflowane domy publiczne, z których korzystali funkcjonariusze reżimu. Kobiety miały być tam zapładniane m.in. przez członków SS, a potem mieszkwały w ośrodkach przez cały okres ciąży. O takich domach mówiono często jako o „farmach rozplodowych”.

Restrykcyjnie dbano o dobór przyszłych rodziców, którzy musieli spełniać kryteria rasowe. Dawca nasienia ani matka nie mogły być osobą pochodzenia żydowskiego. Prawdziwy Aryjczyk musiał być sprawny, zdrowy i nieobciążony genetycznie.

3. Kradzież dzieci na terenach okupowanych (Polska). Gdy wspomniane wyżej metody nie przyniosły spodziewanych efektów, Himmler nakazał kradzież dzieci, które wykazywały znamiona aryjskiego wyglądu. Była ona określana na podstawie koloru oczu (niebieskie lub szare), włosów (od blond po jasny brąz), wzrostu (wysoki), a także sylwetki (smukła).

Rozkazy bezwzględnie wprowadzono w życie. Polacy szacują, że porwano do 200 tysięcy dzieci. Wiele z nich zabrano siłą z polskich domów podczas akcji wysiedlania Zamojszczyzny w 1942 roku (operacja „Werwolf”).

Jeden z pięciu ośrodków Lebensbornu na terenach okupowanej Polski zorganizowano w Bydgoszczy. Tutaj wysyłano dzieci, które po przystosowaniu do nowej, niemieckiej roli (zwykle trwało to kilka tygodni) trafiły do niemieckich rodzin na Pomorzu.

## 16.

– Wiemy, gdzie jesteśmy? – Głos Kukulki odbijał się głucho od kamiennej powały tunelu.

– Wchodzimy pod Elisabeth-Kirchengasse, na wysokości Hotelu Continental – odparł Abell.

Był jednym z tych gdańszczan, którzy wiedzieli o istnieniu miejskich podziemi. Kiedyś przy okazji śledztwa w sprawie zabójstwa jednego z ważnych urzędników magistratu w jego ręce wpadła szczegółowa mapa tuneli i sieci kanalizacyjnej. Był zdumiony ogromem tej pajęczyny. Wydrukował sobie nawet ich kopię. Już kilka razy z powodzeniem skorzystał z tej tajemnej wiedzy. Tym razem także zamierzał zdyskontować ten atut.

Do podziemi weszli pod Dworcem Głównym. Jego budynek ucierpiał w wyniku rosyjskiego ostrzału, ale korpus gmachu pozostał nienaruszony. Tylko ślady po kulach szpecące ceglastą elewację świadczyły o sile ostrzału.

Tunel, pochodzący jeszcze z czasów pruskich, prowadził aż na Stare Miasto. Pierwszy odcinek, krzyżujący się z kolektorem ściekowym był opustoszały. Posuwali się samotnie do przodu, przytrzymując się wilgotnych, omszałych ścian. Poprzez otwory we włazach i kratkach ściekowych wpadało szare światło. Czasami dobiegały ich hałasy z góry. Chrzęst czołgowej gaśienicy ślizgającej się po bruku, tupot żołnierskich buciorów, jakieś krzyki, nabrzmiewające i zamierające po chwili jak modlitwa muezzina.

Doszli do kolejnego rozwidlenia. Na murze widniały wypisane wapnem litery DV. Abell domyślił się, że są na wysokości wydawnictwa „Danziger Vorposten”<sup>[19]</sup>. Kiedyś był tu na obiedzie z Gabi. Kiedy to było? Wieki temu, gdy nic jeszcze nie zapowiadało, że będą się przekradać z Kukulką miejskimi ściekami, omijając fekalia i zdechłe gryzonie.

Skręcili w lewo, wychodząc poza róg, i nagle wszystko się zmieniło. Teren wyraźnie się podnosił. Było sucho. Długi prosty tunel wypełniony był ludźmi. Kobiety, starcy i dzieci, wynędzniali, wszyscy pogrążeni w dziwnej niemocy i z przerażeniem wypisanym na twarzy. Opatuleni kołdrami i kocami, przepasani bagażami, oparci o sterty waliz, dziecięcych wózków, kufrów i plecaków napakowanych dobytkiem. Wszyscy spoczywali pogrążeni

w dziwnej apatii, jakby złożeni tą samą nieuleczalną chorobą: smutku, rezygnacji i zniechęcenia.

Na widok dwóch nowych przybyszy ta szara ludzka masa na chwilę drgnęła i ożyła, jakby przeszył ją podskórny impuls, ale po chwili znowu zapadła się w sobie.

Abell pomyślał, że ci nieszczęśnicy szukali tu ucieczki przed terrorem panującym na powierzchni. Na jak długo? Na kilka godzin, na dwa dni? Było przecież tylko kwestią czasu, zanim Rosjanie odkryją to podziemne miasto w mieście.

Uwagę Abella przyciągnął mężczyzna siedzący na rzeźbionym gdańskim fotelu. Miał nagi, umięśniony tors. Najwyraźniej nie czuł zimna. Po piersiach spływał mu oleisty pot. Jedna noga obuta była w żołnierski but z ćwiekami na wierzchu, druga w czerwony pantofelek damskiej proveniencji. Na głowie sterczała mu korona wycięta z kartonu. Trzymał przed sobą rękę wyciągniętą w nazistowskim pozdrowieniu, sztywno, jakby podtrzymywała ją stalowa szyna niewidoczna dla oka. Spod korony patrzyły na Abella rozbiegane oczy szaleńca.

– *Ave Caesar! Ave Hitler! Morituri te salutant!* – krzyczał wysokim, prawie kobiecym głosem. – *Ave Caesar! Ave Hitler!* – powtarzał w kółko jak zdarta płyta.

Na ich widok od ściany oderwała się jakaś młoda, ładna dziewczyna.

– Potrzebuję jedzenia dla dziecka. – Wskazała ręką na wózek pod murem. – Mleka, czegokolwiek. Zrobię wszystko, co chcecie... Wszystko!

Abell pokręcił przecząco głową.

– Zrobię wam dobrze. Potrzebuję jedzenia – nie ustępowała.

Radca sięgnął do kieszeni i wyciągnął pasek czekolady.

– Bóg zapłać! – Dziewczyna przypadła do jego ręki i obsypała ją pocałunkami.

– Wunderwaffe! Będzie ogień. Wielki ogień! – zegnały ich za plecami okrzyki szaleńca.

Szli wzdłuż tunelu obrzucani spojrzeniami żywych trupów. Po prawej zauważyli obmurowane wejście z kilkoma żeliwnymi schodkami.

– To tutaj? – zapytał Kukulka.

- Nie, to dopiero UFA Palast<sup>[20]</sup> – odparł Abell, zerkając na mapę.
- Kurewsko tu zimno. – Kukulka szczelniej owinął się kapotą.
- Górą byśmy nie przeszli, cała Elisabeth-Kirchengasse jest pokryta gruzami. To powinna być już następna przecznica.

Doszli do końca tunelu i skręcili pod kątem prostym w prawo. Posuwali się teraz wzdłuż Raduni w stronę Pfefferstadt. Uszli jeszcze kilka metrów i Abell ponownie sięgnął po mapę.

- Jesteśmy na miejscu – powiedział i skinął głową Kukulce.

Wachmistrz wdrapał się na barki Abella i naparł rękoma o właz. Ku jego zdumieniu kłapa nawet nie drgnęła.

- Co jest? – Abell spojrział ku górze.

- Nie wiem. Może tam też leży gruz. Jak zaspawana.

Perspektywa powrotu przez duszny tunel wydała im się na tyle zniechęcająca, że wznowili wysiłki. Kukulka ponownie naparł z całej siły, ale właz nadal blokował wyjście.

Byli blisko rezygnacji, gdy nagle usłyszeli na górze warkot motoru. Przez szczelinę doleciał ich zapach spalin. Z ulgą wysłuchiwali odgłosu oddalającej się ciężarówki.

- Ruscy urządzili sobie parking na kłapie – mruknął Kukulka. – Musieli akurat tutaj. Szlag!

Ostrożnie uchylili właz i wygramolili się na powierzchnię. Z przyjemnością zaczerpnęli świeżego powietrza. Uważnie rozejrzeli się dookoła. Interesująca ich kamienica była trzypiętrowa i na pierwszy rzut oka wyglądała na nietkniętą przez wojnę. Rzeźbione drzwi, czyste tynki, ozdobna wieżyczka z hełmem na dachu. Oaza zamożnego mieszczaństwa. Matteus Clebba na pewno należał do gdańskiej socjety.

- Nieźle mieszka ten astronom – stwierdził wachmistrz, patrząc z podziwem na dom.

- Astrolog – poprawił go Abell.

- Przecież mówię.

Weszli w bramę. Żelazna furta była uchylona, a może dozorca uciekł i zabrał klucze ze sobą. Kamiennymi schodami weszli na pierwsze piętro pod numer

dwunasty. Na drzwiach wisiała mosiężna tabliczka: Dr. Matteus Clebba.

– Ale o tym, że jest astronomem, ani słowa – zauważył Kukulka i spojrzął na Abella znacząco.

Radca przycisnął dzwonek. Słyszeli jego terkoczący gong po drugiej stronie drzwi. Potem powolne szuranie, wreszcie blik otwieranego judasza.

– Kto tam?

– Ludzie potrzebujący nadziei – powiedział Abell.

– Nadziei najlepiej szukać w kościele – usłyszeli chrząknięcie po drugiej stronie.

– Ale przyszłość odsłania tylko nauka.

– Już się tym nie zajmuję...

– Przysłała nas wspólny znajomy. Jakob Lölgen.

Zapadła cisza. Mieli wrażenie, że słyszą, jak gospodarz ciężko oddycha. Kukulka już podwinął rękawy i sięgnął po łom, znaleziony w tunelu, ale Abell powstrzymał go ruchem ręki. Nagrodą za cierpliwość był cichy trzask zamka.

Matteus Clebba był w ciemnym fraku i nienagannie białej koszuli. Zmarszczki pokrywały jego twarz niczym podstępna pajęczyna, okupująca każdy wolny skrawek cery. Wysoko sklepione czoło pokryte było czymś w rodzaju białego talku czy pudru, jakby jego właściciel wybierał się właśnie na scenę lub seans spirytystyczny.

– Przepraszamy za najście, panie profesorze. Ale to sytuacja nadzwyczajna. – Abell uprzejmie skłonił głowę.

– Już nie praktykuję, mówiłem. – Stary profesor przestąpił nerwowo z nogi na nogę.

– Mam nadzieję, że dla nas zrobi pan wyjątek. Jestem radca Abell. Obergruppenführer zapewniał...

– Proszę przestać! – Clebba rozejrzał się z przestachem, jakby sam tytuł esesmana Lölgena mógł sprowadzić nań kłopoty.

– Potrafimy się odwdziaczyć – nie ustępował Abell. – Dobrze zapłacimy w twardej walucie.

To przeważało szalę. Clebba wahał się jeszcze przez chwilę, ale wizja grubego zwitka banknotów musiała podziałać na jego wyobraźnię obezwładniająco.

– Moje usługi rzeczywiście nie są tanie – powiedział i wskazał im drogę do salonu.

– To się rozumie samo przez się. Usługi tak wyjątkowe wymagają stosownej opłaty.

– Jest jeden kłopot. Mam u siebie kilku gości. Musicie panowie poczekać na swoją kolej.

– Mówił pan, że już nie praktykuje – włączył się Kukulka.

– To rodzina. – Profesor uśmiechnął się przepraszająco.

– Rozumiemy, rodzina to dziś wartość najcenniejsza – powiedział Abell. – Oczywiście, poczekamy.

– Tędy, panowie.

Astrolog wprowadził ich do saloniku. Nie było to typowe pomieszczenie. Wszystkie ściany pokryto czarną tapetą w wytłaczane wzory, Christian przejechał placem po tkaninie. Miał wrażenie, że pod opuszkami wyczuwa masońskie symbole: kielnie i oczy Boga. Clebba był nie tylko astrologiem, ale i wolnomularzem? To ciekawe, biorąc pod uwagę jego zażyłe koneksje z gdańskim SS. Czarny zakon nie cierpiał konkurencji, masoni byli solą w oku nazistów.

Pomieszczenie sprawiało wrażenie wysmakowanego, choć urządzono je oszczędnie. Główną ozdobą była empiryczna komoda z orzechowego drewna. Stało na niej kilka chińskich waz niezwyklej urody, pokrytych reliefem niebieskich wzorów i dekoracji.

Na małym stoliku stało kilka zdjęć oprawionych w srebrne ramki. Na pierwszym z nich Clebba, w eleganckim ciemnym fraku, stał obok mężczyzny w białym mundurze o chmurnym, wyniosłym wejrzeniu. Gauleiter Albert Forster, wszechwładny pan życia i śmierci w Gdańsku i na Pomorzu Zachodnim. Abell rozpoznał miejsce widoczne na fotografii: ciemne tkaniny w wytłaczane wzory. Fakt, że Forster bywał w domu Clebby, stanowił na pewno informację wartą zapamiętania. Czego tu szukał? Przepowiedni o własnym losie? Czy wróżby o przyszłości władanego przez siebie miasta?

Na drugim zdjęciu Clebba trzymał w mocnym uścisku dłoń nieznanego radcy mężczyzny o dyskretnym uśmiechu, błąkającym się w kąciку ust. Miał fizjonomię inteligenta z drucianymi okularami na czubku długiego nosa. Abell

przybliżył fotografię do oczu. „Drogiemu towarzyszowi z tej samej galaktyki, oddany Wilhelm Wulff”. Ach tak, to osobisty astrolog Reichsführera SS. Czytał o nim w gazecie angielskiej, przemyconej przez marynarzy z rotterdamskiego portu.

Uwagę Abella przyciągnęła także podręczna biblioteczka astrologa. Regał ugiął się od opasłych tomów i starodruków w oprawach ze złotymi tytułami tłoczonymi na grzbietach. Pachniały starym papierem, kurzem i cielejącą skórą. Emanowały ową szczególną aurą, towarzyszącą tylko starym książkom, które wiodły tajemny żywot, będąc czymś zdecydowanie więcej niż tylko epizodem w życiu swoich właścicieli.

Były tu rzadkie wydania słynnego dzieła francuskiego astrologa i okultysty Michela de Nostredame, zwanego Nostradamusem – *Les Prophéties*. Obok siebie w zwartym szeregu stały wydania francuskie, pierwsze z 1672 roku, niemieckie, angielskie, a nawet rosyjskie, wydrukowane w oficynie księcia Golicyna w Petersburgu. Książka ta, zawierająca 942 poetyckich czterowierszy, rzekomo przepowiadających przyszłość, stała się niezwykle popularna nie tylko w Niemczech, ale także w całej podbitej Europie. Ludzie szukali w niej podpowiedzi, co przyniesie im przyszłość. Jedno z takich wydań Abell miał we własnej bibliotece.

Półkę niżej zajmowały niemieckojęzyczne wydania przepowiedni królowej Saby. Najbardziej kunsztowne z nich, ciężkie tomiszczce na czerpanym papierze, opatrzone było osobistym exlibrisem Daniela Chodowieckiego. Musiało więc pochodzić z osobistego księgozbioru cenionego artysty. Obok leżała cała sterta prac naukowych, manuskryptów i notatek, wypełnionych krągłym, kaligraficznym pismem. Co ciekawe, były wśród nich także prace Carla Gustava Junga i Siegfrieda Freuda, będących na indeksie w III Rzeszy.

– Już jestem do panów dyspozycji, pożegnałem gości. – Abell usłyszał głos za swoimi plecami. – Widzę, że interesuje pana okultyzm.

– Raczej nie. Jestem racjonalny do szpiku kości. Mam jednak słabość do bibliotek.

– To cecha ludzi kulturalnych.

– W moim przypadku raczej zboczenie zawodowe. Jestem policjantem. Oglądam księgozbiory, bo w moim przekonaniu często definiują one ich



właścicieli. Ze zbiorów zgromadzonych na półce można nieraz więcej wywnioskować o ich właścicielach niż z akt sądowych czy protokołów przesłuchania.

– A czegoż dowiedział się pan o mnie?

– Typ pasjonata, poważnie podchodzącego do swojej pracy. Człowiek nieuznający w nauce żadnych barier ani przesądów. Umysłowość metafizyczna, a jednocześnie pragmatyczna. Kolekcjoner rzeczy pięknych, ale także ważnych znajomości, które mogą pomóc w życiu i karierze.

Obaj powędrowali wzrokiem do zdjęć na komodzie.

– Nieźle jak na kilkuminutową wizję lokalną. – Clebba pokiwał głową z udawanym podziwem. – Mimo wszystko uważa mnie pan za kogoś w rodzaju szarlatana, prawda?

– Nie wierzę w związek przyczynowo-skutkowy pomiędzy postępowaniem ludzi tu, na Ziemi, a układem planet, jeśli o to profesor pyta.

– To dość powszechna postawa, niestety błędna. Dam panu przykład. Lekarz, aby ułatwić sobie postawienie diagnozy, wysyła nas do laboratorium. Tam pobierają nam krew albo badają inne wydzieliny naszego organizmu. Po powrocie z laboratorium wręczamy medykowi kartkę z wynikami badań. To nic innego jak zestaw liczb i symboli. Jednak dla lekarza to informacja o stanie naszej krwi i zdrowia. Dlaczego? Ponieważ studiował on medycynę, posiadał arkana trudno dostępnej wiedzy, natomiast przeciętny człowiek nie może wyrokować o swojej krwi na podstawie dziwnych znaczków na kartce z laboratorium. Podobnie jest z astrologią. Horoskop, czyli mapa nieba widzianego z Ziemi w chwili czyjegoś urodzenia, stanowi informację dla osoby wykształconej w tej dziedzinie, czyli dla astrologa. Rysunek horoskopu jest dla mnie obrazem różnych energii na niebie. W astrologii zakłada się, że wzajemne układy energetyczne tam, „na górze”, są takie same jak układy energetyczne człowieka urodzonego w danej chwili tu, „na dole”. I nauczyliśmy się tę zależność odpowiednio czytać i interpretować.

– Nie mogę odmówić pewnej logiki temu rozumowaniu – powiedział Abell. – Pod warunkiem jednakże, że to podstawowe założenie astrologii ma wartość naukową.

– Zdziwiłby się pan, jak wielu ludzi posługuje się wiedzą astrologiczną. Jeszcze do niedawna oddziaływanie planet na ciała fizyczne było przyjmowane przez większość uczonych, łącznie z Tomaszem z Akwinu, jakby nie było największym filozofem chrześcijaństwa, za pewnik. Podam jeszcze jeden przykład. Wyobraźmy sobie, że do klasy wchodzi nauczyciel. Czy wtedy obserwujemy jakieś zmiany w zachowaniu dzieci? Albo inaczej, wyobraźmy sobie, że na wielkim placu pojawia się przywódca lub nauczyciel duchowy.

– Taki jak Hitler lub Forster?

– Chociażby. – Na twarzy Clebby pojawił się rumieniec. – Czy zgodzimy się, że ludzie są wtedy poruszeni, zelektryzowani? A może zachwyceni czy wręcz zainspirowani? I tak jak zmienia się zachowanie tłumu, gdy na trybunę wchodzi wódz, tak zmienia się zachowanie Ziemi, gdy w pobliżu naszej planety przesuwają się ciała niebieskie.

– Dlaczego nie przywołuje pan niezwykłych umiejętności swojego przyjaciela, Wilhelma Wulffa? Podobno potrafił nawiązywać kontakt z duchami germańskich przodków i czerpać moce z istot nadprzyrodzonych? Ponoć Himmler radził się go przy podejmowaniu wszystkich ważniejszych decyzji. Ciekawe, jak to się stało, że zarówno sam Reichsführer, jak i Tysiącletnia Rzesza stoją dziś nad przepaścią.

– Wyczuwam sarkazm w pana głosie – oznajmił poważnie astrolog. – Niepotrzebnie. Profesor Wulff pozostaje wierny swoim przekonaniom. Zapłacił za nie pobyt w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen. Wsadzono nas tam wszystkich po nocy długich noży w trzydziestym czwartym. To nie my się zmieniliśmy, tylko naziści zaczęli nas nagle potrzebować. Powtarza pan stereotypowe bajki. Słyszemy to, co chcemy słyszeć.

– To prawda, że Wulff sporządził horoskop dla Hitlera?

– Sporządziliśmy go razem... – Profesor urwał na chwilę.

– I co z niego wynika? – zaciekał się Kukulka. – Znam gościa.

– Wiąże mnie tajemnica, taka sama jak lekarska. – Profesor spojrzął na wachmistrza z niedowierzaniem.

– Nie chodzi o szczegóły. Kiedy Führer nas od siebie uwolni?

– Mogę powiedzieć tylko tyle, że nie zginie w bombardowaniu ani wskutek zamachu. Los Adolfa Hitlera do końca spoczywać będzie w jego własnych

rękach.

– To interesujący punkt widzenia, doktorze, i w innych okolicznościach chętnie podjąłbym polemikę, ale goni nas czas – przerwał mu Abell.

– To ja przepraszam – zreflektował się Clebba. – Już biorę się do pracy. Poproszę o dokładne dane dotyczące urodzin. Datę, nawet godzinę.

– Nie przyszliśmy tu po horoskop – powiedział Abell.

– Nie? W takim razie czemu zawdzięczam tę wizytę? – Profesor wyglądał na zaniepokojonego. W jego oczach znowu pojawiło się skupienie. – Powołali się panowie na przyjaźń z Jakobem...

– Nie mówiłem nic o przyjaźni.

– Tak to zabrzmiało.

– Słyszemy to, co chcemy słyszeć.

– W takim razie powtórzę pytanie. Jeśli nie przyszliście po horoskop, to po co?

– Interesuje nas pewien zbiór, taka symboliczna biblioteka. Może nie tak wysmakowana jak ta w pańskim salonie, ale ważna dla wielu ludzi.

– Nie bardzo rozumiem. – Clebba był coraz bledszy. Powoli docierało do niego, że ci dwaj mogą być dla niego zagrożeniem.

– Szukamy archiwum gauleitera Forstera. Zawiera cenne informacje. Od Jakoba Lölgena wiemy, że gauleiter ukrył je w Gdańsku albo w jego pobliżu. Musimy je odnaleźć. Nie cofniemy się przed niczym, profesorze, jeśli wie pan, o czym mówię.

– Grozi mi pan? – zapytał zmienionym głosem astrolog.

– Oczywiście. – Abell nonszalanckim ruchem wyciągnął lugera i położył przed sobą na stole.

Astrolog potrząsnął z niedowierzaniem głową. Uchronił się przed bombardowaniami i ostrzałem artyleryjskim. Ocalił swój drogocenny zbiory. W piwnicy miał zapas żywności na pół roku. Nie opuścił Gdańska tylko dlatego, że nadal czekał na wiadomość od syna. Był czujny, ostrożny i przewidujący. Potrafił czytać w gwiazdach i przewidywać przyszłość. A teraz wpuścił węża do własnego gniazda?

Przez chwilę wodził oczami za wachmistrem, który sprawiał wrażenie słonia poruszającego się w składzie porcelany. Kukulka podszedł do komody z wazami. Podniósł do góry jedno z naczyń, jakby chciał znaleźć pod spodem sklepową metkę. Wykonał przy tym dziwny, niezgrabny ruch, jakby naczynie miało wymsknąć mu się z rąk.

– Proszę uważać! – krzyknął profesor. – To drogocenna waza z epoki Ming.

– Przecież wiem, od razy widać, że to Ming. – Kukulka wyszczerzył się w grymasie, który miał być uśmiechem. – Tylko one, kurwa, te Mingi, jakieś takie strasznie kruche są. Nie uważa pan?

– Ostrożnie. Błagam!

– Spokojnie, nic Chińczykowi nie zrobię.

Astrolog nie spuszczał oczu z wachmistrza, dopóki nie odłożył on naczynia na miejsce.

– Jesteśmy tutaj, bo może pan nas naprowadzić na trop archiwum – kontynuował Abell.

– Skąd to przypuszczenie? – Clebba niechętnie spuścił wzrok z wachmistrza.

– Nie jestem w SS. Przez pewien czas utrzymywałem osobiste kontakty z Lölgenem... Bardziej z musu niż z sympatii. Mam tylko jedno dziecko, syna Hansa. Zgłosił się na ochotnika do Waffen-SS. – Słowo „ochotnika” wymówił tak, jakby sprawiło mu ono osobistą przykrość.

– Dopiero co mówił pan o Lölgenie per Jakob.

– Nie ukrywam przecież, że się znamy. – Astrolog przetarł czoło chusteczką. Ten zimnokrwisty policjant zaczynał mu działać na nerwy. – Kilka razy odwiedził mnie tu z Forsterem. Jakob był blisko gauleitera, nawet bardzo. Kiedy dowiedziałem się, że Hans wybrał służbę w oddziałach SS, sam zacząłem szukać kontaktu z Lölgenem. Miałem nadzieję, że wyproszę, aby nie wysyłano mojego syna na front wschodni.

– I co, udało się?

– Nie od razu, ale tak. Wiem, że stacjonuje na Pomorzu, od kilku tygodni nie mam z nim kontaktu.

– Kiedy widział pan ostatni raz Forstera? – Abell postanowił wrócić w tej rozmowie na właściwy tor.

– Chyba w styczniu, tak pod koniec miesiąca, już po rozpoczęciu ofensywy sowieckiej. Forster pragnął zamówić horoskop dla Gdańska. Chciał wiedzieć, kiedy Rosjanie zdobędą miasto. Odmówiłem.

– Dlaczego? Nostradamus przewidział ścięcie króla Ludwika XVI. Podobno także wybuch Wielkiej Wojny.

– Nie jestem Nostradamusem. Poza tym nie można stworzyć horoskopu dla całego miasta. Jak miałyby wyglądać taka tablica? To absurd. Tłumaczyłem już panu, jak to działa. Powtarzam, nie znam żadnych tajemnic Forstera ani tym bardziej SS. To prawda, razem z Wulffem pracowałem dla nazistów. Forster umyślił sobie, że pójdzie w ślady Reichsführera, który mu imponował nie mniej niż Hitler.

– Forster nie chciał osobistego horoskopu?

– Nie. Był na to zbyt tchórzliwy. Dlaczego mi nie wierzycie? Zapytajcie Lölgena.

– Niestety, on nic już nie powie. Ma wyrwę w skroni wielkości guldena. Jego narzeczona też. Przed śmiercią wspomnieli o panu w kontekście archiwum. Dlatego tu jesteśmy. À propos, nie boi się pan śmierci? Przecież ma pan dla kogo żyć. Wspomniął pan o synu. Nie warto tak głupio umierać w imię jakiegoś kufra z papierami, choćby najbardziej tajnego. Powiedziałem już, że nie możemy wyjść z niczym. Tak to zostało zapisane gdzieś w gwiazdach.

– Boję się śmierci jak każdy. Ale nie wiem nic o archiwum. Naprawdę nic!

– A jednak tuż przed śmiercią Lölgena przywołano pana osobę. – Abell spojrzał wymownie na Kukulkę, a ten wziął pistolet do ręki. – Wspomniano także o dwóch strażnikach. Czas na spowiedź, Clebba. Klepsydra przesypała się do końca. Życie albo śmierć. Wybieraj.

Astrolog klęknął na dywanie i skrzyżował ręce na głowie.

– *Cum tacent clamant*<sup>[21]</sup> – szepnął i zamknął oczy.

Wachmistrz podszedł bliżej i wymierzył lugera w głowę astrologa.

\*

Wracali tą samą drogą, pogrążeni w ponurym milczeniu. Ludzi w kanałach jeszcze przybyło, zwłaszcza kobiet. Zbijały się w małe grupki, czerpiąc otuchę

z poczucia tej małej wspólnoty. Wieści o polowaniu na „frauen” na powierzchni rozchodziły się widocznie z szybkością błyskawicy.

Byli już na wysokości UFA Palast, gdy Kukulka nagle przerwał milczenie.

– Myślisz, że ten szarlatan powiedział prawdę?

– Sprawdzimy. Wkrótce się okaże. Miał pistolet przy skroni.

Uszli kolejnych kilkadziesiąt metrów, uważnie omijając nieczystości płynące środkiem kanału.

– To nie takie pewne. Mógł się spodziewać, że go nie odstrzelę. – Kukulka nie wyglądał na przekonanego.

– Skąd takie przypuszczenie? – Radca obrzucił go uważnym spojrzeniem.

– Jeśli stawiał horoskop Hitlerowi, na pewno nie zapomniał o sobie, prawda? Każdy przecież chciałby wiedzieć, jaki czeka go koniec. I kiedy.

– Ja nie.

– No tak. Może to i racja.

Przyspieszyli. Wody w kanale ciągle przybywało. Zza betonowych ścian dobiegał ich głuchy pomruk, jakby podziemna rzeka wzbierała i szukała ujścia do tunelu. Abell z niepokojem spojrzał w górę. Stamtąd też dobiegał niepokojący szum, być może padało i dlatego woda w kanale tak gwałtownie przybierała. Musieli się spieszyć. Wolał nie myśleć o ludziach, których zostawiali za sobą. Sytuacja pogarszała się z minuty na minutę.

– Szybciej, bo nas zaleje! – krzyknął Abell.

Ostatnie sto metrów przebiegli. Za sobą słyszeli łoskot pędzącej wody. Minęła ich grupa ogromnych szcurów. Abell nigdy takich nie widział. Jeden z gryzoni próbował zaatakować Kukulkę i skoczył mu na plecy. Ten zerwał go z obrzydzeniem i rzucił o ścianę. Szcur nie zrezygnował, zaatakował ponownie, ale wachmistrz odgonił go wreszcie kilkoma dobrze wymierzonymi kopnięciami. Dotarli do kłapy pod Dworcem Głównym niemal w ostatnim momencie. Brodzili już po pas w wodzie. Radca zapał się nogami, a Kukulka wspiął się na jego barki. Podważył klapę, modląc się w duchu, aby nie stanęła im na drodze jakaś niespodziewana przeszkoda.

Płyta drgnęła i ujrzeli skrawek brudnego nieba. Odetchnęli z ulgą i wydostali się na zewnątrz. Mocno padało, strugi wody niemal natychmiast zniknęły

w szczelinach ulicy i kratkach kanalizacyjnych. Spojrzeli w dół, pod nimi, w otworze tunelu kłębiła się ohydna, śmierdząca kipiela.

Na szczęście ulica była pusta. Sowiecki patrol był ostatnią rzeczą, którą chcieliby teraz spotkać. Już dwukrotnie byli zatrzymywani, rewidowani i stawiani pod ścianą. Glejt od Denisowa czynił cuda, ale niepotrzebnie traciłby czas.

## 17.

Wjechali na wyspę zwirowaną drogą. Nadmorskie wydmy wyłaniały się z porannej mgły. Strzaskana barierka i budka strażnika dowodziła, że nie oszczędzono środków, by chronić ten teren. Dworek myśliwski Alberta Forstera<sup>[XIII]</sup> niewiele ucierpiał podczas sowieckiego ostrzału Gdańska. Drewniany budynek odznaczał się na tle jasnego nieba. Abell rzucił okiem na podręczny szkic sporządzony przez astrologa. Wszystko się zgadzało. W sąsiedztwie dworku stał oddzielny budynek mieszczący kuchnię i jadalnię. Radca spojrział na wschód i poczuł, jak żywiej zabiło mu serce. Na tle wydmy odznaczały się ciemne walce dwóch baraków. To tutaj!

Przypomniawszy sobie słowa Clebby.

– Nie wiem, gdzie to ukryli. Gdybym jednak miał szukać, to zacząłbym od dworku Forstera w Wordel na Wyspie Sobieszewskiej. Stoją tam dwa baraki, podobno naziści zwozili tam tajne archiwa i materiały.

Tajne archiwa i materiały... Czy astrolog mówił prawdę? Czy podrzucił im tylko nic niewart ochłap, aby się ich pozbyć, a następnie zniknąć bez śladu? A może jednak uśmiechnęło się do nich szczęście i wreszcie znaleźli igłę w stogu siana? Czy dostaną do ręki klucz do wolności własnej i Piotra Morela?

Był tylko jeden sposób, aby to sprawdzić. Postanowili zacząć od dworku Forstera. Z zewnątrz nie wyglądał zbyt okazale, biorąc pod uwagę megalomanię gauleitera. Zbudowany z modrzewia budynek przypominał leśniczówkę jednego z wschodniopruskich junkrów. Abell wiedział jednak, że to tylko złudzenie. Na początku lat trzydziestych, gdy Forster nie był jeszcze udzielnym panem Gdańska, radca interesował się okolicznościami powstania

dworku. Do władz miasta wpłynął donos na Forstera, zarzucono mu, że wszedł w posiadanie działki w Wordel nielegalnie i że postawił budynek za pieniądze uzyskane z łapówek.

Kripo było jeszcze wtedy w miarę apolityczne, Abellowi zlecono wyjaśnienie tej sprawy. Okazało się, że działkę zgodnie z prawem podarował mu jeden z sympatyków NSDAP, a sam domek wybudowano ze środków jego zamożnej żony. Wszystko odbyło się więc *lege artis*, przynajmniej w świetle dokumentów, do których miał dostęp Abell. O dworku było wtedy głośno w gdańskiej prasie. Dochodzenie umorzono, donos trafił do kosza. Radca zapamiętał jednak ówczesną wizytę w domu Forstera. Duże wrażenie zrobiło na nim główne pomieszczenie na parterze, tak zwana Sala Gotów, z kominkiem i kasetonowymi boazeriami na ścianie. Wyposażono ją w szafy gdańskie, bogato zdobione meble w stylu skandynawskim oraz kilka wysokiej klasy obrazów.

Weszli przez potrzaskaną bramę wjazdową. Wszędzie, na metalowych elementach bramy, na kratkach w oknach, widniały swastyki. Widać było, że Forster opuszczał swoją siedzibę w pośpiechu. Teren wokół domu usłany był strzępami papierów, rozwleczonych przez wiatr śmieci i części wojskowej garderoby. Na podłodze wałało się kilka maszyn do pisania marki Astra i Continental.

Weszli do dworku i stanęli w progu. Krzesła i meble leżały na podłodze w nieładzie, jakby rozrzucił je po wnętrzu jakiś wybuch. W kominku zalegał stos zwęglonych dokumentów. Abell podszedł bliżej i rozgarnął popiół czubkiem buta. Nadpalone dokumenty urzędowe, stosy czystych blankietów legitymacyjnych NSDAP, wykazy z pieczęcią skarbnika partyjnego. Dyplom honorowy dla Hildegardy Trude za urodzenie sześciorga dzieci „ku chwale i pożytkowi Tysiącletniej Rzeszy Niemieckiej”. Rachunek z kuchni za zamówienie sześciu kapłonów i dwóch kilogramów kawy Meinla na przyjęcie noworoczne dla załogi rezydencji w Wordel. List gratulacyjny dla Heiko Kimmicha z wartowni w Wordel za „wzorowe zaangażowanie w zbiorce na rzecz Pomocy Zimowej”...

Abell pomyślał, że razem z Kukulką przypominają ostatnich świadków starego ładu. Nie utożsamiali się z nim, przynajmniej nie w pełni. A jednak



długo stanowili część tego świata, którego nadwątlone resztki dogorywały w tym paradnym kominku.

Spojrzeni w górę. Na rzeźbionych belkach stropowych widniały fantazyjne swastyki wryte w modrzewiowym drewnie.

– Podobno zaprojektował je sam Hitler – powiedział Abell.

– Przypominają haczyki do weków – odparł Kukulka. – Wielka mi sztuka! Tak to i ja potrafię.

Po rzeźbionych schodach weszli na górę. Mieściły się tu sypialnie Forsterów i pokój gościnny. Małżonkowie mieli oddzielne sypialnie. Łóżko gauleitera było posłane: tłoczona kapa równo naciągnięta po rogach, beżowa poduszka z nieodłączną swastyką, w nogach zwykły koc w norweskie wzory. Obok łóżka stało proste sosnowe biurko. Znajdowała się na nim tylko jedna fotografia w srebrnej ramce. Przedstawiała młodego Alberta Forstera z wizytą w nowej kancelarii Rzeszy. Widać było ogrom gabinetu Führera, gigantycznej przestrzeni z marmuru i kamienia, prześwietlonej światłem bijącym z wysokich po sufit okien. Gauleiter, w pełnej unizoności pozie, składał hołd swojemu bogu i pryncypałowi. Hitler z przyjaznym uśmiechem ścisnął dłoń młodego działacza władającego miastem, od którego rozpoczął się wielki marsz ku tysiącletniemu imperium.

W przepastnej szafie wisiały w równym rzędzie dziesiątki garniturów i fraków z najlepszej wełny angielskiej, czarne, granatowe i w kolorze marengo; dwurzędowe i zapinane na rogowe guziki, w kształcie tuby i w kraciasty wzór myśliwski. Obok znajdowały się stroje paradne i urzędowe. Najczęściej białe na wzór uniformów, które spopularyzował marszałek Rzeszy. Z szerokimi wyłogami, zdobione naszywkami i baretkami na piersi. Abell pamiętał, że gauleiter lubował się występować w takich strojach podczas wystąpień publicznych. Zapewne jeden z nich miał na sobie podczas capstrzyku przed Dworem Artusa, kiedy to po raz ostatni widział Forstera. Zapamiętał jego młodzieńczy wygląd, nalaną twarz i słowa, które wyrzucał z siebie jak pociski.

– To tutaj, w Gdańsku, zaczął się nasz wielki marsz! Po wojnie stanie tu pomnik zwycięstwa, najwyższy w całej Rzeszy, a poświęci go Adolf Hitler! Führer mi to osobiście obiecał! Idą nowe, wspaniałe czasy!

Abell zamknął szafę, to targowisko nikomu już niepotrzebnej fanfaronady, pychy i próżności.

Wszedł, po czym doszedł do drzwi zamykających korytarz. Pchnął je i drgnął zaskoczony. Mały pokój z oknem wychodzącym na zatokę mieścił teatrzyk lalkowy. Oniemiałym wzrokiem wpatrywał się w galerię kolorowych pacynek. W klaunów o kolorowych nosach, krasnali w spiczastych czapkach, księżniczki w balowych sukienkach. Wizja wszechwładnego gauleitera bawiącego się po pracy lalkami wydała mu się wręcz nierzeczywista.

Zszedł na dół do Sali Gotów. Tu czekał już na niego Kukulka.

– Nic tu nie ma – powiedział wachmistrz, tocząc wzrokiem po pomieszczeniu. – Wszystko zdążyli wyczyścić lub spalić w kominku. Zresztą Clebba mówił o schronie, nie o domku myśliwskim.

– Nie zaszkodzi sprawdzić całą rezydencję.

– Jasne. Gdzie teraz?

– Obok dworku stoją dwa baraki. Warto je też odwiedzić. Widać po tym bałaganie, że Forster opuszczał dom w pośpiechu. Może zostawił coś, co naprowadzi nas na trop.

– Czego szukamy?

– Wszystkiego, co może mieć dla nas jakąś wartość. Skrzyni z dokumentami, kasetki, sejfu. Ale także jakiegoś pliku dokumentów w postaci katalogu czy spisu nazwisk. Nawet pojedynczego świstka, który może okazać się wskazówką. Miej oczy szeroko otwarte. To nasza jedyna szansa. Jesteśmy tu jako pierwsi. Więcej tu nie powrócimy. Aż dziwne, że Rosjanie jeszcze tu nie dotarli.

– Może nie zdążyli wytrzeźwieć.

– Nie doceniasz ich.

– To zwierzęta. Widziałeś ich w akcji.

– Nie upraszczaj. Denisow i Charko są inni. Inteligentni, bystrzy, wykształceni. Wiedzą, czego chcą. Nie lekceważę ich.

– Ty tu rządzisz. Dla mnie gość, który nosi na ręku dziesięć zrabowanych zegarków i nie wie, do czego służy spluczka w kiblu, to zwykła małpa, która niedawno wyszła z tajgi.

– W tajdze nie ma małp.

– W Związku Sowieckim podobno wszystko jest. A jak nie ma, to ukradną.

Baraki przykryte wielką czapą śniegu wyglądały obco jak białe piramidy zabłąkane na nizinnej krainie. Musieli użyć znalezionych desek jako łopat, aby odśnieżyć wejście. W nocy mocno padało. Abell miał wrażenie, że ktoś ich jednak wyprzedził. W niektórych miejscach widzieli dziury w śniegu, jakby ktoś pokonywał tę drogę przed nimi, zanim zmieniła się pogoda.

Metalowe drzwi nie wyglądały zbyt zachęcająco. Kukulka musiał nieźle się natrudzić, aby je wreszcie otworzyć wytrychem.

Weszli do środka. Abell rozejrzał się i nagle poczuł skok adrenaliny. Pod ścianą baraku wyrastała nieforemna bryła przykryta wojskowym brezentem. W jednym z rogów tkanina odsłaniała brzeg kufra z mosiężnymi okuciami. Astrolog nie kłamał? Miał dobre przeczucia? Już na początku drogi znaleźli archiwum Forstera? Wprawdzie nie w bunkrze, o którym wspominał Clebba, ale jaka to różnica?

Dlaczego gauleiter go ze sobą nie zabrał? Było zbyt ciężkie i nieporęczne? Nie zmieściłoby się na wojskowej motorówce uwożącej go wraz z żoną i świtą na Hel? Na pewno nie zapomniał o podręcznym bagażu wypełnionym złotem, kosztownościami i walutą. A może obawiał się, że cenny ładunek zostanie storpedowany i pójdzie na dno, tracąc w ten sposób jakąkolwiek wartość jako moneta przetargowa?

Denisow powiedział mu, że Rosjanie znaleźli świadka tej ewakuacji. Podobno Forster wyklócał się z oficerem Wehrmachtu, chciał zabrać ze sobą zrabowane z Gdańska dzieła sztuki i cenne meble. Był wściekły, gdy spotkał się z odmową. Te precjoza były dla niego ważniejsze niż archiwa? To było nawet logiczne, biorąc pod uwagę jego zamiłowanie do zbytku. I jeszcze jedno pytanie, które tłuło mu się po głowie, od momentu wejścia do rezydencji w Wordel. Dlaczego Rosjanie jeszcze nie spenetrowali tego miejsca? Nie wiedzieli, że Forster miał tu swoją rezydencję? To możliwe, ostatecznie dopiero co zdobyli miasto. W takim razie kto buszował tu przed nimi? Niedobitki Volkssturmu, ktoś z obsługi rezydencji szukający pozostałości po dawnej chwale?

Podszedł do zakrytego stosu i jednym ruchem ręki ściągnął brezent. Wstrzymał oddech. Przed nimi ukazał się spiętrzony stos kufrów i skrzyń. Niektóre z nich opieczętowano ukośnym napisem „Tajne”. Z boku, na cementowej podłodze walały się szczątki potrzaskanych ram od obrazów, kilka fajansowych waz, mnóstwo kafli z Delf, jakaś muzealna drobnica, zwieziona tu niegdyś, a później zostawiona na pastwę losu.

Pod butami Abella trzeszczały drobiny szkła. Wskazał Kukulce pierwszą ze skrzyń, a ten podważył jej wieko żelaznym łomem znalezionym w kącie baraku. Jeśli spodziewali się wielkiego odkrycia, to zawartość skrzyni musiała przynieść im rozczarowanie. Zawierała jakieś stosy litografii z wielką pieczęcią gdańskiego Stadtmuseum. W kolejnych leżały kilogramy urzędowych dokumentów: aktów ślubów i urodzin pochodzących z gdańskiego magistratu. Blankiety legitymacji NSDAP, dyplomy honorowe dla członków gdańskiego Waffen-SS. Kilka skrzyń zajmowały pliki świadectw czystości rasowej.

Nie tego szukali.

– To jakaś makulatura. – Kukulka otarł pot z czoła. – Przechowywali tu dokumenty urzędowe z magistratu i centrali NSDAP?

– Na to wygląda. – Abell pokiwał głową. – Rezydencja Forstera musiała im się wydawać idealnym miejscem dla zmagazynowania tych papierów. Obiekt leżał na uboczu i był strzeżony do ostatniej chwili. Blisko stąd do zatoki umożliwiającej ewakuację drogą morską.

– A te śmieci? – Wachmistrz wskazał na strzępy ram i ceramiczne skorupy.

– Zapewne przechowywali tu dzieła sztuki ze Stadtmuseum. Być może także co cenniejsze okazy z prywatnych kolekcji. To było bogate miasto. Ale akurat te zdążyli ze sobą zabrać...

Przerwał i pochylił się nad rumowiskiem. Odsunął ręką kawałki potłuczonych kafli, po czym wyciągnął spod spodu obraz wycięty z ramy. Abell spojrział na niego roziskrzonym wzrokiem. Znał to płótno. Wisiało w sali malarstwa Stadtmuseum. Należało niegdyś do kolekcji Jakoba Kabruna i stanowiło perłę gdańskiej placówki. Abell, lubiący malarstwo, czasami przychodził do klasztoru franciszkańskiego, by zatrzymać się przy tym obrazie i pokontemplować w milczeniu jego urodę. Malarz Daniel Schultz, twórca obrazów rodzajowych, należał do jego ulubieńców. *Ptasi gościniec*<sup>[22]</sup> spoczywał

teraz w jego rękach, zabrudzony odciskiem czyjś buta. Po chwili zastanowienia odłożył go w to samo miejsce.

Drugi barak był pusty. Stali na zewnątrz, wciągając mroźne powietrze i walcząc z wszechogarniającym zimnem. Tupali nogami i próbowali rozgrzać ręce, ale chłód przenikał do szpiku kości.

– Został nam schron, tylko jak go znaleźć? – Kukulka obrzucił ponurym spojrzeniem zaśnieżoną nieckę.

– Clebba powiedział, że schronu trzeba szukać na zachód od domku myśliwskiego. Musiał mieć wentylację, widziałem wywietrzniki w domku myśliwskim. – Abell zmarszczył czoło. – Myślę, że bunkra nie ulokowano zbyt daleko od domu. Nie miałyby to sensu. Miał przecież być schronieniem dla Forstera na wypadek ataku lotniczego. Po tej stronie jest woda, zostało nam więc tylko to małe wzniesienie. – Abell wskazał na biały pagórek oddalony od nich o kilkadziesiąt metrów.

Uparcie rozgarniali biały puch znalezionymi deskami. Wzniesienie było pokaźnych rozmiarów. Może zaczęli ze złej strony, w każdym razie po kwadransie ogarnęła ich rezygnacja. Nigdzie nie widzieli żadnego wjazdu czy drzwi wiodących do schronu. Mimo mrozu spływali potem. Abell zrzucił nawet z siebie płaszcz. Wreszcie, po kilku kolejnych minutach, deska radcy stuknęła o coś twardego.

– Nareszcie! – Kukulka westchnął z ulgą.

Ku ich zaskoczeniu wjazd nie był zamknięty. Z trudnością podnieśli metalowe drzwiczki. Do środka prowadziły kręte schodki.

– Zejdę pierwszy – powiedział Kukulka.

– Tylko ostrożnie. Coś tu za spokojnie.

– Jasna sprawa. Nie dam się zabić na sam koniec tej pieprzonej wojny. – Wachmistrz zaczął powoli schodzić, trzymając się poręczy.

Po minucie Abell stanął obok niego. W głąb prowadził wąski korytarz. Widzieli jego obłe ściany pokryte zmarzliną. Ostrożnie stąpając, uszli parę kroków. Latarka ledwo działała, jej blade światło ginęło w szarej czeluści tunelu. Radca pomyślał, że trzeba będzie zwrócić się do Rosjan o nowe baterie. Może także o galon nafty. Zapasy się kończyły, w domu pani Braun siedzieli najczęściej po ciemku. Już sama ta myśl wydała mu się odpychająca. Nie było

jednak wyjścia. Czy tego chciał, czy nie, działał na ich rozkaz. To była gra o życie – Piotra Morela i jego własne.

Po kilku metrach powolnego marszu okazało się, że ścieżka skręca pod kątem prostym. To wzbudziło nieufność Abella. Z reguły korytarz łączący budowlę z właściwym schronem był prosty, bez zbędnych załamania, które tylko wydłużały drogę ewakuacji.

Abell minął ostrożnie zakręt. Latarka prawie całkowicie odmówiła posłuszeństwa. Przed nim widniała ciemna czeluść tunelu. Zrobił następny krok i podniósł ostrzegawczo rękę.

– Co się dzieje? – usłyszał głos Kukulki za plecami.

Abell nie odpowiedział. Skierował gasnący snop światła pod nogi. Na szczęście nigdzie nie zauważył nic podejrzanego. Żadnej miny, zagrzebanego w piasku zapalnika.

Podniósł głowę i wtedy to zobaczył. Stalowy odciąg tuż koło jego prawej nogi. Biegający pod kątem od tyłu i wylaniający się z betonowej posadzki.

– Mina! – krzyknął, obracając głowę, aby powstrzymać Kukulkę przed postawieniem następnego kroku.

Było już jednak za późno. Poczuł, jak nadeptnięty przez wachmistrza odciąg się napręży, wibrując na jego nodze.

– Do tyłu, ale już! – krzyknął i chwycił w pól zaskoczony wachmistrz.

Runęli na ziemię. Trzymając go oburącz, Abell przeturlał się z nim za róg tunelu.

Wybuch był ogłuszający. Ściany tunelu zatrzęsły się w posadach, Christian miał wrażenie, że mury nagle pęcznieją i się unoszą. Z góry posypał się szary pył, był wszędzie: w oczach, ustach i uszach. Słyszeli stukot odłamków uderzających w ściany tunelu, budzące grozę miarowe staccato. Pojawił się nowy rozdzierający dźwięk, tak jakby tony betonu i cementu rozpruwane były wielkim wiertłem.

Abell zerwał się na nogi.

– Chodu! Do wyjścia! Zaraz wszystko się zawali.

Biegli pochyleni do drabinki. Kukulka wyraźnie kulał. Z tyłu gonił ich trzask pękającego stropu. Czuli gorący podmuch uderzający w ich plecy.

Wygramolili się na zewnątrz i ledwo dysząc, legli na śniegu. Świat wokół był bezdźwięczny. Abell widział gałęzie drzew kołyszące się na niebie. Wiatr targał nimi wściekle, ale on nie słyszał nic, nawet własnego serca, jak w niemym kinie. Dotknął ręką uszu. Palce miał we krwi.

Wachmistrz przekręcił głowę i spojrzał na radcę. Ten leżał z szeroko otwartymi oczami. Krwawił, pewnie oberwał jakimś małym odłamkiem.

– To pewnie była mina laskowa<sup>[23]</sup> – powiedział. – Straszne kurewstwo. Cud, że wyszliśmy z tego cało.

Radca spojrzał na wzgórek. Jego wierzchołek zapadł się, z wnętrza unosił się gęsty dym. Jeśli w schronie znajdowało się archiwum Forstera, to mogła po nim pozostać co najwyżej kupa gruzów.

Zwrócił wzrok ku niebu. Brudna powoła chmur zawisła nad wyspą. To nie był ich dzień.

# **Rozdział III**

## **Archiwum Forstera**



## 1.

– Powinienem was rozstrzelać! – Denisow nie ukrywał wzburzenia. Krążył po pokoju jak lew w klatce. – Doprowadziliście do wybuchu w schronie. Jeśli było tam archiwum, to właśnie wysadziliście je w powietrze!

– To była mina laskowa. Ciężka do zauważenia w ciemności – odparł spokojnie Abell.

Na szczęście bębunki mu jednak nie pękły i po jakimś czasie odzyskał słuch. Oberwał tylko małym odłamkiem w małżowinę uszną. Siedział sztywno na krześle, zastanawiając się, kiedy zamienią mu ten wygodny mebel na hak rzeźnicki. Oprócz Denisowa w pokoju był jeszcze milczący Charko i jakiś mężczyzna w nieokreślonym mundurze z demobilu.

– Trzeba było nas wezwać! – Na twarzy Denisowa pojawiły się czerwone plamy. – Przysłalibyśmy saperów. A nie, *job twoju mać*, działać na własną rękę. To nie Kripo! Jesteście na terenie okupowanym!

– To był przypadek. Nie możemy za każdym razem wzywać na odsiecz Armii Czerwonej – rzucił Abell. – To mogłoby nas zdemaskować. W tym mieście możemy coś osiągnąć tylko wtedy, gdy będziemy działać jako Niemcy, policjanci z Kripo. Dobrze o tym wiecie, dlatego nas wynajęliście.

– Wynajęliście? – Rozjuszony Denisow zatrzymał się na chwilę. – Wykonujecie moje rozkazy!

– Nie wykonuję niczyich rozkazów – odparował Abell. – Nie jestem pańskim podwładnym i nigdy nie będę. Zawarliśmy pewną umowę. Pomagam wam odnaleźć archiwum w zamian za życie i wolność mojego teścia.

– Własne też – powiedział kwaśno Denisow.

– Niech mnie pan nie straszy. Nie tacy jak pan próbowali. Nie mogłem przewidzieć tego, co stało się w schronie. To nie pierwsza mina, która wybuchnie w tym mieście. Jeśli chcecie kontynuować poszukiwania beze mnie, droga wolna, ale nie wróżę wam sukcesu. Każdy dzień zwłoki działa na waszą

niekorzyść. Te dokumenty może odnaleźć tylko ktoś taki jak ja i wachmistrz. Niemcy potrafiący dobrze pływać w tej mętnej wodzie.

– Jeśli już ich nie zniszczyliście.

– Nie sądzę.

– Skąd ta pewność?

– Nie pewność, a zawodowe przeczucie. To byłoby zbyt łatwe. Trop wiodący do bunkra wydaje się zbyt oczywisty. Myślałem nad tym... Jeśli to archiwum jest tak ważne dla Forstera i jego ludzi, to czy ukrywaliby je na terenie rezydencji gauleitera?

– Nie wiedzieliśmy o istnieniu tego schronu – zaprotestował Charko.

– Ale szybko wpadlibyście na jego trop. Jeśli nam się udało, to wam, z całym NKWD w odwodzie, tym bardziej. Nie, to archiwum spoczywa w innym miejscu. Nieoczywistym, dobrze ukrytym i zapewne równie pilnie strzeżonym. Przez strażników, o których wspomniała przed śmiercią kochanka Lölgena. Zresztą nie zastanawia was, dlaczego tak ważny esesman, jak Lölggen, nie uciekł wraz z Forsterem? Został, bo dostał taki rozkaz. Miał przypilnować, aby archiwum nie wpadło w niepowołane ręce. Strzegł tajemnicy. Jego kochanka wspomniała o strażnikach, dwóch, a nie jednym. Powtórzę raz jeszcze, to miejsce może znaleźć tylko ktoś taki jak ja. Znający to miasto jak własne brudne myśli.

W pokoju zapadła cisza. Abell miał świadomość, że zagrał *va banque* i że w tym momencie waży się ich przyszłość: Piotra, Kukulki i jego własna. Miał w ręku słabe karty, a jednak wewnętrzny instynkt i wieloletnie doświadczenie podpowiadały mu, że gra idzie o zbyt wysoką stawkę, by okupanci z niego tak szybko zrezygnowali. Oni też mieli swoje rozkazy i przełożonych. I z całą pewnością odpowiadali głową – tym razem własną – za odnalezienie archiwum Forstera.

– Dostanie pan jeszcze jedną szansę, Abell – odezwał się nagle Charko, przerywając ciężkie milczenie. – Nie dlatego że ma pan rację, ale dlatego że nam tak pasuje. Będzie pan szukał dalej, nie mamy przecież pewności, czy archiwum zostało zniszczone. Tyle że na innych już warunkach...

– To znaczy jakich? – Abell spojrzał mu prosto w oczy.

– Wspomoże was, obecny tu, porucznik Tadeusz Tomczak. To były pilot, ale teraz organizuje polską milicję w Gdańsku.

– Po co nam polski milicjant?

– Zna miasto, mieszkają w nim także Polacy, Kaszubi, nie wiem, czy to to samo... Może się wam przydać. Jest stąd, z Pomorza. Poza tym może być łącznikiem między nami. Nie chcecie się afiszować Armią Czerwoną? W porządku. Z Polakiem będzie wam bardziej po drodze, nie będzie się tak rzucać w oczy.

Abell nie po raz pierwszy pomyślał, że nie docenił Charki. Nie wyglądał na twarogłowego enkawudzistę. Raczej na żołnierza z dziejowej konieczności, inteligenta wsadzonego na siłę w mundur. Musiał mieć się przed nim na baczności. A przede wszystkim powinien unikać stereotypowego myślenia w ocenianiu Rosjan. Byli odmienni i ulepieni z innej gliny, podobnie różnili się przecież między sobą Niemcy i zapewne Polacy. Na jednym biegunie znajdował się ludowy psychopata Sierioża z katowni w szkole Goeringa, a na drugim muzealnik Charko, który pewnie czytywał do poduszki Dostojewskiego. Obaj Rosjanie grali w jednej drużynie i mieli jeden cel – ale wymagali zindywidualizowanego podejścia.

– Archiwum trzeba szukać po niemieckich śladach. Przecież wiecie, że żaden Polak nic tu nie pomoże – zaprotestował.

– Jesteśmy innego zdania – odparł Denisow i wstał z miejsca, po czym obciągnął mundur. – W jednym przyznam panu rację, Abell. Goni nas czas. Ma pan trzy dni na odnalezienie archiwum.

– Trzy dni? – powtórzył bezwiednie radca.

– Dokładnie. Po tym terminie nasza umowa przestanie obowiązywać. Jeśli się panu nie uda, sięgniemy po inne metody. Bardziej zdecydowane, własne...

– Ten słynny patent NKWD?

– Inne, ale nie mniej skuteczne. A teraz zostawimy was samych z porucznikiem Tomczakiem. Pogadajcie sobie. Może zmieni pan zdanie.

Rosjanie wyszli. Abell przez chwilę mierzył się wzrokiem z Polakiem. Tadeusz Tomczak był postawnym mężczyzną. Prosty nos wyrastał z twarzy o regularnych rysach. Krótko ostrzyżone włosy na skroniach już zdążyły przyprószyć się przedwczesną siwizną. Uwagę przyciągały jego ręce, wiszące

bezużytecznie przy ciele. Muskularne i zakończone żyłastymi dłońmi. Drzemała w nich jakaś utajona moc. Radca pomyślał, że mogłyby należeć do jednego z tych wiejskich siłaczy, którzy niegdyś wyginali podkowy na jarmarku końskim w jego rodzinnym Marienwerder.

– To nie był mój pomysł – powiedział wreszcie Tomczak. Mówił dobrze po niemiecku.

– Domyślam się. Wiem, kto tu rządzi.

– Nie w tym rzecz. Nie lubię Niemców. Obserwowałem przez lata, jak zmienili moje ukochane miasto w gniazdo szerszeni. Jak mordowali moich rodaków nad Piaśnicą i w Sztutowie. Przez wszystkie te lata nie spotkałem żadnego Niemca, który by powiedział „nie”: „Stop nazizmowi! Dość tego szaleństwa!”.

– Nie brałem udziału w tym, jak to pan określił, szaleństwie. Mam czyste ręce.

– Każdy schwytyany przez nas Niemiec twierdzi to samo. Same, kurwa, nieskalane duszyczki. Albo: nic nie mogłem zrobić. Tacy są najgorsi. Ci nijacy, bierni, przymykający oczy. Wolę spotkać nazistę z przekonania niż takiego konformistę jak pan.

– Nic pan o mnie nie wie.

– Nie muszę.

– Po co więc ta rozmowa?

– Zależy mi na odnalezieniu tego archiwum. Z pewnego... ważnego względu.  
– Polak zawahał się przez sekundę.

– Mnie także zależy z istotnego dla mnie powodu. Nie dogadamy się, poruczniku. Jeszcze nie zaczęliśmy, a już iskrzy między nami. Nie ma czasu na wzajemne podchody i przekonywanie się do siebie. Bez urazy, ale niech każdy idzie swoją drogą.

– Niech tak będzie. – Tomczak skinął głową. – Przekażę Rosjanom, że nic z tego. Pewnie będą wściekli, ale nic na siłę...

Motocykl zawodził na mrozie, dusząc się i krztusząc. Mijali uliczki pogrążone w ciemności, gdzieniegdzie tylko rozświetlane bladymi płomykami świec. W Oliwie nadal nie było wody ani elektryczności. Dzielnica przypominała wymarłą, ciemną pustynię. Niektóre domy na pewno były opuszczone. Świadczyły o tym powybijane szyby w oknach, przez które hulał mroźny wiatr.

Byli już o dwie przecznice od domu pani Braun, gdy na jezdni pojawił się jakiś człowiek. Dziwnie się poruszał, ciągnąc nogę po bruku, jak inwalida wojenny.

– Szlag! – rzucił Kukulka i nacisnął hamulec.

Motorem zarzuciło na lodzie. Przednim kołem zahaczyli o krawężnik, ale wachmistrzowi udało się zachować kontrolę nad pojazdem. Wyhamowali, stając w poprzek ulicy.

Inwalida gdzieś zniknął, jakby zapadł się pod ziemię.

– Coś tu śmierdzi – powiedział Abell, uważnie rozglądając się dookoła. – Mam wrażenie...

Nie dokończył. Pierwsza seria przeleciała im nad głowami. Słyszeli, jak kule biją w mur, obtłukując tynk elewacji. Przypadli do ziemi. Następna seria poszła niżej, Abell poczuł podmuch nad samą głową.

– Kurwa, wałą do nas jak do kaczek. – Wachmistrz rozpląszczył się na bruku.

– Strzelają z bramy tego domu naprzeciwko! – krzyknął Abell.

– Co robimy?

– Rozdzielamy się. Ja czołgam się za latarnię, ty do tego rowu. – Wskazał Kukulce zagłębienie przy drodze.

Czołgali się, szorując brzuchami po lodzie. Ostrzał się wzmagął. Kule gwizdały dookoła, odbijając się rykoszetem od bruku i lądując w śnieżnych zaspach na poboczu. Abell schował się za cokół latarni i wychylił ostrożnie głowę. Ogień prowadzono nie tylko z bramy. Widział rozbłyski także w oknie na pierwszym piętrze. Kto ich zaatakował? Rosjanie? Może wzięli ich za jakichś maruderów na wojskowym motocyklu? Skąd w takim razie wziął się ten inwalida, który ich zatrzymał na drodze? Nie, to raczej jakieś niedobitki Volkssturmu. Albo zwykła banda, szabrownicy, uliczne męty, które powyłaziły z dziur, czyhając na okazję.

Radca wychylił się i oddał z pistoletu kilka strzałów w okno. Niemal natychmiast przygwoździł go ogień z bramy. Strzelano z pistoletu maszynowego. Zaczynało być nieciekawie. Mały cementowy cokół, za którym ledwo się mieścił, stanowił kiepską ochronę i było tylko kwestią czasu, kiedy oberwie jakimś odłamkiem lub rykoszetem. Widział, że Kukulka próbuje kogoś trafić, ale po chwili zamilkł na dobre. Na pewno musiał oszczędzać amunicję, wzięli tylko po dwa magazynki.

Po drugiej stronie ulicy pojawiły się dwie postacie. Dwa długie, pochylone cienie widoczne w świetle księżyca, poruszające się skokami w ich stronę. Abell wystrzelił dwie ostatnie kule, ale powstrzymał ich tylko na chwilę. Napastnikom najwyraźniej znudził się ostrzał, a może bali się, że strzelanina zaalarmuje posterunki sowieckie.

Byli już o kilka metrów od niego. Jeden trzymał w ręku coś, co wyglądało na schmeissera. Drugi, kierując się w stronę rowu, strzelał nieustannie z biodra, zasypując kryjówkę wachmistrza gradem kul.

Po raz kolejny podczas tych kilku ostatnich dni Abellem owładnęło przeczucie końca. Zmasakrują ich tutaj, na tej opustoszałej ulicy? Bez świadków, bez historii, z nie wiadomo jakiego powodu? A potem zostawią w tej brudnej brei, pełnej śmieci i odpadków po tym upodlonym, zrujnowanym mieście?

W ułamku sekundy wszystko się zmieniło. Usłyszał krzyki, komendy w dziwnym języku, tupot żołnierskich butów. Kanonada dobiegała z wylotu ulicy. Pociski gwizdały jakoś inaczej, szybciej. Człowiek ze schmeisserem był od niego już tylko o kilka kroków. Niespodziewanie zniknął mu z pola widzenia jak marionetka pociągnięta mocno za sznurek.

Ostrzał z bramy i okna ustał jak ucięty nożem. Radca słyszał jakiś hałas dobiegający z tamtej strony. A potem kilka pojedynczych strzałów, po których zapadła cisza.

Abell wychylił głowę.

– Żyjesz? – krzyknął w stronę wachmistrza.

– Żyję! Tylko dupa mi przymarzła do tego lodu. Co to było?

Dobre pytanie. Abell opadł na wznak. Słyszał ciężkie kroki dobiegające od strony ulicy. Wóz albo przewóz.

– Milicja ludowa! – Na tle nieba pojawiła się głowa Tomczaka. – A jednak jesteście skazani na siebie, Abell.

– To wy? – Radca usiadł i wypluł śnieg z ust.

– Nie, Sodalicja Mariańska. A teraz zapraszam do siebie, a właściwie do mojej siostry. Napijemy się herbaty, pogadamy.

– Ale chyba nie do Polski? – Abell wstał, otrzepując się ze śniegu.

– Teraz tu jest Polska.

### 3.

Abell splatał pod stołem zmrożone ręce. Targały nim na przemian fale zimna i ataki gorączki. Mimo nieustannych zmian opatrunku rana na ręce ciągle się jątrzyła. Propozycja Polaka miała jednak także dobre strony. Przynajmniej mogli się ogrzać i odtajać.

Miał głowę nabitą myślami. Doświadczył na sobie, że są takie okresy, kiedy czas przyspiesza, zatraca swój przewidywalny bieg. Piętrzy nieprawdopodobne przypadki, kluczy i zaskakuje, meandruje zawsze w złą stronę, gubiąc po drodze zwykły rachunek prawdopodobieństwa. To był właśnie taki dzień. Pełen śmiertelnych pułapek i niechcianych niespodzianek. Zaczął się od wybuchu w bunkrze na Wyspie Sobieszewskiej. Nie wypuszczał ich ze swoich szponów na zaśnieżonej ulicy, gdy leżeli z wachmistrzem pod gradem kul, a potem przyniósł niespodziewane wybawienie. A teraz siedzieli w ciepłej kuchni, popijając herbatę parzącą usta. Wszystko w ciągu kilkunastu godzin.

Mieszkanie mieściło się przy Am Schlossgarten<sup>[24]</sup> naprzeciwko Parku Oliwskiego. Dom był nietypowy, z wysuniętym w stronę ulicy, zadaszonym parterem. Wyblakła tablica skrzypiąca na wietrze informowała, że do niedawna mieściła się tu Schlossgarten Caffé.

Tomczak wprowadził ich na piętro. Na drzwiach mieszkania widniała jeszcze tabliczka z nazwiskiem Alfons Ortner. Obszerną kuchnię ogrzewał ogień buzujący w piecu pokrytym białymi kaflami. Wyszorowane patelnie wisiały pod sufitem jak u pani Braun. Wyglądało to na poniemiecki lokal zarekwirowany przez zdobywców. Szwajcarski zegar z kukułką na ścianie,

gdański rzeźbiony kredens, pojemniki na potrawy z napisami „Salz” i „Zucker”. Tylko makatka na ścianie była polska.

– Mieszkamy tu zaledwie od dwóch dni – powiedziała witająca ich siostra milicjanta, jakby wyczuwając jego myśli.

Zuzanna Skrzynecka nie wyglądała na siostrę swojego brata. Przypominała Abellowi żonę, nawet jej głos miał podobną chrapliwą barwę. Blondynka o nordyckiej urodzie i zgrabnej figurze. Była niewiele niższa od niego. Nie mogła mieć więcej niż trzydzieści lat. Mówiąc, przechylała charakterystycznie głowę, zdmuchując niesforny kosmyk włosów z policzka. Dobrze znała niemiecki, podobnie jak jej brat.

Pomyślał, że od dawna nie widział równie oszalamiającej kobiety. Może dlatego że ostatnio obracał się wyłącznie w kręgu brzydoty, ruin i zapachu śmierci.

– Zatrzymaliśmy się tu tymczasowo. Można powiedzieć, że to służbowe lokum. Gdańsk przypadnie Polsce, my to już wiemy – powiedział Tomczak. Siedział po drugiej stronie stołu i ostrożnie popijał wrzątek. – Na razie rządzą tu Rosjanie, ale wkrótce zwolnią nam miejsce. To tylko kwestia czasu. Zresztą dobrze, że trzymają szwabów za mordę, widział pan, co się dzieje.

– No właśnie, kto do nas strzelał? – Radca spojrzał uważnie na Polaka.

– Pańscy rodacy, rzecz jasna. Mamy jednego trupa ze schmeisserem. Reszta uciekła.

– Równie dobrze mogli to być jacyś szabrownicy. Podobno zjawili się w mieście zaraz za Rosjanami.

– Nie sądzę.

– Skąd ta pewność?

– Ten zabity miał na ręce wytatuowany numer. Był z SS.

Esesman? Abell spojrzał przeciągle na Kukulkę, a ten pokiwał w odpowiedzi głową. To była zaskakująca, ale także niepokojąca wiadomość. Do tej pory wydawało mu się, że poza Rosjanami nikt nie wie o ich istnieniu. To była ich siła i przewaga jednocześnie. Mieli szybko zlokalizować cel. A potem uderzyć niczym piorun i równie szybko zniknąć z tego padolu łez.

W jaki sposób napastnicy ich namierzyli? To był przypadkowy bandycki napad czy dobrze zaplanowana akcja likwidacyjna? A jeśli to drugie, to jakim



cudem ludzie Forstera dowiedzieli się o ich misji? Lölgen nie mógł przecież już nic powiedzieć. Astrolog? To prawdopodobne. Musiał być zaskoczony ich wizytą. Dlatego najpierw raczył ich bajkami o horoskopach, zwodził i kluczył, a przyciśnięty do muru, skierował ich do zaminowanego bunkra. Może był bardziej zamieszany w spisek wokół archiwum, niż z początku podejrzewali? Była też inna możliwość, że Niemcy mają kreta w NKWD. Wszystko to nie wyglądało najlepiej.

I jeszcze ten wszechobecny Polak, który spadł im jak z nieba. Takie cuda zdarzają się przecież tylko na filmach. A jednak trudno było tu podejrzewać jakąś wyreżyserowaną mistyfikację, która miałaby popchnąć ich ponownie w odrzucone objęcia Polaka.

– Jakim cudem tak szybko znaleźliście się na miejscu zdarzenia? – zapytał.

– Nie będę ściemniał. – Tomczak poprawił się na krześle. – Mam rozkaz od Denisowa, by nie spuszczać was z oka. To ochrona, znaczy się. Oczywiście dyskretna. Nie spodobała mu się wasza odmowa... Czy tego chcecie, czy nie, musi im bardzo zależeć, by wam się udało. Ktoś inny za wysadzenie tajnego bunkra obok siedziby Forstera dostałby czapę. Wy nie.

– W każdym razie dziękuję. Bez was nie wyszlibyśmy z tego cała.

– Nie musi pan dziękować. Nadal uważam, że jesteście narodem morderców. No ale jak już wspomniałem... Zależy mi... zależy nam – poprawił się, rzucając przy tym szybkie spojrzenie na Zuzannę – abyście znaleźli te cholerne dokumenty.

Coś dziwnego działo się w tej polskiej kuchni, jakieś niedopowiedzenie, które niepokoiło i zbijało z tropu Abella. Polski milicjant, jego milcząca piękna siostra, półsłówka i sekrety szeleszczące w obcym języku.

Rozległo się walenie w drzwi.

– Wejść! – powiedział porucznik.

W progu stanął młody milicjant. Ściągnął furazerkę i strzepnął śnieg na podłogę. Ku zaskoczeniu Abella mówił po niemiecku. Zapewne gdańszczanin współpracujący z Polakami.

– Złapaliśmy dwóch bandziorów w pobliskiej fabryce. Próbowali wywieźć miedziane kable z transformatora.

– Gdzie to się stało?

– W fabryce czekolady Anglas przy Zimmerstrasse<sup>[25]</sup>.

– Polacy czy szkopy? – rzucił porucznik, zrywając się z miejsca.

– Nasi.

– Muszę lecieć. – Tomczak zarzucił na siebie wojskową pałatkę. – Może to i lepiej. Zuza to lepiej wyjaśni...

Strzeliły drzwi. Zimny powiew zawirował nad podłogą. Zuzanna miała oczy spuszczone. Widział, jak drżą jej ręce.

– Powie mi pani, o co tu chodzi? – zapytał Abell.

– Nie wiem, czy pan zrozumie – odezwała się po dłuższej chwili.

– Postaram się.

Zuzanna przymknęła oczy. Czy znowu musiała przywoływać te straszliwe, traumatyczne obrazy? Kradły jej sen w nocy, powodowały, że wypadały jej włosy. Były jak wrzód, którego nie można wypalić, jak nigdy niegojąca się rana. A jednak musiała to znowu opowiedzieć, przywołać te straszne dni...

\*

Długo starali się o Jasia. Lekarze rozkładali ręce: sprawy kobiece. Przeszła wszystkie możliwe kuracje, była nawet u uzdrowicielki na Podlasiu. Wszystko na nic. W pewnym momencie straciła nadzieję. Zygmunt podtrzymywał ją na duchu. Zawsze taki był: ufny, roześmiany od ucha do ucha, dusza towarzystwa. A potem zdarzył się cud i pan Bóg wysłuchał jej żarliwych modlitw. We wrześniu 1937 urodził się Jaś. Miał blisko cztery kilogramy i był zdrowym, silnym chłopcem. Pamięta to poczucie szczęścia, gdy pielęgniarka podała jej chłopca w beciku. Euforii niepowtarzalnej, takiej, która zdarza się tylko raz w życiu. Przyrzekła sobie wtedy, tuląc dziecko, że nigdy, przenigdy nie pozwoli go skrzywdzić. I w żadnym wypadku go nie opuści, nie zawiedzie i nie zdradzi.

Jeszcze wtedy nie wiedziała, że zły los zagnie na nią swój parol.

Mieszkali w Tczewie, niedaleko granicy Wolnego Miasta Gdańska, tuż przy nowym kościele św. Józefa z romańską wieżą. Zyga był murarzem, miał dobrą pracę. Może czasami brakowało im pieniędzy, ale szczęścia – nigdy. Mały świetnie się rozwijał. Miał dziesięć miesięcy, gdy zaczął chodzić. Był bardzo śmiały, w wieku dwóch lat nieustannie coś mówił.

Pierwsza oznaka, że zło czuwa, przyszło w lipcu 1939, podczas ostatnich wakacji przed wojną. Za sąsiadów mieli Niemców, rodzinę Bergerów. Też pochodzili z Tczewa, chociaż dla nich to było Dirschau. Mówili, że są za starzy, aby wyjeżdżać do Rzeszy albo Wolnego Miasta Gdańska. „Starych drzew, nawet niemieckich, się nie przesadza” – mawiał stary Berger. Tego lata przyjechała do niego z Gdańska jak co roku, siostrzenica, Lotta. Berger chwalił się, że jej mąż jest kimś, szycha w NSDAP, że zna samego Forstera. Tomczakowie z Bergerami żyli w zgodzie, byli sąsiadami.

Jednak za Lottą nie przepadali i chyba ze wzajemnością, choć nie zawsze tak było. Kiedy ta niechęć się zaczęła? Chyba poprzedniego lata, gdy Lotta zobaczyła Jasia bawiącego się na podwórku. Miała wtedy takie ciemne, poszerzone źrenice... Wpatrywała się w dziecko z dziwną intensywnością i przestała dopiero wtedy, gdy Zuzanna, trochę zaniepokojona tym zachowaniem, przytuliła Jasia obronnym gestem.

Już wtedy powinna wyczuć niebezpieczeństwo. Powinna, ale była ślepa. Dlaczego nie zastanowiło jej wtedy, że Lotta nie ma dzieci? Dlaczego nie dostrzegła zazdrości w jej oczach? Czy nie powinna przewidzieć tego, co nastąpi?

Wojna wszystko zmieniła. Zygmunta wzięli do wojska. Fatum czuwało. Zginął po dwóch tygodniach w bitwie pod Mławą. To było straszne, siedziała na progu i szlochała tak, że dostała skurczy. Ich wspólne życie dopiero się rozpoczęło, a już dobiegło kresu. To było takie nieludzkie, niesprawiedliwe, okrutne... Została sama z Jasiem. Nastąpiła okupacja. Na początku Bergerowie ją chronili, tak jakby między nimi nic się nie zmieniło, jakby nie należeli teraz do rasy panów, a ona do podludzi. Czasami podrzucali nawet cukierki dla małego, stary Berger głaskał Jasia po głowie.

– *Süßes Kind* – mówił.

Nie podobało jej się to, ale bała się zaprotestować.

Czterdziesty trzeci zaczął się źle dla jej sąsiadów. Najpierw stary Berger zdradził jej, że zmarło dziecko adoptowane przez Lottę. Potem pod koniec stycznia okazało się, że Fritz, mąż Lotty, zginął pod Stalingradem. A w lecie odeszli Bergerowie, jedno po drugim, w odstępie miesiąca.

Lotta przyjechała przejąć dom po zmarłych rodzicach. Była z jakimś nowym mężczyzną. Podobno był figurą w Gdańsku, dyrektorem jakiegoś muzeum. Zauważyła przez okno kuchenne, że obserwują przez płot bawiącego się Jasia. Lotta wskazywała na chłopca ręką, szeptała ożywiona swemu towarzyszowi do ucha. Było coś niepokojącego w tym geście, tak się pokazuje towar na wystawie w sklepie. Ścisnęło jej się wtedy serce w nieokreślonej trwodze. Wybiegła z domu, chwyciła malca za rękę i wciągnęła do domu. Lotta nawet nie zaszczyciła jej spojrzeniem. Powinna wtedy wyjechać do rodziny pod Warszawą, ale nie zrobiła tego. Nie mogła przecież podejrzewać najgorszego...

A potem nadszedł ten dzień. To był pierwszy poniedziałek lipca, rok temu. Ciepły, letni dzień. Nagle podwórze zaroilo się od Niemców. Krzyki, wrzaskliwe komendy, szczekanie psów. Serce biło jej jak oszalałe. Czego od niej chcieli? Wybiegła na próg domu. W drzwiach stał jakiś Niemiec w cywilu, miał tyrolski kapelusz na głowie. Za nim dwaj gestapowcy z nieprzeniknionymi twarzami.

– Prowadzę program Lebensborn. Gdzie jest dziecko? – zapytał ten w kapeluszu.

Już kiedyś słyszała tę nazwę. Ktoś w mieście mówił, że Niemcy porywają polskie dzieci i wywożą do specjalnych ośrodków. Zachwiała się, nagle dzień zrobił się czarny i wyprany ze słońca.

Rozłożyła ręce w obronnym geście, ale Niemiec brutalnie popchnął ją na ścianę. Opadła na kolana, szumiało jej w głowie. Janek pojawił się nagle, widocznie usłyszał hałas. Był jeszcze w piżamie. Ścisnął zabawkę, pluszowego misia, z którym nigdy się nie rozstawał.

– Mamusiu... – Widziała, jak zaciska kąciki ust. Zawsze tak robił, gdy nie chciał płakać.

– Zostawcie mojego syna! – Rzuciła się na nich, ale tym razem otrzymała cios kolbą w plecy, który powalił ją na podłogę.

– Mamo! – usłyszała krzyk Jasia, który eksplodował w jej głowie.

– Zabieramy dziecko na podstawie przepisów prawa i rozkazu Reichsführera.

– Co z nim zrobicie? – Nie mogła opanować spazmów, ledwie widziała postać Jasia. Stał jak skamieniały, ściskając kurczowo zabawkę.

– Trafi do specjalnego ośrodka wychowawczego dla dzieci spełniających wymogi prawa rasowego. Czeka je lepsza przyszłość.

To był ten ostatni moment, kiedy go widziała. Wynieśli go jak kradziony przedmiot z nieswojego domu. Jej Jasia, największą radość, nagrodę za lata czekania i sens jej życia. Jasia, którego niegdyś obiecała nigdy nie zostawić samego, nie zdradzić i strzec jak źrenicy oka.

Zapamiętała tylko gołe stópki, wierzgające pod pachą gestapowca.

Biegła potem za oddalającym się samochodem, potykając się o kamienie i zalewając się łzami. Wreszcie upadła, a samochód zniknął za rogiem. Na zawsze.

Gdzie wtedy był Bóg miłosierny? Podobno wszystko widział, czy tego ranka zamknął oczy? Był przecież Alfą i Omegą, Wszechwiedzącym Panem. Dlaczego pozwolił obrabować ją z tego, co było dla niej najcenniejsze? Za jakie grzechy? Jeśli nawet ona była grzesznicą, niegodnym łaski nędznym pyłem z Jego sandałów? Dlaczego nie okazał litości Jasiowi? Małemu chłopcu przepelnionemu niewinnością? Czy pomyślał, co przeżywa teraz to niespełna ośmioletnie dziecko, odcięte od matki, rodzimego języka, od jedyne go świata, który znało? W obcym miejscu pozbawione matczynej miłości, skazane na łaskę i niełaskę innych ludzi?

Tego dnia straciła wiarę. I umarła. Wstawiała rano, jadła, sprzątała, czesała włosy, ale tak naprawdę jej już nie było...

\*

Abell słuchał tej opowieści ze spuszczoną głową. Pamiętał emocje, jakie targaly nim i Gabi po porwaniu Anny. Nawet Kukulka nie skrywał poruszenia. Słysząc było tylko przyspieszony oddech Zuzanny. I miarowe uderzenia zegara, który odmierzał uciekający czas.

– Czy domyśla się pani, gdzie zabrali dziecko? – zapytał cicho radca.

– Nie... – Kobieta spróbowała opanować szloch. – Poruszyłam niebo i ziemię, ale nikt mi nie chciał nic powiedzieć. Byłam przecież tylko Polką... A potem od pewnego granatowego usłyszałam, że ukradzione dzieci z Pomorza trafiają do sierocińca w Bydgoszczy. Pojechałam tam, ale nawet mnie nie wpuścili za bramę.

– Podejrzewa pani Lottę, prawda?

– Tak.

Podniosła nagle głowę i spojrzała na Abella tak, jakby ujrzała go po raz pierwszy. Czy mogła zaufać temu mężczyźnie o zabandażowanych palcach? Nie przypominał swoich rodaków, których znała. Wysoki, przystojny, oszczędny w ruchach i słowach. Pozbawiony buty, a jednak zadziwiająco pewny siebie. Skupiony, z jakąś wewnętrzną siłą, która budziła mimowolny respekt. Miała wrażenie, że jej opowieść go poruszyła, drgnął, gdy mówiła o Jasiu. Jeszcze większą zagadką był drugi z Niemców. Na pewno nie wyglądał na policjanta, nawet byłego. Raczej na typa spod ciemnej gwiazdy, o poczerwiałej pokancerowanej twarzy. Cały czas milczał. A przy tym widziała, jak na nią patrzył – jak mężczyzna na kobietę.

Przede wszystkim jednak obaj byli Niemcami.

– Mój brat twierdzi, że był pan dobrym policjantem. To chyba prawda. – Nieważne, kim był ten mężczyzna o szarych oczach, sięgnęłaby po pomoc samego diabła, gdyby to miało zwrócić jej syna.

– Nie mnie to oceniać.

– Brzydzę się Niemcami. Jestem Polką, różnimy się, jesteście jak ogień i woda. A jednak muszę pana prosić o pomoc. – Głos jej się załamał. – Proszę odnaleźć mojego syna. I niech pan nie odmawia mojemu bratu. Razem macie większe szanse. Wiemy, że szuka pan tego archiwum. Może dzięki temu odnajdziecie Jasia. Błagam...

Kobieta schowała twarz w dłoniach. Widział, jak spazmatycznie drżą jej ramiona.

– Proszę się uspokoić – powiedział. – Każda rozpacz ma swój czas, nie można wiecznie płakać...

Abell urwał na chwilę. Do tej pory miał przed oczami jakąś mglistą wizję archiwum, które kazano mu odnaleźć. Abstrakcyjny byt, mityczny kufer na sto sekretnych pieczęci, spoczywający gdzieś w nieokreślonym miejscu w Gdańsku czy na Pomorzu. Historia Zuzanny i jej porwanego dziecka dodała tej wizji realizmu i głębi. Sprowadzała ogólnik do ludzkiego, jednostkowego dramatu, była jak indywidualna nitka, która mogła prowadzić do prawdy. I co równie

istotne, stanowiła konkret, którego mu brakowało w całej tej układance, ujawniając mechanizmy Lebensbornu.

– Wróćmy do Lotty – powiedział. – Była bezdzietna, zazdrościła pani macierzyństwa. Pani syn wpadł jej w oko. Mogę zgadnąć, jak wyglądał? Na pewno blondyn, smukły, o ładnie sklepionej czaszce. Stosunkowo wysoki jak na swój wzrost. Prawdopodobnie o niebieskich oczach.

Zuzanna zadrżała. To był dokładny portret Jasia, tak jakby ten przenikliwy mężczyzna znał go i widywał wielokrotnie, a przecież tak nie było.

– Porwano go w ramach programu Lebensborn. To tym urzędowym dokumentem wymachiwał pani przed oczami ten Niemiec. W ramach tej akcji ukradziono wiele tysięcy polskich dzieci, które wykazywały fizyczne znamiona rasy aryjskiej. Najczęściej po krótkim pobycie w specjalnych ośrodkach Lebensbornu trafiały do niemieckich par, które nie mogły mieć dzieci. Sądzę, że pani podejrzenia są słuszne. Jasia porwano niejako na zamówienie. Specjalne zamówienie Lotty i jej partnera. Nie mogli mieć własnego dziecka, to je ukradli. Czy pamięta pani nazwisko Lotty po pierwszym mężu?

– Tak, Kloze.

– A nazwisko nowego partnera Lotty, tego, z którym pojawiła się w zabudowaniach Bergerów przed porwaniem chłopca?

– Niestety nie. – Zagryzła wargi.

– Szkoda.

– Pana zdaniem Jaś żyje?

– Myślę, że tak.

– Gdzie go szukać? – Nie spuszczała z niego oczu.

– Jeśli rzeczywiście wywieźli go do ośrodka Lebensbornu w Bydgoszczy, to już go tam nie ma. Miasto jest już w rękach sowieckich. Dzieci na pewno wcześniej wywieziono do rodzin zastępczych. Musimy odnaleźć Lottę, wtedy dotrzemy do chłopca. Jednak nie mogę nic obiecać.

– Jak to?

– Nie mam pewności, czy nam się uda. Nie mogę dać pani żadnej gwarancji powodzenia, powtarzam: żadnej. Mamy ograniczone możliwości. Wojna ciągle trwa, tysiące ludzi ciągle ewakuuje się przez Żuławy na zachód. Nie wiemy, co

się stało z Lottą i jej mężem. Mogą być już w Hamburgu albo Salzburgu. Równie dobrze jednak mogą leżeć na dnie Zalewu Wiślanego, kto to wie.

– Odbiera mi pan resztkę nadziei.

– Nie, trzeba wierzyć. Mówię tylko, że będzie bardzo trudno. Sam jestem zakładnikiem Rosjan. Mają w swoich rękach mojego teścia, jest ciężko chory.

– Nie wiedziałam.

– To teraz już wiesz – po raz pierwszy zwrócił się do niej bezpośrednio, a ona ku swojemu zaskoczeniu przyjęła to, jakby to była naturalna kolej rzeczy. – Sowietci postawili mi ultimatum. Mam tylko kilka dni na znalezienie archiwum. To moje podstawowe zadanie, nie wiem, ile czasu będę mógł poświęcić na poszukiwanie twojego syna. Widzę jednak także pewne plusy tej sytuacji...

– A mianowicie jakie?

– Za kilka dni będziesz wiedziała, czy jest szansa na odzyskanie dziecka. Kluczem jest archiwum. To tam zawarte są dane wszystkich porwanych dzieci oraz nazwiska i adresy ich nowych rodziców. Jeśli je odnajdziemy, jest także szansa na namierzenie Lotty i jej męża.

– Rozumiem.

– Możemy sobie nawzajem pomóc. Jednak żeby tak się stało, potrzebujemy jednej rzeczy. Szczerości. Proszę, opowiedz mi raz jeszcze o Lotcie. Wszystko, co o niej wiesz, wszystko, co pamiętasz.

– Teraz?

– Każdy szczegół jest ważny, może coś przeoczyłaś w swojej opowieści.

– Dobrze. Jeszcze tylko jedno pytanie. Kim jest ten człowiek? Ma takie przerażające oczy... – Obejrzała się w stronę wachmistrza.

– Nazywam się Gustaw Kukulka. – Wachmistrz wykrzywił twarz. – I jestem rzeczywiście straszny.

– Tego nie powiedziałam...

Przerwał im hałas na korytarzu. W drzwiach pojawił się Tomczak. Miał twarz szarą ze zmęczenia. Obrzucił baczny spojrzeniem Abella i siostrę.

– Dogadaliście się? – zapytał krótko. – Bo mam na dziś dość złych wiadomości.



– Można tak powiedzieć. Będziemy współpracować, ale na moich warunkach.

– To znaczy? – Tomczak nastroszył krzaczaste brwi.

– Działam sam, tylko z wachmistrzem. Zwracam się do ciebie tylko w razie wyraźnej konieczności.

– W porządku.

– Potrzebujemy łączności. Macie jakiś posterunek w Oliwie?

– Na dworcu. Mamy tam radiostację do łączności z Ruskimi. Telefony nadal nie działają.

– Jeśli będziemy w potrzebie, zostawimy meldunek na dworcu. Uprzedź swoich ludzi.

– Da się zrobić.

– I przestajecie za nami łązić.

– Nie jestem pewny, czy Ruscy się zgodzą. – Tomczak podrapał się po głowie.

– To twój problem. Taki ogon jest widoczny, nie wiem, kto nas dzisiaj namierzył, ale nie chcę, by ta sytuacja się powtórzyła. Nie możemy poruszać się po mieście w eskorcie, bo to zamknie przed nami wszystkie drzwi.

– Postaram się to załatwić.

– A teraz konkrety. Trzeba dotrzeć do archiwum urzędu stanu cywilnego, a konkretnie do aktów chrztów dzieci adoptowanych. Powinny być w magistracie. Denisow chwalił się, że przejęli wszystkie archiwa w mieście, może to także ocalało. Naziści mieli ważniejsze dokumenty do spalania czy ukrycia. Wycofywali się w pośpiechu.

– Akty chrztów? A to niby po co?

– Zuzanna wspomniała, że Lotta w styczniu czterdziestego trzeciego straciła adoptowane dziecko...

– Zuzanna? – Tomczak spojrzał zaskoczony najpierw na niego, a później na siostrę. – Jesteście już na ty?

– Tak będzie prościej. Jesteśmy sojusznikami z konieczności, ale od tej pory działamy we wspólnej sprawie.

– Niech tak będzie. – Zuzanna przerwała bratu, który już otwierał usta. – Bez niego nie znajdziemy Jasia.

– W dokumentach, które przekazali mi Denisow i Charko, wyczytałem, że w programie Lebensborn takie maluchy chrzczono oficjalnie w obecności nowych rodziców – wrócił do swego wyvodu Abell. – To była cała ceremonia z udziałem sztandarów i pocztu honorowego w czarnych mundurach. Partner Lotty był wysokim urzędnikiem partyjnym. Możliwe, że w ich przypadku też tak się to odbyło. Jeśli mam rację, to musiał pozostać jakiś ślad w aktach urzędu stanu cywilnego. Nie tylko data, ale także nazwisko i adres niemieckich rodziców. W ten sposób trafimy na ślad Lotty. Tu, na Pomorzu, czy gdziekolwiek indziej.

– Sprytnie. – Tomczak spojrział z podziwem na Abella.

– To tylko hipoteza. Ale trzeba ją sprawdzić jak najszybciej. To twoje zadanie. My mamy co robić. À propos, wiesz, dlaczego Denisow narzucił mi ten absurdalny termin? Tylko trzy dni na odnalezienie archiwum, którego ukrycie Forster na pewno planował miesiącami?

– Nie mam pojęcia. Ruscy nie dzielą się z nami swoimi tajemnicami. Jestem tutaj, bo Gdańsk ma być polski. Na razie jednak to oni tu rządzą. Doszły mnie słuchy, że Denisowa mają wkrótce przerzucić dalej na zachód, ale być może to tylko plotki. Może o to chodzi?

– Może. Zbieramy się.

Abell spojrział wymownie na Kukulkę. Nie podali sobie rąk na pożegnanie z Tomczakiem. Był już przy drzwiach, gdy nagle coś go tknęło i się odwrócił.

Zuzanna patrzyła mu prosto w oczy i nie spuściła z niego wzroku, dopóki nie zniknął za drzwiami.

#### 4.

Mężczyzna otworzył pokrywę radiostacji. Otrzymał brytyjski model A-3 i bardzo sobie ten wybór chwalił. To był świetny sprzęt, trzeba to angolom przyznać, dużo lepszy od ich rodzimych konstrukcji. Radiostacja miała odpowiedni zasięg, na dobrą sprawę mógłby połączyć się z kwaterą główną Reichsführera w Rzeszy, gdyby zaistniała taka konieczność. Rozkazy były

jednak jednoznaczne. Odbierać meldunki i łączyć się tylko w razie pilnej potrzeby. Takiej jak teraz.

Nacisnął klucz telegraficzny i przeszedł na nadawanie.

– Tu S2. Odbiór.

– Tu kwatera. Nadawaj.

– Polowanie nieudane. Ptaszek wymknął się z sieci.

Radiostacja odpowiedziała serią zgrzytliwych trzasków.

– Jak to możliwe? Mieliście wyraźne rozkazy.

– Siła wyższa. Pojawiła się polska milicja. Musieliśmy się ewakuować.

– Jakież straty?

– Jeden człowiek.

– Mogą go zidentyfikować?

– Nie, wycofując się, odstrzeliłem mu twarz. Chyba że po numerze na ręce.

– To zmienia sytuację. Szef nie będzie zadowolony.

– Wiem.

Mężczyzna poczuł, jak nagle sztywnieje mu kark. Służba to służba. Byli elitą. Wiedział, czym kończy się niesubordynacja lub niedbalstwo w ich szeregach. Przysięgali na honor i własne życie. Łatwo mógł stracić jedno i drugie.

– Schowki bezpieczne?

– Na razie tak. Jednak ten pies ciągle węszy, może coś wywąchać. Dotarł do obergruppenführera i astrologa. Trzeba go zatrzymać. Powinien zginać.

– W schronie albo dzisiaj.

– A jednak ciągle żyje. Zdradziecka menda!

– Bez emocji! Chroni swój teren. Jeśli dotrze do ciebie: zlikwidować bez rozkazu. Zrozumiano?

– Tak jest!

– *Heil Hitler!*

Mężczyzna wyłączył radiostację i zamknął klapę. Połączenie trwało niecałą minutę. Za krótko, by Sowieci mogli namierzyć nadajnik. Był w tej norze bezpieczny. Mieli proste zadanie, a ten gnój wszystko skomplikował. Będzie na niego czekał. I tym razem nie chybi.

Podkręcił knot lampy i zlustrował leżącego na stole schmeissera. Porządna, dobrze wyważona pukawka. Rozebrał ją i naoliwił jeszcze raz. Miał broń i znał cel. Reszta była kwestią czasu.

## 5.

Abell w nocy długo nie mógł zasnąć. Przewracał się na łóżku z boku na bok, walcząc z bezsennością, trawiącą go gorączką i czarnymi myślami. Tęsknił za żoną i za Anią. Już dawno powinien być z powrotem w Rotterdamie. Wiedział, że obie każdego dnia wystają w oknie i modlą się o jego szczęśliwy powrót z Piotrem i Kukulką, którego zwłaszcza Gabi bardzo polubiła. Tymczasem on drobił w miejscu i nie widać było żadnego światełka w tunelu. Co robił źle? Dlaczego nie czynił postępów w tym śledztwie, które miało być najważniejsze w jego życiu? Nie brakowało mu przecież motywacji ani determinacji. Nie w tym rzecz... Czuł się osamotniony w tym mieście, które już nie należało do niego. W mieście duchów i złych przeczuć najeżonym niebezpieczeństwami i zagrożeniami, czyhającymi za każdym węglem.

Nikommu nie mógł zaufać. Ani własnym rodakom, ani Rosjanom, których uważał za zło konieczne. Tomczak z jego intrygującą siostrą? Zbyt wiele było w nich utajonej wrogości, zbyt wiele bólu.

Pozostawał mu tylko Kukulka, na którym zawsze mógł polegać. I własna inteligencja, zdolność do chłodnej dedukcji, które uważał za swój największy atut. Musiał przewietrzyć głowę, oczyścić myśli i zacząć wszystko od początku, tylko z innej strony.

Szybko dotarł do astrologa. Dzięki temu trafił do ukrytego bunkra, z którego została teraz tylko kupa dymiących gruzów. Czy Clebba wysłał ich celowo na śmierć? Czy wiedział o zaminowanym schronie? Nie mógł go o to zapytać, wkrótce po ich wizycie astrolog zniknął z mieszkania. Pewnie maszerował już w kolumnie uchodźców na wschód.

Dotarli do bunkra i utknęli w miejscu. Mógł mieć tylko nadzieję, że nie wysadzili bezpowrotnie archiwum Forstera w powietrze.

Czy popełnił jakieś błędy? Bez dwóch zdań... Obergruppenführer Lölgen na pewno nie był płotką, tylko kluczową figurą w tym spisku. Miał go w ręku i wypuścił. Kluczowego świadka! Jak mogli być tak nieostrożni?

Przewrócił się na drugi bok. Jedynym zyskiem z tej akcji były słowa Betty Knoppers. Powinni szukać tam, gdzie nikt nie szuka. Krzyże. Dwaj strażnicy. Bez wątpienia słowa klucze, ale jak je rozumieć?

I ten dziwny dom, pozbawiony wszelkiej indywidualności, ogołocony z osobistych przedmiotów i jakichkolwiek właściwości. Znalazł tam tylko plan miasta Gdańska.

Mapa. Nagle usiadł poruszony pewną myślą. Z jakiego powodu wisiała w pokoju Lölgena? Dlaczego wykonano ją ręcznie? Coś w tej mapie było nie tak, coś go w niej niepokoiło od samego początku.

Zerwał się na nogi i wyciągnął plan z szafy. Wyszedł do kuchni. Dorzucił drwa do piecyka i poczekał, aż ogień znowu zacznie buzować. Zapalił lampę naftową i wrócił do pokoju po lupę. Uważnie, centymetr po centymetrze, zaczął przeglądać plan miasta. Jednocześnie przesuwiał po nim palcem w poszukiwaniu jakiejś nierówności w fakturze papieru. Przez chwilę zabiło mu żywiej serce, gdy dotarł do Glettkau. Miał wrażenie, że przy oznaczeniu mola wyczuwa jakiś ślad, ale okazało się, że to tylko przetarcie papieru na linii zgięcia.

Po kolejnym kwadransie był bliski rezygnacji. W obrębie samego miasta nie wykrył niczego podejrzanego. Podniósł wzrok wyżej i poczuł, jak ponownie skacze mu ciśnienie. Mała bezbarwna plamka, zbyt foremna, by była naturalnym przebarwieniem. Na czubku półwyspu Hel, tam dokąd jeszcze w tej chwili dobijały okręty, ewakuujące ostatnich uciekinierów. To mógł być przypadek – ale nie musiał.

W Kripo miał wielokrotnie do czynienia z atramentem sympatycznym. Metoda stara jak świat, ale w określonych warunkach niezwykle skuteczna. Na przykład gdy stosowano ją na dokumentach wyłączonych z wszelkich podejrzeń. Albo gdy surowe warunki nie pozwalały na bardziej wyrafinowane metody szyfrowania ukrytych treści. Tak jak teraz, w konającym mieście. Taki atrament można przygotować z soku z cytryny, roztworu cukru, moczu, a nawet ludzkiej spermy.

Podszedł do piecyka. Uniósł mapę i zaczął ją podgrzewać od spodu. Przymknął oczy. Teraz! Spojrzał na plan i zamarł. U nasady półwyspu ukazał się napis, wyglądający jak wzór chemiczny, zamknięty w owalnym kółku. Sięgnął po lupę. To nie był wzór.

U-381. 26.03 35. Arch. F

Usłyszał kroki za swoimi plecami. Potargany Kukulka przetarł zaspane oczy i stanął obok. Nigdy nie spał w pidżamie. Mimo zimna miał na sobie tylko krótkie spodenki i wyprany podkoszulek marynarski pamiętający zapewne czasy wypraw krzyżowych.

– Czy ty nigdy nie śpisz? – zapytał radcę.

– Spójrz na to, w tym miejscu. To mapa z domu Lölgena.

– Ciekawe. – Zaintrygowany wachmistrz pochylił się nad płachtą i przeczytał inskrypcję. – Chodzi o łódź podwodną?

– Najwidoczniej. Chyba chodzi o to, że U-381 wypłynął z portu na Helu 26 marca. A to „Arch. F” może oznaczać tylko jedno. Archiwum Forstera.

– To znaczy, że nasza zguba odpłynęła w siną dal?

– Na to wygląda. I to zanim w ogóle na dobre podjęliśmy poszukiwania.

– No to nie mamy farta. Najpierw wybuch miny w schronie, teraz to. Być może szukamy w Gdańsku czegoś, czego tam już dawno nie ma.

Widmo porażki sprawiło, że obaj mężczyźni zamilkli. Przez głowę Abella przemknęła myśl, że jego misja właśnie się zakończyła. I to totalną klapą. Nie zwróci Gabi jej ojca. Rosjanie zapewniali go, że Piotr jest w lazarecie pod dobrą opieką, ale nie pozwolili mu na odwiedziny. Być może nie zobaczy już żony ani córki. Nie miał złudzeń: był potrzebny Sowietom tylko jako wyszkolony pies gończy, mówiący w obcym dla nich narzeczu. Sowietci nadal hołdowali dewizie, że dobry Niemiec to martwy Niemiec. Wyjątki tylko potwierdzały tę regułę.

Kukulka obserwował spod oka swojego szefa. Miał pełne zaufanie do radcy i jego możliwości. Abell często dostrzegał rzeczy niewidoczne dla innych. Tym razem dobrnęli chyba do ściany. Nie wiedzieć czemu na myśl przyszła mu Zuzanna Skrzynecka. Piękna, choć zupełnie niepodobna do jego zmarłej Marleny. Nie pomogą jej. Pewnie jej już nie zobaczy. Poczul zawód i było to uczucie na tyle silne, że musiał się zmusić, aby odgonić obraz Polki.

– No to kaplica, cmentarna można by rzec – stwierdził z zafrasowaniem.

Abell nie odpowiedział, zatopiony we własnych myślach. Wachmistrz zaczerpnął wody z kanki, w której topił się śnieg zebrany na dworze, i poczłapał do swego pokoju. Usypiał już na pryczy, gdy drzwi do sypialni raptem się otworzyły.

- O świecie jedziemy do Denisowa. – Abell wyglądał na poruszonego.
- Co się stało? Rozwałą nas. Nie lepiej od razu dać chodu?
- Cmentarze!
- Co cmentarze?
- Na tej mapie nie ma cmentarzy!

## 6.

Denisow i Charko tym razem przyjęli ich poza miastem. Wezwali Abella na prowizoryczne lotnisko wojskowe na południe od Oruni. Na płycie widać było wypalone szczątki dwóch messerschmittów. Spalone poszycie odsłaniało metalowe ozebrowanie wnętrza myśliwców. Obok stał rosyjski samolot transportowy Li-2. Dwóch mechaników kończyło właśnie jego tankowanie, widzieli ciemny przewód z paliwem lotniczym tłoczonym z pordzewiałego zbiornika.

Oprócz płyty był tu tylko barak z blachy falistej. Pilnował go wartownik ze Smierszu<sup>[26]</sup>, o oczach nieruchomych jak ebonitowe guziki. Barak był obszerny i podzielony na dwie części. W pierwszej obaj Rosjanie urządzili chyba coś na kształt kwatery polowej. Sosnowy stół zasłany był dokumentami i mapami. Na widok Niemców mapy zostały zresztą przesłonięte brezentową płachtą. W drugiej części znajdowało się pomieszczenie wypełnione po sufit wielkimi skrzyniami. Widzieli je tylko przez moment, przez uchylone metalowe drzwi, zanim zostały one zamknięte przez majora Charko.

- Kwatera polowa? – zagał Abell.
- Tajemnica wojskowa – odparł z krzywym uśmiechem major. – W każdym razie zawsze mamy tu maszynę na gazie.

Abell pokrótce zdał Rosjanom relację z ostatnich wydarzeń. Dłużej zatrzymał się na przeszukaniu w domu Lölgena.

– O co właściwie pan prosi? Czego konkretnie pan szuka? – Denisow przerwał kartkowanie leżących przed nim meldunków. Palił papierosa, jego gryzący dym rozchodził się po całym pomieszczeniu.

– Informacji o dziwnych, nietypowych zdarzeniach na gdańskich cmentarzach lub w ich okolicy. Meldunków o aresztowaniach podejrzanych osobników, którzy nie potrafili wytłumaczyć swojej obecności w danym miejscu. Także wszelkich doniesień o próbach stawiania oporu przez uzbrojone bojówki.

– Zaczniemy od początku. Dlaczego to takie ważne? I o co chodzi z tą mapą?

– Rzecz w tym, że mamy do czynienia ze zbyt dużą ilością przypadków, panie pułkowniku. Najpierw trafiliśmy do domu kochanki obergruppenführera Lölgena. Przyznaję, nie poszło nam najlepiej. Dwa trupy, w zamian tylko kilka enigmatycznych wskazówek. O szukaniu tam, gdzie nikt nie szuka. O strażnikach. I jakichś krzyżach. To mogło znaczyć wiele albo nic. Dom był czysty, jakby ktoś go przygotował na ewentualną rewizję. Rzuciła się w oczy tylko ta mapa Gdańska, wisząca w gabinecie Lölgena. – Abell wskazał na plan miasta rozpostarty na stole Rosjanina.

– Nie wspominał pan o niej wcześniej. – Denisow rzucił mu czujne spojrzenie.

– Ponieważ nie znalazłem na niej nic podejrzanego, żadnych adnotacji, wbitych szpilek, wieloznacznych krzyżyków. Nic. Już wtedy jednak zastanawiało mnie, po co w ogóle znalazła się w tym domu. Nie znaleźliśmy w nim przecież żadnych dokumentów, zdjęć, zapisków, a ta mapa wisiała na ścianie niczym czerwona płachta na byka. Nie sposób było jej nie zauważyć. I chyba o to chodziło. Dlatego zabrałem ją ze sobą.

– Nadal nie rozumiem...

– Zaraz dojdziemy do puenty. Wkrótce namierzyliśmy astrologa. Clebba długo zaprzeczał jakimkolwiek powiązaniom z SS. Twierdził, że nic nie wie o żadnym archiwum. A potem nagle zaczął mówić. Z początku myślałem, że to wynik perswazji, jaką zastosował wobec niego obecny tu wachmistrz Kukulka.

– Perswazji? – Rosjanin uniósł brew.

– Mam swoje metody – skwitował krótko wachmistrz.



– Astrolog naprowadził nas na trop ukrytego schronu na terenie posiadłości Forstera. Początkowo sądziłem, że ta wskazówka trzymała się jako tako kupy. Było wprawdzie mało prawdopodobne, ale jednak możliwe, że archiwum ukryto właśnie tam. Ludzie Forstera mogli zakładać, że szybko dotrzecie do domu gauleitera, przeszukacie go, a gdy nic nie znajdziecie, dacie sobie spokój z tym miejscem. Schron był dobrze ukryty, nie wpadlibyście na jego trop tak szybko. A na wypadek zagrożenia i denuncjacji został fachowo zaminowany, tak aby odkrywcy wylecieli w powietrze wraz z jego zawartością. Bum! I po sprawie. Ta wersja miała więc jakiś sens. Tak wtedy myślałem. A potem doszedłem do wniosku, że tamci wodzą nas za nos, mówiłem już o tym na poprzednim spotkaniu. Z astrologiem poszło nam bowiem zbyt łatwo. A trop ze schronem też był zbyt oczywisty.

– Niech pan mówi dalej. – Denisowa zaczęła wciągać historia radcy.

– Sądzę, że Clebba powiedział nam to, co chciał powiedzieć, albo to, co kazano mu przekazać w razie zagrożenia. Wkrótce zniknął bez śladu. Jego mocodawcy chcieli, abyśmy uznali wybuch w schronie za kres poszukiwań. I wynieśli z tego zdarzenia przekonanie, że archiwum spłonęło w wybuchu, detonacja była przecież tak silna, że z bunkra musiało pozostać tylko pogorzeliśko i kupa gruzu. Nie uwierzyłem w to. Długo się nad tym zastanawiałem, rozbierałem ten incydent na elementy pierwsze i składałem z powrotem. Moim zdaniem to był fałszywy trop. Umiejętnie podrzucony i wiodący na manowce. Założyłem, że w schronie na Wyspie Sobieszewskiej nie było archiwum. Wtedy wróciłem do mapy Lölgena. Tylko ona otwierała jakąś nową perspektywę.

– I co z tą mapą? – Rosjanin nie mógł odmówić logiki wywodowi Abella, a to ta cecha, jak uczył towarzysz Dzierżyński, która wyróżniała prawdziwego enkawudzistę spośród dzieci rewolucji.

– Poddałem ją ponownym oględzinom. Wykryłem, że zastosowano atrament sympatyczny, aby ukryć na niej informację. Oto jej treść. – Radca wskazał palcem inskrypcję zapisaną u nasady Helu. – Wynika z niej, że łódź podwodna U-386 już kilka dni temu wywozła archiwum z Gdańska.

Obaj Rosjanie pochylili się nad mapą i dłuższą chwilę badali napis przez szkło powiększające. Abell zauważył, że wymieniają pomiędzy sobą ponure spojrzenia.

Denisow podszedł do telefonu i przez chwilę wydawał jakieś polecenia podniesionym głosem. Telefon oddzwonił po kilku minutach.

Podpułkownik wolno odłożył słuchawkę na widełki, jakby parzyła go w palce.

– Źródła wywiadu na podstawie przechwyconego radiotelegramu potwierdzają, że niemiecki okręt podwodny U-386 wypłynął wieczorem dwudziestego szóstego marca z portu wojennego w Helu – powiedział.

– *Job twoju mać!* – Abell usłyszał za plecami przekleństwo rzucone przez majora Charko.

W pokoju zapanował ciężka cisza. Przerywał ją tylko poświst porywistego wiatru za oknem.

– Moim zdaniem nie wszystko jeszcze stracone – powiedział Abell, dokładnie dobierając słowa.

– Jak to? – Denisow wbił w niego uporczywe spojrzenie.

– Mamy do czynienia z przeciwnikiem przebiegłym i zdeterminowanym. Naziści mieli wystarczająco dużo czasu, aby ukryć dobrze archiwum na terenie Gdańska lub Pomorza. Sam pan wspomniał podczas naszej pierwszej rozmowy, że wasze źródło ulokowane w bezpośrednim otoczeniu Forstera potwierdza fakt ukrycia archiwum w opuszczonym przez gauleitera mieście. Informacje zdobyte przez nas u Lölgena i Clebby pośrednio potwierdzają ten fakt.

– To prawda. – Podpułkownik skinął głową.

– Widzę więc tu pewną sprzeczność. Jeśli podczas dobrze zaplanowanej akcji ukryto archiwum w mieście, zapewne w obawie, by nie poszło ono na dno w jakimś storpedowanym statku czy okręcie, i jeśli pozostawiono na miejscu zaufanych ludzi, owych strażników, o których wspomniała Betty Knoppers, to po co miano by wywozić te dokumenty dwudziestego szóstego marca łodzią podwodną? Unieważniono wcześniejszą decyzję? Nie sądzę. Lölggen pozostał przecież na miejscu, zapewne po to, by trzymać rękę na pulsie.

– Niech pan kontynuuje. – Charko ponaglająco skinął ręką.

– Moim zdaniem ta mapa to kolejny element akcji kamuflażowej mającej odciągnąć naszą uwagę od istoty sprawy i skierować ją na boczny tor. Mówiąc wprost, to fałszywka. Na pokładzie U-386 nie wywieziono archiwum.

Denisow słuchał uważnie. Zachowywał przy tym nieprzenikniony wyraz twarzy. W przeciwieństwie do Charki nie sposób było ocenić, czy rewelacje Abella zrobiły na nim jakikolwiek wrażenie.

– Jest jeszcze coś – kontynuował niezrażony Abell. – Sama mapa zawsze wydawała mi się jakaś dziwna. Sztuczna. Dlaczego wykonano ją ręcznie? Przecież standardowe mapy Gdańska, błyszczące i wykonane na kredowym papierze, wisiały w każdym pokoju Kripo, w każdym gdańskim urzędzie. Dlaczego nie u wysokiego oficera SS? Z jakiego powodu miałby on posiłkować się takim rękodziełem?

– Nie rozumiem, jakie to ma znaczenie? Fałszywy zapisek atramentem sympatycznym można było przecież umieścić także na standardowej mapie – odezwał się Charko.

– Owszem, ale wtedy na takiej mapie znalazłyby się także lokalizacje gdańskich cmentarzy. A na odręcznej mapie obergruppenführera ich nie ma.

Obaj Rosjanie, jakby kierowani tym samym impulsem, spojrzeli równocześnie na rozłożony karton.

– Jest na niej wszystko, co można znaleźć na urzędowej odpowiednicze oficjalnego planu miasta. Nazwy dzielnic, główne ulice, parki, dworce kolejowe, osobliwości turystyczne, szpitale, a nawet mola. Nie ma tylko cmentarzy. A oznacza się je na każdej niemieckiej mapie. Taki zwyczaj i tradycja.

– W takim razie niby dlaczego cmentarzy nie ma na tej mapie?

– Dobre pytanie. Przypuszczam, że autor tej mapy, być może podświadomie, pominął miejsce newralgiczne dla naszych poszukiwań. Tak na wszelki wypadek, by nie kusić losu.

– Dlatego pytał pan o nietypowe zdarzenia na cmentarzach?

– Zgadza się! Moim zdaniem archiwum może być ukryte na jednej z gdańskich nekropolii. Przypominam słowa Betty Knoppers, że strażnicy czuwają w miejscu, którego nikt nie będzie szukał. I że są tam krzyże. Początkowo pomyślałem o kościołach, teraz jednak sądzę, że chodzi o cmentarz. Kto, zwłaszcza w pierwszych dniach po zajęciu miasta, przejmowałby się cmentarzami? Mało to śmierci dookoła? Można się potknąć o stosy trupów zalegających pod ruinami i na ulicach. Nie mówiąc już o tym, że

w Gdańsku nie brakuje bardziej oczywistych miejsc nadających się do spenetrowania przez brygadę specjalną. Prawda?

## 7.

Poruszali się w głębokim, choć już topniejącym śniegu, zapadając się po kolana. Niektóre z grobowców przekrzywiały się ku ziemi, jakby przestały walczyć o utrzymanie pionu. Gdzieś wyczuwali pod stopami rozmiękłą glebę, wyczuwali zapach spróchniałego drzewa i gnijących liści, które przeleżały pod śniegiem ostatnie miesiące. I odór czegoś jeszcze, woleli nie zastanawiać się czego. Widać było czarne wykroty i wyrwy, niektóre groby zapadały się w mokrej ziemi. Starali się stąpać ostrożnie, by nie wylądować w jednym z nich.

– Nie lubię cmentarzy – sapnął Kukulka. – Tu jedzie trupem.

– Przynajmniej jest spokojnie – odparł Abell. – To nasza jedyna szansa, żeby ruszyć z martwego punktu.

– Martwego punktu? Na cmentarzu? Dobrze powiedziane. – Kukulka zachichotał.

Meldunek, który przekazał im Denisow, budził nadzieję. Na cmentarzu Bożego Ciała dwa dni wcześniej znaleziono ciało niejakiego Kurta Schlugego, kamieniarza. Głęboka rana cięta w piersi nie pozostawiała wątpliwości, że ktoś pomógł mu zejść z tego padołu. Zwłoki, ukryte pod stertą liści i gałęzi, najpierw odślonił szybko topniejący śnieg. A potem wywłókł wygłodniały pies albo lis poza bramę cmentarną, prosto pod nogi sowieckiego patrolu. Niewiele znaczący fakt, ale Abell potrzebował czegokolwiek, nawet najwątleszej przesłanki, aby ruszyć z miejsca.

– Może tego kamieniarza zadźgał jakiś cmentarny łazik? – Kukulka jakby wyczuł jego wahanie. – A może któryś z tych truposzów wstał z grobu, żeby ukarać tego kamieniarza za swój spieprzony nagrobek?

– Może. Ale od czegoś musimy zacząć. Denisow rzucił nam ten ochłap, ale terminu ultimatum nie zmienił. Czas ucieka.

– Czego szukamy?

– Czegoś, co nadawałoby się na skrytkę. Rodzinnego grobowca z wewnętrznymi katakumbami czy podziemną kryptą grobową. Miejsca pochówku dobrze zabezpieczonego przed wilgocią i spojrzieniami niepowołanych oczu.

– Tutaj co drugi grobowiec przypomina taką kapliczkę. – Wachmistrz się skrzywił. – Chowano tu niegdyś zamożnych gdańszczan.

– Nie wszędzie jednak znajdują się dwa krzyże. Pamiętasz, co wyszeptala Betty przed śmiercią? Krzyże, dwa krzyże. Tego szukamy.

Stado czarnych kruków zerwało się z ogrodzenia na ich widok. Skrzeczając metalicznie, uniosło się w powietrze, wzbijając tumany białego pyłu i zataczając wielkie kręgi na niebie.

Minęli kaplicę i wkroczyli na alejkę wiodącą w głąb cmentarza. Teren wyraźnie się podnosił. Po obu stronach dróżki wyrastał las nagrobków, także prostych grobowców z krzyżami, a nawet świeżych kopczyków skrywających pechowców, którzy odeszli w ostatnich tygodniach wojny.

Abell przyświecił latarką na tabliczkę jednego z nich. „Jurgen Wolf, ur. 9.07.1922 – zm. 19.01.1945. Pilot. Nie płaczcie, że odszedłem. Patrzę na Was z góry”. Kilka metrów dalej z ziemi wyrastał granitowy nagrobek Elsy Kitscher, lat dziewiętnaście. Zginęła w bombardowaniu. Żegnała ją rodzina i nieutulony w żalu narzeczony: „Śmierć przyszła z nieba, boleść została na ziemi”.

Im wyżej, tym grobowce były bardziej dekoracyjne. Mijali okazałe płyty z granitu gotlandzkiego, cmentarne akropole wsparte na marmurowych kolumnkach, las świętych figur i aniołów z rozpostartymi skrzydłami, strzegących tego wzgórza śmierci i wiecznego milczenia. Śnieg topniał coraz szybciej, z trudnością wyciągali buty z burej, lepkiej mazi.

Na szczycie wzgórza stała cmentarna kaplica na planie okręgu. Jej elewacje porastały suche teraz i szerniałe badyle winorośli. Ku swojemu zdumieniu zauważyli cienką strużkę dymu unoszącą się z komina. Obeszli kaplicę i odkryli, że na jej zapleczu dobudowano mały budynek, zapewne administracyjny. W oknie żarzyło się słabe światło.

Abell wszedł na schodki i załomotał w drzwi. Niemal natychmiast usłyszeli głos po drugiej stronie.

– Kto tam?

– Proszę się nie obawiać, jesteśmy Niemcami.

– Jestem księdzem, boję się tylko Pana Boga.

– Tym lepiej. Nazywam się Abell. Jest ze mną wachmistrz Kukulka. Jesteśmy obaj byłymi policjantami Kripo. Potrzebujemy pomocy.

Abell spodziewał się oporu po drugiej stronie, a przynajmniej rezerwy, tymczasem ku jego zaskoczeniu zamek zgrzytnął i drzwi uchylły się na szerokość łańcucha. Światło lampy oświecało twarz stosunkowo młodego księdza w wytartej sutannie. Zlustrował przybyszy uważnym, długim spojrzeniem.

– Na pewno jesteście policjantami?

– Na pewno, ojcze.

– Zaryzykuję. Dobrze panu z oczu patrzy. Zresztą na mnie się nie wzbogacie, jeśli jesteście bandytami. Mam tylko wodę święconą...

– Jeśli chodzi o to dobro, to z naszej strony nic księdzu nie grozi – rzucił wachmistrz.

Abell wszedł do środka, otrzepując buty w progu. Pomieszczenie było niewielkie, ale przynajmniej suche i ciepłe. W żelaznej kozie buzował ogień. Radca rozejrzał się dookoła. Łóżko, biurko, regał z modlitewnikami. Na ścianie oleodruk ukazujący Zbawiciela na tle murów Jerozolimy. Zaskoczeniem był klęcznik postawiony na środku pokoju.

– Modłę się cały czas – powiedział ksiądz, widząc jego spojrzenie. – Za tych, co odeszli, i za tych, którzy żyjąc, cierpią. Nazywam się Neuer, jestem pastorem.

– Radca kryminalny Christian Abell. A to wachmistrz Kukulka.

– Miło mi.

– Od kiedy tu ksiądz przebywa? – zapytał Abell, przytykając zgrabią ręce do kozy.

– Jestem tu od niedawna, ewakuowałem się z Prus Wschodnich.

– Co ksiądz robi na tym ustroniu? Chyba od dłuższego czasu nie ma już żadnych pochówków? Ludzie są grzebani tam, gdzie padną, najczęściej w ruinach.

– Nasza świątynia została zniszczona w bombardowaniu. Przeniosłem się tutaj. Mam przynajmniej kątek do spania i trochę opału. Modlić można się wszędzie, nawet na tym cmentarnym wzgórzu.

– „Nasz Bóg jest wielki i wspaniały, a mieszka na wysokościach”... Poznaj ksiądz? To Psalm XX, Salomona.

– Tak, oczywiście, wspaniały psalm i wymowna fraza, może dlatego że Bóg mieszka także w słowach, to on wnosi do nich wielkość. Często przywołuję ten święty wers w swoich kazaniach. Ale pewnie panowie nie trudzili się aż tutaj, żeby prowadzić ze skromnym pastorem dysputy biblijne.

– Tak, oczywiście, dziękujemy, że ksiądz nas wpuścił. Prowadzimy rodzaj dochodzenia.

– Dochodzenia? – Kapłan przysiadł na zydelku, skromnie składając dłonie. – Na czyje zlecenie? W Gdańsku nie ma już żadnej władzy. Miasto jest we władaniu czerwonego Antychrysta.

– To długa historia... Dwa dni temu w cmentarnym śmietniku znaleziono ciało tutejszego kamieniarza, Kurta Schlugego. Na pewno ksiądz o tym słyszał.

– Nie było mnie wtedy na cmentarzu. Może to i dobrze, Sowieci na pewno chcieliby mnie przesłuchać. Słyszałem o tym od parafian. Straszna zbrodnia, do tego bezsensowna zwłaszcza pod koniec wojny. Podobno ten Schluge to był dobry, uczciwy człowiek.

– Czyli nie znał ksiądz ofiary?

– Niestety. – Pastor rozłożył ręce.

– Cóż, trudno. – Abell nie skrywał rozczarowania. – Mam nadzieję, że będzie nam ksiądz mógł pomóc w innej kwestii. Szukamy na cmentarzu pewnego nagrobka.

– Chętnie, ale tu jest kilkaset grobowców.

Neuer podszedł do kozy, schylił się i dorzucił polano do ognia. Na dworze znowu zerwał się wicher. Jakaś gałąź z uporem uderzała w dach kaplicy.

– Ten jednak ma pewną cechę szczególną, która powinna być pomocna w identyfikacji. Prawdopodobnie zdobiją go dwa krzyże, w takiej czy innej postaci. Być może są wyryte w kamieniu, możliwe jednak, że stanowią element samego grobowca.

– Dwa krzyże? Dziwne. Szczerze mówiąc, schodziłem ten cmentarz wzdłuż i wszerz i jakoś nie przypominam sobie podobnego grobowca. Dwa krzyże nie mieszczą się w eschatologii chrześcijańskiej, wystarczy jeden. To on jest symbolem Męki Pańskiej. Taki dualizm to już byłaby przesada, ten nadmiar miałby w sobie coś ze świętokradztwa.

– Zapewne ksiądz ma rację, teologia to nie moja domena – odparł Abell. – Jest ksiądz przekonany, że nie znajdziemy tutaj takiego grobowca?

– Raczej tak. Dla pewności mogę sprawdzić w księdze. Mam tu po poprzedniku gruby indeks z fotografiami wszystkich grobowców. Podobno miało z tego powstać wydanie albumowe, to stary i piękny cmentarz. No ale wojna wszystko zmieniła.

– Gdzie ksiądz trzyma ten spis? – zapytał Kukulka.

– W kancelarii, tuż obok. Zapraszam. Mam tam świece, będzie więcej światła.

Uprzejmym gestem wskazał im drzwi do pokoju obok. Radca szedł przodem, wachmistrz za nim, ksiądz zamykał pochód. Kancelaria była małym stęchłym pomieszczeniem, umeblowanym jednym regałem, sosnowym stołem i dwoma krzesłami.

– Jakoś tu pustawo. – Abell stanął na środku pokoju i odwrócił się w stronę księdza, który pozostał na progu.

Kapłan zrobił ruch, jakby chciał sięgnąć pod sutannę.

– Ręce na widoku! – wycedził zimno Abell. W jego rękę załśnił metal lugera.  
– Mam dziwne przekonanie, że tu nie ma żadnego spisu. A ty nie jesteś pastorem, prawda Neuer? Jeśli naprawdę tak się nazywasz...

Kukulka na dźwięk tych słów zeszywniał i sięgnął po swój pistolet.

– Stąd takie absurdalne podejrzenie? – Ksiądz wydawał się zdziwiony słowami radcy. – Otworzyłem wam drzwi jak zbłąkanym wędrowcom, kierowany chrześcijańskim miłosierdziem, a wy mierzycie do mnie z broni? Do służby Bożego?

– Po pierwsze, buty. Jak dokładałeś drewna do pieca, odsłoniłeś je. Masz na sobie oficerki na obcasie. Takie jakie nosili oficerowie SS.

Mężczyzna spojrział w dół, jakby dopiero teraz odkrył, że ma na sobie demaskujące go obuwie.



– To o niczym nie świadczy. W tym porzuconym mieście można znaleźć różne rzeczy. Przyniósł mi je jeden z parafian.

– Po drugie, nie ma Psalmu XX. – Abell podniósł pistolet wyżej i wycelował w czoło mężczyzny. Było ich tylko osiemnaście. Nie znam księdza, który by tego nie wiedział.

– No proszę! – Twarz mężczyzny pozostała nieprzenikniona.

– Zamieniłeś czarny mundurek na sutannę? Pewnie lubisz czarny kolor, esesmańska gnido! – odezwał się wachmistrz. – Łapy do góry, no już!

– Pierdolcie się...

– Nieładnie tak bluźnić w świątyni. – Kukulka zacisnął drugą rękę w pięść.

– ...i gińcie w piekle!

Mężczyzna podniósł rękę i pociągnął za dźwignię w ścianie, którą dopiero teraz zauważyli. Abell krzyknął ostrzegawczo, ale było już za późno.

Dźwignia uruchomiła klapę. Podłoga pod nimi się rozstała. Polecieli w czarną czeluść, jakby wyszarpnięto im dywan spod nóg. Abell opadał plecami, jeszcze w locie ochronnym gestem zasłonił głowę. Bał się uderzenia o twardą posadzkę, jakkolwiek głęboko by się ona nie znajdowała.

Musieli polecieć w przepaść dobre parę metrów. Po kilku sekundach uderzyli o podłoże i wylądowali w dziwnej białej gęstwinie. Od góry usłyszeli trzask ponownie zatrzaszkiwanej klapy. Pułapka się zamknęła.

Abell sięgnął po latarkę i skierował snop światła pod nogi. Wszędzie wały się ludzkie szczątki. Brodzili po pas w stosach żeber, miednic, rzepek kolanowych i płaskich jak płoza kości podudzia. Próbowali wydostać się z góry czaszek o różnych rozmiarach i odcieniach bieli. Małych i dużych, czerepów starców i dzieci. Pięknie sklepionych jak w greckich rzeźbach i zdeformowanych, owych szkaradnych pamiątkach po ludzkich karłach i pokurczach. Niektóre z nich krzyczały dziurami w czole i potylicy, które wskazywały, że ich właściciele rozstali się z życiem w sposób gwałtowny lub na cudze życzenie.

– Co to jest, do kurwy nędzy? – Kukulka pierwszy wygrzebał się i stanął na nogi.

– To prawdopodobnie ossuarium – powiedział Abell.

– Możesz po ludzku?

– To taki magazyn starych kości pochodzących z ekshumowanych zwłok. Z reguły zbierano je do pojemników lub naczyń. Czasami jednak zbierano szczątki i trzymano je w specjalnych budowlach. Widocznie nad takim ossuarium zbudowano obecną kaplicę.

– Mówiłem, że nie cierpię cmentarzy. – Kukulka z obrzydzeniem otrzepał ubranie z kostnego pyłu. – Ten esesmański pojebus nas stąd nie wypuści.

Abell nie odpowiedział. Nieuchwytny przeciwnik ciągle ich wyprzedzał. O jeden krok, jeden ruch, jedną sekundę. Już kilka razy wydawało się, że są blisko, a potem następowało twarde lądowanie. Tak jak tu, w tej grobowej, zacementowanej krypcie. Ten człowiek na górze był dobrze przygotowany na ich przyjście. Tę zapadnię musiano przygotować odpowiednio wcześniej. Dał się zdemaskować, ale nie stracił zimnej krwi. Postanowił pogrzebać ich żywcem. I teraz tkwili tu jak szczury w zacementowanym sarkofagu pełnym ludzkich szczątków.

Ale, ale, czy aby na pewno? Abell pociągnął nosem. Powietrze w ossuarium było zaskakująco świeże. Oddychali swobodnie. Kłapa na górze była szczelna, istniał więc tu jakiś dopływ tlenu.

– Ciągle mamy szansę – powiedział. – Tu musi być jakiś szyb czy nieszczelnie zamurowane wejście. Inaczej nie oddychalibyśmy pełną piersią. Jeśli to rzeczywiście ossuarium, to musiało mieć kiedyś oddzielne wejście, przecież nie wchodziło do niego od góry. Pewnie zmieniło się ukształtowanie terenu, dopiero później nadbudowano kaplicę.

– To ma sens. – Wachmistrz obrzucił czujnym spojrzeniem ossuarium. – Tylko jak znaleźć wyjście z tej trupiarni?

Abell rozejrzał się po pomieszczeniu. Kości rozrzucone były nierównomiernie. Najwięcej znajdowało się ich pod przeciwległą ścianą, stos dochodził tu prawie do powały. Szczątki tworzyły tam rodzaj piramidy opartej o mur. Po drugiej stronie kości było co najwyżej po pas. Jeśli mieli szukać swojej szansy, to tylko tam.

– Musimy oczyścić z kości tę ścianę. – Wskazał ręką właściwą stronę. – Jeśli dobrze rozumiem, kości spychano stale na stronę przeciwległą od wejścia, robiąc w ten sposób miejsce na kolejne szczątki. To byłoby logiczne. A jeśli tak,

to dawne wejście musi znajdować się gdzieś po tej stronie, gdzie zalega obecnie najmniej szczątków.

– No to do roboty!

Pracowali w milczeniu, obok siebie, krztusząc się i połykając drobiny kostnego pyłu, który już po kilku ruchach zaczął krążyć w powietrzu. Rozrzucali na bok ludzkie piszczele i żebra, czerepy i pogruchotane szczątki, torując sobie drogę do ściany. Po kwadransie byli blisko celu. Spoza kości wyłonił się mur. Przyssały się do niego robale kilkucentymetrowej długości, zaskakująco tłuste i ruchliwe. Zdarli je ludzką miednicą, zastępującą im łopatę.

Radca przyświecił sobie latarką. Przez chwilę krążył świetlnym kręgiem po murze, aż wreszcie znalazł to, czego szukał.

– Jest! – wydał z siebie cichy okrzyk triumfu.

Teraz wyraźnie widzieli kształt dawnego wejścia, ciemny owal podbity polnymi kamieniami. Wraz z upływem czasu ossuarium musiało zapaść się w gruncie, ponad poziom obecnej podłogi wystawała tylko jego górna część, ale na tyle duża, że można by się było przez nią przecisnąć.

Zamurowano je zwykłymi cegłami. Abell przytknął nos do szpary pomiędzy spoinami. Wyraźnie poczuł podmuch świeżego powietrza. Odsunął głowę i zaczął macać rękami przegrodę dzielącą ich od wolności.

– Ciekawe, jak bardzo jest gruba – mruknął. – Na jedną cegłę czy więcej? Jeśli to drugie, to pięściami jej nie rozbijemy.

– Ale tymi czerepami już tak – odparł Kukulka.

Wziął do ręki jedną z czaszek i wkładając w to uderzenie całą swoją siłę, walnął nią o mur jak taranem, aż kość pękła mu w dłoni niczym gliniana skorupa. Sięgnął po następną czaszkę i powtórzył operację. Kilka cegieł wyraźnie się cofnęło, tworząc wyrwę w ścianie. Kukulka odsunął się o krok i z głośnym krzykiem niczym karateka zaatakował z wysokoku wyciągniętą nogą.

To wystarczyło. W murze pojawiło się czarne okno. Doleciał ich zapach wilgotnej ziemi. Wachmistrz wysunął głowę przez wybity otwór. W świetle księżycy zobaczył las krzywych krzyży. Byli tuż obok ścieżki wiodącej na wzgórze, którą pokonywali godzinę wcześniej.

Zobaczył coś jeszcze. Białe światło latarki meandrującej po wschodniej stronie cmentarza tam, gdzie rysowały się masywne kontury rodzinnych grobowców. Obok nich z ziemi wyrastał przekrzywiony drewniany krzyż, zapewne pozostałość po starym cmentarzu.

– Mamy szczęście. – Wycofał głowę. – Ten esesmański fanatyk nadal tu jest. Pewnie oczyszcza schowek. Pomożemy mu w tym. Ale potem należy do mnie, zgoda?

Abell skinął głową. Łączyło ich coś, co najłatwiej nazwać by można szorstką męską przyjaźnią. Byłoby to jednak uproszczenie i obaj mieli tego świadomość. Nie zwierali się sobie ze swoich sekretów. Pochodzili z różnych światów. Byli niepodobni do siebie. Niegdyś połączyła ich służba w Kripo i hierarchiczna zależność. Przywykli do swojej odmienności i ją zaakceptowali. Kukulka podziwiał siłę intelektu Abella i jego prawość, radca w obronie swoich przekonań potrafił postawić się nie tylko kierownictwu Kripo, ale także nazistom. Abell z kolei nauczył się cenić nie tylko bezwzględne oddanie i lojalność Kukulki, ale także jego doświadczenie, które okazało się kluczem do rozwiązania wielu śledztw. Wachmistrz znał dobrze świat ulicy, mówił jej narzeczem. Dlatego, gdy zawodziło prawo, stosował drogę na skróty i niszczył bandytów ich własną bronią: przemocą, brutalnością i brakiem jakichkolwiek skrupułów. Był żelaznym młotem Abella kruszącym wszelki opór. Jego mrocznym alter ego, wkraczającym do akcji w szczególnych okolicznościach, które potrzebowały ciszy i dyskrecji.

– Przesłuchamy go. A potem będzie twój – odparł. – Co z nim zrobisz?

– Nie chcesz wiedzieć.

\*

Hauptsturmführer Siegfried Neuer sięgnął do kieszeni i wyciągnął klucz. Musiał przyświecić sobie latarką, aby umieścić go w zamku kraty wiodącej do grobowca Rennenkampów. Na dworze panowała już ciemność, w której majaczyły tylko jasne krzyże i nagrobki. Białe światło księżyca zawieszzonego nad cmentarnym wzgórzem pozwalało orientować się w terenie. Usłyszał charakterystyczny trzask zamka i przekręcił klucz raz jeszcze.

Obejrzał się za siebie i czujnie zlustrował wzrokiem cmentarne wzgórze. Już nie był pastorem Neuerem, zresztą rolę tę odegrał dość kiepsko. Z ulgą powrócił do swojej skóry, w której czuł się zdecydowanie lepiej. Ci zdrajcy znaleźli go nadszpiewanie szybko. I za łatwo. Zgodnie z planem zamierzał tu przetrwać przynajmniej do końca kwietnia. Takie otrzymał rozkazy, a w SS mieli w zwyczaju ściśle je wykonywać. Był strażnikiem, wybrano go spośród najwierniejszych i najbardziej godnych zaufania członków czarnego bractwa. Doceniał ten honor, czuł jego ciężar na swoich barkach. Był gotów złożyć swoje życie na ołtarzu Sprawy. I poświęcić je bez chwili wahania. Cóż znaczyłoby bowiem takie nędzne bytowanie bez wielkiej, uskrzydlającej idei? Bez tej wspaniałej, narodowej wizji, dla której przelali tyle krwi i ponieśli tak wielkie, bezprzykładne ofiary? Co otrzymaliby w zamian? Niewolniczą wegetację? To nie dla takich jak on. Nie miał innej rodziny poza SS. Jego ojcem był Reichsführer, jego jedyną miłością: Niemcy.

Wiedział, co miał robić. Przygotowali wcześniej plan B. Ci zaprzańcy dotarli do niego i to w sposób oczywisty komplikowało sprawę, ale nie na tyle, by nie podołał nałożonemu nań zadaniu. Pogrzebał skurwysynów za życia, nigdy ich tam nie znajdą. Będą zdychać z głodu i pragnienia i sami rozpadną się w proch wśród tych niezliczonych szkieletów. A gdyby nawet jakimś cudem wydostali się z tej podziemnej pułapki – on będzie już daleko.

Wiedział, że działali na zlecenie Sowietów. Dlatego musiał uwzględnić możliwość, że Ruscy wiedzieli o celu ich dzisiejszej eskapady. Podjął już decyzję: opróżni grobowiec i przeniesie go dla bezpieczeństwa w inne miejsce. Równie nieoczywiste, jak ten cmentarz.

Otworzył kratę i wszedł do krypty. Od jego ostatniej wizyty nic się tu nie zmieniło. Na środku stały trzy sarkofagi, ustawione jeden nad drugim. Za nimi wyrastała kolejna piramida, złożona z kilku metalowych trumien. Widać było, że są już wiekowe, zżerała je rdza. Po prawej ręce miał ścianę przypominającą kolumbarium. Na kamiennych półkach ustawione były trumienki dzieci.

Piasek wokół sarkofagów był zamieciony równo, ukośnym ruchem z lewego rogu do góry. Podeszedł do górnego sarkofagu grafa Otto von Rennenkampfa. Na płycie widniał herb rodowy i napis: *Bene mori praestat, quam turpiter vivere*, „Lepiej dobrze umrzeć, niż haniebnie żyć”. Przyniesionym łomem wybił otwór w spoinie i spróbował podważyć płytę.

Marmur był ciężki, przesunął się ledwie o kilka centymetrów. Ponowił próbę, zapierając się nogami o jedną z mosiężnych trumien stojących pod ścianą. Po kilku minutach otwór był już na tyle duży, że mógł wydobyć z sarkofagu jego zawartość.

Pochylił się i z biciem serca chwycił za rogi skrzyni. Wykonana była z czarnego metalu i dobrze zabezpieczona przed wilgocią. Podciągnął ją wyżej i oparł o skraj grobowca. Otarł pot z czoła. Zebrał się w sobie i jednym ruchem zsunął kufer.

Prostokątna skrzynia leżała teraz u jego nóg. Skrywała tajemnice, za które oddało życie już kilku ludzi. Najwierniejszych z wiernych. Jak obergruppenführer Lölgen, być może najlepszy, najbardziej godny z nich. Włoży ją teraz na taczkę, po tym nieszczęsnym kamieniarzu. Kilometr za cmentarzem, w odludnej okolicy, stał domek dróżnika na zamkniętej bocznicie kolejowej. Tam w piwnicy ukryje ładunek. Dotrze na punkt kontaktowy i zostawi wiadomość. A potem poczeka na ewakuację.

– Podnieś ręce, tylko powoli! – Głos zza jego pleców brzmiał wrogo i głucho.  
– A potem na glebę, ryjem w piasek, no już!

Neuer zastygł w bezruchu. Powędrował spojrzeniem na kamienną półkę, na której zostawił schmeissera. Za daleko, za późno. Szlag!

– Nawet o tym nie myśl, gnido! Na ziemię, psie! Nie będę się powtarzał.

Esesman klęknął i z wahaniem rozciągnął się na ziemi.

– Nogi szeroko, ręce też. Dobrze. Najpierw sprawdzimy, czy nie chowasz jakiejś niespodzianki w gaciach. – Esesman poczuł na sobie twarde palce Kukulki. – A teraz posłuchaj. Ja bym cię rozjebał od razu, tu na miejscu. Miałbyś przy okazji ładny grobowiec. I to za darmo. Ale pan radca ma kaprys najpierw z tobą porozmawiać.

– Czego chcecie?

– Nie przerywaj, bo to niegrzecznie jest. Odpowiadaj na pytania. Jak na spowiedzi. Jeśli będziesz mówił prawdę, nie zastrzelę cię. Słowo.

– Dobrze – wycharczał esesman.

Tego nie było w ich planach. Nie otrzymał na tę okoliczność żadnych instrukcji. Pewne było jedno: los operacji leżał teraz w jego rękach. Nie zamierzał zawieść swoich dowódców. Nie on, hauptsturmführer Siegfried

Neuer, odznaczony Krzyżem Żelaznym za odwagę. Musi zyskać na czasie, odwrócić ich uwagę. Jeśli rzeczywiście przeżyje, szybko weźmie odwet. Ci dwaj zdrajcy nie wiedzą, z kim mają do czynienia.

– Grzeczny chłopiec, takich lubię. A teraz odwróć się i na kolana!

Neuer wykonał polecenie. Spod spuszczonej powiek obserwował czujnie poczynania prześladowców.

– Zanim oddam cię w ręce pana radcy. Pierwsze pytanie – indagował dalej Kukulka. – Nazwisko i stopień służbowy.

– Siegfried Neuer, hauptsturmführer SS – tyle mógł im powiedzieć.

– To prawdziwe nazwisko?

– Tak.

– Kto zlecił ci to zadanie?

– Nadprezydent Huthe na polecenie gauleitera Forstera.

– Wiesz, co jest w tej skrzyni?

– Nie.

– Na pewno?

– Przecież powiedziałem. Miałem ją tylko ulokować w grobowcu i strzec jak oka w głowie.

Abell jednym ruchem łomu zerwał kłódkę na skrzyni. Uchylił wieko i skierował strumień światła na jej zawartość.

Ujrzał przed sobą całe zwoje kancelaryjnego papieru wypełnione maczką nazwisk, liczb i adresów. Poczuł, jak szumi mu krew w skroniach. Czy tego szukali? Czy są u celu? Czy leżał przed nim klucz do tajemnicy, która nigdy nie miała ujrzeć światła dziennego? A przy okazji ich przepustka do wolności?

Wziął do ręki pierwszy ze zwojów i zaczął powoli czytać.

Katalog A Lebensborn R IV/I – A.E – 0113

Nazwisko dziecka: Kazimierz Kozłowski, lat 7. Znamiona rasy aryjskiej, oczy niebieskie, znaków szczególnych brak.

Rodzice: Maria, Jan Kozłowski.

Narodowość: polska, wyzn. rzymsko-kat.

Pochodzenie: wieś Dąbrowa, okręg Hrubieszów

Data przejścia dziecka: 29.06.1943

Data urzędowej adopcji: 21.12.1943

Nazwisko niemieckich rodziców: katalog B

Przesuwał w dół palcem, odczytując kolejne dane. Schemat się powtarzał: nazwisko dziecka i jego polskich rodziców, cechy aryjskie, daty. Było wszystko, czego szukali, z jednym istotnym wyjątkiem: brakowało nazwisk i adresów nowych niemieckich rodziców. Abell potrzasnął głową z niedowierzaniem.

Miał przed sobą archiwum, a właściwie jego połowę. Tego nie przewidział, taka ewentualność nigdy nie przyszła mu do głowy. Miał świadomość, że bez tej drugiej części ich znalezisko było właściwie bezwartościowe.

Na dnie skrzyni leżał jeszcze jeden dokument. Był to stary sztych przedstawiający fronton Zbrojowni widzianej od Kohlenmarkt. Wyglądał na przypadkowy papier. Jak znalazł się wśród zwojów z danymi osobowymi Lebensbornu? Ktoś użył go jako zakładki w plikach z nazwiskami? A może znajdował się w kufrze już wcześniej, zanim zapełniono go aktami programu Lebensborn? Abell potarł czoło. Znalezisko nie miało raczej nic wspólnego z archiwum Lebensbornu. Pomysł, aby przechowywać choćby jego fragment w jednej z najbardziej reprezentacyjnych i eksponowanych budowli Gdańska wydał mu się niedorzeczny. Trzeba było wrócić do meritum.

– Gdzie jest druga część? – Abell podniósł głowę i spojrzał na leżącego przed nim esesmana. – Gdzie ukryliście katalog B?

– Nie wiem, o co pan pyta. – Neuer potrzasnął głową. – Mówiłem już, nawet nie wiem, co było w tej skrzyni. Kazano mi tylko tego pilnie strzec i czekać na dalsze rozkazy.

– Podzieliliście archiwum na dwie części? Tak aby utrata pierwszej nie powodowała dostępu do całości danych?

– Nie mam pojęcia. Byłem tylko strażnikiem. Wykonywałem rozkazy.

– Jeśli nie powiesz prawdy, Neuer, przekażę cię w ręce wachmistrza. Wierz mi, on stosuje inne metody. Nie pochwalam ich, ale nie pozostawiasz mi wyboru.



– Byłem tylko strażnikiem... – powtórzył uparcie Neuer.

– Jak chcesz. Ja wracam do kaplicy. Przeszukam ją, może coś znajdę – powiedział Abell, po czym zwrócił się do Kukulki. – A ty rób swoje...

\*

Hauptsturmführer Neuer starał się nie stracić zimnej krwi. Nie po raz pierwszy znajdował się w podobnych opałach i zawsze wychodził z nich obronną ręką. Wszystko było kwestią wyszkolenia i wewnętrznej siły. Nie na darmo nosili trupa główkę na czapkach. Musi znaleźć wyjście z tej matni.

Uważnie śledził poczynania wachmistrza. Ten przeglądał zawartość skrzynki z narzędziami, którą on sam przyniósł do grobowca. Podejrzany gość nie wyglądał na policjanta z Kripo. Raczej na portowego przemytnika z kostropatą poczerniałą gębą. Bardziej obawiał się tego zimnokrwistego oficerka, ale na szczęście tamten wrócił do kaplicy. To był dobry moment, aby odwrócić złą kartę.

– Dogadajmy się – powiedział. – Obaj jesteśmy Niemcami.

– Taaak? Ja tam w połowie jestem Kaszubem, i to jest chyba ta lepsza połowa.

– To nie ma znaczenia. Obaj chcemy przeżyć, prawda?

– Kto by nie chciał. Masz tu gwoździe w tej skrzynce? O, już znalazłem. Cholera, oczy już nie te...

– Idą ciężkie czasy. Będzie bieda. I jak zawsze nędzarze pójdą na dno i dostaną najbardziej po dupie. A ludzie mający trochę oleju w głowie wyjdą na swoje. Tak było, jest i zawsze będzie.

– Trochę zardzewiałe te hufnale, ale z braku laku...

– Pogadajmy! – Neuer nie spuszczał wzroku z Kukulki grzebiącego w skrzynce. – Macie już to, czego pilnowałem. Więcej wam nie powiem, bo nic nie wiem. Po prostu. Puść mnie wolno, a nie pożałujesz. Mam tu na cmentarzu schowane kosztowności po żydkach, odłożyłem na czarną godzinę. Parchatym i tak już niepotrzebne. Odkujesz się.

– Dużo tego masz?

– Starczy dla nas obu. – Neuer spojrział na wachmistrza z nadzieją.

– Nie mogę.

– Niby dlaczego? Będzie z tego dużo kasy. Powiesz tamtemu, że ci uciekłem.

– Nie da rady. Nie uwierzy mi.

– Jak to?

– Mnie jeszcze nikt nie uciekł. A już na pewno nie facet, który mnie wnerwia. A ty mnie wręcz wkurwiasz, Neuer! – Kukulka podniósł się na nogi i zlustrował wzrokiem przedmioty wyciągnięte ze skrzynki. – Jako człowiek kulturalny wyjaśnię ci dlaczego. Po pierwsze, chciałeś nas pogrzebać żywcem, a to się nie godzi. Przyznaj sam, to nie było ładne zagranie. Po drugie, maczałeś łapy w ohydny procederze. Kradzież dzieci, fe! Do tego to pożydowskie złoto. I po trzecie, może najważniejsze. Wszyscy dali dyla z tego przeklętego miasta. Nawet twój pryncypał Forster. Zostali tylko najwierniejsi. Ci z czarnym podniebieniem, tacy, którzy wykonają każdy rozkaz i którzy nigdy się nie poddają. Nie dość, że rozpętali wojnę, to teraz robią wszystko, aby ją przedłużyć. Należysz do tej jebanej sekty, Neuer. Dlatego ty się ze mną nie dogadasz, ale może ja z tobą?

Esesman dopiero teraz dostrzegł przedmioty ułożone przez wachmistrza na podłodze grobowca. Dwa wielkie gwoździe z zardzewiałymi łebkami, duży młot i sznur.

– Co ty robisz?!

– Przygotowuję się. Posłuchaj! Obiecałem, że cię nie zastrzelę, jeśli powiesz prawdę. Dotrzymam słowa. Jeśli jednak będziesz się nadal upierał, sprawię ci wiele bólu.

– Nie zrobisz tego. Jesteś policjantem.

– Byłem, ale nawet jakbym pozostawał na służbie, to też nie miałbym skrupułów. Wierz mi, zrobię to. Musimy odnaleźć drugą część archiwum. To dla nas sprawa życia i śmierci. Tak więc w pewnym sensie jesteśmy sobie równi: my też gramy o wszystko. No więc jak będzie?

– Pierdol się!

– Jak chcesz. Plan jest taki, najpierw pogruchocę ci kolana tym młotem...

\*

Po godzinie było po wszystkim. Skończyły się krzyki, odgłosy kaźni, wycie ofiary. Kukulka odłożył pokrwawiony młot. Leżący przed nim człowiek był już tylko strzępem hardego hauptsturmführera SS, odznaczonego Krzyżem Żelaznym za odwagę wykazaną w bitwie na łuku kurskim. Siegfried Neuer leżał w kałuży krwi i modlił się już tylko o jedno: aby ten koszmar wreszcie się skończył.

- Powiedziałem ci wszystko, co wiem – wycharczał, wypluwając wybite zęby.
- Nie można było tak od razu?
- A teraz odejdz. Obiecałeś, że darujesz mi życie!
- Przekręcasz. Dałem słowo, że cię nie zastrzelę, a to nie to samo...

## 8.

Rosyjski patrol zatrzymał się pod bramą cmentarza. Ktoś doniósł, że z nekropolii dobiegają dziwne hałasy. A akurat w tym miejscu powinno być raczej spokojnie.

Pierwszy z żołnierzy poszedł przodem i wszedł na główną alejkę cmentarza. Drugi z żołdatów podążał z tyłu, próbując zapalić zawilgoconą machorkę. Przeszli kilkanaście metrów, ale nigdzie nie zauważyli ani nie usłyszeli niczego podejrzanego. Chcieli już zawrócić, gdy zza zakrętu alejki dobiegł ich dziwny jęk, jakby ktoś się dusił i gwałtownie potrzebował powietrza.

Żołnierz z przodu podniósł ostrzegawczo rękę i chwycił mocniej pepeszę. Ostrożnie doszli do zakrętu i spojrzeli w głąb dróżki. Obaj skamienieli.

– *Kakowo czierta?*

Widok był przerażający. Na tle nieba rysowała się dziwna konstrukcja. Z początku wzięli ją za gilotynę, ale potem zrozumieli, że to krzyż. Nie byłoby w tym nic niezwykłego, zważywszy na miejsce, w którym się znajdowali, gdyby nie fakt, że na poprzecznej belce wisiał ukrzyżowany człowiek. W świetle księżycy widzieli jego żebra, po których spływała ciemna krew. Rozpostarte ręce przybito mu zardzewiałymi gwoździami do drewnianej poprzeczki. Skrzyżowane nogi, prawdopodobnie z braku hufnali, przywiązano sznurem do przekrzywionej belki wkopanej w ziemię.

Fałszywy zbawiciel właśnie konał. W jego ustach pojawił się pęcherzyk ze śliny i powietrza. Wycharczał coś niezrozumiale, a potem odszedł, z głową opadłą na pierś.

# **Rozdział IV**

## **Źródło życia**

## 1.

Z nieba lała się ściana wody, ledwie widzieli drogę. Na szczęście Rosjanie na tę eskapadę użyczyli im jeden z samochodów horch, odnalezionych na parkingu budynku Kripo przy Karrenwall. Pamiętali tę maszynę z dawnych czasów, to był dobry, prawie niezniszczalny wóz.

Wicher przyginał do ziemi czubki drzew po obu stronach drogi. Po półtorej godziny minęli Marienburg. Zamek krzyżacki leżał w ruinie, w niczym nie przypominał wspaniałej budowli, którą Abell odwiedził po raz ostatni jeszcze przed wojną. Niemcy urządzili tu punkt oporu i ta decyzja się zemściła. Zniszczenia widać było gołym okiem. Prawie całkowicie została zrujnowana wschodnia część zamku wysokiego i średniego, wieża główna oraz kościół zamkowy.

Abell oderwał wzrok od ruin i spojrzał na Kukulkę, pochylonego nad kierownicą.

– Myślisz, że Neuer powiedział prawdę? – zapytał.

– Tak.

– Skąd ta pewność?

– Był w szczególnej sytuacji. Takiej, która sprzyja rozwiązywaniu języka.

– Jak skończył?

– Po chrześcijańsku.

– To dobrze.

Abell osunął się w fotelu. Opanowała go nagła senność. Przez głowę przepływały mu obrazy z ostatnich godzin. Nagłe poruszenie Rosjan, gdy dotarli do ich kwatery z cmentarnym znaleziskiem. Napięcie w oczach Denisowa, gdy wyłożyli zawartość kufra na stół. A także nieskrywane rozczarowanie w chwilę potem. I pytanie podszyte napięciem: „To już wszystko?”.

Co miał mu odpowiedzieć? Że też spodziewał się czegoś więcej, a nie tylko połówki układanki? Odzyskali dane i nazwiska wszystkich porwanych dzieci, ale do tego Polacy sami mogliby dojść, choć może nie od razu. Denisow przez dłuższą chwilę studiował plan Zbrojowni, a potem z westchnieniem wrzucił go do szuflady.

– Może należałoby przeszukać także Zbrojownię? Tak na wszelki wypadek – powiedział Abell.

– Już to zrobiliśmy. Nic tam nie ma. Być może naziści planowali urządzić tam skrytkę, a później zrezygnowali. A może to tylko przypadkowy papier. Diabeł wie...

– Będziemy szukać dalej. Pozyskaliśmy od tego esesmana na cmentarzu pewne informacje.

– Oby z lepszym skutkiem. Zostały dwa dni. Czterdzieści osiem godzin, Abell.

A później napłynął obraz z małego mieszkania przy Parku Oliwskim. Drżące ręce Zuzanny, gdy podawał jej wypis z odnalezionych akt.

Jan Skrzynecki

Rodzice: Zuzanna, Zygmunt Skrzynecki

Narodowość : polska, wyzn. rzymsko-kat.

Pochodzenie: Dirschau

Data urodzenia dziecka: 9.09.1937

Data przejęcia dziecka: 3.07.1944

Data urzędowej adopcji: 28.09.1944

Nazwisko niemieckich rodziców: katalog B

– Co to znaczy katalog B? – zapytała Zuzanna, ściskając kurczowo kartkę.

– Podejrzewamy, że Niemcy podzielili archiwum Lebensbornu na dwie części. – Abell ostrożnie dobierał słowa. – W pierwszej zmagazynowano dane porwanych dzieci. W drugiej zapewne oznaczono miejsca, do których ostatecznie trafiły, oraz dane ich nowych niemieckich rodziców.

Prawdopodobnie uczynili tak, aby utrudnić odnalezienie dzieci po przegranej wojnie. Jak widać, na razie z powodzeniem. Przykro mi to mówić, ale taka jest rzeczywistość.

Długo milczała, widział łzy spływające po jej policzkach.

– Jasia poddano adopcji? Już w dwa miesiące po tym... – Głos uwiązł jej w gardle.

– Na to wygląda. Przystudiowałem uważnie te papiery. Z reguły procedura adopcji trwała dłużej. W tym przypadku nastąpiła błyskawicznie. Być może dlatego, że starającym się była osoba wpływowa, mąż Lotty. Oczywiście jeśli masz rację i to oni stoją za porwaniem twojego syna.

– I co, powiedzieli mu, że od tej pory ma nową mamusię? A co ze mną? W jakim języku mu to oznajmili? Po polsku czy po niemiecku? Co czuł wtedy Jaś? Jak bardzo się boi, co teraz przeżywa? Był ze mną tak związany, Boże. – Zwiesiła bezradnie głowę.

Niespodziewanie dla Abella do kobiety podszedł Kukulka i objął ją opiekuńczo ramieniem.

– Proszę się nie martwić – powiedział. – Odnajdziemy chłopca. Choćbyśmy musieli zejść do piekła.

Z oddali dobiegł ich stłumiony zgrzyt gąsienic czołgowych. W pokoju było duszno.

– Czy brat dotarł już do archiwum urzędu stanu cywilnego? – zapytał Abell.

– Jeszcze nie. – Zuzanna podniosła na niego oczy. Były wilgotne, widział w nich cień szaleństwa. – Rosjanie mu to obiecali, ale to trwa...

– Niech uderza od razu do Denisowa. To bardzo ważne.

– Wiem, ciągle próbuje. Już interweniował, ale dla Rosjan jest tylko pionkiem.

## 2.

Nagła nierówność terenu i zgrzyt resorów wybudziły go ze snu. Spojrzał przed siebie. Przestało padać. Resztki porwanych chmur jak kłęby brudnej waty



odpłynęły gdzieś za widnokrąg. Szosa wiodła ku górze, klucząc pomiędzy kępami drzew i pojedynczych kamienic. Za chwilę dojadą do skrzyżowania. Wiedział, co zobaczą. Miał ten obraz wyryty w pamięci, pokonywał tę trasę dziesiątki razy. Ciasne kwartały kamienic, po prawej strzelista wieża ratusza jak z baśni braci Grimm, wreszcie majestatyczna bryła katedry, w której cieniu się wychował.

Marienwerder. Miasto z dobrych i złych wspomnień. Mrowisko tajemnic. Początek i koniec drogi.

\*

Sowiecki sierżant rzucił okiem na przepustkę podpisaną przez Denisowa i szybko im ją zwrócił, jakby papier podpisany przez NKWD parzył w palce.

– *Siuda!* – Wskazał im kierunek.

Mała kamienica z bawolim okiem w dachu na końcu Herrenstrasse, tuż obok dawnego Gimnazjum Królewskiego. Przydzielony im pokój śmierdział bimbrem i starymi onucami. Widocznie poprzedni lokator, wysoki oficer sowiecki, nie zabawił tu zbyt długo, ale pozostawił po sobie trwałe zapach.

Usiedli przy stole i w milczeniu czekali na zapadnięcie zmierzchu. Ciemność skrywa nie tylko ofiarę, ale i kata. Poza tym nie chcieli rzucać się w oczy. Abell od czasu strzelaniny w Oliwie ciągle miał wrażenie, że ktoś nieustannie śledzi ich poczynania i uprzedza każdy ich ruch. Tak było w Gdańsku, gdzie musieli uważać nie tylko na Rosjan, ale i na Niemców. Marienwerder, w wyniku rozkazu przymusowej ewakuacji, było prawie wyludnione. Po drodze mijali sznur wozów i ludzi, uciekających na północ w stronę mierzei. Zakładali jednak, że pozostali tu jeszcze jacyś mieszkańcy, a strażnik nie działał w próżni.

Innym kłopotem była nieufność Sowietów. Dwaj dorośli Niemcy poruszający się po terenach frontowych wzbudzali podejrzenia i przyciągali uwagę rosyjskich posterunków. Ciągle ich legitymowano, kilka godzin spędzili pod lufami automatów, czekając, aż Denisow potwierdzi przez radiostację ich tożsamość i ważność wystawionego glejtu.

Abell spojrział w okno. Ulica pogrążona była w ciemności.

– Już pora – powiedział, a Kukulka bez słowa zabrał broń i naboje ze stołu. Obaj mieli świadomość wagi tego wieczoru. Kończył im się czas na odnalezienie archiwum.

Wyszli na ulicę i skierowali się w stronę katedry. Niemal natychmiast usłyszeli dzikie wrzaski dobiegające z tamtej okolicy. Niebo było purpurowe od płonącej za rogiem łuny. Doszli do domu handlowego Augusta Klingera na rogu i stanęli jak wryci. Kilka domów po prawej stronie Marienburgerstrasse, aż do budynku poczty, stało w ogniu. Ogień lizał też wejście do hotelu Reichshof i znajdującej się tuż zanim stacji paliwowej Aral.

Ulicą przewalały się tabuny zataczających się żołnierzy. Pijanych w sztok, rzygających prosto pod buty, śpiewających rosyjskie czastuszki i poklepujących się co chwila po udach. Wyglądali równie cudacznie, co abstrakcyjnie w swoich rozchełstanych kubrakach, japońskich szlafrokach i piżamach zrabowanych z pobliskich domów. Niektórzy posuwali się do przodu wielkimi kangurzymi susami, wspierając się na inwalidzkich kulach i laskach. Inni, z głowami owiniętymi bandażami, przypominali bandę ślepców lgnących do ognia.

Ta wielobarwna ciżba posuwała się do przodu, a trasę jej przemarszu znaczyły wrzaski i ogień trawiący kolejne kamienice. Zewsząd dobiegał huk rozszalałego żywiołu, słychać było trzask pękających szyb i walących się stropów. W niebo biły snopy iskier zbierających się niczym świetliki w ogniste chmury i krążących nad miastem.

Abell patrzył oniemiały na to dzieło zniszczenia trawiące jego rodzinne miasto. Denisow uprzedził go, że sowieckie dowództwo zamieniło Marienwerder w jeden wielki lazaret dla ponad dwudziestu tysięcy czerwonoarmiejców, ale rzeczywistość przerosła jego najgorsze oczekiwania.

– Jak oni wygrali wojnę? – spytał równie poruszony tym widokiem wachmistrz.

– Zapytaj raczej, jak my mogliśmy wojować z nimi tak długo – odparł radca.

Wskazany przez Neuera adres mieścił się u podnóża katedry. Szli wolno w dół, mijając po drodze ważny dla miasta pałac Fermora<sup>[XIV]</sup>. Następnie skrócili sobie drogę zejściem po dawnych Kaffetreppen<sup>[27]</sup>. Czy to nie tutaj, w nieistniejącej już kawiarni, po raz ostatni widział się z Karen?<sup>[28]</sup> Kto wie,

jakby potoczyłyby się jego losy, gdyby wszedł wtedy w tamte wpólotwarte drzwi?

Wyparł to wspomnienie, było jak wyblakła odbitka z zamierzchłej, nierealnej już rzeczywistości.

Danzigerstrasse tonęła w ciemnościach. Na tle nieba rysowała się wieża sanitarna zamku. Widział jej mocarne podpory. Spojrzał w górę na podłużny korpus budowli. Miał wrażenie, że w jednym z małych okienek ujrzał błądy odbłask, ale może był to tylko refleks ognia z płonącego starego miasta. Szli ostrożnie, by nie potknąć się na nierównej nawierzchni. Woleli nie używać latarek zbyt często, jedynie do przyświecania numerów na murach.

Domek ze stromym dachem. Pruski mur od strony zamku. Numer dwunasty. Jeśli Neuer ich nie oszukał, byli na miejscu. Abell wskazał wachmistrzowi podwórko, a ten po chwili zniknął z drugiej strony posesji. Dom wyglądał na opuszczony, w żadnym z okien nie tliło się światło. To jednak niewiele znaczyło. Na całej ulicy było podobnie, kamieniczki wyglądały jak wymarłe, a przecież Abell wiedział, że nadal ukrywają się w nich niedobitki mieszkańców. Koczowali w piwnicach, naprędce przygotowanych schronach, stodołach i ziemiankach, przysypanych teraz zwałami błota.

Radca zapukał do drzwi. Najpierw cicho, a potem bardziej zdecydowanie.

– Proszę otworzyć! – krzyknął po niemiecku. – Naszym honorem jest wierność!

Odpowiedziała mu głucha cisza. Przeszedł na podwórko. Kukulka stał tam przyklejony do okna, próbując wyłowić najlżejszy choćby dźwięk. Spojrzał pytająco na radcę, a ten skinął głową.

Otwarcie drzwi wejściowych zajęło wachmistrzowi więcej czasu niż zazwyczaj. Trudził się, majstrując wytrychem, ale zamek nie chciał się poddać tak łatwo.

– Co jest? – Abell stanął obok, chuchał w zgrabiące dłonie. Od Wisły ciągnęło lodowatym chłodem.

– Jakiś solidny zamek. Nietypowy, jakby przemontowany z bankowego skarbcza. Chyba jednak dobrze trafiliśmy, dam radę...

Z oddali dobiegło ich dzikie, głuche wycie. Wygłodzone wilki podchodziły pod ludzkie siedziby w poszukiwaniu pożywienia.

Drzwi cicho skrzypnęły. Droga była wolna. Weszli do środka i zapalili latarkę. Znajdowali się w kuchni. Ujrzeni kaflowy piec jaśniejący w ciemności, prosty stół, dwa krzesła. Na parapecie stało kilka pustych już konserw mięsnych. Na dnie jednej z nich widać było jeszcze cienką warstewkę niezjedzonego mięsa. Abell oświetlił nalepki. „Ostkonservenfabrik Marienwerder GmbH”. Na pewno pochodziły stąd, a nie z wojskowych dostaw. Na podłodze wały się jakieś szmaty i stare gazety. Radca podniósł jedną z nich do światła. Była sprzed wielu dni, z czternastego marca. „Nigdy się nie poddamy! Wehrmacht skraca linię frontu i zadaje piorunujące ciosy Sowietom!” Dla porządku przeszukali też małą sypialnię i szafę, niestety, całkiem pustą.

Mimo drobiazgowej rewizji nie znaleźli nic godnego uwagi. Żadnego śladu, który by pozostawiał choćby cień nadziei. Dom wyglądał na opuszczony. Jeśli mieszkał w nim ów strażnik, to raczej już się tutaj nie pojawi. A może ktoś chciał, aby odnieśli właśnie takie wrażenie? Abell zagryzł wargi. Tak czy owak znowu utknęli w martwym punkcie.

Mieli się już wycofywać, gdy Kukulka, jakby tknięty jakimś przecuciem, podszedł jeszcze raz do parapetu. Wziął do ręki jedną z opróżnionych konserw i zaczął ją obwąchiwać.

– To nie pachnie jak stara konserwa – powiedział.

– To znaczy?

– Stare konserwy cuchną. Wiem coś o tym, żarliśmy takie w okopach przez cały rok 1918. Ktoś ją wszamał nie dalej jak wczoraj, no może dwa dni temu.

Abell zatrzymał się i jeszcze raz obrzucił wzrokiem całe pomieszczenie.

– Chyba masz rację. Coś tu jest nie tak. Te szmaty porozrzucone teatralnie po podłodze, a jednocześnie pusta szafa. Tak jakby ktoś chciał stworzyć wrażenie nagłego porzucenia albo pospiesznej ucieczki. I ta gazeta z datą sprzed dwóch tygodni. To jest zbyt oczywiste. Moim zdaniem ptaszek wcale nie wyfrunął, tylko chce, żebyśmy tak właśnie myśleli.

Dwieście metrów dalej człowiek, którego szukali, wpatrywał się z napięciem w okna niedawno opuszczonego przez niego domu. Hauptsturmführer Stange widział mocne snopy światła wędrujące po kuchni. Tamci mieli wojskowe latarki. Było ich dwóch. Szybko tu dotarli, za szybko. Jakieś nieprzewidziane okoliczności, może zwykły przypadek? Nie, raczej nie, nie wierzył w takie cuda. Prędzej padli ofiarą zdrady. Ciekawe, kto puścił farbę? Neuer? To raczej niemożliwe. Był esesmanem z krwi i kości, twardym i fanatycznym. Lölgen? Najwierniejszy z wiernych? Kto wie, za bardzo ulegał tej kobiecie. Pod koniec myślał bardziej chujem niż głową, a to się zawsze mści... Tak czy inaczej on zrobi to, co do niego należy. Rozkaz jest rozkazem.

Poza tym nic jeszcze nie było przesądzone. Istniała przecież nadzieja, że tamci zrezygnują. Zadał o stworzenie wrażenia, że dawno już ewakuował się z Marienwerder. Nigdy nie znajdują go w tym gigantycznym krzyżackim sraczu, zawieszonym kilkadziesiąt metrów nad Danzigerstrasse. Miał tu wszystko, co trzeba, spanie w jednej z powięziennych cel, zapas żywności i wody, a nawet radiostację, której używał tylko raz na tydzień o wyznaczonej porze.

Wprawdzie centrala od kilku dni milczała, ale to jeszcze nic nie znaczyło. Czasy były trudne, mieli ważniejsze sprawy na głowie, na pewno jednak o nim nie zapomnieli. Ani o dwóch skrzyniach, które tu kazali mu ukryć. Nikt mu nie obiecywał, że będzie łatwo.

Wkrótce przyjdzie rozkaz ewakuacji. A wtedy długim korytarzem dojdzie do studni, otworzy kratę i opuści się na sznurze, wyjdzie na zewnątrz i wzdłuż rzeki podąży na północ. Nikt nie mógł wiedzieć o jego obecności w gdanisku<sup>[XVI]</sup>, a już na pewno nie Rosjanie. Każdego dnia słyszał ich dzikie wrzaski dobiegające ze starego miasta, przez lornetkę widział czasami ich twarze, często o azjatyckich rysach, upojone alkoholem.

Przebywał na wrogim terytorium, niemal fizycznie docierała do niego obecność Rosjan. Mimo wszystko czuł się stosunkowo bezpiecznie. Już pierwszego dnia po przybyciu do miasta, jeszcze zanim wkroczyli doń Rosjanie, wysadził wejście łączące gdanisko z zamkiem. Zostało całkowicie zawałone gruzem. Dzięki temu stworzył sobie oddzielną enklawę, kamienną kapsułę zawieszoną kilkadziesiąt metrów nad ziemią, trudną do sforsowania i zdobycia.

Śledził stąd poczynania wrogów, którzy rozlali się po mieście. Przez lornetkę lub celownik optyczny obserwował z oddali, jak te małe mrówki poruszają się po uliczkach starego miasta, jak okradają mieszkania, wynosząc z nich patefony i zegary z kukułką, jak wieczorami ta pijana hałastra zamienia kolejne domy w płonące pochodnie.

Tylko raz poczuł się zagrożony. I tylko wtedy wyjątkowo wyszedł ze swojej roli niewidocznego obserwatora. Trzeciego dnia pod zamkiem pojawił się sowiecki gazik. Oficer, rudzielec z sumiastym wąsem, i dwóch żołnierzy. Weszli do zamku i zaczęli wynosić z niego zrolowane płótna, srebrne świeczniki i zabytkowe krzesła. Kursowali tak trzy razy, znosząc łupy do gazika pozostawionego przy Kaffestrasse, od strony katedry. Rudzielec ciągle był niezaspokojony. Miał jego pyzată twarz w celowniku optycznym. Widział szerokie czoło i ciemne skupione oczy. Potem zniknęli. Na drugi dzień oficer podjechał sam. Obszedł dookoła gdanisko. Widocznie było mało skurwysynowi. Zamierzał dostać się do wieży. Odkrył zburzone przejście, ale ta przeszkoda najwyraźniej go nie powstrzymywała. Wręcz przeciwnie.

Stange poczuł wtedy ukłucie niepokoju. Niepotrzebny był mu ten wścibski Rusek. A już na pewno nie teraz. Trzeciego dnia rudy przyjechał ponownie. Tym razem przez wojskową lornetkę zaczął obserwować okienka wieży. Stange cofnął się gwałtownie. Poczuł, jak mocniej bije mu serce. W ułamku sekundy podjął decyzję.

Zmienił pozycję, przechodząc do okienka najbliżej zamku. Sięgnął po karabin snajperski. Mauser Kar98k był znakomitą bronią. Wyczekał, aż Rosjanin wróci do gazika. Uchylił okienko i ustawił lufę na parapecie. Widział przez celownik optyczny tył głowy oficera. Wyregulował ostrość i ustawił odległość. Był spokojny dzień, to ułatwiało sprawę, nie musiał brać poprawki na wiatr. Krzyż celowniczy wskazywał punkt tuż pod czapką, na linii potylicy.

Odczekał, aż gazik ruszy w stronę pałacu Fermora. W im większej odległości od zamku to się stanie, tym lepiej. Dwieście metrów, dobra odległość na strzał. Gazik przyhamował na sekundę. Stange wstrzymał oddech i nacisnął spust.

Głowa rudego rozbłysła krwią i zniknęła mu z pola widzenia. Oficerska czapka potoczyła się po bruku. I po wszystkim. Żegnaj, Iwan. Hauptsturmführer zsunął się z parapetu i oparł plecami o zimną ścianę.

Tak jak się spodziewał, przez kolejne dwa dni Rosjanie szaleli i przeczesywali okoliczne kamienice, szukając zamachowca. Widział, jak wywlekli z jakiejś piwnicy starszego mężczyznę w długim szynelu. Ścieli go jedną serią, od razu na ulicy.

No cóż, bywa.

\*

Światła w oknach zgasły. Tamci wychodzą. Stange przyłożył oko do lunety snajperskiej. Widział teraz kontur postaci jednego z intruzów w świetle jego własnej latarki. Ustabilizował krzyż celowniczy. Położył palec na cynglu. Z tej odległości nie mógłby chybić, zdjąłby napastnika tak samo jak rudego. Kolejnego skurwysyna mniej. Cofnął się jednak i odłożył karabin. Oddając strzał, zdradziłby swoją obecność i zaalarmowałby drugiego z intruzów. Nie mówiąc już o Rosjanach. A na to nie mógł sobie pozwolić.

Nie lekcewał przybyszy. Z ostatniego meldunku, który odebrał, wynikało, że to zdrajcy, byli policjanci Kripo. Odczeka do jutra, jeśli koło domu pojawią się Rosjanie, to znaczy, że tamci odpuścili i przekazali sprawę Sowiетom. Gorzej, jeśli nic nie będzie się działo. To może oznaczać, że tamci zapadli się gdzieś pod ziemię i obserwują okolicę, czyhając na jego błąd.

Wtedy skorzysta z opcji rezerwowej. Huthe powiedział mu przecież wyraźnie: „Pilnuj archiwum tak długo, jak możesz. Jeśli jednak zaczniesz stanowić zagrożenie dla całej operacji, zniknij, nie czekając na rozkazy”.

Jutro się okaże, czy ten moment już nadszedł. Stange położył się na pryczy i po kilku minutach spał snem sprawiedliwego.

#### 4.

Najpierw spróbowali dostać się do gdaniska od strony zamku. Wrota zastali rozwarte, pod butami trzeszczały im kawałki szkła. Śmierdziało z nich bimbrem. Widocznie Rosjanie już tu byli. Abell stanął na małym dziedzińcu wewnętrznym. Niegdyś stanowił on ulubione miejsce jego zabaw dziecięcych, podobnie jak placyk w mieście, na którym stały dwie armaty z czasów wojny

francusko-pruskiej w 1870, wyprodukowane w Liège. Jak dawno temu? To było w innym czasie, innej rzeczywistości.

Po prawej widzieli masyw wieży sanitarnej. Wszystkie okienka były zaciemnione. Jeśli strażnik rzeczywiście się tam ukrywał, to dobrze kamuflował swoją obecność. Czy hauptsturmführer Neuer powiedział Kukulce prawdę? A może mimo tortur wskazał im trop prowadzący donikąd? Istniał tylko jeden sposób na to, żeby to sprawdzić.

Po schodach weszli do zamku. Wszędzie widzieli ślady zniszczenia. Stąpali ostrożnie pośród rumowiska. Wokół wały się modlitewniki z powyrywaniem stronicami, potrzaskane skorupy z majoliki, szczątki potrzaskanych mebli i puste ramy po obrazach. Mijali komnaty z gotyckimi sklepieniami, długie korytarze i wielkie szafy pootwierane na oścież. W jednej z sal natknęli się na wyschniętą paprotkę w wielkiej donicy. Jakiś żołdat nakrył ją uszatką z czerwoną gwiazdą, a w donicę wbił na sztorc butelkę po samogonie.

Doszli do miejsca wiodącego do gdaniska i tu utknęli na dobre. Ku zaskoczeniu Abella całe przejście zawałone było gruzem.

– Szlag! – Kukulka otarł pot z czoła. – Co teraz? Tędy nie damy rady.

– Jest inne przejście, a przynajmniej kiedyś było. Mało kto o nim wie. Korzystałem z niego jako chłopiec.

– Gdzie?

– Od strony rzeki. Tunel wykopano jeszcze w czasach średniowiecznych jako drogę ucieczki poza mury zamku i starego miasta. Prowadził aż do zewnętrznej podpory wieży, tej najgrubszej. Jego obecność kamuflował kiedyś mały budynek przyklejony do przęsła. Później na wieki o tym przejściu zapomniano. Aż wreszcie ktoś ponownie je odkrył. Jako młodzi chłopcy docieraliśmy tamtędy do tej podpory wieży, a potem wydrążoną studnią wspinaliśmy się aż na samą górę. Jest nadzieja, że strażnik o tym nie wie. Oczywiście, jeśli to on wysadził wejście.

– To twoje miasto. Spróbujmy, musimy dorwać skurwysyna.

Wycofali się tą samą drogą. Tym razem zeszli w dół przejściem koło pałacu Fermora. Błotnistą ścieżką dotarli na łąkę rozciągniętą nad rzeką. Abell przez dłuższą chwilę szukał wejścia do tunelu. Pamiętał, że niegdyś zasłaniał je rozłożysty krzew, po którym obecnie nie było już śladu. Jego uwagę



przyciągnęło wielkie, rosochate drzewo. Krzew zmienił się w drzewo? Odsunął uschnięte gałęzie i odetchnął z ulgą. O ziemny kopiec oparty był wielki głaz. Naparli na niego z Kukulką i po chwili odsłoniли prostokątny otwór.

Szli pochyleni ceglanym korytarzem, zapewne pochodzącym jeszcze z czasów krzyżackich. Sklepiony sufit wykonano z kamiennych przypór i polnych otoczków. Po starych ceglach spływała wilgoć. Tunel wiódł początkowo lekko w dół, by po kilkudziesięciu metrach, zapewne jeszcze przed Danzigerstrasse, skrócić ukośnie w stronę gdańska.

Doszli do zawilgoconego muru. Abell rozejrzył się dookoła. Znajdowali się u nasady zewnętrznej podpory podtrzymującej wieżę. Radca odetchnął z ulgą. Mimo upływu lat niewiele się tu zmieniło. Uchwycił żelazną kratę i się podciągnął. Nogami wymacał występ na murze i po chwili był już na skalnym stopniu. Kukulka poszedł w jego ślady. Byli we wnętrzu podpory. Wspinali się ku górze, chwytając się haków wystających z ceglanego muru i przyświecając sobie światłem latarek. Powietrze było stęchłe, można by je kroić nożem. W połowie drogi zatrzymali się na chwilę. Szczerbina w murze wpuszczała tu trochę dziennego światła.

Po kolejnych kilkunastu minutach męczącej wspinaczki Abell podniósł ostrzegawczo rękę. Byli na górze. Przez małe drzwi wydostali się na zewnątrz. Przed nimi ciągnął się korytarz wybity małymi okienkami, wiodący w stronę zamku. Godzinę wcześniej widzieli je z poziomu Danzigerstrasse. Z tego, co pamiętał radca, w bocznych celach mieściło się kiedyś więzienie. Człowiek, którego szukali, powinien znajdować się w jednej z nich.

## 5.

Strażnik Stange spał niespokojnie. Przez głowę przelatywały mu rwane obrazy z przeszłości, wszystkie ciężkie jak brzemię i ciągle powracające. Wybudził go nagły szelest. Przez chwilę miał wrażenie, że to złudzenie, strzęp snu, od którego nie mógł się odkleić, by powrócić na jawę. Przecież od wielu dni tkwił samotnie w tej celi, zawieszony pomiędzy niebem a ziemią. Towarzyszyły mu tylko ptaki szukające schronienia pod dachem. Czasami słyszał, jak szorują pazurami i skrzydłami po zmurszałych dachówkach.

Hałas jednak się powtórzył. Momentalnie otworzył oczy. Dwa ludzkie cienie. Jeden na tle okienka. Drugi w nogach jego pryczy. Czy to na pewno nie senny koszmar? Jak się tu dostali?

– Pobudka! – Dobiegający głos był twardy, ale pozbawiony wrogości.

– Czego chcecie? – Stange usiadł gwałtownie na pryczy.

– Niczego specjalnego. Tylko tego, czego kazano ci strzec jak źrenicy własnego oka. – Abell podszedł bliżej.

Światło księżycy oświetlało teraz twarz hauptsturmführera. Abell miał przed sobą wąsko osadzone, czujne oczy. Szerokie czoło, kościste policzki z zygzakowatą szramą na lewym z nich. I mocno umięśnione ręce, które na pewno potrafiły zabijać i zadawać ból. Widywał takich nadludzi na paradach SS w Gdańsku. Ci najbardziej dorodni, z aryjskim wyglądem, zawsze szli na czele. Ten na pewno kroczyłby w pierwszym szeregu.

Radca nie był pewny, co słyszał o nich strażnik. Czy wiedza o dwóch policjantach z Kripo krążących na zlecenie Rosjan po Pomorzu dotarła także do Marienwerder? Oni sami wiedzieli tylko tyle, ile wydobył wachmistrz od hauptsturmführera Neuera, strażnika z cmentarza Bożego Ciała. Ta niewiedza była obciążeniem, ale i pewnym wyzwaniem. Otwierała możliwość podjęcia jakiejś gry z tym esesmanem, zaskoczonym ich wizytą o świcie. Szanse były niewielkie, ale musiał spróbować.

– Nie obawiaj się – powiedział radca. – Sami swoi. Gramy w jednej drużynie.

– Tak? – Stange potrzasnął głową, jakby chciał pozbyć się resztek snu.

– Wysłał nas Lölgen. Jesteśmy wtajemniczeni – oznajmił Abell, dobitnie akcentując słowa. – Przysłano nas, żeby cię zluzować. Swoje już zrobiłeś. Czas do domu, hauptsturmführerze Stange.

– Rozkazy były inne – odparł esesman. Fakt, że znali jego nazwisko i stopień, był jednak dla niego pewnym zaskoczeniem.

– Ale się zmieniły. Odwiedziliśmy już Neuera na cmentarzu. Teraz czas na ciebie.

– Trochę się tu nasiedziałem, to fakt.

– No właśnie. Gauleiter o tobie na pewno nie zapomni. Należysz do wybrańców, Stange. To jeszcze nie koniec, lada moment jankesi wezmą się za łby ze Stalinem. Wtedy wrócimy.

– Naszym honorem jest wierność! – Stange wyprężył się na pryczy. – Kim jesteście? Chyba nie spotkaliśmy się wcześniej?

– Nie możemy ci powiedzieć. Rozkaz to rozkaz. W każdym razie jestem od ciebie starszy stopniem, hauptsturmführerze. Mamy przejąć od ciebie archiwum i pozamiatać tutaj tak, aby nie pozostał po tobie żaden ślad. Na pewno masz świadomość wagi zadania, które ci powierzono.

– Jasne, wiem, jakie to ważne.

Stange przesunął niedostrzegalnie rękę pod poduszkę. Mieli go za idiotę? Liczyli, że da się nabrać? Nie uszło jego uwadze, że rozmawia z nim tylko jeden z przybyszy. Ten drugi nadal tkwił nieruchomo w nogach pryczy. Nie widział jego rąk, tamten trzymał je z tyłu. Stange był pewien, że ma w nich gotową do natychmiastowego użycia broń. Lölgen nie przysłałby do niego nikogo z zewnątrz, taka była zasada tego tajnego przedsięwzięcia. Tylko swoi, ścisły krąg, zaufanie oparte na znajomości twarzy i ludzi. Poza tym uprzedziliby go wcześniej przez radiostację, tak jak się umówili. Ten elokwentny cwaniak nie mógł tego wiedzieć.

– Gdzie to jest? – Abell potoczył wzrokiem po celi, jakby w nadziei, że rozpozna gdzieś w ciemności kształt skrzyni.

– Na pewno nie tutaj.

Stange podjął decyzję. Musi wziąć udział w ich grze. A potem sięgnie po walthera i zdmuchnie ich dwoma celnymi strzałami jak kukły na strzelnicy. Rękę przybliżył do pistoletu pod poduszką. Opuszkami palców dotykał już broni. Czuł zimno bijące z metalu.

– A tak konkretnie, to gdzie? – indagował dalej Abell. – Mamy mało czasu, hauptsturmführerze.

– Niedaleko, w dobrej skrytce, bez obaw. – Esesman przyciągnął palcami pistolet o kolejne kilka milimetrów. Musi jeszcze obrócić rękojeść, broń leżała pod złym kątem. – A w ogóle jak się tu dostaliście?

– Urodziłem się tu i wychowałem. Znam to przejście z czasów młodości. Dlatego wybrano mnie do tej misji.

– Sprytnie, obergruppenführer Lölgen zawsze miał głowę do takich spraw. Dlatego Huthe i Himmler tak go cenią, prawda?

Jeszcze jeden półobrót i będzie trzymał pistolet w dłoni. A wtedy zakończy tę maskaradę na swoich warunkach. Tak jak lubi i raz na zawsze.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie.

– Po co te nerwy? Muszę się upewnić...

– Za dużo gadasz – odezwał się nagle drugi z napastników. – Dość tego cyrku. I przestań grzebać pod poduszką. Myślisz, że tego nie widzimy, złamasie? No już! Chyba że chcesz otrzymać kulkę między oczy. Naprawdę tego chcesz?

Ta niespodziewana riposta zmroziła esesmana. Zamarł w bezruchu. Był już tak blisko.

– Miałeś szansę wystąpić w tym przedstawieniu, ukłonić się publiczności i zniknąć. – Kukulka uznał, że czas już zagrać w otwarte karty. – Ale ty musiałeś wszystko spierdolić. Tacy jak ty nie potrafią inaczej, prawda? Łapki w górę, no już!

Stange niechętnie porzucił broń i podniósł ręce nad głowę.

– Zapłacicie za to, skurwysyny!

– Być może, ale ty będziesz pierwszy w kolejce. Chcesz wiedzieć, jak skończył twój kolega, hauptsturmführer Siegfried Neuer? Ukrzyżowałem go własnoręcznie na cmentarzu.

– Nie zrobiłbyś tego! – Esesman spojrzał na wachmistrza ze zgrozą.

– Nie znasz mnie, Stange. Nie lubię mokrej roboty, a jednak czasem muszę się pobrudzić. I mam o to żal do takich jak ty. Mam nadzieję, że dzisiaj oszczędzisz mi babrania się w twoich flakach. Dlatego proszę cię jak człowiek człowieka. Pan radca zada ci kilka pytań, a ty kulturalnie na nie odpowiedz. No, wznies się ponad te różnice, które nas dzielą.

– Nic wam nie powiem.

– Jezu, ile razy już to słyszałem! A poza tym nie słuchasz, co się do ciebie mówi. Więcej kultury, Stange. Nie zmuszaj mnie do stosowania przemocy. Uwierz mi, znam takie sposoby, które nawet na tobie sprawią niezapomniane wrażenie.

– Zdrajcy!

– Pytanie jest tylko jedno. – Abell ponownie wkroczył do akcji. – Gdzie schowałeś archiwum, a właściwie jego drugą połowę? Ręczę ci oficerskim słowem honoru, że puścimy cię wolno. Masz jeszcze szansę dotrzeć na mierznię, droga ewakuacyjna jest ciągle otwarta. To twoja ostatnia szansa. Nie bądź głupi, wykorzystaj ją. Twój przełożony Lölgen nie żyje. Na moich oczach zastrzelił się w Sopocie, w domu swojej kochanki Betty. Może ją znałeś? Niepotrzebnie zginął też strażnik z cmentarza Bożego Ciała, hauptsturmführer Siegfried Neuer. Naprawdę chcesz oddać swoje życie za przegraną sprawę, Stange? Po co? Nikt nie zauważy i nie doceni twojego poświęcenia. Twoja ofiara pozostanie anonimowa, wiesz, że historię piszą zwycięzcy. To cytat z twojego wodza, Reichsführera. W tym jednym przypadku przyznaję mu rację.

Stange słuchał tej przemowy z pochyloną głową. Słowa Abella godziły weń niczym dobrze wycelowane pociski. Nie miał sobie nic do zarzucenia. Podjął się tej straceńczej misji kierowany lojalnością i poczuciem obowiązku. Tkwił w mieście pełnym Rosjan, każdego dnia narażając się na zdemaskowanie i pewną śmierć. Próbował wyplątać się z wnyków zastawionych przez tych dwóch, ale go przechytrzone. Mówi się trudno. Silniejszy zwycięża, to też cytat z Reichsführera. I tak go uczono w szkole SS w Paderborn.

– Jesteś oficerem? – zwrócił się bezpośrednio do Abella.

– Byłem, ale nikt nie odebrał mi stopnia.

– W jakiej formacji?

– W gdańskim Kripo.

– Poznałem wielu ludzi z policji kryminalnej, ale ciebie jakoś nie kojarzę.

– Ostatnie lata spędziłem za granicą. Przy Karrenwall odsłużyłem jednak ładnych parę lat. Ostatni okres pod komendą Kellermana.

– Zetknąłem się z nim.

– Wiesz więc, że nie kłamię. Zresztą sądzę, że masz radiostację i wieści o nas już do ciebie dotarły.

– Puścisz mnie wolno, jeśli wam przekazę archiwum?

– Już powiedziałem. Gwarantuję swoim słowem.

– To niewiele.

– Przeciwnie, to wszystko, co masz. Twoja śmierć nic nam nie da. Jesteś tylko pionkiem w tej grze, my w jakiejś mierze też. Kierują nami tylko inne motywacje. My robimy to, co musimy. A twoja misja dobiegła właśnie końca.

– A ten sadysta? – Stange wskazał ręką na wachmistrza, który w odpowiedzi wyszczerzył twarz w szyderczym grymasie.

– Zrobi to, co mu każę.

## 6.

Pół godziny później obserwowali przez okno, jak Stange pojawia się nagle na Danzigerstrasse po opuszczeniu gdaniska. Z tej wysokości widzieli tylko pomniejszoną postać hauptsturmführera. Przez moment stał w miejscu, jakby zastanawiał się, który kierunek ucieczki wybrać. Wreszcie ruszył w stronę rzeki. Po chwili jego postać zginęła w szarościach wstającego poranka.

Abell odwrócił się i raz jeszcze pochylił nad skrzyniami przekazanymi mu przez esesmana. Roziskrzonym wzrokiem wpatrywał się w ich zawartość. Grube pliki zadrukowanych dokumentów na papierze kancelaryjnym, wszystkie opatrzone pieczęcią tajności Wydziału IV RSHA<sup>[29]</sup>. Opasłe zwoje zawierające jedną z największych tajemnic upadającej Rzeszy. Swoiste saldo największej kradzieży w dziejach, niezwyklej, bo dotyczącej nie kosztowności czy dzieł sztuki, tylko żywych ludzi, małych dzieci będących skarbem każdego narodu.

Abell przyświecił sobie latarką. Tysiące nazwisk i adresów. Akty chrztów adoptowanych dzieci, zgody i potwierdzenia urzędowe, opinie komórki rasowej, świadectwa pobytów w ośrodkach filtracyjnych Lebensbornu. Było tu wszystko, czego tak usilnie poszukiwali ich rosyjscy mocodawcy. I wszystko to, co mogło stanowić przepustkę do wolności dla nich i Morela.

Czy w tych aktach znajdowały się także adres i nazwisko nowych rodziców Jasia? Najprawdopodobniej tak, nie miał teraz czasu, żeby to sprawdzić, nie znał nazwiska nowego partnera Lotty. Zajmie się tym w drodze powrotnej do Gdańska. Pomyślał o Zuzannie i niespodziewanie dla samego siebie poczuł przyływ wzruszenia.

Przez wiele lat babrał się w ludzkich brudach. Brodził w kałużach krwi. Na jego drodze stawali dewianci i alfonsi, przemytnicy i inteligentni hochsztaplerzy, pedofile i rzeźnicy, wyrównujący swoje porachunki przy pomocy noża, siekiery i łomu. Śniły mu się po nocach ucięte głowy i trupy wisielców kołyszące się na latarniach wokół sopockiego kasyna. Poznawał świat od jego najgorszej strony, pełnej występku, zła i zbrodni. „Za dużo tajemnic, Christianie” – powiedziała mu jego pierwsza żona na pożegnanie i tych słów, pewnie dlatego, że były tak okrutnie prawdziwe, nie potrafił nigdy wymazać z pamięci.

Był czas, gdy pomimo wszystkich tych okoliczności lubił swoją pracę. Nie on odpowiadał przecież za brzydotę i zdeprawowanie tego świata. Przeciwnie, przywracał tylko jego zaburzony ład i harmonię. Odsiewał ziarno od plew. Kierował się prostą biblijną zasadą: jest zło, musi być kara. To pomagało, nawet wtedy, gdy musiał zaciskać zęby lub zatykać nos.

A gdy miasto, któremu wiernie służył, zdradziło go haniebnie, odszedł, nie oglądając się za siebie. Uznał, że ten rozdział ma już za sobą. Teraz jednak, gdy życie zmusiło go do powrotu, odnajdywał w sobie te dawne emocje, ten zastrzyk adrenaliny, który towarzyszył mu podczas pierwszych lat pracy w policji.

Może dlatego że niespodziewanie dla siebie samego zrobił coś ważnego. Dawał prawowitym rodzicom nadzieję na odzyskanie ich ukradzonego dziecka. Odwracał nieuchronny, zdawałoby się, bieg rzeczy, usankcjonowany brutalną siłą i cynizmem. Niweczył szatański plan Himmlera, by wessać obcą krew i wzmocnić siły witalne Germanii. Przywracał moralny porządek jak kiedyś.

Zrobił to, co uczynić należało. Amen.

\*

W drodze powrotnej zatrzymali się tylko raz w zrujnowanym zajeździe za Marienburgiem. Weszli do budynku podpieranego przez osmolone bale. Wnieśli ze sobą skrzynie. Pod nogami trzeszczały im kawałki pobitego szkła. Kukulka jednym ruchem ręki oczyścił duży stół, na którym wały się jakieś kości i resztki kurzego pierza. Wyciągnął nóż i sprawnie otworzył jedną

z konserw, które zabrał ze sobą z domu pani Braun. Nadział na ostrze kawał mięsa i podał Abellowi.

– Salceson – powiedział z lubością. – Nie ma nic lepszego.

Abell odmówił, kręcąc głową.

– Później, chcę przyjrzeć się dokładniej archiwum.

– Nie oddamy wszystkiego Roskim? – zapytał wachmistrz, rzucając mu szybkie spojrzenie.

– Tego jeszcze nie wiem.

Przyświecając sobie latarką, Abell zaczął przeglądać zawartość skrzyń. Pytanie Kukulki było zasadne. Zbyt wiele krwi i trudu kosztowało ich odnalezienie tej dokumentacji, aby mieli przekazywać ją w ręce Rosjan, nie zapoznając się dokładnie z jej zawartością. To znalezisko było przecież ich jedyną przepustką do wolności. Decydowało o życiu lub śmierci Piotra Morela.

Już w Marienwerder zauważył, że zawiera nie tylko dane osobowe niemieckich rodziców. W jednej ze skrzyń, w skórzanych segregatorach, widniały enigmatyczne rejestry. Już na pierwszy rzut oka odróżniały się od akt Lebensbornu, wydrukowanych na zwykłym papierze kancelaryjnym. Te wypełnione były ręcznie, krągłym kaligrafowanym pismem, co implikowało domniemanie o ich wyjątkowości. Z jakiegoś powodu nie wypisano ich przecież na maszynie do pisania w nieznannej ilości kopii. Tak jakby Forsterowi zależało, aby ograniczyć zapisaną na nich wiedzę do jednego, czujnie strzeżonego oryginału.

Wziął do ręki pierwszą z wpiętych kartek. „Russotschin – dom Tiedemanna<sup>[XVI]</sup>”. Kolejna podawała adres „Sobbowitz – dom Arnoldiego”. Kojarzył mgliście, że to nazwy miejscowości w pobliżu Gdańska. Następna nazwa mówiła mu więcej. Był to adres Miejskiej Kasy Oszczędności w Gdańsku<sup>[XVII]</sup>.

Po chwili zastanowienia wypiął ostatnią z numerowanych stron ze skorowidza i schował ją do kieszeni. Dzięki temu Rosjanie nie mogliby stwierdzić, że brakuje jakiejś kartki adresowej.

Następnie powrócił do akt Lebensbornu. Wertował je cierpliwie przez następną godzinę, z niepokojem patrząc na przygasające światło latarki.



Ogarnęła go już rezygnacja, gdy jego wzrok zatrzymał się na blado odbitej linijce. „Jan Skrzynecki... Data urodzenia dziecka: 9.09.1937...” Nareszcie!

– Znalazłem – powiedział triumfalnie i podniósł wzrok na obserwującego jego poczynania wachmistrza.

– Odnalazłeś dane tych szwabów?

– Spójrz!

Kukulka przez dłuższą chwilę wpatrywał się we wręczoną mu kartkę.

– Cuda się jednak zdarzają – powiedział. – Piękna Zuzanna się ucieszy.

– Piękna?

– Tak mi się powiedziało.

# **Rozdział V**

## **Kruchy lód**

## 1.

Wjeżdżali do Gdańska na resztkach benzyny. Miasto spowite było kłębamii oparów. Dymy pogorzeliisk łączyły się z mgłą płożącą się nad ruinami. Wszędzie unosił się zapach spalenizny i odór śmierci przenikający każdy zakątek konającego miasta.

Dwie przecznice przed rosyjską komendanturą musieli zahamować. Na rogu ulicy kłębił się tłum ludzi: kobiet w nieforemnych płaszczach i chustkach szczelnie zakrywających twarze, starców podpierających się inwalidzkimi kulami i zapłakanych dzieci o głodnych oczach. Bezkształtna ciżba przypominała osobliwy organizm. Dzielił się i łączył, falował, toczył bój na łokcie i pazury, przepychał się wzajemnie, to w jedną, to w drugą stronę, walcząc zazarcie o każdy metr powierzchni, jakby od tego zależał jego los i przetrwanie.

Gdyby Abell miał określić tę zbieraninę jednym słowem, powiedziałby, że wszystko było tam szare. Twarze i oczy ludzi, niekształtne palta, rozczłapane i zniszczone przez wilgoć obuwie. Tak jakby przez tych kilka ostatnich tygodni, wraz z nadejściem najeźdźców, to dumne i zamożne niegdyś miasto straciło swój format i blask, obracając się w popiół i zgliszczą.

Punktem odniesienia dla całej tej gromady był rozweselony żołdat, w hełmie przekrzywionym na głowie, który stał na prowizorycznie zbitej skrzyni i rzucał w powietrze pokrojone bochenki chleba. Pajdy frunęły wysoko w górę, aby po chwili opadać majestatycznie, niczym małe, brązowe latawce. Żadna z nich nie dotknęła bruku, natychmiast wylapywana przez ręce głodnego tłumu.

Drugi z żołdaków miał inne zajęcie. Trzymał wysoko w ręku karton mleka. Wymachiwał nim niczym trofeum w stronę dwóch młodych kobiet, w których odraza walczyła z pokusą. Wreszcie jedna z nich uległa. Wystąpiła naprzód, a żołdak niemal natychmiast zaciągnął ją do pobliskiej bramy. Po chwili widać było tylko czubki jej butów, podrygujących miarowo na bruku.

Wartownik w bramie komendantury czujnie zlustrował ich wzrokiem i uważnie obejrzał glejt wystawiony przez Denisowa.

– Żdi zdjes – powiedział krótko i podszedł do telefonu w budce wartowniczej. Wrócił po chwili i bez słowa podniósł szlaban.

\*

W pokoju Denisowa panowała wyczuwalna atmosfera napięcia. Oprócz podpułkownika i Charko przebywało w nim jeszcze dwóch innych oficerów, których Abell nigdy wcześniej nie widział. Zwłaszcza jeden z nich, starszy, otyły mężczyzna w generalskim mundurze, traktowany był przez Denisowa z wyraźnym szacunkiem.

Abell i Kukulka nie zostali mu przedstawieni. Radca miał wręcz wrażenie, że najwyższy rangą Rosjanin ledwie toleruje ich obecność. W sposób widoczny zmieniło się też nastawienie Denisowa. Dotychczas przynajmniej dbał o pozory i zachowywał się wobec Niemców w miarę poprawnie. Teraz najwidoczniej interesowało go wyłącznie ich znalezisko.

Z pomocą dwóch żołnierzy skrzynie odnalezione przez Abella i Kukulkę zostały wniesione do pokoju i umieszczone na stole. Radca powoli wyciągał ich zawartość i segregował na blacie, oddzielając akta Lebensbornu od skórzanych segregatorów.

– A teraz mówcie! – rozkazał mu krótko podpułkownik.

Abell starał się opowiadać krótkimi zdaniami, robiąc przerwy po każdej dłuższej frazie. Denisow tłumaczył wszystko na bieżąco. Generał słuchał uważnie, z pochyloną głową. Tylko czasami podnosił ją, obrzucając Abella taksującym spojrzeniem. Widać było, że jest wyszkolonym śledczym. Czujnie kontrolował wypowiedź radcy, zadając kontrolne pytania w miejscach, które Abell najchętniej pominąłby milczeniem. Reprezentował Smiersz? A może dowództwo armii? Abell wyczuwał w nim godnego przeciwnika.

– Dlaczego zabiliście strażnika na cmentarzu? – przerwał Abellowi po raz pierwszy.

– To było konieczne – odparł Abell po chwili wahania.

– Przybijając go do krzyża?

Abell spojrział na wachmistrza, a ten odpowiedział:

– Mogło się tak zdarzyć...

– Kto wam na to pozwolił?

– Nie było czasu na uzgodnienia – pospieszył w sukurs wachmistrzowi Abell.

– A tym bardziej na dyplomację. Bez zastosowania odpowiednich środków nie wydobylibyśmy z niego prawdy. Kto jak kto, ale wy powinniście coś o tym wiedzieć.

Generał przez chwilę przetrawiał odpowiedź Abella. Widać było, że mu się nie spodobała. Powiedział coś gniewnie do Denisowa, a ten poczerwieniał na twarzy.

– Odpowiadajcie tylko na pytania, bez zbędnych komentarzy – rzucił podpułkownik.

– To nie są komentarze. To argumenty. – Abell zauważył, że Denisow nie przetłumaczył jego słów.

– A co z drugim Niemcem, tym z wieży w Marienwerder? – indagował dalej generał.

– Puściliśmy go wolno, po tym jak zdradził nam miejsce skrytki.

– Na to też nie mieliście zgody. Przydałby nam się żywy świadek.

– Podpułkownik Denisow wcześniej dał nam trzy dni i właśnie kończył się nam czas na poszukiwania. Skrzynie mogły być ukryte wszędzie. Nie mielibyśmy żadnej pewności, że je odnajdziemy. Zawarłem ze strażnikiem układ. Coś za coś. Dałem oficerskie słowo honoru. Hauptsturmführer Stange uszedł z wieży żywy, ale dzięki temu archiwum leży przed wami na stole.

– Wy, Niemcy, nie znacie pojęcia honoru. – Przez twarz generała przebiegł cień.

– Osobiście cenię sobie tę wartość – odparł Abell.

Po tej wypowiedzi zapadła cisza. Rosjanie skupili się na przeglądaniu zawartości skrzyń. Charko przewertował plik akt programu Lebensborn. Słysząc było szelest przewracanych kartek. Następnie razem z Denisowem skupili się na segregatorach. Oglądali je uważnie, strona po stronie. Gdy skończyli, Denisow pochylił się ku generałowi i przez chwilę szeptał mu coś do ucha. Ten skinął głową, nacisnął czapkę na uszy i wyszedł z pokoju wraz ze swoim milczącym towarzyszem, nie zaszczycając Abella choćby przelotnym spojrzeniem.

To był dobry moment, aby przypomnieć Rosjanom o zawartym pakcie.

– Dostarczyliśmy wam to, czego szukaliście. My wykonaliśmy swoje zadanie. Akta Lebensbornu leżą przed wami na stole. Pora, żebyście wy wywiązali się ze swojej części umowy.

Denisow podniósł na niego oczy. Miał nieobecne spojrzenie.

– Co pan ma na myśli? – zapytał.

– Dobrze pan wie, pułkowniku. Mówię o moim teściu, Piotrze Morelu. Chciałbym odebrać go ze szpitala. Obiecaliście nam także bezpieczny przejazd przez linię frontu.

– Co pan planuje?

– Chcielibyśmy dostać się przez mierzewę do Skandynawii, potem do Holandii.

– Jestem pewien kłopot, Abell. – Denisow wyprostował się i wygładził fałdy na mundurze.

– A mianowicie?

– Chodzi o tego Morela. Nie żyje.

– Jak to? – Abell nagle usłyszał, jak mocno bije mu serce.

– Otrzymałem właśnie wiadomość, że zmarł wczoraj wieczorem w szpitalu.

– Obiecał mi pan. Mieliśmy umowę... – Abell potrząsnął oszołomiony głową.

– Nic nie dało się zrobić. Otrzymał stosowne leki, był pod dobrą opieką, ale zapalenie płuc było już zbyt zaawansowane.

Zegar na ścianie zaczął właśnie wybijać godziny, a każdy dźwięk brzmiał niczym bicie kościelnego dzwonu. Piotr nie żyje. Wszystko na nic. Wyobraził sobie Gabi stojącą w oknie ich rotterdamkiego mieszkania, czujną i pogrążoną w nieustannym oczekiwaniu, i poczuł, jak zalewa go fala smutku, rozpacz i gniewu.

– W którym szpitalu? – Zaszło mu w gardle.

Denisow rzucił okiem na leżącą przed nim kartkę.

– W oliwskim, w tym samym, w którym go znaleźliśmy. Ciało jest teraz w prowizorycznej kostnicy. Tu ma pan adres.

– Zabiorę go stamtąd i pochowam.

– Nie widzę przeszkód. Dobrze się pan spisał, Abell. Nadspodziewanie dobrze. Ale to koniec naszej współpracy. Macie dobę na opuszczenie Gdańska.

– To za mało. Potrzebuję więcej czasu, aby pochować teścia.

– Myślę, że to będzie możliwe – włączył się Charko, zatopiony dotychczas w lekturze dokumentów. – Dwa dni. Po tym terminie glejt przestanie działać. Radzę uciekać na zachód. Do linii frontu nikt was nie będzie niepokoił, co potem, to już wasza sprawa.

\*

Na dworze panował chłód. Z furją uderzył w nich podmuch lodowatego wiatru. Ulica opustoszała. Tłum błagający o chleb już zniknął. Wicher roznosił nad trotuarem strzępy starych gazet i jakieś obierki ze śmietników.

– Co teraz? – zapytał Kukulka i obrzucił baczny spojrzeniem radcę.

Nigdy go jeszcze nie widział w takim stanie. Abell nie ukrywał wzburzenia. Był śmiertelnie blady, z trudem powstrzymywał drżenie dłoni z napuchniętymi palcami.

Wachmistrz nie spuszczał z niego wzroku. Zdawał sobie sprawę, że ich los zależy teraz wyłącznie od Abella, od jego determinacji i siły woli. A także od tego, jak szybko otrząśnie się z tego szoku. Przecież to on wyznaczał kierunek działania.

Teraz jednak stąpali po wyjątkowo kruchym lodzie. I to w dodatku na ziemi wroga.

– Pochowamy Piotra i wracamy? – ponowił pytanie.

– Nie, mamy jeszcze coś do załatwienia.

\*

Abell stał pod oknem i w milczeniu obserwował rodzeństwo. To była ich chwila, celebrowali ją, każdy na swój sposób, nie należało im w tym przeszkadzać. Pamiętał, jakie emocje targały nim samym po porwaniu Anny. Jak cierpiała Gabi. I jaka, wręcz fizycznie namacalna, była ta rozpaczliwa pustka, która nagle wypełniła ich dom.

Milicjant trzymał nerwy na wodzy. Przestudiował podany mu przez radcę dokument i oddał go siostrze. Tylko nerwowe tiki na twarzy zdradzały, jak wiele kosztował go ten pozorny spokój.

Zuzanna miała głębokie cienie pod oczami. Ubrana była w prostą czarną suknię podkreślającą bladość cery. Radca widział, z jakim napięciem czytała akta. Ten papier rodził nadzieję, przywracał ją pomiędzy żywych. A przede wszystkim przecinał wszelkie wątpliwości, jej podejrzenia co do Lotty okazywały się słuszne.

Katalog B

Jan Skrzynecki

Rodzice: Zuzanna, Zygmunt Skrzynecki

Narodowość: polska, wyzn. rzymsko-kat.

Pochodzenie: Dirschau

Data urodzenia dziecka: 9.09.1937

Data przejęcia dziecka: 3.07.1944

Data urzędowej adopcji: 28.09.1944

Nazwiska rodziców (adopcja urzędowa) – Olaf, Lotta Clemenz, zam.  
w Praust

– A więc jednak odnalazłeś mojego syna – powiedziała i spojrzała Abellowi prosto w oczy.

– Na to wygląda.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem wam wdzięczna! – Głos jej się łamał. – Oddałabym za Jasia swoje życie, zrobiłabym wszystko, aby do mnie wrócił.

– Wiem. Kiedyś też byłem w podobnej sytuacji. Porwano mi córkę.

– Tak? I co zrobiłeś? – W jej oczach zapaliły się ognie.

– Znalazłem ją i przywiozłem do domu.

– A porywacz?



– Zabiłem go. Musiał ponieść karę za to, co zrobił. Tak to powinno działać, przynajmniej ja tak uważam.

Nie odpowiedziała, ale widział w jej oczach blask, akceptację, przyzwolenie, może coś więcej...

– Pomożesz nam go odzyskać? – zapytała.

– Przecież wiesz.

– Myślisz, że Clemenzowie nadal mieszkają w Praust?

– Tego nie wiem, ale sądzę, że to możliwe. Zresztą wachmistrz orientuje się lepiej. To jego rodzinne miasto.

– Słyszałem, że Praust wpadło w ręce Rosjan dopiero dwudziestego piątego marca – odparł Kukulka. – Na pewno nie wszyscy Niemcy zdążyli się ewakuować. Z tego, co pani mówiła, mąż Lotty, Olaf, był kimś ważnym w Gdańsku. Tacy ewakuowali się na samym końcu. Może nie zdążyli uciec.

– Panu też powinnam podziękować, wachmistrzu. Z całego serca – powiedziała Zuzanna.

– Nie ma sprawy.

Abell ze zdumieniem zauważył, że Kukulka lekko się rumieni.

– Jest pan dobrym człowiekiem.

– Pierwsze słyszę. Mam fatalną opinię.

– Nigdy nie pomyślałabym, że będę dziękować Niemcowi.

– Tak naprawdę jestem tylko w połowie Niemcem, mam kaszubskie korzenie. A tak w ogóle, proszę mi mówić Gustl.

– Dobrze, Gustl.

– Ja także mam dobre wieści – odezwał się nagle milicjant. – Przejęliśmy od Rosjan urząd stanu cywilnego. Archiwa się zachowały, leżą tam tony rejestrów i akt. Dotarłem też do dokumentów adopcyjnych, są ich setki. Próbowałem się rozeznać w tym galimatiasie, tak jak mi radziłeś, ale utknąłem. Zabrakło mi czasu, po prostu.

– Teraz, gdy już wiesz, czego szukać, pójdzie ci łatwiej – powiedział Abell. – Znasz nazwisko złodzieja, to Olaf Clemenz. Wysoki urzędnik miejski, ważniak z NSDAP, dyrektor jakiegoś muzeum. W archiwum zapisano tylko miasto,

w którym mieszkają Clemenzone. Ty ustal dokładny adres w Praust na podstawie dokumentów z urzędu stanu cywilnego.

– Dobrze. Zrobię to najszybciej, jak się da.

– Clemenzone... – Abell potarł czoło. – Gdzieś już slyszalem to nazwisko...

– Nie pójdziecie ze mną? – zapytał Tomczak, zabierając się do wyjścia.

– Nie. To twoje zadanie. Muszę pożegnać i pochować teścia.

– Szkoda, że nie udało się go uratować. Wyrazy współczucia.

– Śmierć to śmierć, nikt przed nią nie ucieknie. Spotkamy się wieczorem. Zadbaj o gazik i bak pełen benzyny.

– Załatwione. Mam wóz w pogotowiu, benzynę też, przehandlowałem beczkę od Ruskich za skrzynkę wódki.

– Jeszcze jedno. Potrzebny mi męski garnitur, buty i koszula. Dla szczupłego mężczyzny, około metr siedemdziesiąt...

– Nie ma problemu. Znaleźliśmy pełno ubrań po Niemcach. Za godzinę ktoś z moich ludzi wam to podrzuci.

## 2.

Policzki Piotra były szare i zapadnięte, tak jakby ta szlachetna niegdyś twarz straciła całą swoją namacalną materialność. Przez czoło biegła głęboka bruzda, gruby powróż myśli zatrzymany w czasie. Nad czym zastanawiał się Piotr w tych ostatnich godzinach? Jakie obrazy przebiegały mu przez głowę? Majaczył w malignie czy wręcz przeciwnie, odbierał rzeczywistość zmysłami wyostrzonymi do granic możliwości? Wędrował niczym wolny ptak ponad ukochanym Gdańskiem, gdy był on jeszcze miastem światła i blasku? Spoglądał w dół na dom w Sopocie z rzeźbionymi mewami na frontonie, w którym spotkali się po raz pierwszy? A może miał pod powiekami obraz Gabi, która była tak do niego podobna? Czy zapłakał, że nigdy nie ujrzy już wnuczki, nie zobaczy, jak dorasta, jak z dziecka przeistacza się w kobietę?

Wychudzone ciało leżało nagie na betonowej podłodze prowizorycznego prosektorium. Obok spoczywał długi szereg innych nieszczęśników, w mroku jaśniały ich białe korpusy. Śmierdziało lizolem. Potrzebowali kwadransa, by

odnaleźć zwłoki Piotra, przyświecając latarką w twarze, które wszystkie stapiały się w jedno trupie oblicze. Tak jakby śmierć odebrała tym ludziom po zgonie wszelkie właściwości i cechy szczególne, rzeźbiąc bliźniaczo podobne golemy w białawym wosku.

– Kiedy go przywieźli? – zapytał Abell stojącego obok nadzorcę prosektorium, żylastego mężczyznę z rozbieranymi oczami.

– Skąd miałbym wiedzieć? – Tamten wzruszył ramionami. – Ciągłe tu zwożą kolejnych truposzy. Znajdują ich w piwnicach, pod ruinami, w kanale. Są też świeże trupy. – Nadzorca ściszył głos. – Wiecie, panowie, co Ruscy tu wyprawiają.

– Na jakim cmentarzu ich chowacie?

– Cmentarzu? Panie, ledwie się wyrabiamy. Toć to fabryka śmierci. Przekłete miasto. – Mężczyzna splunął z nienawiścią. – Raz na dwa, trzy dni przyjeżdża ruska ciężarówka. Zabierają te truchła i gdzieś wywożą.

– Gdzie?

– Skąd miałbym wiedzieć? Nie pytam, bo mnie też ukatrupią! Ludzie różnie gadają. Jedni, że wywożą ich na statek i topią w morzu. Byłoby czysto i po kłopotcie. Drudzy, że do jakiejś zbiorowej mogiły. Kładą truposzy warstwami i posypują wapnem. Przekładaniec taki robią, znaczy się keks.

– Keks? – Abell spojrział na niego przeszywającym wzrokiem.

– No tak, keks.

Radca milczał przez chwilę, jakby ważył w głowie decyzję.

– Jak się nazywasz, człowieku? – spytał wreszcie.

– Bisanz, a po co to panu?

– A więc posłuchaj, Bisanz. Zadbasz o to, by mój teść, Piotr Morel, został dzisiaj wieczorem przewieziony na cmentarz i pochowany w moim grobowcu rodzinnym. Zostawię ci adres i szkic, żebyś trafił. Postaramy się tam dotrzeć, ale nie damy gwarancji, że tak się stanie. Takie czasy. Ty nas zastąpisz, Bisanz. Na tabliczce macie napisać. „Tu leży Piotr Morel, lat 62. Obywatel Wolnego Miasta Gdańska”. Tylko tyle, rozumiesz? W tym tobołku są koszula, buty i garnitur. Piotr ma być pochowany w odzieniu. Za ten miłosierny uczynek otrzymasz stosowne, hojne wynagrodzenie. Wypłaci ci je za chwilę pan wachmistrz.

– To znaczy ile? – W ciemności zaślniły oczy nadzorcy.

– Tyle, ile trzeba. Ale pamiętaj, jeśli mnie zawiedziesz, wrócę po ciebie.

Było w tym głosie coś tak złowieszczonego, że nadzorca skinął pokornie głową. Ileż go zresztą kosztował ten pusty gest? Tym dwóm grunt też palił się pod nogami. Płacą za pochówek, na którym sami nie będą? Ruchać to innych, nie nas!

Wziął do ręki gruby rulon banknotów podany mu przez drugiego mężczyznę i przybliżył go do światła. Dolary amerykańskie. Cmoknął z zadowoleniem. To był jego dobry dzień.

– Załatwione – powiedział. – Wszystko będzie, jak trzeba. A pochówek godny. Po chrześcijańsku, znaczy się.

Abell odwrócił się i wyszedł bez słowa. Bisanz zauważył, że niestety drugi z przybyszy nie pali się do wyjścia.

– Coś jeszcze? – zapytał.

– Posłuchaj, Bisanz. – Kukulka wygiął palce tak, że aż zatrzeszczały stawy. – Chciałbym, żebyśmy się dobrze zrozumieli. Teść pana radcy zasługuje na porządną pochówek. Dlatego dobrze ci zapłaciliśmy, żebyś się odpowiednio postarał.

– Po co ta gadka? – nastroszył się nadzorca. – Znam swój fach.

– Znasz swój fach? – Wachmistrz podszedł i złapał Bisanza za kołnierz. – To tak jak ja. Zabiłem więcej ludzi, niż ci się śniło. Na wojnie i nie tylko. Ale robiłem to tylko wtedy, gdy było to konieczne. Nigdy dla przyjemności. I nigdy nie nazwałbym zmarłych truchłem. Przez gardło nie przeszłoby mi nazwanie zbiorowej mogiły keksem. Rozumiesz, gnido?

– No co pan? – Bisanz wił się w żelaznym uścisku.

– Gdy pan radca zaszczycił cię rozmową, śmieciu, zajrzałem do twojej pakamery. I wiesz, co znalazłem? Dziesiątki złotych zębów wyrwanych tym nieszczęśnikom. Ty hieno jebana! – Uderzył Bisanza na odlew w twarz.

– Przecież im nie były już potrzebne – wycharczał nadzorca.

– Nie tobie o tym decydować. Korzystamy z twoich usług, bo nie mamy wyboru. Pamiętaj! Jeśli skrewisz, pożałujesz. Nawet nie będę brudził sobie rąk. Nie ma takiej potrzeby. Wystarczy, że doniosę Rosjanom, co tu wyprawiasz ze zwłokami. Albo polskiej milicji. Rozwalą cię na miejscu albo wyślą do gułagu.

Wizja wyprawy do krainy białych niedźwiedzi była na tyle przejmująca, że nadzorca skwapliwie skinął głową.

– Nie zawiodę! Przysięgam!

– No ja myślę. – Wachmistrz odepchnął go od siebie. – A teraz zabieraj się do roboty.

Abell czekał na niego na zewnątrz. Otulony płaszczem wpatrywał się w sine niebo nad kikutami kamienic.

– Jakież kłopoty? – zapytał wachmistrza.

– Żadnych. Piotr będzie miał godny pochówek.

### 3.

Wjechali na rogatki Praust. Miasto spowite było w sianej mgle. Spod oparów unoszących się nad brukiem wystawały jedynie poszczególne fragmenty elewacji domów: balkony, okna z metalowymi szprosami, hełmy nad dachami. Kukulka siedział obok milicjanta kierującego gazikiem. Obrzucał mijane domy i ulice ciężkim spojrzeniem.

Od czasu zakatowania jego siostry to już nie było jego miasto. Niegdyś wypełniało cały świat, jaki znał. Przesiadywał z Elke na dachu rodzinnego domu, aby uciec od wrzasków rozpijaczzonego ojca. Siostra pokazywała mu gwiazdozbiory i konstelacje na niebie. Nazywała gwiazdy imionami, które sama wymyślała. Była taka mądra. A potem padła ofiarą zbrodźcy w białych rękawiczkach. Senatora, człowieka z wyżyn, przekonanego o własnej bezkarności.

Z pomocą Abella dorwał odpowiedzialnego za to skurwysyna i przykładowie ukarał. Miał pod powiekami widok trzepoczących konwulsyjnie nóg wisielca. Jest wina, musi być kara. A jednak nic nie było w stanie pokryć żalości i rozpacz, która go od tamtych dni wypełniała. O pewnych rzeczach nie da się zapomnieć. Potem w mękach odeszła Marlena, jedyna kobieta, która go pokochała takim, jakim był. I został sam jak wieczny tułacz, samotnik bez rodziny, ziarno piasku na ludzkiej pustyni. Nie wierzył w całe to pierdolenie o Bożej Opatrzności, ludzkim losie zapisanym gdzieś tam na górze. Gdzie był

ów Sprawiedliwy Sędzia, gdy gwałcili i masakrowali mu siostrę? Dlaczego odwrócił się od nich Miłosierny Stwórca, gdy umierała jego żona, wyjąc z bólu i gryząc do kości swoje palce?

Miał własną teorię. Wszystko było dziełem przypadku, świat był wielkim chaosem, nie do ogarnięcia umysłem. Aby wydobyć się z jego odmętów i utrzymać na powierzchni, trzeba było być twardym. Zasady były proste. Nie dać się złamać. A na każdy cios odpowiedzieć jeszcze mocniejszym uderzeniem.

Przykre rzeczy przydarzały się dlatego, że człowiek znajdował się w niewłaściwym czasie i niewłaściwym miejscu. I trafiał na złych ludzi. Dlatego należało ich likwidować przy każdej możliwej okazji. To była jedyna sensowna rzecz, jakiej doświadczył podczas pracy w policji – redukcja ilości zła na miarę swoich możliwości. Spotkanie Abella z jego klarowną wizją dobra i zła tylko utwierdziło go w tym przekonaniu.

To dlatego wjeżdżali do Praust, do tego miasta łez i złych wspomnień, które wyparł już ze swojej pamięci.

– Którędy teraz? – Polak rzucił mu szybkie spojrzenie.

– Skręć w prawo, o tutaj, w tę małą uliczkę. Unikniemy ruskich patroli. To już niedaleko.

#### 4.

– Jak się nazywasz? – Olaf Clemenz miarowo uderzał pasem o dłoń.

– Jaś Skrzynecki.

Stojący przed nim chłopiec w krótkich spodenkach i marynarskiej koszulce nawet nie podniósł głowy. Miał zapuchnięte powieki. Odpowiedział tak samo jak wczoraj i przedwczoraj, jak przez wszystkie te dni, od kiedy do nich trafił. Uparty gówniarz! Potrafił gryźć, a nawet podrapał mu rękę.

– Zła odpowiedź, synu. Nazywasz się Johann. Johann Clemenz. Zapytam raz jeszcze.

– Nazywam się Jaś...

Świst pasa przeciął powietrze. Uderzenie było bolesne, zostawiło pąsowy ślad na nogach chłopca.

– Posłuchaj, Johann. – Clemenz otarł pot z czoła. – Nie wygrasz ze mną. Będziemy tę lekcję powtarzali codziennie, aż do skutku. Rozumiesz? Jestem cierpliwy, nie zrezygnuję.

– Chcę wrócić do mamy.

– To Lotta jest teraz twoją mamą, a ja ojcem. I obdarujemy cię swoją miłością, ale musisz przyjąć rzeczy takimi, jakimi one są. Jesteś mądrym chłopcem, masz charakter. Doceniam to. Dlatego cię wybraliśmy. Zaslugujesz na ten zaszczyt, aby nosić moje nazwisko. Musisz jednak się z tym pogodzić i otworzyć na nas, a wtedy wszystko się samo ułoży.

Chłopiec nie odpowiadał. Clemenz widział jego zaciśnięte usta pod grzywą płowych włosów. Walczak, nie uronił nawet jednej łzy, będą z niego w przyszłości ludzie.

Wychowa go na prawdziwego Niemca, świadomego swojej misji i obowiązków. Lotta miała rację, pasował do nich. Nie tylko fizycznie, choć trudno im było zrozumieć, jak taki aryjski z wyglądu chłopiec mógł urodzić się w rodzinie tak bezwartościowej rasowo jak Skrzyneccy, jakby nie było to przecież polaczki.

Za kilka dni wyjadą z Praust, tamci mu to obiecali. Wyśle Johanna do szkoły, zresztą chłopiec wychowany na pograniczu polsko-niemieckim świetnie łapał niemiecki. Będą razem czytali Goethego, Schillera, studiowali pisma jego ukochanego Nietzschego. Ukształtują go na swoją modłę, zatrą w nim ten słowiański stygmat, a upływający czas zrobi swoje. Uczynią z niego prawdziwego Niemca, syna i spadkobiercę, jasnowłosego Teutona, Johanna Clemenza. Potrzeba im tylko mądrości, cierpliwości i żelaznej konsekwencji.

Wiedział, że Lotta stoi po drugiej stronie, wtulona w drzwi. Czeka na przełom, przemianę, znak nadziei, że wreszcie lód został skruszony. Już raz dała mu do zrozumienia, że może powinni chwilowo odpuścić, dać chłopcu więcej czasu na oswojenie się z nową rodziną i trudną dla niego sytuacją.

– Poczekajmy, Olafie. Serce mi się kraje, gdy widzę te zaciśnięte usteczka. On przecież cierpi...

– Nie możemy, Lotto. To byłby błąd.

– Tego nie wiemy na pewno. On tęskni, widzę to, dajmy mu więcej czasu...

– Zostaw to mnie. Nie możemy teraz zmniejszyć presji. To musi być terapia szokowa. Tak jak wycięcie bolącego miejsca. Poboli, a potem przestanie.

Był przekonany, że ma rację. Zbyt długo na tego chłopca czekali. Wiedział, że Lotta jest bezpłodna, ale mu to nie przeszkadzało. Taką kobietę sobie wymarzył: wyzbytą pruderii i wszelkich zahamowań, świadomą swojej kobiecości, wreszcie, co dla niego było równie ważne, zdeklarowaną nazistkę. Była kobietą nowej generacji, imponowała mu jej niezależność i śmiałość. Prowadziła samochód, lubiła jazdę konną. On sam pochodził z rodziny aptekarza w Bambergu, z domu, w którym panowało wszechwładne trzy K: *Kinder, Küche, Kirche*, zasada, w myśl której kobieta miała rodzić dzieci, dbać o ognisko domowe i moralność. Jego żona była z innej planety. Związek z nią był jak kąpiel w ekscytującym, ożywczym morzu.

Nauczyła go czerpać przyjemność z seksu, to dzięki niej odkrył uroki fellatio. Potrafiła się z nim kochać w windzie hotelu i na zapleczu restauracji. Odgrywała ważną rolę w kobiecej przybudówce partii. Słyszał, jak przemawiała władczo, zdecydowanie, charyzmatycznie.

Kiedyś mu powiedziała:

– Zrobię wszystko, czego pragniesz. Sama chcę tylko jednego: dziecka.

Dlatego poruszył niebo i ziemię, aby spełnić jej życzenie. Bombardował urząd adopcyjny dziesiątkami pism, szukał wsparcia u wysoko postawionych znajomych, poruszył wszystkie możliwe struny. Dotarł do samego Forstera. Nie było łatwo, bo chętnych nie brakowało, a dzieci do adopcji – jak na lekarstwo. Zwłaszcza że Lotta miała wyraźne wyobrażenie upragnionego dziecka. Tu musiał być chłopiec, typ aryjski, z pięknie sklepioną czaszką. Ta czaszka była ważna. Wiele razy byli blisko celu, przedstawiano im dzieci, które Lotta po pewnych wahaniach zawsze odrzucała.

– Nie, to nie mój Johann – mawiała. – Szukajmy dalej.

To stało się jej obsesją, widział to. Miała w sobie tak wiele matczynej miłości, a nie mogła jej na nikogo przelać. Im więcej przeszkód piętrzyło się na ich drodze, tym mocniej dążyła do celu.

Wszystko zmieniło się, gdy dowiedzieli się o programie Lebensborn. Lotta przypominała sobie wtedy o chłopcu, który wpadł jej w oko u sąsiadów jej ojca



w Dirschau.

– Musisz go zobaczyć – powiedziała. – Chcę tylko jego.

Spełnił jej pragnienie. Dzięki swoim koneksjom dotarł do ksiąg parafialnych i sprawdził genealogię Skrzyneckich. Odetchnął, gdy okazało się, że nie mają w sobie pierwiastka krwi żydowskiej. Osobiście odwiedził wysokiego urzędnika Lebensbornu. Wskazał im adres Zuzanny Skrzyneckiej. Zostawił na jego biurku solidnie przygotowaną epistołę, w której z właściwą sobie metodycznością wyszczególnił wszystkie racje i argumenty na rzecz przejęcia chłopca. Przede wszystkim jego aryjski wygląd, ale także odpowiedni wiek dający szansę na resocjalizację narodową. Dołączył listy referencyjne i katalog własnych zasług: oddanie sprawie narodowego socjalizmu, niski numer w NSDAP i zasługi dla Gdańska. To zawsze robiło wrażenie.

Można więc powiedzieć, że nie zaniedbał niczego. Pamięta ten dzień, gdy otrzymali pismo z urzędu adopcyjnego. Lotta stała w drzwiach balkonowych. Widział jej postać prześwieconą słońcem, z napięciem wczytywała się w treść listu.

Drodzy państwo Clemenz!

Z satysfakcją informujemy, że Państwa wystąpienie dotyczące adopcji wiadomego dziecka zostało rozpatrzone pozytywnie. Urząd uwzględnił przede wszystkim fakt, że dziecko zostało wskazane przez Państwa i w konsekwencji możliwe stało się objęcie go programem Lebensborn. Doceniamy też dotychczasowe zaangażowanie w proces adopcyjny. Chłopiec po pierwszym przysposobieniu będzie do odbioru z ośrodka adopcyjnego w Brombergu...

Lotta odłożyła pismo. Widział, jak bardzo tej mocnej kobiecie drżą ręce.

– To jest nasz dzień, Olafie – powiedziała. – Jestem taka szczęśliwa.

I dlatego nie mógł ulec słabości, zatrzymać się w połowie drogi i poddać łązawym sentymentom. Bił tego chłopca pasem do krwi. To prawda. Czynił to jednak dla dobra samego Johanna. On teraz tego nie rozumie, ale kiedyś będzie im za to wdzięczny, był tego pewny.

## 5.

Zatrzymali się przecznicę od poszukiwanego domu. Kukulka kojarzył tę okolicę. Przed wojną mieszkali tu drobni kupcy i rzemieślnicy, dzielnica miała renomę. Wojna tu nie dotarła. W ciemności jaśniały elewacje małych domków i kamienic otoczonych parasolem dorodnych drzew.

Od bruku ciągnął ziąb. Zdradliwy, przekradający się poprzez warstwy odzieży i zatykający dech. Gdzieś w oddali wyła głucho syrena alarmowa, pewnie palił się kolejny dom.

– To tutaj? – zapytał Tomczak ściszym głosem.

– Ten dom za rogiem. – Kukulka popatrzył na mapę i wskazał dużą kamienicę z pruskiego muru.

Szli gęsiego, pod nogami trzeszczała im cienka zmarzlina. Wysoki dom wyłonił się nagle przed nimi jak skała we mgle. Okna na parterze i na piętrze były oświetlone. Mężczyźni spojrzeli na siebie. Sprawiał wrażenie zamieszkałego. Clemenzowie jeszcze nie opuścili miasta?

– Coś mi się widzi, że ich mamy. – Kukulka chuchnął w zgrabiące dłonie.

Rozdzielili się na dwie grupy. Wachmistrz pozostał przed domem, miał ich ubezpieczać na wypadek jakiegoś niebezpieczeństwa. Abell z Polakiem przemknęli pod murem na podwórko. Weszli na duży taras od strony ogrodu. Wysokie okno płonęło jasnym światłem. Przez szparę w firance Abell zajrzał do środka.

Zobaczył gustownie urządzony salon. Wypełniały go nowoczesne meble w stylu Bauhausu, nie widać było żadnych zbędnych drobiazgów, paprotek czy porcelanowych figurek na półkach, tak charakterystycznych dla niemieckich domów. Wrażenie pustki potęgowały ogołoczone ściany, bez żadnych obrazów. Tylko pośrodku jednej z nich widniał wyblakły prostokąt, zapewne ślad po ściągniętym portrecie. Führer powędrował do kominka?

Tyłem do radcy siedziała kobieta. Grała na fortepianie. Widział jej szczupłe plecy, włosy upięte w wysoki kok i dłonie drapieźnie zawieszane nad

klawiaturą. Przerwała na chwilę grę i sięgnęła po szklankę wody. Ujrzał jej jasny, prosty profil. Musiała być postawną, atrakcyjną kobietą.

Abell pojrzał na Tomczaka, a ten skinął głową i ścisnął mu ramię. Lotta Clemenz znajdowała się kilka metrów od nich, oddzielona tylko szybą. Cofnęli się i powrócili pod drzwi wejściowe. Dali znak Kukulce, a ten podniósł kciuk.

Tomczak nabrał powietrza i zdecydowanie załomotał pięścią w drzwi.

\*

Lotta Clemenz nie od razu usłyszała pukanie. Przez chwilę miała wrażenie, że to jakiś odgłos z ulicy, ale dźwięk się powtórzył. Wyszła na palcach na korytarz. Ktoś dobijał się do drzwi. Odwróciła się, Olaf stał już na schodach, Johann widocznie został na piętrze.

– Kto to może być? – zapytała ściszym tonem.

– Zaraz się to wyjaśni. To pewnie Rusczy. Oni nie potrafią pukać. Idź do sypialni, w razie czego wiesz, co masz robić. I zachowaj spokój. Nic się nie dzieje.

– A Johann?

– Niech zostanie na górze w sypialni. Pilnuj go.

Skinęła głową i bez słowa przemknęła na górę.

Clemenz podszedł do drzwi i spojrzał przez judasza. Dwaj mężczyźni. Jeden w jakimś mundurze, drugi stojący bardziej w cieniu, w długim płaszczu i kapeluszu.

– Kto tam? – krzyknął.

– Milicja ludowa, natychmiast otwierać! – W głosie po drugiej stronie wyczuł miękki akcent.

– Skąd mogę wiedzieć, że to nie jacyś przebierańcy?

– Panie Clemenz, to nie włamanie. Wiemy, kim pan jest. Tu porucznik Tadeusz Tomczak z polskiej milicji. Przybywamy z Gdańska w sprawie służbowej. Proszę natychmiast otworzyć!

Czekali jeszcze dobrą chwilę, w końcu chrobotnęły zamki w drzwiach. Clemenz był wysoki, szlafrok opinał wydatny brzuch. Spod rzadkich włosów

spoglądały na przybysza oczy człowieka, który który wiele widział i nikomu nie ufa.

– O co chodzi? – zapytał, stając w progu.

– Może wejdziemy do środka? – zapytał Abell. – Strasznie tu zimno na dworze.

Nie czekając na zgodę, weszli do krótkiego korytarza. Ten obwieszony był starymi sztychami ukazującymi gdańskie zabytki. Rzęsiście oświetlony salon był pusty. Kobieta, którą widzieli przez szybę, zniknęła.

– Pozwolę panowie, że raz jeszcze zapytam: czemu zawdzięczam najście o tak późnej porze? – Clemenz wystudiowanym ruchem przygładził włosy.

– W porozumieniu z władzami sowieckimi poszukujemy pewnego chłopca. Tak się składa, że to członek mojej rodziny – powiedział porucznik i poprawił czapkę na głowie.

– Tak? – Niemiec stał nieporuszony. – Ma pan dziwny akcent, trudno mi zrozumieć.

– Może mój niemiecki będzie wystarczający? – Abell wysunął się do przodu. – Chłopiec nazywa się Jan Skrzynecki, skończył siedem lat. W zeszłym roku, w lipcu, porwano go z domu rodzinnego w Dirschau i umieszczono w ośrodku Lebensbornu w Brombergu. Następnie, dokładnie dwudziestego ósmego września, został adoptowany przez niemiecką rodzinę.

– Po co mi pan to wszystko opowiada? – Na czole Clemenza pojawiły się kropelki potu.

– Ponieważ ta rodzina adopcyjna nosi nazwisko Clemenz. To pańskie nazwisko, prawda? A pańska żona ma na imię Lotta. Nie ma sensu zaprzeczać. Według posiadanych przez nas informacji poszukiwane przez nas dziecko znajduje się w tym domu.

– Chwileczkę! Chyba zaszło nieporozumienie, panie...?

– Abell. Radca kryminalny Christian Abell z Kripo. Były radca, ma się rozumieć.

– Oczywiście. Niczemu nie zaprzeczam. To prawda, adoptowaliśmy razem z żoną dziecko. W dobrej wierze... Zgodnie z literą prawa i wszystkimi obowiązującymi przepisami. Zapewniam pana, że nie było to łatwe. Mam na to stosowne papiery i zgody.

– To dziecko porwano w biały dzień, panie Clemenz. Wyrwano z rąk prawdziwej matki jak tysiące innych w ramach programu Lebensborn.

– Nie miałem pojęcia...

– Nie słyszał pan o Lebensbornie?

– Słyszałem, rzecz jasna, ale byłem przekonany, że to normalny proces adopcyjny, za zgodą polskich rodziców, którzy z różnych względów nie mogli podolać ciężarom związanym z utrzymaniem i wychowaniem dzieci. Zwłaszcza w czasie wojny.

– Łżesz, gnido! – Na twarz milicjanta wystąpiły bordowe plamy. – Zaplanowaliście tę kradzież! Moja siostra była sąsiadką Bergerów, twoja żona upatrzyła sobie Jasia!

– To niczym nieusprawiedliwiona potwarz! – Clemenz odzyskał już pewność siebie. – Zresztą chłopca już tu nie ma.

– Jak to?

– Miesiąc temu wysłaliśmy go z moją krewną statkiem do Niemiec. Otworzyła się taka szansa i ją wykorzystaliśmy. Ja musiałem zostać, poczucie obowiązku zatrzymało mnie w mieście. Wkrótce mamy się z żoną ewakuować. Mam stosowne przyrzeczenie władz sowieckich.

W pokoju zapadła cisza. Abell słyszał, jak ciężko dyszy stojący obok niego Polak.

– Musimy przeszukać dom, panie Clemenz – powiedział radca. – Mam nadzieję, że nie będzie nam pan tego utrudniał.

– Mąż może nie, ale ja tak – usłyszeli nagle kobiecy głos za plecami. – Nie zgadzam się na buszowanie obcych po moim domu. To bezprawie.

Lotta Clemenz stała u szczytu schodów. Ręce skrzyżowała na piersiach. Światło lampy odbijało się na jej kościstych, trochę indiańskich policzkach. Abell odniósł wrażenie, że kobieta co chwilę spogląda na drzwi wejściowe, jakby na kogoś czekała.

– Bezprawiem była kradzież cudzego dziecka, pani Clemenz – odparł Abell. – Trzeba nie mieć serca, aby dopuścić się takiego czynu.

– Kocham Johanna ponad życie. Nie ma pan pojęcia, o czym mówię.

– Ten chłopiec ma swoją prawdziwą matkę, którą kocha i za którą tęskni.

– Przywyknie. Teraz to mój syn.

– Szkoda czasu na takie dysputy. Dla pewności przeszukamy dom.

– Ani kroku dalej! – Lotta miała ogień w oczach.

– Przesuńcie panią Clemenz, bo zawadza – powiedział Abell do Tomczaka i Kukulki. – Tylko delikatnie, żeby nie zburzyć tej kunsztownej fryzury.

I wtedy wszystko nagle się zmieniło. Usłyszeli jakiś hałas na dworze. Drzwi wejściowe otworzyły się gwałtownie, uderzając o ścianę. W progu stało trzech czerwonoarmistów. Mieli zawzięte, marsowe miny, wymachiwali bronią. Stojący na czele dryblas w długim szynelu wymierzył pepeszę w Abella i krzyknął:

– *Ruki w wierch! I na ziemi!*

Abell nie miał wątpliwości, że w razie nieposłuszeństwa Rosjanie otworzą ogień. Opór nie miał sensu. Nie w tej delikatnej sytuacji, w jakiej się znaleźli.

W kwadrans później żołdat podał mu słuchawkę telefonu. Radca usłyszał Denisowa.

– Co robicie w Praust? – Głos podpułkownika brzmiał wrogo i nieprzyjaźnie.

– Kończymy pewne sprawy.

– Pewne sprawy? A co to, *job twoju mać*, ma znaczyć? Nasza umowa już nie obowiązuje. Nie macie prawa poruszać się bez mojej wiedzy po terenach przyfrontowych!

– Proszę mnie posłuchać, pułkowniku. – Abell starał się zachować spokój. – W aktach Lebensbornu, które wam przekazałem, natrafiłem na dane dotyczące pewnego dziecka. Chodzi o porwanego synka siostry porucznika Tomczaka. Sami mi poleciliście tego Polaka... Nic dziwnego, że postanowiliśmy odzyskać dziecko. Wy przecież macie ten sam cel: oddać dzieci prawowitym rodzicom, waszym sojusznikom zresztą. Archiwum to tylko abstrakcyjny zbiór danych, ale tu mieliśmy szansę realnie zdyskontować ten sukces, uczynić coś dobrego.

– To nie wasza rola. Zostawcie to nam!

– Jesteśmy w domu wysokiego funkcjonariusza reżimu, Olafa Clemenza. To nazista. Razem z żoną nie mają czystych rąk. Twierdzą, że odesłali wcześniej chłopca do Niemiec, ale ja w to nie wierzę. Chcemy tylko przeszukać dom, Clemenzów należałoby aresztować.

– To was należałoby aresztować! Dobrze, że ta kobieta do nas zadzwoniła. Clemenz dla nas pracuje. I dopóki to ode mnie zależy, głos mu z głowy nie spadnie. Są sprawy ważne i ważniejsze. Rozumie pan?

– Nie wiedziałem, że to wasz konfident.

– To teraz już pan wie.

– Co to za ważne sprawy?

– Niech pan nie przeciąga struny, Abell. A teraz proszę oddać słuchawkę temu żołnierzowi.

Abell czuł, jak pulsują mu skronie. Z pochyloną głową przyglądał się, jak wyprężony Rosjanin wysłuchuje komend płynących z telefonu.

Po chwili odwrócił się, splunął na podłogę i dokładnie roztarł plwocinę czubem żołnierskiego buta.

– Spierdalać! *Raus!* – powiedział krótko.

\*

Wracali zatopieni w ponurym milczeniu. Ciemna droga okolona szpalerem wiązków przypominała cmentarną aleję.

– Jak ja to przekazę Zuzannie? – odezwał się w pewnym momencie bezradnie milicjant. – Tak bardzo liczyła, że przywieziemy Jasia. Załamie się, gdy jej powiem, że go wywieźli w nieznane.

– Chłopiec tam był – powiedział niespodziewanie siedzący obok Abell. – Myślę, że nadal jest w domu Clemenarów.

– Skąd ta pewność?

– To nie pewność, tylko rachunek prawdopodobieństwa. Uczyli nas tego w Kripo, wam w milicji też się przyda. Z tego, co mówiła Zuzanna i co widzieliśmy na miejscu, Lotta miała obsesję na punkcie Jasia. Nie wypuściłaby go ze swoich nadopieczonych szponów. Nie wysłałaby samego w niepewną podróż morską, nawet pod opieką jakiejś krewnej. To po prostu mało prawdopodobne.

– Mów dalej. – Porucznik rzucił mu krótkie spojrzenie.

– Ręce Clemenza. Miał świeże zadrapania na dłoniach i przegubach.

– I co z tego?

– Zwróciłem uwagę na rozstaw tych zadrapań, to nie robota dorosłego, raczej rączek dziecka. Poza tym z kieszeni Clemenza wystawał zwinięty pasek do spodni. Po co miałby go ściągać? Chyba że niedawno był w użyciu...

– Myślisz, że bił Jasia przed naszym przyjściem?

– To możliwe. Sami mówiliście, że chłopak jest charakterny. Od przymusowej adopcji minęło dopiero kilka miesięcy. Za mało, żeby zapomniał, kim naprawdę jest, za krótko, żeby zabić tęsknotę za matką. Być może Clemenzone tresują chłopaka, próbując go ukształtować na swoją modłę.

– Skurwysyny!

– To nie wszystko. Przez szybę widzieliśmy Lottę w salonie, jak grała na fortepianie. Gdy weszliśmy do domu, już jej tam nie było. Sądzę, że zamieniła się miejscami z mężem, to ona wtedy pilnowała chłopca.

– Nawet jeśli masz rację. – Polak na chwilę oderwał ręce od kierownicy. – Co możemy zrobić? Rosjanie się na nas wypięli!

– To proste. Wrócisz tutaj i zabierzesz chłopca.

– Niby jak? Sam nie dam rady. Nie wbrew Roskom.

– To twoi sojusznicy, nie nasi.

Musieli nagle zahamować. Przez drogę przeskakiwało wielkimi susami stado jeleni. Widzieli ich czujne oczy i zamszową skórę w blasku reflektorów. Zwierzęta były jak z innego świata, oddalonego o lata świetlne od diabelskiego kręgu śmierci, zdrady i fałszu, w którym tkwili trzej mężczyźni zamknięci w metalowym pudełku gazika.

Dniało.

## 6.

Wyszli z lasu i stanęli na skraju wzgórza. Dolina Krzaczastego Młyna, pełna gniewu i złych wspomnień. To tutaj się wszystko rozpoczęło i tutaj powinno zakończyć. Na dole rozpadliny jarzył się światłami budynek lazaretu. Byli tu zaledwie kilka dni temu – a zmieniło się wszystko. Śmierć wyparła życie. A nadzieja przeistoczyła się w gryzące poczucie klęski i rozczarowania.



Strażnik w bramie lazaretu długo oglądał ich glejt. Papier Denisowa ciągle zachowywał swoją ważność.

– *Wojditie* – powiedział wreszcie. Mogli wejść.

Gdy byli tu poprzednim razem, szpitalik był tylko w połowie zapełniony. Tym razem panował tu tłok. Chorzy, z braku miejsca w przepelnionych salach, leżeli na korytarzach. Tylko szczęśliwcy spoczywali na prowizorycznie zbitych pryzkach, większość ułożono bezpośrednio na zimnym betonie. Abell dawno nie widział takiego nagromadzenia ludzkiego nieszczęścia na tak małej powierzchni. Widok był przygnębiający. Obcięte kikuty, ropiejące kończyny, spalona na węgiel skóra, a nade wszystko unoszące się nad tym pandemonium nieustanne zawodzenie wydobywające się z dziesiątek ust i gardeł; owe szpitalne crescendo, przerażające w swoim natężeniu i wwiercające się bezlitośnie w uszy przybyszy.

Jak zdążyli się zorientować, większość chorych stanowili Niemcy i Polacy. Rosjanie woleli swoich żołnierzy kierować do własnych lazaretów.

Abell rozglądał się przez chwilę, wreszcie zauważył jakiegoś lekarza. Mężczyzna miał twarz szarą ze zmęczenia. Ocierał zakrwawione ręce w poły brudnego kitla.

– Doktorze, potrzebuję informacji – rzucił radca, próbując go zatrzymać.

– Nie teraz! – odparł tamten. – Operuję jedenastą godzinę z rzędu, mam już pacjenta na stole.

– To naprawdę ważne – nie ustępował radca.

– A ja naprawdę nie mam czasu. Niech pan zapyta siostry oddziałowej, jest w dyżurce.

Abell pchnął białe drzwi i znalazł się w pomieszczeniu owianym zapachem medykamentów. Siostra była odwrócona tyłem, myła ręce w emaliowanej miednicy. Uparcie ścierała pumeksem żółtawy nalot z dłoni. Tarła kamieniem skórę do krwi, ale stygmat choroby i śmierci nieustannie powracał. Odwróciła się i natychmiast go rozpoznała.

– To pan – powiedziała cicho.

– Siostra Greta. – Abell skłonił głowę na znak powitania.

– Boże, jak się cieszę. – Przez jej twarz przebiegł cień uśmiechu. – Byłam pewna, że pana zatłuką za to, co pan wtedy dla nas zrobił. Modliłam się

każdego ranka i każdego wieczoru, żeby tak się nie stało.

– Nie tak łatwo mnie zabić.

– Uratował pan nas wtedy... A teraz okazuje się, że pan żyje. Jest jeszcze Bóg na tym świecie...

– Nie mieszałbym do tego Boga, siostrze. Ja także się cieszę, że panią widzę. Chciałbym prosić o przysługę.

– Jeśli tylko będę mogła pomóc.

– Pamiętaj siostrze, że odwiedziłem tu swojego teścia, Piotra Morela. Trafił tu podobno ponownie, już po moim aresztowaniu.

– Tak, to prawda.

– Otrzymałem wiadomość, że zmarł przedwczoraj w waszym szpitalu.

– Przedwczoraj? Kto panu tak powiedział?

– Rosjanie.

– To nieprawda. Po... tamtym zdarzeniu pozostałam w szpitalu. Gdzież zresztą miałabym się udać? Pana teścia przywieziono tu ponownie następnego dnia, podobno w wojskowym lazarecie go nie chcieli. Zmarł tego samego dnia wieczorem.

– Jest siostrze tego pewna? – Abell poczuł, jak nagły ból rozsadza mu skronie.

– Jestem. – Spojrzała na niego uważniej. – Wiedziałam, ile on dla pana znaczy. Zrobiliśmy tu, w szpitalu, wszystko, co możliwe, żeby go uratować. Było już jednak za późno.

– Jak to? Przecież Rosjanie mieli mu podać stosowne leki?

– Był skrajnie wycieńczony, odwodniony. Jeszcze przez chwilę udawało się utrzymać z nim jakiś kontakt. Siedziałam przy nim wtedy... Później właściwie nie reagował już na żadne bodźce. Wrócił do nas w gorszym stanie, niż wyszedł. Pracuję w tym fachu kilka lat. Pana Piotra na pewno nie poddano żadnemu leczeniu.

Abell się zachwiał. Nagle opuściły go siły. Nienaturalnie wyostrozonymi zmysłami wychwytywał wszelkie odgłosy i zapachy z zewnątrz. Miał wrażenie, że słyszy dźwięk odkładanego lancetu w sali operacyjnej i szuranie bosych pacjentów za ścianą.

Są takie chwile, kiedy nagle wszystko się zmienia. Czas staje w miejscu, jakby potrzebował chwili do namysłu, jaki kierunek wybrać. Czy ma powrócić do dawnego łożyska, uładzonego już i pewnego, czy wręcz przeciwnie, popędzić w nieznaną? Jeden płynie z nurtem, szybko i bez wahania. Gdyby na powierzchni unosił się niczym liść, zniknąłby błyskawicznie z pola widzenia. Inny meandruje, kluczy, szuka drogi pomiędzy brzegami. Niezależnie od tego, jaki biegun wybierze, nic już nie jest takie samo jak przedtem. Pewniki przeistaczają się w pytajniki, aksjomaty w otwarte pytania. Bezpowrotnie ulatuje gdzieś pewność siebie i przekonanie, że jest, jak jest – bo tak być powinno. Stan faktyczny, znany już i przyswojony, okazuje się ułudą, kruchym lodem, słomką podtrzymującą gmach pozorów i złudzeń. Można wtedy albo się poddać rezygnacji, albo zacząć budowanie iluzji od nowa.

To była właśnie taka chwila.

– Przez kilka ostatnich dni ciało leżało na dworze, pod zwykłym drelichem, bo tam jest zimniej. Nie pozwolono nam go pochować. – Greta uważnie dobierała słowa. – Zabrali go dopiero wczoraj rano. Przyjechali ciężarówką, to znaczy Sowietami.

– Czy wtedy, kiedy Piotr był jeszcze przytomny, powiedział coś, co siostra zrozumiała?

– Tak, jedno zdanie.

– Jakie?

– „Córeczko”...

Radca nie odpowiedział. Zakrył twarz kołnierzem płaszcza i ruszył ku wyjściu. Był już w drzwiach, gdy nagle się odwrócił i powiedział:

– Dobrze, że przynajmniej siostra wyszła z tego cało. Wtedy...

Greta Herkel patrzyła, jak Abell znika w drzwiach. Nie zatrzymała go. Co miała mu powiedzieć? To, że Rosjanie wrócili następnej nocy? I że gwałcili ją do świtu, jeden po drugim, jak zwierzęta w dzikiej rui?

Każdy dźwigał swój krzyż. Ten, który wynosił radca z tej sali, był już i tak wystarczająco ciężki.

Wracali z pochylonymi głowami, wspinając się po wzgórzu. Błoto lepiło im się do butów. Wiał przeraźliwie zimny wiatr, przyginając gałęzie do ziemi. Niebo, niczym brudna derka, zwisało nad ziemią.

– Co za skurwysyny! – Kukulka splunął pod nogi. – Łudzili nas, zwodzili... A nawet nie kiwnęli palcem. Od początku wiedzieli, że Piotr nie żyje. Wodzili nas za nos. Najpierw w Praust, teraz tu...

Abell nie odpowiedział, uważnie stawiał kroki, unikając leśnych wykrotów.

– Powinniśmy się zwijać, dopóki droga na mierzeję jest jeszcze otwarta – stwierdził wachmistrz. – Nic tu po nas.

– Ja zostaję. – Radca zatrzymał się nagle i spojrzał Kukulce prosto w oczy.

– Jak to?

– Muszę jeszcze coś załatwić. Ale ty uciekaj.

– Mam zostawić cię tu samego? Przecież wiesz, że tego nie zrobię.

– Wracaj.

– W życiu! Koniec tematu.

– Nie mam prawa. Zwłaszcza teraz...

– Miałbym sam wrócić do Rotterdamu? Wykluczone. Nie miałbym z kim się napić.

– Dobrze więc. Do tej pory tańczyliśmy do ich melodii. Teraz spróbujemy zagrać po mojemu.

## 7.

Tomczak przypatrywał im się spode łba. Kończyli przygotowania w oliwskim domku pani Braun. Gazik z pełnym bakiem czekał na podwórku. Wachmistrz zakończył czyszczenie lugera, ulubioną czynność, która działała mu kojąco na nerwy. Sprawnie wsunął magazynek w chwyt pistoletu. Następnie pieśczośliwie wytarł szmatką lufę i mechanizm.

Abell miał na sobie ciemny strój przypominający battle dress brytyjskiego komandosa. Obaj owinęli taśmą nogawki spodni. Następnie wymazali sobie twarz ciemną mazią, jaką wachmistrz wyciągnął z szafki. Działali bez słów, jak

dobrze rozumiejący się duet. Milicjant pomyślał, że można by ich wziąć za zawodowych killerów, a nie stróżów prawa.

– Przyniosłam wam coś na drogę, dzieciaczki. – W progu pojawiła się nagle pani Braun. – O Jezu, a co wyście się tak wypomadowali? Wyglądacie jak mordy zakazane jakieś.

– To dla kamuflażu, kochana pani Braun – powiedział Kukulka.

– Ciebie, Gustl, to i bez tej czarnej pasty każdy rozpozna. Wystarczy, że usta otworzysz. I zaraz poleci: „Zabiję, kurwa, ty śmieciu”, i tak dalej. Czy ty nie potrafisz inaczej?

– Jest pani niesprawiedliwa, kochana pani Braun. Dzisiaj ani razu nie powiedziałem „kurwa”.

– Tak? A teraz to co?

\*

Tym razem jechali szybko. Droga była pusta. Tylko raz na rogatkach miasta zatrzymał ich rosyjski patrol. Legitymacja Tomczaka i jego mundur zrobiły jednak swoje. Rosjanie nie robili im trudności.

Wjechali do miasta przypominającego kretowisko. W ciemności widać było tylko kontury domostw o spiczastych dachach, w pojedynczych oknach żarzyło się światło. W powietrzu unosił się trudny do opisanego smród. Mieszkańcy palili tej zimy czym popadnie: końskim łajnem, październowymi meblami, chrustem przyniesionym z lasu. Tylko nie oponami, bo te mogły się jeszcze przydać podczas planowanej ucieczki. W Praust nadal przebywało jeszcze trzy i pół tysiąca Niemców, wszyscy marzyli tylko o jednym: o transporcie do Lubeki czy Hamburga.

Tym razem zatrzymali się w bocznej, zapuszczonej uliczce. Było tak cicho, że słyszeli własne oddechy.

Szeregowiec Wiktor Głazow rozwarł ręce i uderzył nimi o swoje barki. Był ubrany w kufajkę i futrzaną uszatkę zakrywającą uszy, a zimno i tak zdradliwie przekradało się przez ubiór, zatykając dech i przenikając do szpiku kości. Marzec był wyjątkowo mroźny tego roku.

To się nazywa mieć pecha, psia jego mać, pomyślał, przytupując dla rozgrzania krwi. Jego koledzy z plutonu pewnie korzystali właśnie z życia. Fakt, żołnierz sowiecki nie miał łatwo. Na początku wojny dostawali w dupę od germańca, potem losy się odwróciły i to oni gonili fryców. Zwykły żołnierz miał jednak cały czas pod górkę. W głodzie i chłdzie, ślizgając się w okopach na błocie, krwi i własnym gównie. Szeregowiec Głazow jednak się nie skarżył, co to, to nie! Towarzysz Stalin nie mówił, że będzie lekko, prosto i przyjemnie. Zwycięstwo rewolucji proletariackiej wymagało ofiar.

Za to teraz nadszedł czas odpłaty. I wielkiej nagrody za żołnierski trud, za żarliwość proletariacką, za miłość do Kraju Rad! Palili i dupczyli, rabowali i żyli jak ci burżuazyjni brzuchacze. Przynajmniej teraz, przez parę tygodni, a co! Chlali koniak znaleziony w piwnicach, żarli czekoladę, każdy miał już po kilka zegarków, niedługo będą je sobie na nogę zakładać. Podcierali się haftowanymi serwetami, a w piecach palili starymi księgami w dziwnym szwabskim alfabecie.

Jego koledzy upatrzyli sobie obszerny dom na skraju miasta. Wyczaili, że w piwnicy ukrywają się młode Niemki. Pewnie właśnie sobie używają, a on sterczał, jak ta pizda, przed domem jakiegoś szwabskiego konfidenta, nie mówiąc już o tym, że tyłek przymarzał mu do gaci.

Humor poprawiał sobie myśleniem. Lubił czasami podumać w samotności. Jeszcze miesiąc, jeszcze dwa i dorwą tego szczura, Hitlera, w Berlinie, ot co. Wetkną mu w dupę czerwony sztandar, a Głazow, już może jako kapral, wróci do rodzinnej Staniłowki. A wtedy wszystkie panny będą jego! Pięknie będzie po prostu. Na jego polu za mleczarnią słoneczniki się będą żółcić po horyzont, że hen!

\*

Patrolował przed domem: dwadzieścia pięć kroków w przód, do śmietnika z pochylonym drzewem, w tył zwrot i tyle samo z powrotem. I tak przez dwie

godziny. Został mu jeszcze kwadrans do końca warty. Doszedł po raz kolejny do końca rundki. Chciał już zawrócić, gdy zatrzymało go niejasne wrażenie, że coś się zmieniło. Tak jakby cień drzewa stał się nagle grubszy, jakiś rosochaty w swej podstawie.

Kukulka obserwował zbliżającego się żołnierza. Rusek kołysał się na boki, co chwila walił łapami o uda i ramiona. Niby Ruski, a też mu zimno. Przywarł do pnia drzewa. Jeszcze kilka kroków. Trzy, dwa, jeden. Zaplanował atak wtedy, gdy kacap się odwróci, ale tamten zastygł nagle nieruchomo, jakby instynktownie wyczuwając jakieś niebezpieczeństwo.

Nie było na co czekać. Wachmistrz sięgnął po łom i mocniej ścisnął go w rękę. Teraz! Dobrze mierzonym ciosem w głowę powalił Rosjanina na ziemię. Szeregowy Głazow pewnie by przeżył to spotkanie, ale zgubiła go uszatka. Jego szczęśliwa czapka spod Majkopu. Wtedy, na froncie, oberwał odłamkiem niemieckiego szrapnela, ale czapa osłabiła impet uderzenia i tylko stracił słuch na tydzień. Teraz wyszło podobnie, tylko bardziej pechowo. Wachmistrz planował go tylko ogłuszyć, ale futro osłabiło siłę ciosu.

– O żesz, kurwa! – Oszołomiony żołdat otrząsnął się i potrząsnął głową jak ranny niedźwiedź.

Kukulka rzucił się na niego. Przez chwilę tarzali się po śniegu, walcząc o uzyskanie przewagi. Słychać było charczenie i przekleństwa. Wtem Rosjanin znalazł się na wierzchu. Wyszarpnął automat, palec miał już na cynglu. Kukulka nie miał wyboru. Odwinął się i z rozmachem trafił żołdatę łomem w twarz. To uderzenie było już śmiertelne. Dług wbił się w oczodół, czaszka pękła z trzaskiem niczym suchy wafel.

Wachmistrz otrzepał spodnie z błota i zaciągnął zwłoki za śmietnik. Wziął pepeszę i plecak z zapasowym magazynkiem łukowym. Po chwili skinął w stronę drugiego cienia, który wysunął się z bramy.

– Kacap żyje? – zapytał radca.

– Nie wydaje mi się.

– No to mamy problem. Teraz nam nie darują.

– To przez tę czapę. Chciałem go tylko ogłuszyć, ale rzucił się na mnie. Potem wyciągnął broń...

– Trudno. I tak nie ma już odwrotu.

– Bywa.

Obaj podeszli do drzwi wejściowych. Kukulka gmerał w nich przez kilka sekund swoim wytrychem, dopóki nie usłyszał trzasku puszczającego zamka. Pchnęli ciężkie odrzwia i znaleźli się w domu. W korytarzu niemal potknęli się o kilka wielkich kufrów i waliz związanych skórzanymi pasami. Widocznie państwo Clemenzowie zamierzali wkrótce zmienić otoczenie.

## 9.

Lotta Clemenz przewracała się na łóżku niespokojnie. Olaf spał obok snem sprawiedliwego. Słyszała jego równy, głęboki oddech. Zazdrościła mu, też by tak chciała. Sama od wielu tygodni walczyła z bezsennością. Wielka wzniosła idea narodowego socjalizmu, w którą tak wierzyła, na jej oczach waliła się w gruzy. Ofiara milionów szła na marne. Mieli zbudować Tysiącletnią Rzeszę, tymczasem hordy najeźdźców parły z obu stron na Berlin. Przyszłość jawiła się jako jedna wielka dziura. To bolało.

No i jeszcze to... Od poprzedniego wieczoru nie zmrużyła nawet oka. Ci intruzi zamierzali jej zabrać największy skarb, jedyną wartość, jaką chciała wynieść z tej wojny – Johanna. Wymodliła, wypłakała, wyprosiła tego chłopaka. Był tylko jej! Zamierzała obdarzyć go wielką miłością, wypiaستować, ukształtować i wychować na prawdziwego Niemca. Miała przecież w sobie tyle matczyne go uczucia, które tak długo czekało na spełnienie...

Rosjanie ich ochronili, ale na jak długo? Dlatego chciała tylko doczekać ewakuacji. Denisow obiecał, że za kilka dni ich wypuści, jak tylko Olaf wywiąże się w pełni ze swoich zadań. A co on na litość boską innego robił przez ostatnie dwa tygodnie? Kolaborował i zagryzał zęby, wszystko dla dobra ich rodziny. Miewał wątpliwości i wahał się, ale wtedy ona wkraczała do akcji.

– Bądź mądry – klarowała mu. – Oni i tak już wygrali. Rób, czego chcą, a może uda nam się ująć z tej matni. I wywieźć stąd Johanna.

Zamknęła ciężkie powieki. Miała wrażenie, że tylko na kilka sekund. Gdy je otworzyła, usłyszała cichy szmer za drzwiami. Ledwie słyszalny, ale od wielu dni miała wyostrzone zmysły, przez skórę wyczułaby każde zagrożenie.



Podeszła na palcach do drzwi i przytknęła do nich ucho. Cisza. Dla pewności nacisnęła klamkę.

Spojrzała przed siebie i ujrzała wlepione w siebie oczy diabła. Zimne i nieprzeniknione.

– Nawet nie drgnij. – Abell skierował lufę lugera w stronę śpiącego Clemenza. – Jeśli chcesz, żeby on przeżył.

– Nie zrobisz tego.

– Rosyjski żołnierz, który patrolował wasz dom, leży obok śmietnika z przebitą czaszką. Myślisz, że mamy coś do stracenia?

W tym momencie oczy otworzył Clemenz. Potrzebował kilku sekund, aby zrozumieć, co dzieje się w jego sypialni.

– Jak... – usiłował zadać pytanie, ale Abell podszedł do niego natychmiast i włożył mu lufę pistoletu w usta.

– Milcz. To najlepsze, co możesz teraz zrobić.

– Zapłacicie za to – wycharczał Olaf.

– Już zapłaciłem.

– Nie oddam wam Johanna. – Lotta wpiła palce w ramię radcy.

– Nigdy nie był twój. Chłopak wraca do domu.

## 10.

Jaś Skrzynecki nie spał tej nocy. Podobnie jak Paweł, jego jedyny towarzysz i powiernik. Pluszowy miś był jedyną zabawką, jaką pozwolono mu zabrać z domu. Miał kaperską opaskę na oku, a imię odziedziczył po Pawle Beneke<sup>[30]</sup>, słynnym kaprze gdańskim. Jaś uczył się czytać na książeczce poświęconej dziejom legendarnego pirata. Razem zdobywali obce galeony, wdzierali się abordażem na pokłady trójmasztownców, nurkowali w poszukiwaniu podwodnych skarbów. Teraz Paweł był jego bratem, towarzyszem i obrońcą.

On istniał naprawdę. To cała reszta była ułudą. Prawdziwy był jego dom w Tczewie. Pachniał razowym chlebem, pastą do butów i bzem. Mokłą sierścią

psa Łazika i smołą z dachu. Iluzją był ten dom, w którym go teraz trzymali. Nieprzyjazny, kanciasty, mówiący do niego w nocy obcymi zgłoskami.

Pluszak łączył go niewidoczną pępowiną z matką. Tęsknił za nią tak bardzo, że w ośrodku, do którego go zawieźli, pogryzł sobie wargi. Smarowali mu je na siłę jakąś maścią, która śmierdziała jak kurze łajno. Pamiętał wszystko. Jej uśmiech, oczy, sposób, w jaki na niego patrzyła. Ciągle ją o coś pytał.

– Mamo, dlaczego śnieg jest biały? Czy czarownice mają serce? Skąd nasz bociek wie, jak wrócić z Afryki na nasze gniazdo?

Był tylko małym chłopcem i nie wszystko rozumiał. Świat wokół niego był wielki i nieogarnięty. Musiał go jakoś oswoić i nazwać, na swój sposób. Lotta nie była macochą, lecz Wilczycą. Wierzył, że pod czerwonymi wargami skrywa wilcze kły. A mężczyzna, który kazał mu nazywać się ojcem, w rzeczywistości był Panem Ptasiorem. Chciał go porwać w swoje szpony i wywieźć daleko, tam gdzie mieszkają tylko czarne ptaszyska, takie jak on.

Aby przetrwać, wymyślił sobie, że to, co się dzieje wokół niego, to tylko zły koszmar. Cały czas śni, wessany do jednej z baśni braci Grimm, które czytywała mu mama. A w tej sennej baśni przebywa w Złej Krainie, gdzie każą mu mówić Obcym Językiem. Dzieją się tu wyłącznie Złe Rzeczy, jak to w Złej Krainie. Każą mu kłamać, nazywają go Johannem, chociaż tak naprawdę jest Jasiem. Biją go co wieczór pasem, a przy stole po palcach linijką, mimo że podobno go kochają. Wytrzyma to, bo przecież kiedyś wreszcie się obudzi i zła bajka się skończy, prawda?

Wtedy powróci do krzywego domku w pokrzywach, do zapachu Łazika i kogła mogła, którego ucierał razem z prawdziwą mamą. Dlatego na drewnianej ramie pod łóżkiem, tam gdzie nie zaglądała Wilczyca z Panem Ptasiorem, każdy dzień rozłąki z mamą zaznaczał jednym nacięciem kozikiem ukradzionym z kuchni. Tych nacięć było coraz więcej. Początkowo próbował je policzyć, ale wkrótce się pogubił. Co zrobi, gdy na ramie zabraknie miejsca? Nawet Paweł nie potrafił mu pomóc.

Schylił głowę, aby spojrzeć pod łóżko. Gdy ją podniósł z powrotem, nagle wszystko się zmieniło.

W drzwiach stała jakaś postać. Była duża i szeroka w ramionach. Powinien odczuwać strach, a jednak tak nie było. Było w tej postaci coś znajomego, coś

bardzo odległego, a jednak pobudzającego serce do żywszego bicia.

– Poznajesz mnie, Jasiu? – Przybysz mówił w Zakazanym Języku.

Nie był pewien, więc pokręcił głową.

– To ja, wujek Tadek.

– Nie jesteś duchem? Nie przysyłała cię Wilczyca?

– Jasiu, kochany, to ja. – Tomczak rozłożył ręce, a chłopiec wtulił się w nie tak gwałtownie, jakby obawiał się, że ten nagle zniknie.

– A mama? Gdzie jest mama?

– Czeka na nas.

– Nie zapomniała o mnie?

– Nie, Jasiu. Ona zawsze była przy tobie, nawet w tym obcym domu.

– Wiem. Ona i Paweł.

– Pojedziemy teraz do niej.

Chłopiec wtulił się w Tadeusza. Mężczyzna czuł, jak siostrzeniec drży.

– No, zbieraj się. Nie mamy dużo czasu.

– A oni?

– Kto?

– Wilczyca i Pan Ptasior. – Chłopiec wskazał za ścianę.

– Już ich nigdy nie zobaczysz. Obiecuję.

## 11.

Wachmistrz sprawdził jeszcze raz supły na rękach Clemenzów i podniósł się z kolan. Nie żałował sznura znalezionej w kuchni. Dla pewności zakleił im usta taśmą. Zostawiali ich w zamkniętej łazience, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. Zwłaszcza ta fanatyczka była przecież zdolna do wszystkiego.

– Nie bójcie się – powiedział. – Nie zdechniecie tutaj z głodu. Jutro Soweci znajdą trupa za śmietnikiem. Wejdą do domu i was uwolnią. Nie zasługujecie na taki los, ale to pan radca tu rządzi. Ja wam życzę, żebyście zdechli. Na lądzie, morzu lub w powietrzu.

Lotta odpowiedziała mu nienawistnym kopnięciem w ścianę. W oczach miała szaleństwo. To nie mogło się tak skończyć – bezsilnie szarpała się z więzami, próbując się oswobodzić. Nie teraz, gdy byli już tak blisko...

Spojrzała na Olafa, ale ten tylko bezwładnie zwiesił głowę. Był taki słaby i bezradny... Już wiedziała, że tej fatalnej nocy traci nie tylko syna, ale i męża.

\*

Pod nogami trzeszczały im uschnięte patyki. Kroczyli pośród drzew, chlastani lodowatymi gałęziami. Doszli do skraju zagajnika porośniętego karłowatymi sosnami. Zameczek wyłonił się nagle. Jego gotyckie wieżyczki rysowały się upiornie na tle nieba. W oknie na dole paliło się światło.

Abell spojrzał na Kukulkę, a ten skinął głową.

– Aladyn w swojej jaskini – mruknął.

Podeszli pod dom i stanęli przed potężnymi drzwiami, wpuszczonymi pomiędzy mocarne kolumny. Na kamiennym tympanonie niewyraźnie rysował się junkierski herb: lew przebity strzałą. Radca nacisnął klamkę i ku jego zaskoczeniu drzwi się otworzyły.

Długi korytarz pogrążony był w mroku. Wiódł do pomieszczenia z otwartymi na oścież drzwiami. Po prawej widzieli rzeźbione schody prowadzące na piętro. Abell wyciągnął lugera.

– Zostań przy schodach – szepnął do Kukulki. – Ja sprawdzę salon.

Nagle drgnęli oboje. Zegar w salonie zaczął wybijać godziny. Każde uderzenie dopełniane było kukaniem kukulki: frywolnym i doniosłym, rozchodzącym się po całym tym ciemnym, ponurym domu. Abell wyczekał, aż zegar uderzy po raz ostatni, i stanął na progu salonu.

Duży pokój zatopiony był w szarości. Radca bardziej wyczuwał, niż rozpoznawał kanciaste kształty mebli: przepastnych szaf i kredensów, witryn i wysokich krzesel. Wolnostojąca lampa rzucała krąg światła na znajdujący się obok fotel. Siedział w nim starzec okryty ciepłym pledem. Miał wyostrzone rysy i orli, szlachetny nos. Kredowobiałą skórę przecinała pajęczyna głębokich bruzd i zmarszczek. Bezwładne ręce, jak gipsowe odlewy, spoczywały bezwładnie na podłokietnikach fotela. Radca z zaskoczeniem odkrył, że starzec nie śpi. Miał szeroko otwarte oczy, którymi wpatrywał się w przybysza.

– Hrabia Kuno von Arnoldi, prawda? – Abell opuścił broń.

Starzec ledwie dostrzegalnie skinął głową.

– Przepraszam za najście, ale proszę mi wierzyć, to stan wyższej konieczności.

– Spodziewałem się innych gości, ale proszę się czuć jak u siebie. – Hrabia mówił z trudnością, oddzielając każde słowo pauzą. – Ja i tak jestem już prawie na drugim brzegu Styksu.

– Oczekiwał pan Rosjan?

– Kogóż by innego? Zwyciężyli, wkrótce będą wszędzie. W Berlinie i w Paryżu. Dobrze, że tego nie doczekam.

– Dlaczego pan stąd nie uciekł?

– Tu się urodziłem i tu umrę. Pochodzę z rodziny, która kiedyś coś znaczyła dla Prus, dla Niemiec, dla cesarza. Ta epoka właśnie się kończy. Odejdę wraz z nią.

– Jest pan sam? – Abell rozejrzał się po pomieszczeniu.

Stare domy mają swoje ukryte życie. Trzeszczą podłogi i stare meble, a stare mury szepczą, zwłaszcza nocą. Ale nie docierał tutaj żaden dźwięk.

– Niezupełnie.

– Co to znaczy?

– Max, mój lokaj, wyjechał już tydzień temu, jako ostatni. Jest jednak ze mną Emma, moja żona. Odeszła wiele lat temu. Przez cały ten czas, mimo moich próśb i modlitw, nie pokazała mi się nawet we śnie. A teraz nagle się objawiła. Słyszę, jak chodzi po sypialni, musi pan wiedzieć, że nie zmieniłem w jej pokoju nic od jej śmierci... I mówi do mnie... Kuno, chodź do mnie... Nie zwlekaj... Nadchodzą straszne czasy. Czas ciemności i dżumy...

– Nie zrobię panu krzywdy, hrabio.

– Nie wątpię, panie radco. Ja już jestem martwy.

– Chciałbym tylko zabrać pewne rzeczy, ukryte w pańskiej rezydencji.

– Skąd pan wie, że znajdują się właśnie tutaj?

– Byłem policjantem, panie hrabio. Podobno nawet niezłym. Nie ma sensu zaprzeczać.

– Niczemu nie zaprzeczam, to tylko ciekawość gasnącego starca. – Arnoldi podniósł wyżej głowę.

– Gdzie to jest?

– Zanim odpowiem... Nie miałem żadnego wpływu na wybór Sobbowitz i mojego zameczku... Proszę mi wierzyć. Pewnego dnia, to było pod koniec stycznia, przyjechał tu profesor Vollmer, dyrektor gdańskiego muzeum. Znam go z dawnych czasów... Towarzyszyło mu dwóch ludzi z SS. Pan wie, z nimi nie było dyskusji... Przywieźli rozkaz Forstera. Mnie i tak było już wszystko jedno. Wskazałem im podziemia...

– Kiedy wrócili?

– Po tygodniu.

– Ile było tych skrzyń?

– Tylko jedna.

– Jedna?

– Też się zdziwiłem. Ale nie zadawałem pytań. To zresztą była raczej jakaś gablota. Nie widziałem dokładnie, przykryli ją płótnem. Na pewno musiała być ciężka. Niosło ją dwóch żołnierzy, chyba z Waffen-SS. Uginali się pod jej ciężarem.

– Powie mi pan, gdzie mam szukać?

– Mogę tym razem ja odpowiedzieć pytaniem, panie radco?

– Proszę.

– Po co to panu? Niezależnie od tego, co ci ludzie zamurowali w mojej piwnicy. Sztaby złota czy inne kosztowności... Złoto dzisiaj nic nie znaczy, jest brudne...

– To skomplikowane, hrabio. Nie robię tego wyłącznie dla siebie. Powiedzmy, że nie chcę, aby zawartość tych skrzyń wpadła w ręce tych, którzy mnie oszukali. I którzy nie są jej godni. To nosiciele dzumy...

– Nie pojmuję tego do końca, ale ja już w ogóle mało rozumiem. Może to i dobrze, że się pan pojawił... Proszę posłuchać. W piwnicy jest ceglana ściana...

Kilka minut później schodzili omszałymi ze starości schodami do podziemi. Okazało się, że pod domostwem znajduje się prawdziwy labirynt korytarzy

i ślepo zakończonych tuneli. Gdyby nie wskazówki hrabiego, mieliby poważne trudności z odnalezieniem schowka.

Widać było, że służba hrabiego przed ucieczką wyniosła co cenniejsze meble do podziemi. Wzdłuż jednego z kolebkowo sklepionych korytarzy stał szereg mahoniowych kredensów z kryształowymi szybami, sekretarzyków w stylu empire i szaf gdańskich, które mogłyby stanowić ozdobę każdego muzeum.

Inny z tuneli zawalony był po sufit stosem starodruków i inkunabułów. Rodzina Arnoldich musiała też kolekcjonować stare encyklopedie. Abell, który miał podobne upodobania, przystanął na chwilę. Z pewnym wzruszeniem wziął do ręki dwutomową *Cyclopaedię* autorstwa Efraima Chambersa, wydaną w 1727 roku. Jego uwagę przyciągnęła też wielotomowa *Wielka encyklopedia francuska* pod redakcją wielkiego Diderota, ozdobiona wspaniałymi sztychami i drukowana w Paryżu w latach 1751–1772. Dawno nie widział tylu białych kruków i cennych ksiąg. Nie po to jednak przyszli.

Minęli kolejny zakręt i po kilku schodkach zeszli poziom niżej.

– To musi być tutaj. – Abell się zatrzymał. Kukulka stał z tyłu, przyświecając mu płonąca pochodnią. Musieli oszczędzać baterie w latarce.

Ceglany mur przesłonięty był ciężkim piecem żeliwnym, których używano zimą w wielu junkierskich domach. Zaparli się barkami i zaczęli przepychać olbrzyma, odsłaniając centymetr po centymetrze interesującą ich ścianę. Abell otarł spocone czoło. Mimo panującego tu chłodu wkrótce koszule przylgnęły im do ciała. Po kwadransie ujrzeli wreszcie to, czego szukali. Niewielki prostokąt w murze, zamurowany tą samą cegłą, co cała ściana. Tylko wprawne oko wypatrzyłoby ten otwór, porównując różnicę w odcieniu starej i nowej spoiny łączącej cegły.

– Zajmie mi to kilka minut. – Kukulka sięgnął po łom. – Chyba że mur jest dwuwarstwowy.

Abell stanął z boku, przyświecając wachmistrzowi pochodnią. Miał świadomość, jak ryzykowny był to pomysł, by stracić kilka bezcennych godzin na wyprawę do Sobbowitz. Powinni już uciekać, jak najdalej od Rosjan i tej przeklętej, zgwałconej krainy, która niegdyś była jego arkadią. Wiedział jednak, że nic nie dzieje się bez przyczyny. To dlatego, ulegając impulsowi, schował w Marienwerder do kieszeni jeden z dokumentów z archiwum

Forstera. Rozpoczął własną grę, która doprowadziła go do podziemi tego zameczku. Nie wiedział, co znajdzie i czym skończy się ta wyprawa. Intuicyjnie czuł jednak, że potrzebuje tego znaleziska, bo mogło stanowić jedyne zabezpieczenie na przyszłość. Pod warunkiem że ta przyszłość jeszcze istniała.

Kukulka burzył mur planowo. Potężnym uderzeniem naruszył spoinę w wybranym przez siebie punkcie, a następnie poszerzył obszar ataku, krusząc ją na drobną miazgę. Potem napał na sam mur. Po kilku ciosach wybił cegły, słyszeli, jak głucho uderzyły o ziemię po drugiej stronie.

– Gotowe – mruknął.

Abell poczuł, jak ogarnia go podniecenie. Zbliżył się do otworu, przyświecając sobie pochodnią. Spojrzał przez wyłom.

Przed nimi rozciągał się niezwykle widok. Pod ścianą stała wielka szklana gablota. W otwartych kasetach leżały dziesiątki monet, medali i odznaczeń. Nawet z tej odległości widać było ich starożytną proveniencję, złoto lśniło w świetle pochodni.

– Szlag! – usłyszał z tyłu głos wachmistrza.

Po minucie byli po drugiej stronie. Abell uważnie oglądał monety. Z tabliczki znamionowej na kasecie wynikało, że pochodzą z zamku w Marienburgu. W idealnym porządku leżały tu dukaty koronne Zygmunta III Wazy, floreny Władysława Łokietka, średniowieczne monety wybijane przez Krzyżaków, srebrne talary, a nawet donatywy z 1614 roku, bite przez Gdańsk dla polskich królów. Niektóre leżały jeszcze w futerałach wyłożonych zielonym aksamitem. Na dolnej, najniższej półce stały zabytkowe monstrancje.

Radca uniósł najokazalszą z nich. Pochodziła z kościoła św. Józefa w Gdańsku. Była dziełem Jana Gottfrieda Schlaubitza z 1738 roku. Trzymał w ręku arcydzieło, trybowane i wykonane ze złoconego srebra.

– Ile za nią można wziąć? – zapytał Kukulka.

– Jest warta każdych pieniędzy. A to oznacza, że bezcenna.

– Co zabieramy? – Wachmistrz rozejrzał się po gablocie.

– Tylko wybrane monety. To, co zdołamy unieść i co nie będzie przeszkodą w ucieczce.

Zapakowali kilkadziesiąt monet i donatywy, które Abell uznał za najcenniejsze. Konduktorska torba, którą Kukulka zabrał ze sobą, wkrótce



wypełniła się ciężkim ładunkiem. Do plecaka Abell zapakował tylko monstrancję Schlaubitza. Wystarczy, czekała ich jeszcze długa droga.

Abell spojrzął na zegarek. Już byli spóźnieni. Czas gonił jak opętany właśnie teraz, gdy się modlili, by spowolnił swój bieg.

Pięli się po schodach, sapiąc z wysiłku. Kukulka przetarł twarz, cementowy kurz mieszał się na niej z potem. Przeszli przez obszerną kuchnię i weszli do salonu.

Hrabia Kuno von Arnoldi nadal spoczywał na fotelu. Głowa z okazałymi bokobrodami spoczywała na piersi. Zwieszona bezwładnie ręka dotykała herbowych kafli, na których w przedśmiertnej agonii prężył się lew przebity strzałą.

## 12.

Wjechali na asfaltową drogę. Za nimi gasły blade światła Praust. Kukulka odwrócił się po raz ostatni. Już nigdy nie wróci do tego miasta. Miejsca przekłętogo, przeżartego złymi wspomnieniami. Jeśli coś stąd zabierał, to tylko kawałek nieba, z gwiazdozbiorami, które oglądał z Elke. I tego chłopaka o niesfornej czuprynie, który na tylnym siedzeniu gazika usnął na kolanach Abella.

Światła reflektorów rozbijały mrok. Wilgotne opary unosiły się nad jezdnią.

– Ale nam się poszczęściło – mruknął pochylony nad kierownicą Tomczak. – Nie wierzyłem, że się uda...

Światła z naprzeciwka pojawiły się nagle. Polak czujnie wyteżył wzrok. O tej porze mógł to być tylko wóz wojskowy. Widzieli, że tamten samochód zwalania. Po chwili ich minął. Ciemny GAZ-67. Światło reflektorów ich gazika musnęło szoferkę. Zobaczyli na przednich siedzeniach dwóch Rosjan, jeden miał oficerskie epolety na ramionach. Z tyłu majaczyły kształty kolejnych dwóch żołnierzy.

– Szlag! – Kukulka obrócił się za siebie. – Nie mieli kiedy się pojawić. Może pojedą dalej.

Nie pojechali. Usłyszeli nagły zgrzyt hamulców i pisk opon. GAZ zawrócił, mrugając jednocześnie światłami.

– Co robimy? – rzucił znad kierownicy Tomczak. – Zatrzymujemy się?

– Za dużo ich. Gaz do dechy! – powiedział Abell. – Spróbujemy ich zgubić. Może się uda i odpuszczą.

Porucznik wrzucił sprzęgło. Szarpnęło, maksymalnie wcisnął pedał gazu. Szosa uciekała im spod kół. Drzewa po obu stronach drogi zlały się w pas jednolitej butelkowej zieleni. Niestety, Rosjanie nie zrezygnowali. GAZ również przyspieszył. Odległość pomiędzy samochodami nie zwiększała się, ale też i nie zmniejszała.

– Gdzie teraz? – Polak rzucił spłoszone spojrzenie w kierunku Kukulki.

– Jeszcze mniej więcej kilometr, potem zobaczysz po prawej kapliczkę, taką ze stromym daszkiem.

Polak z napięciem wpatrywał się w drogę. Kępa drzew, jakaś stodoła, kapliczka i stromy daszek.

– Teraz!

Dojechał do skrętu dróżki i gwałtownie odbił kierownicą w prawo. Doleciał ich smród palonej gumy. Gazikiem zarzuciło. Mieli wrażenie, że samochód cudem zachował stabilność, mało brakowało, a by dachowali. Dróżka była ledwie widoczna, jasna wstążka meandrująca pośród morza ciemności.

– A teraz w las, tylko ostrożnie – zakomenderował Kukulka. – I gaś światła. Szybciej, zaraz tu będą!

Wjechali pomiędzy dwie duże sosny kołyszące się na wietrze. Jaś dopiero się rozbudził. Abell pogłaskał go po głowie.

Wykręcili i zaparkowali przodem do ścieżki. Światła zgasły.

– Chłopaka położę na podłodze. Ty zostań przy kierownicy. Wystrzelę, kiedy nadejdzie czas, a wtedy włączysz reflektory, tak aby ich oślepić – powiedział Abell do Tomczaka. – Musisz to zrobić natychmiast, inaczej po nas.

– Dobrze. – Polak skinął głową.

Abell z Kukulką wyskoczyli na zewnątrz, grzęznąc w hałdach błota.

– Ja biorę na siebie kierowcę i oficera, odczekaj chwilę, a potem sieknij tych z tyłu – powiedział Abell, przysiadając na jedno kolano i lokując się na skraju

rowu.

– Zrobione. – Kukulka położył się na brzuchu i wycelował przed siebie pepeszę.

Na ścieżce pojawił się GAZ. Koła buksowały przez moment na zbrylonej ziemi. Wóz zawirował, reflektory rzucały rozbiegane refleksy świetlne na pobliskie drzewa.

– Jeszcze nie, poczekaj – szepnął Abell.

Samochód przejechał kilka metrów i zwolnił. Zdezorientowani Rosjanie widocznie spostrzegli, że zbiegowie zniknęli z pola widzenia. Przejechali jeszcze kilka metrów i się zatrzymali. Widać było niewyraźnie głowę oficera wychyloną z okna wozu.

Radcę dzieliło od Rosjanina nie więcej jak dziesięć metrów. Z tej odległości nie mógł chybić. Wszystko stało się w przeciągu sekund. Trzymając lugera oburącz, oddał strzał w kierunku samochodu. Niemal w tej samej sekundzie Tomczak włączył reflektory, oświetlając napastników. Abell widział teraz twarz wyraźnie zaskoczonego Rosjanina. Wymierzył poniżej czapki. Strzał zabrzmiał jak suchy klaps. Rosjanin zniknął jak szmaciany manekin pociągnięty za sznurki w dół. Radca natychmiast przeniósł szczerbinę pistoletu obok. Drugi strzał eksplodował w twarzy kierowcy, wybijając oczodół na miejscu prawego oka.

Strzelanina spowodowała zamieszanie na tylnym siedzeniu. Rozległy się krzyki. Ktoś puścił serię: niecelną, w powietrze, ścinającą wierzchołek pobliskiej sosny.

Kukulka tylko na to czekał. Skierował serię z pepeszy dokładnie w miejsce rozbłysków. Słysząc było, jak kule dziurawią blaszane poszycie wozu. Władował cały magazynek, po czym wymienił na następny. Biegając zakosami, zbliżył się do tylnej burty wozu. Miał nadzieję, że pierwsza seria zrobiła swoje.

Ktoś jednak ocalał. Seria z pepeszy uderzyła niespodziewanie w ich gazik. Z wozu dobiegł jęk bólu. Nie było na co czekać. Kukulka parł do przodu, strzelając ciągłym ogniem. Z boku widział postać radcy, który również się odgryzał. Rosyjski ostrzał nagle ucichł, jak nożem uciął.

Podeszli bliżej. Na tylnym siedzeniu zobaczyli dwa ciała. Jedno leżało zgięte wpół. Kule trafiły żołnierza w tył głowy. Potylicą ziała wielką wyrwą pośrodku,

widać było białe skrawki zmiążdżonej kości. Drugi żołnierz spoczywał z głową opartą o siedzenie. Miał ospowate wżery na twarzy. Z przekrzywionych ust spływała strużka ciemnej krwi. Na przednim siedzeniu znaleźli dwa ciała. Obaj Rosjanie wyglądali, jakby spali, z głowami odrzuconymi do tyłu.

– Skończone – powiedział wachmistrz.

– Ktoś oberwał, Tadeusz albo mały. – Abell odwrócił się w stronę ich gazika. – Byłoby fatalnie, gdyby...

– Szlag! Też to słyszałem.

### 13.

Zuzanna Skrzynecka siedziała w kuchni jak posąg. Nie poruszyła się od wielu godzin, wsłuchana w każdy szmer dolatujący z ulicy. Pani Braun próbowała ją jakoś wyrwać z tego czujnego letargu.

– Może herbatki z pokrzywy ci zrobię, złotko? – zapytała. – Pychota! Dobrze robi na włosy i w ogóle. Po co nam jakieś siki z Ceylonu, jak my tu takie dobrodziejstwo w każdym rowie mamy.

Kobieta nawet na nią nie spojrzała.

– A o chłopaków to się nie martw. Wrócą szczęśliwie, wrócą na pewno, na bank. Gustl to taki trochę szalawiła jest, gwałtownik. Ale pan radca to insza inszość. Łeb ma jak sklep. Bały się go największe bandziory w mieście. Jak coś umyśli, na chłodno, po swojemu, to na pewno to przeprowadzi. Nie bój nic, maleńka.

Po kilku próbach otuliła Zuzannę kocem i dała sobie spokój. Tak szczerze to i ona czuła niepokój. Kiedyś radca z wachmistrzem działali jednak z mocy prawa. Znali Gdańsk jak własną kieszeń. Byli u siebie. Nie to, co teraz. Toć to było terytorium wroga. A oni sami przypominali ostatnich Mohikaninów z plemienia, które właśnie wyganiano z rezerwatu. Ot, takie porównanie jej przyszło do głowy. Może i trafne, ale jednocześnie smutne trochę.

Gdy wachmistrz zapytał ją, czy mogą przechować w jej domu Polkę, której ukradziono dziecko, wzruszyła tylko ramionami. No i co z tego, że Polkę? Człowiek jak człowiek, do tego okrutnie doświadczona przez los matka. Pani

Braun swoich dzieci mieć nie mogła, ale na niedolę matczyną zawsze była czuła. Kradzież cudzego dziecka? Czyż mogło być coś gorszego? Jezu, co ta wojna z ludźmi zrobiła...

– Ty mnie, Gustl, o takie rzeczy oczywiste nie pytaj – odparła wtedy. – Bo już nigdy salcesonu nie dostaniesz. A wiem, jak lubisz.

Było już po północy, gdy Zuzanna nagle drgnęła. Pani Braun była nawet zdziwiona, na dworze nie było nic słyhać. Może i miała swoje lata, ale słuch jej zawsze dopisywał. Minęły może dwie minuty. A jednak! W końcu rozległo się lekkie pukanie w okno.

Zuzanna Skrzynecka była już na nogach. Serce kołatało w jej piersi tak, jakby za wszelką cenę chciało wyrwać się na zewnątrz. Wpiła się oczami w drzwi wejściowe.

Boże! Panie na niebiesiech, ulituj się nad służebnicą swoją! Okaż mi łaskę i zmiłowanie, choć niegodna jestem wiązać sandałów Twoich! Ten jeden jedyny raz spraw, aby dobro zwyciężyło. Wiem, masz tyle spraw na głowie, ale w tej jednej sekundzie bądź tu ze mną...

Najpierw na progu ukazał się wachmistrz. Milczał. Wyglądał okropnie. Był cały ubłocony, na policzku miał krew. Stał w progu, jakby niezdecydowany, czy wnosić do domu cały ten brud, który miał na sobie. Za nim ukazał się jej brat. Twarz miał szarą ze zmęczenia. Z lewego rękawa munduru kapłała mu krew. Był sam.

Coś pękło w Zuzannie, zachwiała się na nogach. Poszukała bezradnie oparcia, ale trafiła tylko na pustą przestrzeń. Przez uchylone drzwi do domu prześlizgnął się mroźny podmuch jak niewidoczny zwiastun złego.

Ostatni wszedł Abell. Raz, dwa, trzy... Raz, dwa, trzy. Zginiesz ty...

Zacisnęła powieki. Czy Bóg miał na oczach bielmo? Czy był tak okrutny i nieczuły, że odmówił jej tej jedynej radości, której tak nieprzytomnie pragnęła?

– Chyba na kogoś czekałaś, Zuzanno – usłyszała głos radcy.

Otworzyła oczy natychmiast, jak rażona prądem. W progu stał chłopiec, owinięty po czubek głowy kocem. Prawie nie było go widać spod tego okrycia, ale ona rozpoznałaby tę buzię pośród miliona innych twarzy. Jasiu! Zawładnęła ją niewysłowiona ulga i wdzięczność. Ale jednocześnie serce ścisnęła trwoga.

Jak Jaś zareaguje po tak długiej rozłące? Czy o niej nie zapomniał? Jak dalece ci oprawcy zabili w nim małego chłopca?

Jaś patrzył na nią przez chwilę chmurnie, miał zaspane oczy. A potem zapalił się w nich blask. I wypowiedział tylko jedno słowo, na które czekała i o którym śniła przez tyle samotnych nocy.

– Mamo!

## 14.

Porucznik Tomczak czuł ciężar spoczywającej na nim teraz odpowiedzialności. Miał wrażenie, że ktoś zrzucił mu na piersi betonową płytę. Nie czuł się z tym dobrze.

Do tej pory prym wiedli obaj Niemcy. Gdy Abell po nieudanym rajdzie na dom Clemenzów wyjawiał mu swój plan, zareagował nerwowo i niechętnie.

– Nie ma mowy! – zaprotestował. – Sami przeciwko wszystkim? To samobójstwo.

Wiedział, co mówi. Wypowiadali w ten sposób wojnę nie tylko Niemcom, ale także Rosjanom. Słowem: całemu światu. Na nikogo nie mogli liczyć, tylko na siebie.

– Możesz się zgodzić i wtedy spróbujemy – odparł spokojnie Abell. – Być może nam się uda. Plan jest ryzykowny, ale innego nie będzie. W tym szaleństwie jest metoda i to nasza jedyna szansa. Tamci się tego nie spodziewają, ulegli poczuciu wszechwładzy i pychy. Jesteśmy dla nich jak mrówki. Możemy to wykorzystać. Ale możesz też powiedzieć: stop, nie dam rady. Zrozumiem to. Tylko że wtedy nie jest pewne, czy zatrzymacie chłopca. Rosjanie będą go próbowali odzyskać i oddać Clemenzom. Będziesz musiał powiedzieć to swojej siostrze. Sam.

– A dlaczego ty się na to piszesz? – zapytał milicjant, żeby zyskać na czasie. – Twój teść nie żyje, wasza misja zakończyła się niepowodzeniem. Ratujcie swoje życie i uciekajcie przez mierzeję, dopóki jeszcze można. W domu czeka na ciebie rodzina.

– Jak wiesz, gdy wpadłem w ręce Rosjan, złożyli mi propozycję. Życie teścia i wolność własna w zamian za archiwum Lebensbornu. Zgodziłem się. Nie ukrywam, że przemowa Denisowa i Charki zrobiła na mnie pewne wrażenie. Ostatecznie mieliśmy odnaleźć dane tysięcy ukradzionych dzieci. Okazywało się, że moi rodacy nie tylko podbili, ciemnieżyli i masakrowali ten biedny naród, ale na koniec jeszcze ogołocili go z przyszłości. Pomyślałem, że jako Niemiec, mam szansę w jakimś stopniu zmazać tę winę.

– I dlatego się zgodziłeś?

– Przede wszystkim chciałem uwolnić Piotra, ale to też było ważne. Ryzykowaliśmy głową z wachmistrzem. Było pod górkę, początkowo szło nam jak po grudzie. Aż wreszcie zwęszyliśmy trop. Dotarliśmy najpierw do astrologa. Potem do Lölgena i dwóch strażników. I wtedy pojawiliście się wy. Polska rodzina owładnięta obsesją odnalezienia ukradzionego im dziecka. Przecież to dlatego ty, były pilot z armii przedwojennej Polski, zapisałeś się do milicji ludowej. Żeby być bliżej poszukiwań, trzymać rękę na pulsie...

– Domyśliłeś się tego?

– Już po pierwszej rozmowie. Zostawmy to jednak. Odnaleźliśmy archiwum Forstera i przynieśliśmy je w zębach Rosjanom. I co? Okazało się, że mają węża w kieszeni. Nie kiwnęli palcem, żeby uratować Piotra. Oszukali mnie, nigdy nie zamierzali dotrzymać danego mi słowa. Zależało im tylko na zmotywowaniu mnie do poszukiwań. Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść... To ludzie bez czci i honoru. Nie trawię takich. Domyślam się ich prawdziwych motywów, ale o tym później...

– I co? Chcesz się teraz odegrać?

– Tak bym tego nie ujął. Przelaliśmy wiele krwi. Straciłem Piotra. Nie chcę, aby ta ofiara poszła na marne. Pragnę zamknąć tę fatalną historię czymś pozytywnym. Wy z Zuzanną też zresztą nie macie wyboru. Rosjanie najpóźniej rano znajdą zwłoki wartownika, a potem przesłuchają Clemenzów. Podniosą alarm w sprawie zaginionej jednostki. Szybko skojarzą fakty. I zrozumieją, że porucznik milicji ludowej działa w zмовie z Niemcami z Kripo.

– Tak, to prawda, my też nie mamy wyboru. Nurtuje mnie tylko pytanie, dlaczego Ruscy zdradzili także mnie? Zaciskałem zęby i służyłem im jak pies. Robiłem rzeczy, których się dziś wstydzę.

- Każdy ma coś na sumieniu. To życie, nie film.
- Nie rozumiem jednak, dlaczego wybrali Clemenzów i nie oddali nam dziecka...
- To polityka, poruczniku. Clemenz dla nich pracuje. Wrócimy do tego. Skupmy się teraz na tym, co przed nami.
- Boję się, czy dam radę.
- Nigdy się nie dowiemy, do czego jesteśmy zdolni, dopóki nie przyprą nas do muru. Tak to działa. Musisz spróbować.
- Wiem. To jednak trudne.
- Słuchaj, być może jutro wszyscy będziemy martwi. Ale gdy dopadnie cię zwątpienie, przypomnij sobie oczy twojej siostry na widok jej odzyskanego dziecka. To ci pomoże.
- Dobrze więc.
- Powiadom Zuzannę. Wkrótce ruszamy w drogę.
- Chciała jeszcze z tobą porozmawiać.
- Zajrzę do niej. A ty zajmij się chłopcem. Byle szybko!

## 15.

Zuzanna jeszcze raz zajrzała przez uchylone drzwi do sypialni. Jaś spał z szeroko otwartymi ustami. Wydarzenia ostatnich godzin na pewno odcisnęły na nim swoje piętno. Niech śpi. Zaraz zacznie się podróż w nieznane...

Usłyszała za sobą szmer i odwróciła głowę. Prawie nie знаła tego mężczyzny, a był jej bliski jak nikt inny, może poza bratem. Czasami okazujemy komuś uczucie, bo podobno tak trzeba. Z uwagi na więzy krwi, dawne zobowiązania, obyczaj czy przywiązanie. Nic z tych rzeczy. Już dawno zrozumiała, że liczy się tylko to, co robimy naprawdę. Co ofiarowujemy drugiej osobie. Znaczenie ma tylko czyn i poświęcenie.

- Nie wiem, jak ci dziękować, Christianie – po raz pierwszy użyła jego imienia.
- Nie musisz – odparł.



– Zrobiłabym wszystko...

– Nie ma takiej potrzeby. Ja także coś zyskałem.

– Jak to?

– Wypuściłem z rąk jedno istnienie, ale uratowałem inne. Życie za życie. Tak to już jest.

– Bardzo ci współczuję z uwagi na śmierć teścia.

– Dziękuję. Nie wiem, jak przekażę tę wieść żonie.

– Jest prawdziwą szczęściarą, że ma takiego męża! – Abell dostrzegł w jej oczach jakąś tęsknotę, niedopowiedzenie, może obietnicę? Wołał nie rozbierać tej myśli na części pierwsze.

– Pamiętaj, że uwolnienie syna zawdzięczasz nie tylko mnie, ale także wachmistrzowi – powiedział, patrząc jej prosto w oczy. – To dzięki niemu wyszliśmy cało ze strzelaniny w lesie.

– Pamiętam.

– To twardy facet, najtwardszy, jakiego znam. Wiele w życiu przeszedł. Tak jak ty. Los zabrał mu najpierw ukochaną żonę, która zmarła na raka w straszliwych męczarniach, a potem siostrę..

– Nie wiedziałam.

– Nie słyszałem, by kiedykolwiek do tego wracał.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Może dlatego, byś wiedziała, że gdy znajdziemy się już daleko od tego piekła, to jest facet, na którego można liczyć. Zawsze i w każdych okolicznościach.

– Będę pamiętała.

Spojrzała mu głęboko w oczy, a on wytrzymał to spojrzenie. Pewnych rzeczy nie należy nazywać. Nie wymagają od nas dosłowności i bicia w wielkie dzwony. Przeciwnie, wystarczy niedopowiedzenie, przekonanie, że wybrzmiało ono w sposób właściwy.

Wiedział bowiem dobrze, że słowa to byty nieodgadnione. Czasami są niezbędne, jak cegły, bez których nie powstanie żaden mur. Składają w jedną zborną całość krnąbrne zgłoski, z których każda chętnie pobiegłaby w swoją stronę. Zmuszają je do marszu w jednym szeregu, nadając im sens i znaczenie.

Nawet dźwięczącą w uszach ciszę potrafią zamienić w płomienny poemat, modlitwę, sugestywną perorę trafiającą do serc i umysłów. Bywa jednak i tak, że są zbędne i przesadne. Nieuważne i szkodliwe jak żart w złym guście. Na siłę definiują coś, co wolałoby pozostać niewypowiedziane.

To była właśnie taka pauza.

Zuzanna nie spuszczała z niego oczu. Ten szczupły, wysoki mężczyzna o niepokojąco szarych oczach mógłby z łatwością wtargnąć do jej świata. Gdyby tylko zechciał... Przecież wiedziała, że mu się podoba. Kobiety to wyczuwają. Jednak nie chciał lub nie mógł. Należał do innej kobiety, kręgu, kultury. Był jak te wpółotwarte drzwi, w które, z różnych powodów, nawet nie próbowała wejść.

Czy sugerował jej ramiona innego mężczyzny? Nieokiełznanego, silnego drwała o gołęmbim sercu? Stała jej przed oczami postać wachmistrza. Starła się wsłuchać siebie, ale nie czuła nic poza zmęczeniem.

## 16.

Denisow obrzucił spojrzeniem grupę stojących przed nim wojskowych. Stanowili pluton specjalny Smierszu, oddelegowany do wyjątkowych zadań. Mógł na tych ludziach polegać.

– Wiecie, kogo macie szukać. – Stuknął palcem w zdjęcia Abella, Kukulki i Tomczaka, wyjęte z ich akt osobowych. – Są wyjątkowo niebezpieczni i zdeterminowani. Mózgiem jest ten. – Wskazał na fotografię radcy. – Zlikwidować w pierwszej kolejności.

– Może pan go uznać za martwego. – Podoficer stojący na czele grupy skinął głową. Miał niedbale zapięty mundur i cywilny szalik na szyi, ale Denisow nie zamierzał zwracać mu uwagę. Podoficer był zbyt dobry, by tracić czas na takie drobnostki.

– Powiadomić wszystkie placówki NKWD, podwoić patrole na drogach. Meldować o wszystkich nietypowych zdarzeniach, zwłaszcza o jakichś odnalezionych zwłokach naszych żołnierzy.

– Obstawiamy linię frontu na północy? Pewnie będą się przedzierać w stronę mierzei.

– Nie wykluczam tego. – Denisow potarł czoło. – Powiadomcie jednak także placówki na południu, w Polsce. Jest z nimi ten zdrajca, Tomczak. Być może uznają, że ucieczka w tamtą stronę daje im większe szanse powodzenia. Spróbują przeczekać gdzieś na prowincji, a potem rozpląną się we mgle. Nie mamy pełnej kontroli nad tym krajem. Jeszcze nie mamy...

– Ruszamy. – Podoficer obrzucił spojrzeniem swoich ludzi.

Byli już przy drzwiach, gdy nagle zatrzymał ich głos Denisowa.

– Chwila. Przyszło mi coś do głowy. Abell odwiedził nas kiedyś na lotnisku pod Orunią. Nie wiadomo, co mu chodzi po głowie... Wyślijcie tam patrol, natychmiast. Tak dla pewności. Ja wyślę wiadomość do majora Charko, właśnie tam jest.

## 17.

Przemykali bocznymi drogami, unikając głównych traktów i sowieckich patroli. Glejt Denisowa za godzinę tracił ważność. Zresztą nie mieli pewności, czy już nie został unieważniony i czy szyfrogramami nie rozesłano rozkazów ich pojmania i dostarczenia do katowni NKWD.

Noc ustępowała powoli. Brakowało jeszcze dwóch godzin do brzasku. Światła reflektorów odsłaniały brzydotę otaczającego ich krajobrazu. Zniszczone czołgi i działa samobieżne, zrujnowane chałupy na poboczu, samotna iglica kościoła na horyzoncie odsłaniająca szkielet spalonego dachu. Gdzieś widzieli padłe konie z wielkim nabrzmiętymi brzuchami. I żołnierskie trupy z przestrzelonymi głowami i z ustami otwartymi w niemym zdziwieniu, że to już, że to teraz właśnie. Krajobraz po bitwie śmierdzał końską padliną, fekaliami i spalonym metalem.

Prowadził Tomczak, pochylony nad kierownicą. Abell obejrzał się za siebie. Jaś spał na kolanach matki. Zuzanna także drzemała, jej głowa spoczywała na ramieniu Kukulki. Wachmistrz trwał sztywno w tej samej pozycji, jakby bał się poruszyć i obudzić Polkę.

Ujechali jeszcze kilometr i zatrzymali się, wyłączając silnik.

– Co robimy z wozem? – zapytał Polak.

– Wepchnijcie go pomiędzy zarośla – powiedział Abell.

Szli pochyleni, gęsiego, uważnie stawiając kroki po zmrożonej ziemi. Bali się, że może ich zdradzić jakaś trzaskająca gałąź. Nie wiedzieli, ilu jest wartowników i gdzie się znajdują. Prowadził ich Abell, pochód zamykał Kukulka.

Uszli jeszcze kilkadziesiąt kroków i stanęli. Abell podniósł ostrzegawczo rękę. Na tle bladego nieba rysował się maszt radiolokacyjny. Obracający się reflektor na szczycie słupa co kilka sekund oświetlał kolejne partie lotniska. Snop światła dojechał do pasa startowego. Abell odetchnął z ulgą. Zwarty kadłub samolotu zajaśniał w ciemności. Li-2 był gotowy do lotu. Trzeba było tylko jeszcze się do niego dostać.

Po południowej stronie płyty lotniska stał hangar, w którym kiedyś urzędowali Denisow i Charko. Palilo się w nim blade światło. Ktoś w nim był. Obaj Rosjanie, a może tylko wartownicy?

Po prawej ręce znajdowało się małe wzniesienie zapewniające cień i ochronę przed światłem szperacza. Przykucnęli za nim. Zuzanna mocniej przyciągnęła do siebie syna. Czują, jak chłopiec drży.

– Tak jak się umówiliśmy. My zajmiemy się wartownikami. Ty miej oczy szeroko otwarte. Obserwuj samolot. – Abell zwrócił się do Tomczaka.

– Tak zrobię.

– Nie ruszaj się z miejsca, choćby nie wiem co. Jeśli pójdzie nam dobrze, uderzę kolbą w blachę baraku. Odróżnisz ten dźwięk. Ruszycie wtedy biegiem w stronę samolotu. Spróbuj go uruchomić, my dobiegniemy na miejsce. Jeśli zabraknie znaku dźwiękowego lub usłyszysz beładną strzelaninę, zawracajcie do gazika i uciekajcie na południe. Do Polski, byle dalej stąd. Może wam się uda ukryć w tłumie.

– Nie odjadę bez was.

– Odjedziesz. Jeśli nie będzie sygnału, będziemy już martwi.

Polak skinął wolno głową na znak zgody.

– Szperacz omiata poszczególne części lotniska co sześć sekund. Powinniśmy zdążyć.

Odczekali, aż reflektor powędruje na zachód, oświetlając słupek transformatora i beczkę z paliwem.

– Teraz! – Abell ruszył pełnym pędem do przodu.

Przebiegli kilkanaście metrów i po pięciu sekundach upadli, by schronić się w kępie niskich krzewów. Kolce boleśnie raniły ich ciała.

– Teraz do tej rozpadliny – powiedział radca.

Skokami, w kilkusekundowych odstępach, posuwali się w stronę baraku. Byli od niego oddaleni ledwie o parę metrów, gdy nagle dostrzegli wartownika. Stał oparty o słupek wyznaczający początek pasa startowego. Zdradził go ogienek papierosa żarzący się w ciemności. Widzieli obły kontur jego hełmu przechylonego na tył głowy.

– Biorę go na siebie – szepnął Kukulka.

Poczekali chwilę, by wykluczyć ewentualność, że strażników może być więcej. Snop światła omiótł teren przed barakiem. Zobaczyli teraz żołnierza wyraźniej, miał pepeszę przewieszoną przez plecy. Kilka metrów za jego plecami stał sowiecki gazik, wyglądał w ciemności jak amerykański willys. W małym okienku baraku płonęło światło gołej żarówki wiszącej na poskręcanych drucie. Obok cicho mruczał wojskowy agregator.

Kukulka poczekał, aż światło reflektora powędruje w stronę końcówki pasa i podczołgał się bliżej żołnierza. Wyczuwał teraz jego zapach: woń machorki, wilgoci i przeпоconych onuc.

Wyciągnął łom i zerwał się do skoku. Niemal natychmiast opadł jednak z powrotem na ziemię. Drzwi od baraku uchylły się nagle, wąski strumień światła rozproszył mrok.

– *Sołdat, idi ko mnie.* – Rozpoznali głos majora Charko.

Żołnierz natychmiast zgasił papierosa. Obciągnął mundur i łomocząc ciężkimi buciorami, wbiegł do baraku. Drzwi przez moment uchylły się szerzej. Z wnętrza dobiegał tylko głos majora. Usłyszeli krótkie komendy wydawane podniesionym tonem.

Po minucie żołnierz powrócił na stanowisko. Słysząc było, jak miał jakieś przekleństwa pod nosem. Ściągnął pepeszę i oparł się o słupek. Najwidoczniej zamierzał zapiąć szczelniej mundur.

To był ten moment. Kukulka jednym skokiem znalazł się przy Rosjaninie. Przez ułamek sekundy zobaczył jego oczy – jasne, jakby pozbawione tęczówek.

Uderzył łomem w skroń żołnierza. Dobrze trafił, Rosjanin upadł najpierw na kolana, a potem z szeroko rozłożonymi rękami runął na ziemię.

Wachmistrz wyciągnął z kieszeni taśmę i obwiązał nią najpierw usta, a potem ręce i nogi wartownika. Radca już przy nim był. Przez chwilę zamarli w oczekiwaniu, czy atak Kukulki nie spowoduje gdzieś alarmu. Lotnisko pograżone było jednak w ciszy. Żaden dźwięk nie zakłócał tego dramatu.

Wachmistrz pozostał na zewnątrz, czujnie rozglądając się dookoła. Abell skinął mu głową. Pchnął drzwi baraku i wszedł do środka.

Charko był sam. Siedział w szczelnie zapiętym płaszczu wojskowym przy prowizorycznym stole zasłanym stosem map i dokumentów.

Rosjanin podniósł wzrok. Abell skonstatował, że nie widzi w jego oczach strachu. Co najwyżej zaskoczenie pomieszane z niedowierzaniem.

– Uważałem pana za rozsądnego człowieka, Abell – powiedział major, kładąc ręce na stół. – A pan jest samobójcą.

– Nawet jeśli, lepiej samemu wybrać moment odejścia, niż dać się zabić innym.

– Dyskusyjna teoria. – Charko powędrował wzrokiem ku kaburze z tetetką, przewieszanej przez krzesło.

– Nawet nie próbuj – powiedział Abell. – Chyba że chcesz dołączyć do samobójców.

– Już cię szukają, od dwóch godzin. Clemenz się oswobodził. Powiadomił nas. Znaleźliśmy trupa radzieckiego wartownika pod ich domem. Przed chwilą odebrałem wiadomość przez radio od Denisowa...

– Trochę za wcześnie, ale to niczego nie zmienia. – Abell wycelował lugera w czoło Rosjanina.

– Nie uciekniesz przed nami. Miałeś swoją szansę, ale ją zmarnowałeś.

– Wy też mieliście swoją szansę – odparł Abell. – Wystarczyło dotrzymać danego mi słowa. Odnalazłem dla was archiwum. A wy nawet nie kiwnęliście palcem, żeby uratować Piotra Morela.

– Tak się złożyło. Cóż znaczy jednostka w obliczu zadań, jakie przed nami stoją...

– To sowiecka mentalność. Ja mam inne podejście... Ty czytasz Lenina, ja Schopenhauera.

– Słowa, słowa, słowa.

– Rzecz jednak nie tylko w zabójstwie Piotra, bo to było tak naprawdę zabójstwo. Mogliście go uratować. Tak naprawdę wcale nie chodziło wam o archiwum Lebensbornu, mam rację?

– Czyżby? – Rosjanin skrzyżował palce wystudiowanym ruchem.

– Od początku mieliście inny plan. Niestety, za późno was przejrzałem. W rzeczywistości szukaliście wskazówek i dokumentów, które doprowadziłyby was do dzieł sztuki ukrytych przez ludzi gauleitera. Tylko to was tak naprawdę interesowało. Ciebie i Denisowa. Przysłano was tu tylko w tym jednym jedynym celu: odnaleźć złoto i arcydzieła. Zagrabić je i wywieźć do Moskwy.

– Ciekawa, choć bzdurna teoria. – Charko nie tracił zimnej krwi.

– Domyślałam się, że to nie było łatwe zadanie. W obcym mieście, na wrogim terytorium, gdzie ciągle jeszcze trwają walki. Szybko zorientowaliście się, że Forster nie ułatwił wam zadania. W przemyślny sposób ukrył gdańskie skarby, pozacierał ślady, pozostawił na miejscu swoich najwierniejszych siepaczy z SS, by strzegli tajemnicy. I wtedy przypadkowo wpadłem w wasze ręce ja, były oficer Kripo, człowiek znający wszystkie brudy i tajemnice tego miasta. Szybko zrozumieliście, że to szansa na przyspieszenie poszukiwań. Trzeba było tylko mnie zanęcić, skusić, a na koniec zmusić do współpracy. A to było wykonalne. Mieliście przecież w swoich rękach mojego teścia, człowieka, po którego tu przyleciałem. Potrzebny był jednak jeszcze dodatkowy, mocny argument, by skruszyć mój ewentualny opór. Macie w tym wprawę, prawda? Jesteście fachowcami w łamaniu kręgosłupów i przeciąganiu ludzi na swoją stronę, znacie psychologię i naturę zwykłych szaraków. Namówienie mnie, abym szukał dla was niemieckich dzieł sztuki stanowiących dziedzictwo tego miasta, mogło być kontrproduktywne, używając waszego żargonu. Potrzebny był cel bardziej szczytny, chwytający za serce i pozbawiony politycznych kontekstów. I wtedy wymyśliliście, że postawicie przede mną zadanie odnalezienia archiwum Lebensbornu, danych tysięcy ukradzionych polskich dzieci.

Mieliście od swojego konfidenta z bezpośredniego otoczenia gauleitera informację, że Forster ukrył oba te zbiory w jednym archiwum. Kto wpadł na ten szatański pomysł? Ty czy Denisow?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– To zresztą nieważne. Istotne jest to, że mieliście wiedzę o tym, że archiwum Forstera istnieje. I że zawiera cały materiał zgromadzony przez gauleitera do ewentualnych targów o własne życie. Znalazły się w nim nie tylko akta Lebensbornu, ale także lokalizacje kryjówek z poukrywanymi dziełami sztuki. Wystarczyło wypuścić niemieckiego psa gończego, aby je odnalazł. I to ja z Kukulką byliśmy tymi psami.

– Kiedy się domyśliłeś? – Charko rozumiał, że musi zyskać na czasie. Ludzie Denisowa na pewno już byli w drodze.

– To nie stało się od razu. Długo dałem wodzić się za nos. Przełomem była informacja, że nie pozwoliliście Piotrowi przeżyć. Potem to zaskoczenie w domu Clemenzów, gdy stanęliście po stronie złodziei, a nie tych, którzy na wasze zlecenie zlokalizowali zło. Zacząłem kojarzyć fakty. Na korytarzu w Pałacu Opatów spotkałem profesora Drosta, dyrektora Stadtmuseum. Z jakiegoś powodu się tam znalazł... W skrzyniach z archiwum znajdowały się teczki na pewno niezwiązane z programem Lebensborn. Mapy, nazwy miejscowości, dziwnym trafem wszystkie to siedziby dworów i zameczków położonych poza miastem... Gdy przekazałem wam archiwum, zauważyłem, że archiwa Lebensbornu nie zrobiły na was specjalnego wrażenia. Generał wertował wyłącznie teczki z adresami dworów i zameczków. Pojąłem, czego tak naprawdę szukacie. I wtedy rozpocząłem własną grę. Na swoich, a nie waszych warunkach.

– Nawet jeśli to prawda, Abell, nie macie szans. – Charko obrzucił radcę ciężkim spojrzeniem. – Nasi ludzie są już w drodze. Nie przedrzecie się...

– Wcale nie zamierzamy. – Abell rzucił okiem na zegarek. – Tak dla porządku. Co zrobicie z aktami Lebensbornu?

– Przekażemy je Polakom. Niech sobie szukają...

– Sobie?

– To ich dzieci.



– No jasne. I tak poświęciłem ci za dużo czasu. A teraz klęknij pod ścianą, ręce na kark. Nie zmuszaj mnie do przemocy. Wiesz, że zaszedłem za daleko, żeby się teraz cofnąć.

– Chciałem jeszcze...

– Dość! Na kolana!

Rosjanin po chwili namysłu niechętnie wykonał polecenie. Na jego plecach widniała wielka plama potu.

Abell podszedł do niego. Ujął lugera za lufę i uderzył majora w potylicę. Ciało oficera bezwładnie osunęło się na ziemię.

Warujący na zewnątrz Kukulka nerwowo lustrował teren lotniska. Abell kazał mu czekać, więc wykonywał polecenie, ale bezcenny czas uciekał z każdą minutą. Za półtorej godziny zrobi się brzask. Będą bardziej widoczni. Z ulgą przywitał chrobot otwierających się drzwi.

– Wejź do środka i skrepuj majora – powiedział radca.

Wachmistrz wbiegł do baraku. Po dłuższej chwili powrócił, stając na progu.

– Dajemy wreszcie dyla? – zapytał.

– Najwyższy czas.

Abell schwycił pistolet za lufę i uderzył nim mocno o blachę baraku.

## 18.

Biegli przez płytę lotniska, pod butami pękały im zlodowaciałe kałuże wody. Z oddali zobaczyli Zuzannę i dziecko, byli już pod samolotem. Chłopiec trzymał matkę kurczowo za rękę, jakby bał się, że zniknie ona w otaczającej ich ciemności. Snop światła co kilka sekund ich oślepił, ale nie zwalniali tempa. Gdy dobiegli na miejsce, Tomczak był już w kokpicie. Dał im znać ręką, by gramolili się na górę.

Polak odetchnął głęboko. Mógł mieć tylko nadzieję, że maszyna jest zatankowana do pełna. Po chwili na drugim fotelu usiadł Abell. Za nimi w przedziale pasażerskim usadowiła się pozostała trójka uciekinierów.

Tomczak miał świadomość, że teraz los ich wszystkich spoczywa w jego rękach. Od feralnego września trzydziestego dziewiątego nie latał, nie był nawet na pokładzie żadnego samolotu. Podobno pewnych rzeczy nigdy się nie zapomina. Podobno...

Usiadł na lewym fotelu i bacznie rozejrzał się po kabinie. To nie był myśliwski PZL P.11, na którym latał we wrześniu. Inna konstrukcja, tabliczki z cyrylicą i obce oznakowania, na szczęście dzięki temu, że pochodził z Kresów, całkiem dobrze rozumiał rosyjski. Latał też kiedyś na maszynach dwusilnikowych, co bardzo ułatwiało sprawę. Potrzebował dłuższej chwili, by rozeznać się w usytuowaniu przyrządów.

Abell z niepokojem śledził jego poczynania. Spojrzał na zegarek. Już powinni być w powietrzu.

– Dasz radę? – zapytał.

– A mam inny wybór? – odpowiedział Tomczak pytaniem na pytanie.

Najważniejsze były dźwignie. Najpierw manetka gazu, potem skoku śmigła, wreszcie klap. Wiedział już, jak przestawić wszystkie po kolei. W porządku, otarł pot z czoła.

Teraz chwila próby. Otworzył zawór paliwa i odetchnął z ulgą, widząc, jak wskazówka podnosi się. Niestety, zatrzymała się w połowie. Od Holandii dzieliło ich ponad tysiąc dwieście kilometrów, paliwa było więc na styk.

– Wystarczy? – Abell wyczuł jego wahanie.

– Jak Bozia pozwoli.

Tomczak zlokalizował przycisk startera, studiując przymocowane doń tabliczki z cyrylicą. WKL. – to pewnie „wkluczenie”, czyli silnik włączony. WYK. – „wykluczenie”, czyli wyłączony.

– Startujemy? – zapytał Abell wiercący się na fotelu obok.

– Już!

W tym momencie zorientowali się, że na zewnątrz coś się zmieniło. Po prawej ręce na drodze, którą przyjechali, pojawiło się podwójne światło. Szybko rosło w oczach, zbliżając się do płyty.

– To Rosjanie! – krzyknął z tyłu Kukulka. – Szybciej, bo nas dopadną!

Polak uruchomił oba silniki, najpierw lewy, potem prawy, i dodał gazu. Samolot drgnął ociężale z miejsca. Toczył się po pasie, wolno nabierając prędkości. W świetle lotniskowego szperacza widzieli teraz wyraźnie zbliżający się gazik. Z pełną prędkością jechał w stronę pasa. Najwyraźniej Rosjanie byli zdecydowani zablokować im start.

Abell w napięciu obserwował rozgrywający się dramat. Miał świadomość, że o życiu lub śmierci decydować będą sekundy.

Z samochodu wychylił się jakiś żołnierz i otworzył ogień. Najpierw zobaczyli krwawe rozbłyski, potem głucho uderzenia kul trafiających w kadłub.

– Jezu! – dobiegł ich przeraźliwy krzyk Zuzanny z tyłu.

Samolot powoli nabierał szybkości, słyszeli ryk silnika i wibrację poszycia. Gazik był już kilkadziesiąt metrów od pasa. Wydawało się, że lada moment przetnie im drogę startu. Abell przymknął oczy. Wiele razy śmierć zaglądała mu w oczy, ale nigdy jeszcze nie przychodziła w momencie tak absurdalnym, gdy wolność była tak blisko.

Nagle poczuli szarpnięcie – to samolot oderwał się od ziemi. Sowiecki samochód został na dole, zredukowany po paru sekundach do wielkości małego, plującego ogniem żuka.

Tomczak mocno trzymał ster samolotu. Maszyna przechyliła się na skrzydle i wzięła kurs na zachód.

Ziemia żarzyła się w dole setkami małych światełek. W oddali widzieli ciemne kaniony upadłego miasta, którego mieli już więcej nie zobaczyć.

## 19.

Lecieli nisko nad morzem, by uniknąć niemieckich myśliwców. Praktycznie bezbronny samolot z czerwoną gwiazdą mógłby być dla nich atrakcyjnym celem. Mijały godziny pełne napięcia. Morze poniżej skrzyło się refleksami porannego światła.

– Gdzie lądujemy? – zapytał Tomczak.

– Na lotnisku polowym pod Bredą. – Abell spojrział na mapę. – Byłem tam kiedyś. Działał tam miejscowy aeroklub. Na pewno nie jest strzeżone. Pas jest

tam krótki, ale dasz radę.

– Dlaczego nie chcesz lądować u swoich, w Rotterdamie?

– Już dawno nie jestem dla nich swój. Poza tym mamy szansę od razu wylądować po właściwej stronie. Holandia jest już dla Niemców stracona. Koniec wojny tam to kwestia dni, może tygodni.

– Co potem?

– Mam w Bredzie dobrego znajomego. To dyrektor banku, kiedyś mu wyświadczyłem pewną przysługę. Pomoże nam. Postaraj się dolecieć szczęśliwie.

– O niczym innym nie marzę. Mogę o coś spytać?

– Proszę.

– Widzę, że twój kolega jest zainteresowany moją siostrą.

– Chyba tak.

– Nie mam nic przeciwko. Nie chciałbym jednak, żeby się rozczarował, zwłaszcza po tym, co dla nas zrobił. Zuzanna jest... wymagająca.

– To sprawa między nimi. Jeśli będzie mądry i wykaże cierpliwość, kto wie... Zuzanna jest tego warta. Musi o nią zabiegać tyle, ile trzeba.

– Powiesz mu to?

– Nie. Musi sam na to wpaść. Razem łapiemy bandytów, kobiety zdobywamy oddzielnie.

– Rozumiem.

– Jeszcze coś. Za moim siedzeniem leży walizeczka. Jak wylądujemy, zabierz ją.

– Co w niej jest?

– Coś, co pozwoli wam na dobry początek w obcym kraju.

\*

Tylko raz nad Morzem Północnym zbliżył się do nich angielski myśliwiec. Podleciał na tyle blisko, że widzieli głowę pilota w skórzanej hełmofonie. Najwidoczniej zauważył radzieckie oznakowanie, bo zakołysał tylko skrzydłami i odleciał.

Po kilku godzinach lotu dokonali gwałtownego skrętu w lewo na południe i zaczęli zbliżać się do lądu. Wlecieli nad kanał Haringvliet. Po chwili ujrzeli pod sobą wyspę Tiengemeten, długą i porośniętą ciemnym lasem.

Abell spojrział przez okno. Gdzieś niedaleko, za tymi morenowymi wzgórzami na wybrzeżu i błękitnymi polderami, rozciągał się Rotterdam, w którym czekała na niego Gabi. I Ania, za którą tak nieprzytomnie tęsknił przez wszystkie te dni pełne znoju i mroku.

Przez dłuższą chwilę krążyli, nie mogąc znaleźć lotniska. Milicjant z niepokojem spoglądał na wskaźnik paliwa. Strzałka zbliżała się do zera. Wyłapał wzrokiem nitkę asfaltowej drogi wijącej się przez równinę. Jeśli nie będzie innego wyjścia, spróbuje lądować awaryjnie na szosie. Zapewne z opłakanym skutkiem.

Trawiasty plac lotniska wyłonił się jak na życzenie. Najpierw zobaczyli pordzewiały barak na skraju. Potem długi pas porośnięty zrudziałą i oszronioną trawą. Z tej wysokości trudno im było ocenić jego długość. Na pewno nie była imponująca. Mogli się tylko modlić, aby wyhamować przed jego końcem. Dalej rozpościerało się bowiem niewielkie wzniesienie.

Tomczak zrobił nawrót i obrał właściwy kurs. Wypuścił klapy i podwozie. Zaczął redukować obroty silnika. Zniżał lot wpatrzony w jeźor pasa przed sobą. Ziemia rosła w oczach, minęli słup z nieczynnym wiatrowskazem. Znów rzucił okiem na wskaźnik paliwa. Wskazówka spoczywała na zerze. Lecieli już tylko na oparach. Mógł mieć tylko jedno podejście.

– Spokojnie. Zrobisz to, jak należy – usłyszał głos Abella z boku. – Sam wiesz, że byłoby głupio rozbić się właśnie teraz, gdy jesteśmy już w domu.

Uderzenie było silne. Samolot podskoczył. Pilot rozpoczął hamowanie, wpatrując się z napięciem w pas przed sobą. Ziemia uciekała im spod kół. Wzgórze przybliżało się z zawrotną szybkością.

– Szlag! – dobiegł ich z tyłu głos Kukulki.

Abell odwrócił głowę. Zuzanna trzymała kurczowo rękę wachmistrza. Drugą dłonią zasłaniała oczy Jasiowi.

Zatrzymali się i nagle nastąpiła cisza. W szybie mieli widok na pagórek. Widzieli zlodowaciałe igły na porastających je krzewach jałowca.

Wyszli na zewnątrz. Dziób samoloty dzieliło od wzgórza kilka metrów.

## 20.

Pieter Roonies odwrócił się w progu gabinetu i obrzucił długim spojrzeniem swojego gościa siedzącego w fotelu.

– Mój dom jest twoim domem – powiedział. – Nigdy nie zapomnę tego, co dla nas zrobiłeś. Ale jeśli to dla ciebie zbyt krępujące, zamieszkasz w banku. Mamy tu pokój gościnny na piętrze. Zatrzymasz się w nim, dopóki nie uda ci się ściągnąć rodziny.

– Dziękuję. – Abell poczuł nagle znużenie. Drżały mu ręce. W bankowej toalecie spojrzął w lustro po raz pierwszy od wielu dni. Zobaczył szarą twarz człowieka, który widział i przeżył za dużo. Potrzebował cieplej kąpieli i snu.

– Długi należy zawsze spłacać. To zasada każdego bankowca – powiedział Roonies.

– I porządnego człowieka.

– Daj spokój. Obaj wiemy, że to nieprawda. Mam swoje brudy za paznokciami.

– Jak każdy.

– Na biurku masz telefon. Jest wojna, ale telefony działają. Połączenia z Rotterdamem też. Postaraj się ściągnąć tu Gabi i córkę jak najszybciej. W strefie niemieckiej jest kryzys. Ludzie przymierają z głodu i chłodu. Sytuacja się drastycznie pogorszyła w ostatnich dniach.

– Jasne.

– Ja pomogę, przecież wiesz.

– Dzięki, Pieter. Mam jeszcze jedną prośbę.

– Wal.

– Mam ze sobą walizkę. Chciałbym zostawić ją u ciebie w bankowym sejfie na przechowanie.

– Mam nie pytać, co w niej jest?

– Lubię z tobą rozmawiać.

\*

Wykręcił numer i czekał ze słuchawką przytkniętą do ucha. Ile to już czasu minęło? Kiedy po raz ostatni słyszał jej głos?

– Słucham? – Zawsze i wszędzie rozpoznałby ten lekko chrapliwy, elektryzujący głos.

– To ja.

– Christian? – Usłyszał jej przyspieszony oddech. – Boże, tak czekałam... Jesteś bezpieczny?

– Tak, już w Bredzie. Wkrótce cię tu ściągnę.

Milczała dłuższą chwilę, jakby próbowała zapanować nad emocjami.

– Tęskniłyśmy. – Ona pierwsza przerwała milczenie. – Nawet nie wiesz jak bardzo.

– Nie mam dobrych wieści – wreszcie musiał jej to powiedzieć.

– Chodzi o tatę?

– Tak.

– Co z nim? – Głos jej zadrzał.

– Nie udało się. Zmarł w Gdańsku. Wszystko ci opowiem. Później... Tak strasznie żałuję. Wiem, jak bardzo jesteś zawiedziona.

Znowu pauza dźwięcząca w uszach, ciężka do zniesienia i rozwleczona w czasie jak przeciągnięta nuta.

– Christian? Jesteś tam jeszcze?

– Tak.

– Jestem nieszczęśliwa, ale nie zawiedziona. To nie to samo. Wiem, że zrobiłeś wszystko, co możliwe. Znam cię. Rozumiesz?

– Tak, ale było tak blisko...

– Niczego sobie nie wyrzucaj. Nie wrócisz mu życia. Straciłam ojca, ale odzyskałam ciebie. To jest teraz najważniejsze. Dla mnie i dla Ani. Rozumiesz, najdroższy?

– Powtórz.

– Najdroższy...

Odłożył słuchawkę i podszedł do okna. Jakiś człowiek w skórzanym fartuchu rozpinał markizę nad sklepem. Matka prowadziła za rękę dziecko w czerwonym płaszczyku. Po bruku wolno toczył się furgon z napisem: „Mleko tylko z Bredy”.

Powoli zaczęły do niego docierać głosy i kolory. Wstawał nowy dzień.

## 21.

### 5 maja 1945, Gdańsk

Dzień był nadspodziewanie ciepły, wręcz upalny. Przed gmachem Zbrojowni zebrał się tłumek stłoczonych tu Niemców z rozdаныmi im łopatami i rydlami w rękach. Otaczała ich grupka sowieckich strażników z bronią ostrą. Polecenia wydawał im oficer z ciemnymi włosami ciasno przylizanymi do skroni.

– Pułkownikowi Denisow – zwrócił się do niego kierowca furgonetki, która właśnie zahamowała przy krawężniku. – Melduję przybycie saperów. Możemy zaczynać.

Nieliczni przechodnie z ukosa obserwowali to, co działo się przed Zbrojownią. Chodziły głosy, że Rosjanie planują odgruzować schron pod piwnicą, aby zlokalizować źródło straszliwego fetoru, który się stamtąd wydobywał od czasów sowieckiego bombardowania pod koniec marca. Inni twierdzili, że obecność oficerów z NKWD wskazuje na odkrycie jednej ze skrytek gauleitera Forstera, który poukrywał w nich skarby gdańskich muzeów i kościołów. Podobno Rosjanie niezmordowanie szukali tych artefaktów od pierwszych godzin po zajęciu miasta, a na ich czele stał właśnie ten wymuskany oficer z dłońmi pianisty. Trzymał w nich jakieś dokumenty i mapy.

W ciągu tego upalnego dnia wydobyto z budynku czterdzieści osiem ciał w stanie dalece zaawansowanego rozkładu. Ludzie zatykali nosy i wymiotowali wprost na chodnik. Smród był nie do zniesienia. Okazało się, że wersja o sowieckiej bombie była prawdziwa. Śmiercionośny pocisk przebił sufit Zbrojowni i eksplodował w schronie wypełnionym ludźmi. Niektóre korpusy



były bez głów, oddzielnie wynoszono też pourywane kończyny. Wszystkie ciała pochowano w zbiorowym grobie przy Zbrojowni, od strony Targu Węglowego.

Następnego dnia teren otoczyli polscy milicjanci. Nie wpuszczono ich jednak do środka budynku. Mieli tylko nadzorować Niemców zagonionych do odgruzowywania gmachu. Ponownie pojawił się podpułkownik Denisow, tym razem w towarzystwie majora Charko.

W pewnym momencie rozległy się podniecone okrzyki. Robotnicy w jednej ze ścian zauważyli zamurowany otwór prowadzący do innego pomieszczenia. Część zamurówki została przez kogoś wcześniej naruszona, przez wybity otwór widać było nagromadzone tam kufry i skrzynie.

W ten sposób odkryto tajny schron. W środku okazało się, że w ścianach bocznych znajdują się jeszcze dwa zamurowane wejścia do kolejnych komór. Ten po lewej nosił ślady pożaru, nad drugim w suficie widniała dziura po bombie lotniczej. A jednak schron gauleitera wytrzymał i jedno, i drugie.

Pierwszy do oczyszczonego schowka wszedł Denisow. Zaraz za nim Charko. Obaj w milczeniu kontemplowali niesamowity widok, jaki ukazał się ich oczom. Dziesiątki stłoczonych skrzyń, szaf i muzealnych kufrów, ustawionych jeden na drugim, tworzących prawdziwy labirynt i wypełniających każde wolne miejsce.

Obaj Rosjanie spojrzeli na siebie. Jeśli w tych skrzyniach znajdowało się to, czego się spodziewali, to czekał ich w Moskwie awans i sowita gratyfikacja.

Denisow podszedł do skrzyni leżącej najbliżej. Metalowym dłutem podważył wieko. W środku na słomie leżał cudowny obraz jednego z mistrzów flamandzkich przedstawiający scenę rodzajową w karczmie, własność Stadtmuseum w Danzig. Pod spodem znajdowały się kolejne, dobrze zabezpieczone obrazy w masywnych ramach.

– Udało się! – Charko z trudem ukrywał podniecenie. Przez głowę przemknęła mu refleksja, że ten największy sukces w swoim życiu zawdzięczał pewnemu zimnokrwistemu Niemcowi, byłemu policjantowi z Kripo, ale szybko wyparł tę myśl.

Pozostałe skrzynie i szafy także były wypełnione po brzegi. Denisow spróbował przesunąć jedną z nich, ale nie dał rady. Wydał więc rozkaz, aby skrzynie otwierać na miejscu. Żołnierze wybijali łomami tylne ściany lub dna

kufców. Ostrożnie wyjmowali z nich obrazy flamandzkich i niemieckich mistrzów, złote puchary sygnowane przez najlepsze pracownie złotnicze w Augsburgu, stosy kosztowności, starożytne ołtarze z bursztynu, gemmy ze szlachetnych kamieni, rzymskie denary i medale, srebrne dewocjalia i kapiące od złota monstrancje. Całe bogactwo ginącego miasta, które padło ich łupem.

Wszystkie odnalezione dzieła sztuki wynoszono pojedynczo na zewnątrz. Polską milicję odwołano. To nie był widok przeznaczony dla jej oczu.

Odnalezione przedmioty przewieziono do magazynu trzeciej komendantury sowieckiej w Gdańsku i umieszczono pod specjalną ochroną. Dopiero tutaj dokonano dokładnej segregacji i policzenia wszystkich artefaktów znalezionych w Zbrojowni. Oficjalny wykaz wymieniał 194 obrazy olejne w ramach pochodzące z XVI–XIX wieku, 94 rzeźby drewniane z XV–XIX wieku, 13 szaf antykwarycznych własnej roboty, cenne miniatury i klejnoty. Znalazły się tu także skarby pochodzące z Bazyliki Mariackiej, których wielkość i bogactwo porównywano niegdyś do skarbów Bazyliki św. Piotra w Rzymie. W raporcie wymieniono wyroby ze srebra, lekcjonarz z 1480 roku i wiele drogocennych monstrancji.

W latach 1945–1946 wywieziono do Moskwy 97 skrzyń z gdańskimi zabytkami. W oficjalnym raporcie, jako autorów tego sukcesu, wspomniano tylko podpułkownika Denisowa i majora Charko.

Nazwisko radcy Christiana Abella nie padło w żadnym dokumencie.

# Epilog

**Sierpień 1947**  
**Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego,**  
**Warszawa**

Adiutant stał wyprężony na baczność, wiedział, że minister to lubi. W wielkim gabinecie paliła się tylko lampa stojąca przy biurku. Stanisław Radkiewicz<sup>[31]</sup> raz jeszcze przeczytał podany mu list.

- Jako to do nas trafiło? – zapytał, podnosząc oczy.
- Poczta dyplomatyczną, przez ambasadę Holandii.
- Czytaliście to?
- Wedle rozkazu.
- I co sądzicie? – Minister zawiesił wzrok na adiutancie.

– To rodzaj raportu o akcji przeprowadzonej wiosną czterdziestego piątego na zlecenie Rosjan. Autor, niejaki Christian Abell, były oficer Kripo, twierdzi, że dzięki jego wysiłkom radzieccy odnaleźli mnóstwo dzieł sztuki pochodzących z gdańskich muzeów, kościołów i prywatnych kolekcji. Podaje dokładne adresy schowków. Twierdzi, że wszystko to zostało przed nami ukryte i wywiezione do Moskwy.

– Tyle to sam wyczytałem – zirytował się Radkiewicz. – Pytałem, co sądzicie o tym liście?

– Trudno powiedzieć. – Adiutant przestąpił z nogi na nogę. – Gość sypie faktami jak z rękawa. Ale to może być wrzutka, prowokacja znaczy się...

– Myślicie, że to radzieccy nas sprawdzają?

– Możliwe.

– Ciekawe, dlaczego ten list trafił właśnie do nas. Do tego ten Abell to Niemiec. Bardzo ciekawe. Kto wie o tym liście?

– Nikt poza mną i Fejginem<sup>[32]</sup>.

– To dobrze.

- Jaka decyzja, panie ministrze?
- Zamykamy sprawę. W ogóle jej nie było. Rozumiecie?
- Tak jest. A co z listem?
- Spalcie, tak żeby nawet popiół po nim nie pozostał.

Po wyjściu adiutanta Radkiewicz długo jeszcze siedział pogrążony w posepnym milczeniu. Sprawdzali go? Jego? Mimo tylu lat wiernej służby? Służył im od czasów rewolucji bolszewickiej, znał samego Stalina, a jednak... Co za nieufne skurwysyny... Musi być bardziej czujny. Nie da się zaskoczyć i wyrzucić z siodła. Tak wiele go kosztowała droga na szczyt. Zbyt wiele.

## **Wrzesień 1952**

### **Amsterdam, sklep numizmatyczny Theo Gassana przy Van Baerlestraat**

Jubiler Theo Gassan uprzejmie przywitał gościa. Zgodnie ze zwyczajami panującymi w ich rodzinnej firmie tydzień wcześniej zaanonsował on swoje przybycie. Niezapowiedzianych klientów nie przyjmowano w tym sklepie w ogóle.

Mężczyzna był wysoki i szczupły. W rękę trzymał skórzaną teczkę. Ubrany był schludnie, ale bez tej ostentacji, którą Theo uważał za przejaw złego gustu i niepotrzebnej krzykliwości. Świat starych numizmatów i monet wymagał ciszy i dyskrecji. Obu tym zasadom hołdowano w jego rodzinie sefardyjskich Żydów od pokoleń. Być może dlatego od stuleci to Gassanowie rozdawali karty na amsterdamskim rynku diamentów. Theo wybrał sobie niszę odróżniająca go od jego „diamentowych” braci i kuzynów. Interesowały go wyłącznie monety i medale. I był na tym rynku najlepszy.

- Jestem Christian Abell – przedstawił się przybyły.
- Miło mi. Theo Gassan.
- Poprosiłem o spotkanie, bo słyszałem o panu wyłącznie dobre opinie. To rzadkość w dzisiejszych czasach.
- Dziękuję. Może napije się pan kawy ze starym człowiekiem? To jedna z niewielu przyjemności, które mi jeszcze pozostały.

– Bardzo pan uprzejmy. Chętnie, jestem wielkim smakoszem kawy.

– Zaraz nam przyniosą. – Gassan wcisnął perłowy guzik w ladzie. – Wie pan, jestem na tym etapie życia, kiedy człowiek dochodzi do konstatacji, że nie należy lamentować, że coś się kończy. Trzeba się cieszyć, że się zdarzyło.

– Mądra zasada.

– Też tak sędzę. Potrzebowałem lat, żeby do niej dojrzeć.

Po kilku minutach przeszli do rzeczy na zapleczu sklepu, w wielkim salonie wypełnionym szklanymi gablotami.

Abell wolno wykladał na zielone sukno przyniesione przez siebie monety i medale. Było ich siedem. Gassan założył rękawiczki. Przez dłuższą chwilę oglądał numizmaty, jeden po drugim, przez specjalistyczną lupę.

Po kilku minutach odłożył szkło powiększające. W jego oczach błyszczał zachwyty.

– Dużo pan tego ma? – zapytał.

– Trochę. To tylko egzemplarze okazowe.

– Mogę zapytać, jak pan wszedł w ich posiadanie?

– To długa historia.

– Chętnie posłucham.

– Pochodzą z Gdańska, miasta, którego już nie ma. Albo inaczej: które jest już tylko cieniem samego siebie. Wywiozłem je pod koniec wojny. Inaczej wpadłyby w niegodne ręce, podobnie jak większość zrabowanych tam skarbów kultury. Nigdy nie uważałem ich za swoją własność, co najwyżej za depozyt, nad którym sprawuję pieczę. Niedawno próbowałem nawiązać kontakt z obecnymi władzami Polski, by rozeznać ich intencje.

– To komuniści.

– Niestety, nie dostałem żadnej odpowiedzi.

– I uznał pan, że sytuacja się zmieniła?

– Można tak powiedzieć.

– Rozumiem.

Abell dopił kawę i odstawił porcelanową filiżankę.

– Dużo są warte? – zapytał, wskazując na monety i medale.

– Zależy, co rozumiemy przez dużo. Dla mnie kolejnych pięć lat życia to wręcz oszałamiająca obfitość, ale dla młodego człowieka to tylko epizod niewart wzmianki. Ale tak, to bardzo cenne rzeczy – odparł po chwili jubiler. – Ten tutaj to tak zwany portugal z czasów polskiego króla Zygmunta II. Pochodzi z 1562 roku. Duża złota moneta o wartości dziesięciu dukatów. Waży około trzydziestu pięciu gramów. Bito ją na wzór portugalskich dziesięciu cruzados. Przepiękny egzemplarz, prawdziwy rarytas. A to donatywa gdańska z 1614, charakterystyczna dla Rzeczypospolitej szlacheckiej złota moneta, bita okazjonalnie w darze dla władców i innych ważnych osobistości przez bogate miasta Prus i Inflant. Ten egzemplarz to jedna z najdoskonalszych prac medaliera Samuela Ammona. Absolutnie wyjątkowy medal. – Cmoknął z uznaniem.

Kilroy was here

– Dziękuję. O to mi chodziło.

– Będę zaszczycony, jeśli pan mi je sprzeda, panie Abell.

– Możemy o tym porozmawiać. Jest jeden warunek.

– Jaki?

– Nie będzie pan mógł ich odsprzedać w inne ręce przez dziesięć lat. Pan lub pański następca. Spiszemy w tej kwestii stosowną umowę. W tym czasie będę miał prawo pojawić się w sklepie i zażądać zwrotu monet, zwracając panu kwotę, którą teraz uzgodnimy. Na tej samej zasadzie sprzedam panu pozostałe monety, jeśli zaistnieje taka konieczność.

– Ciągłe chce je pan zwrócić Polakom? To iluzja.

– Być może. Ale to mój warunek.

– Zgoda.

– A teraz proszę podać swoją cenę.

Starzec westchnął i sięgnął po pióro. Na blankiecie napisał kwotę.

Abell rzucił okiem na kartkę i powiedział krótko:

– Zgoda. Interesy z panem to przyjemność, panie Gassan.

Kwadrans później Abell był już w kościele katolickim przy Pieter Calandlaan. Młody proboszcz zamykał właśnie wrota do świątyni. Z ciekawością spojrzął na przybysza trzymającego w ręku skórzaną teczkę.

- Kościół jest zamknięty – powiedział.
- Nie wierzę w Boga. Przynajmniej nie w takiego jak ksiądz.
- Tym bardziej dziwi mnie pana obecność.
- Wejdźmy jednak do środka. Mam ze sobą coś, co wymaga właściwej oprawy.

Ksiądz wahał się przez chwilę, ale najwidoczniej słowa Abella zaintrygowały go na tyle, że sięgnął z powrotem po pęk kluczy.

– Czy to miejsce będzie odpowiednie? – zapytał, wprowadzając przybysza do prezbiterium z witrażowym oknem.

– Myślę, że tak.

Abell postawił na stole teczkę i wyjął z niej podłużny przedmiot owinięty bawełnianą chustą. Jednym ruchem ściągnął okrycie, złoto zajaśniało w smudze światła bijącego od okna.

– Czy wie ksiądz, co to jest? – zapytał.

– Na pewno najpiękniejsza monstrancja, jaką w życiu widziałem.

– Do niedawna stała w tabernakulum kościoła Świętego Józefa w Gdańsku. To dzieło Jana Gottfrieda Schlaubitza z 1738 roku, wykonane ze srebra złoczonego i trybowane.

Ksiądz wpatrywał się w zachwycie w lśniący przedmiot.

– Nie oglądamy tu takich arcydzieł – powiedział. – Coraz mniej ludzi odwiedza naszą świątynię. Wojna zabiła także wiarę w Boga.

– Może ta monstrancja pomoże im tę wiarę odzyskać. Jest w niej iskra Boża, odcisk Bożego palca. Chciałbym pozostawić ją w tym kościele...

– Pozostawić?

– Tak, powinna wrócić do domu Bożego. W zamian chciałbym prosić księdza, aby każdego roku odprawiano tu mszę za duszę bliskiej mi osoby. W dniu śmierci mojego teścia, Piotra Morela. W przeciwieństwie do mnie wierzył, był żarliwym katolikiem. Na tej kartce są wszelkie niezbędne dane.

– Tylko tyle?

– To wystarczy.

– To wspaniałomyślny gest z pańskiej strony. Dziękuję, na pewno dotrzymam słowa.



Abell wyszedł za próg świątyni. Poczul nagłą ulgę. Wiedział, że były takie sprawy, które należało załatwić do końca, inaczej nie zaznałby ukojenia.

Ta była ostatnia.

KONIEC

sierpień 2022 – luty 2023

Warszawa–Gdańsk–Torrevieja–Ciechocinek

## Podziękowania

Powstanie tej książki wcale nie było takie oczywiste. Przez długi czas uważałem, że Abell dopłynął już do końcowego portu, a *Miasto duchów* będzie ostatnim tomem zamykającym całą serię. Na spotkaniach autorskich ciągle powracało jednak pytanie, czy aby na pewno to już koniec. Ten jednobrzmiący chór niczym kropla tak długo kruszył skałę, aż ją skruszył... Pomyślałem, że najważniejszy przy podobnych dylematach jest pomysł na książkę. A ten przyszedł mi do głowy którejś niespokojnej nocy po wizycie w dawnym klasztorze franciszkanów w Gdańsku. Uznałem, że concept jest ciekawy, a czytelnicy mają rację – radca zasługuje na to, by jeszcze raz stanąć na scenie.

I tak powstała *Dolina gniewu* opisująca ostatnie śledztwo radcy Abella i wachmistrza Kukulki w konającym Gdańsku AD 1945. Dzięki tej cenzurze czasowej miałem szansę opowiedzieć nie tylko kryminalną historię pełną mroku, tajemnic i emocji, w której autentyczne wydarzenia przeplatają się z fikcją literacką. Zyskałem także szansę na ukazanie w szerszej perspektywie agonii złotego miasta, które będzie potrzebowało dziesięcioleci, by powrócić do dawnej świetności.

O tym czy warto było, zdecydują Czytelnicy. Mam nadzieję, że przypadnie im do gustu ostatnia kruczata Abella i Kukulki.

Czas na podziękowania.

Dziękuję dr. Janowi Danilukowi, którego historyczne artykuły i opracowania naukowe o Wolnym Mieście Gdańsku były dla mnie niewyczerpanym źródłem inspiracji.

Wyrazy wdzięczności kieruję do dr Justyny Liguz, która była moim cicerone podczas wędrowki moich bohaterów po zamku i Kwidzynie z wiosny 1945.

Dziękuję mojej żonie Urszuli, która jak zawsze była moim pierwszym doradcą i wymagającym czytelnikiem.

Oddzielne podziękowania dla Marka Chrula, fachowca i wieloletniego pracownika sfery lotnictwa wojskowego za konsultacje w kwestiach samolotowych, dzięki czemu uniknąłem potknięć w tej materii.

Książka powstawała w różnych miejscach i krajach, co zapewniało mi świeżość i komfort pisania. Na tej liście jest nie tylko Warszawa, ale także Gdańsk, hiszpańska Torre Vieja i Ciechocinek. Dziękuję gospodarzom tych miejsc, Grażynie i Mieczysławowi Błaszczynom, a także Darkowi Królowi z Sanatorium „Zdrowie” – oni wiedzą za co.

Nie może obyć się bez ukłonów dla mojego wydawcy Rafała Bielskiego ze Skarpy Warszawskiej, który wierzył w we mnie i sprawił, że trzymacie tę książkę w swoich rękach.

Krzysztof Bochus

# **Indeks nazw topograficznych wraz z odpowiednikami nazw współczesnych**

## **Danzig/Gdańsk**

Altstädtischer Graben – Podwale Staromiejskie

Am Brausenden Wasser – ulica Wartka

Breitgasse – ulica Szeroka

Brösen – Brzeźno, dzielnica miasta

Elisabeth-Kirchengasse – ulica Elżbietańska

Glettkau – Jelitkowo, nadmorska część miasta

Grosse Wollwebergasse – ulica Tkacka

Hansaplatz – plac Hanzy

Holzmarkt – Targ Drzewny, plac w śródmieściu

Karrenwall – ulica Okopowa

Kohlenmarkt – Targ Węglowy, plac w śródmieściu

Langfuhr – Wrzeszcz, dzielnica miasta

Lange Brücke – Długie Pobrzeże, deptak nad Motławą

Langer Markt – Długi Targ, plac w śródmieściu

Pelonkerweg – ulica Polanki

Pfefferstadt – ulica Korzenna

Speicherinsel – Wyspa Spichrzów

Wallgasse – ulica Wałowa

## **Marienwerder/Kwidzyn**

Danzigerstrasse – ulica Gdańska

Herrenstrasse – ulica Słowiańska

Kaffestrasse – ulica Kawowa

Marienburgerstrasse – ulica Braterstwa Narodów

### **Inne miasta**

Bromberg – Bydgoszcz

Dirschau – Tczew

Nickelswalde – Mikoszewo

Marienburg – Malbork

Pillau – Bałtyjsk, obecnie miasto w obwodzie kaliningradzkim

Praust – Pruszcz Gdański

Russotschin – Rusocin

Schiewenhorst – Świbno

Sobowitz – Sobowidz

Stutthof – Sztutowo

Wordel – Orle, osada na Wyspie Sobieszewskiej

## Przypisy

[I] Południowe Niderlandy: Flandria, Zelandia, Brabancja i Limburgia, zostały wyzwolone przez aliantów już jesienią 1944. Północ kraju z Rotterdamem i Amsterdamem pozostawała w rękach niemieckich praktycznie do końca wojny.

[II] Armia Czerwona wkroczyła do Oliwy 24 marca 1945 roku. Podczas walk największe zniszczenia dotknęły Pałac Opatów, który w wyniku działań wojennych spłonął. Spłonęła również Szafarnia oraz szpiczaste hełmy wież w katedrze, tak charakterystyczne dla krajobrazu Oliwy. Wycofujące się oddziały hitlerowskie zniszczyły górującą nad oliwskim krajobrazem wieżę Karlsberg (dzisiejszy Pacholek) oraz znajdujący się u podnóża hotel Waldhäuschen. Sama dzielnica jednakże uniknęła tak wielkich zniszczeń, jak miało to miejsce w centrum Gdańska. Do gdańskiego śródmieścia Rosjanie wkroczyli 27 marca. Na podstawie: *Czy to było wyzwolenie Gdańska? Jak obchodzić rocznicę marca 1945 roku*, rozmowa z doktorem Janem Danilukiem, [www.gdansk.pl](http://www.gdansk.pl) (dostęp: styczeń 2023); Mieczysław Abramowicz, *Gdańskie historie. Straszny koniec miasta Danzig*, [www.gdansk.pl](http://www.gdansk.pl) (dostęp: styczeń 2023).

[III] Kurort Leśnego (Krzaczastego) Młyna powstał na terenie należącym do gminy oliwskiej pod koniec ostatniej dekady XIX wieku (pierwsza datowana znana obecnie pocztówka pochodzi z 1900 roku). Leczone w nim osoby cierpiące na schorzenia górnych dróg oddechowych i reumatyzm. Uroczyste otwarcie ośrodka nastąpiło 22 maja 1900 roku. Od około 1905 roku właścicielem Strauchmühle został Paul Kreyszig wymieniany w latach 1906–1916 w gazetach, na reklamach drukowanych, w książkach i w wydawanych przez siebie pocztówkach prezentujących kurort. Na podstawie [www.dawanaoliwa.pl](http://www.dawanaoliwa.pl) (dostęp: styczeń 2023).

[IV] Ta namiastka ogrodu zoologicznego funkcjonowała w Dolinie Radości. W 1928 roku Otto Kamin założył tu zwierzyniec w okolicy restauracji przy dzisiejszej ulicy Bytowskiej. Opiekowało się nim powołane do życia Towarzystwo Dzikich Ogrodów, które opłacało strażników i dbało o pokarm dla zwierząt. A mieszkały tu między innymi daniela, dziki, sarny i wilki. Największą atrakcją był zaś bizon i małpy. Od 1940 roku zwierzyniec Kamina zaczął powoli zamierać.

[V] Mord na cywilnej ludności niemieckiej we wsi Nemmersdorf w Prusach Wschodnich dokonany przez żołnierzy Armii Czerwonej 21 października 1944 roku

został wykorzystany przez machinę propagandową Goebbelsa do szerzenia strachu przed Rosjanami i utwardzania oporu w ramach wojny totalnej. Dokładna liczba ofiar jest przedmiotem sporów, według nowszych ustaleń wynosi 24–26 osób. Nemmersdorf stał się symbolem zbrodni wojennych popełnionych przez Armię Czerwoną na niemieckiej ludności cywilnej Prus Wschodnich.

[VI] Forster przez ponad rok po zakończeniu wojny ukrywał się na terenie Niemiec. Został ujęty przez Brytyjczyków i przekazany stronie polskiej. Osadzono go w gdańskim więzieniu przy ulicy Kurkowej. W dniach 5–29 kwietnia 1948 roku, przed Najwyższym Trybunałem Narodowym, odbył się jego proces. Zbrodniarz próbował przehandlować własną wolność za informacje dotyczących miejsc ukrycia gdańskich skarbów i innych tajnych dokumentów ukrytych na jego rozkaz w ostatnich dniach wojny.

Forstera skazano jednak na karę śmierci. Z niewiadomych powodów wykonanie wyroku odwlekano w czasie. W więzieniu miał do dyspozycji ordynansa, a jego cela składała się z dwóch pomieszczeń. Ponadto przysługiwało mu prawo do otrzymywania paczek od rodziny. Mógł również uczyć się języków obcych. Prawdopodobnie ten wyjątkowy status należy tłumaczyć jego rolą w ukrywaniu gdańskich skarbów. Według niektórych przez cały ten czas dyskretnie negocjował on z polskimi władzami, kusząc ją wiedzą na temat ukrytych archiwaliów i dzieł sztuki. Podobną grę prowadził z Polakami Erich Koch, dawny gauleiter Prus Wschodnich.

Tę zadziwiającą sytuację zmieniła dopiero audycja Radio Wolna Europa, w której domagano się odpowiedzi, kiedy wreszcie wyrok zostanie wykonany. Postawiło to komunistów w niewygodnej sytuacji. W czerwcu 1951 roku Forstera przewieziono z Gdańska do Warszawy (w niektórych materiałach możemy natrafić na informację, że transport nastąpił dopiero dwa miesiące później). Oficjalna wersja głosi, że wyrok wykonano w więzieniu na Mokotowie. Inni twierdzą, że Forster został przekazany Rosjanom, którzy starali się wydobyć z niego miejsce ukrycia zrabowanych skarbów, a także listę niemieckiej agentury. Podobno Forster trafił do Związku Radzieckiego, gdzie dożył w spokoju sędziwego wieku. Tak twierdził między innymi amerykański biograf Forstera, Herbert S. Levin. Do dziś w polskich archiwach nie odnaleziono żadnej wiarygodnej dokumentacji potwierdzającej wykonanie wyroku śmierci na Albercie Forsterze.

[VII] Carl Maria Splett – niemiecki biskup rzymsko-katolicki diecezji w latach 1938–1964, administrator apostolski *sede plena* diecezji chełmińskiej w latach 1939–1945. W czasie drugiej wojny światowej współpracował z Niemcami. Poparł włączenie Wolnego Miasta Gdańska do III Rzeszy, wydał zakaz używania języka polskiego w kościołach, ale tolerował udzielanie spowiedzi po polsku. Mimo propozycji ewakuacji

pozostał w marcu 1945 w zdobytym przez Armię Czerwoną Gdańsku. Skazany w 1946 przez władze Polski Ludowej na osiem lat więzienia i osadzony w Zakładzie Karnym we Wronkach. Następnie internowany w klasztorach w Borku Starym (od sierpnia 1953) i Dukli (od grudnia 1953). Pod koniec 1956 roku wyjechał do RFN.

[VIII] Postać autentyczna. Leontij Denisow stał na czele grupy pracowników Komitetu do Spraw Sztuki przy Radzie Ministrów ZSRR. Została ona przewieziona 29 lutego 1945 pod Gdańsk z zadaniem odnalezienia mienia kulturowego na Pomorzu i wywiezienia go do Moskwy. W skład grupy wchodził także Leonid Charko. Na czas wojennej delegacji Denisow otrzymał rangę podpułkownika, a Charko tytuł majora. Ich działalność firmował Sztab Rezerwy Armii. Do swojej dyspozycji grupa, zwana potocznie „trofijną brygadą”, miała także do dyspozycji oddziały NKWD i Smierszu.

[IX] Akcja mająca na celu wyniszczenie polskiej elity intelektualnej na terenach polskich włączonych do III Rzeszy. W jej trakcie zaplanowano i metodycznie zrealizowano rozstrzelanie około pięćdziesięciu tysięcy nauczycieli, księży, przedstawicieli ziemiaństwa, wolnych zawodów, działaczy społecznych i politycznych oraz emerytowanych wojskowych. Kolejnych pięćdziesiąt tysięcy deportowano do obozów koncentracyjnych, gdzie przeżył tylko znikomy procent. Egzekucje wykonywano od września 1939 do kwietnia 1940 roku w różnych regionach Polski.

[X] Średniowieczny zamek rycerski położony niedaleko Paderborn w Nadrenii Północnej-Westfalii. Wybrany przez Heinricha Himmlera na centrum mistyczne ruchu nazistowskiego i główne sanktuarium SS. Najważniejszym elementem zamku była wieża północna. To właśnie ona przedstawiała w mitologii SS centrum nowego świata. W sklepieniu powstała tzw. krypta, a w byłej kaplicy biskupiej sala najwyższych przywódców (Obergruppenführersaal). Pomieszczenie miało przypominać salę z Okrągłym Stołem króla Artura. W środku stropu umieszczono swastykę jako symbol nazistowskiej społeczności.

[XI] Gdańskie SS posiadało swoją siedzibę w budynku Dworu I na ulicy Polanki, w którym znajduje się obecnie siedziba gdańskiego nadleśnictwa. W latach trzydziestych mieściło się tam dowództwo całego XXVI Okręgu SS, znajdowały się tam też zakamuflowane magazyny broni i strzelnica. SS miało także do swojej dyspozycji kwaterę na Wyspie Sobieszewskiej, koło letniej kwatery Forstera w Wordell, o której mowa w książce.

[XII] Program Lebensborn, czyli „Źródło życia”, ustanowiono w roku 1935 z rozkazu Reichsführera SS Heinricha Himmlera. Jego pierwotnym celem było zwiększenie



dzietności, stworzenie armii „czystych rasowo” Aryjczyków i „odnowienie krwi niemieckiej”. Za pomocą zmasowanej propagandy promowano wzorzec rodzin wielodzietnych. Na członków SS nałożono tzw. rozkaz płodności, obligujący esesmanów do posiadania liczego potomstwa (przynajmniej czwórki dzieci). Natomiast Niemki zachęcano do rodzenia, promując macierzyństwo jako rodzaj obowiązku patriotycznego. Mimo tych wysiłków noworodków wciąż jednak było za mało. Na przeszkodzie stały bowiem dość wyśrubowane w początkowej fazie realizacji programu wymogi rasowe.

W całej Rzeszy stworzono sieć tzw. domów Lebensbornu, w których miały przychodzić na świat dzieci. Przyszłe matki werbowano zarówno w Niemczech, jak i w innych krajach europejskich, głównie w Skandynawii. Szczególną uwagę nakierowano na kobiety borykające się z różnego rodzaju kłopotami: samotne, porzucone lub mające kłopoty z prawem. Mimo tych wszystkich działań, efekty programu były dalekie od oczekiwanych. W ramach programu Lebensborn do początku lat czterdziestych urodziło się zaledwie sześć tysięcy dzieci.

Zdecydowano się wtedy sięgnąć po zaplanowaną kradzież dzieci innych nacji, głównie pochodzących z Polski. Wystarczało, że spełniały one wymogi aryjskiego wyglądu. Wkrótce na terenach polskich utworzono kilka ośrodków: w Krakowie, Otwocku, Helenówku pod Łodzią, Połczynie Zdroju, Smoszewie koło Krotoszyna i Bydgoszczy. To do nich trafiały dzieci, które po przystosowaniu do nowej, niemieckiej roli (co zwykle trwało do kilku tygodni) trafiały do rodzin niemieckich. W sposób świadomy starano się nie tylko zamaskować tę grabież, ale także utrudnić ewentualną późniejszą identyfikację porwanych dzieci.

Odbierano je siłą, nie bacząc na opór i rozpacz rodziców. Zmieniano im dane osobowe, na miejscu wydawano nowy akt urodzenia, nadając inną tożsamość. Mówienie w języku polskim, a także kontaktowanie się z rodziną było całkowicie zakazane. W miarę postępu germanizacji pozytywnie ocenione dziecko, wywożono do specjalnych ośrodków w głąb Niemiec, gdzie było przekazywane w ręce rodzin niemieckich. Najchętniej zniemczeniu poddawano dzieci kilkuletnie. One też padały najczęściej ofiarą łowców małych głów z programu Lebensborn. Gorszy los spotykał dzieci, które odrzucono lub które nie spełniały wymogów rasowych. Wiele z nich skierowano do obozów koncentracyjnych, gdzie ślad o nich całkowicie zaginął. Zrabowano w ten sposób około dwustu tysięcy polskich dzieci. Po wojnie udało się zidentyfikować i odzyskać tylko co dziesiąte z nich.

[XIII] Rezydencja gauleitera i obergruppenführera SS Alberta Forstera. Znajdowała się w Wordel (Orle), siedemnaście kilometrów od centrum Gdańska, na Wyspie Sobieszewskiej. Działkę pod budowę przekazał zimą 1932 jeden z urzędników Senatu Wolnego Miasta Gdańska, członek NSDAP. Autorem projektu plastycznego stylizowanych swastyk, wyrzeźbionych następnie na belkach stropowych sali

kominkowej był sam Adolf Hitler. Rezydencja stanowiła prywatną własność Forstera. Gauleiter przebywał w Wordel do 27 marca 1945 roku. To tutaj zaplanowano najbardziej zbrodnicze karty w historii Pomorza, takie jak założenie obozu koncentracyjnego Stutthof czy eksterminacja polskiej inteligencji (operacja „Tannenberg”, zbrodnia w Piaśnicy).

[XIV] Charakterystyczny dla Kwidzyna reprezentacyjny budynek wzniesiony w latach 1758–1762 podczas wojny siedmioletniej dla rosyjskiego gubernatora generała Wilhelma Fermora. Od 1773 do 1945 roku funkcjonowała tu Regencja Kwidzyńska. Pałac był wielokrotnie rozbudowywany, w wyniku czego powstał trzykondygnacyjny czworobok w stylu neoklasycystycznym z bogato zdobioną ryzalitową elewacją w części środkowej i tunelem prowadzącym na dziedziniec wewnętrzny. W 1945 roku został przez Rosjan splądrowany i spalony. Obecnie spełnia funkcje edukacyjne. Na podstawie [www.kwidzynopedia.pl](http://www.kwidzynopedia.pl) (dostęp: styczeń 2023).

[XV] Gdanisko, dansker, danzker – wieża sanitarna pełniąca funkcję latryny. Spotykana w zamkach średniowiecznych (przede wszystkim krzyżackich). Z reguły wznoszone były w pewnej odległości od murów zamku i połączone z nim długim, biegnącym na wysokości pierwszego piętra, gankiem. Zachowane gdanisko w Kwidzynie jest najdłuższe w Europie. Wznosi się na wysokość 34,50 m. Jej szerokość wynosi 8,75 m. Posiada pięć przęseł krytych gankiem o długości 55,24 m i szerokości 4,75 m, prowadzącym z zachodniego skrzydła zamku do wieży. Filary mają wysokość 8,50 m, a zachodni filar ma wysokość 13 m. Pod nią przepływał niegdyś strumień zabierający nieczystości. Pod jednym z filarów umiejscowiony był niegdyś mały budynek (widoczny na starych pocztówkach) niewiadomego przeznaczenia. Pozostał po nim tylko ślad na murze, fakt ten autor wykorzystał w fabule powieści. Na podstawie [www.kwidzynopedia.pl](http://www.kwidzynopedia.pl) (dostęp: styczeń 2023).

[XVI] 29 kwietnia 1945 roku grupa Denisowa dotarła do rezydencji Tiedemana w położonym dwanaście kilometrów na południe od Gdańska majątku Sobowidz. Rosjanie zarekwirowali tam 17 obrazów olejnych i 120 cennych książek, wywiezionych następnie do Moskwy. Na podstawie: Maria Korzon, *Przyczynek do historii gdańskich zbiorów artystycznych*, <http://cennebezcenne.pl/wp-content/uploads/2019/07/CBU-2000-01-26-27-KORZON.pdf>.

[XVII] W czerwcu 1945 w podziemnym sejfie Gdańskiej Kasy Oszczędności Rosjanie odnaleźli unikatową na skalę europejską kolekcję monet i medali. W 136 gablotach znajdowało się 14 062 cennych numizmatów pochodzących z XIII–XX wieku, w tym 661 wyrobów ze złota. Jak stwierdził w swoim raporcie Leonid Charko, kolekcja ta została opisana w specjalnym albumie wydanym w Gdańsku w latach 1901–1910 i opatrzona informacją, że została wywieziona z Zamku w Malborku. Cały ten zbiór trafił do

Moskwy. Na podstawie: Maria Korzon, *Przyczynek do historii gdańskich zbiorów artystycznych*, <http://cennebezcenne.pl/wp-content/uploads/2019/07/CBU-2000-01-26-27-KORZON.pdf>.

[1] Sicherheitsdienst des Reichsführers SS, SD – organ wywiadu, kontrwywiadu i służby bezpieczeństwa SS, działający w III Rzeszy w latach 1931–1945. W 1944 wcielono do niego Abwehrę.

[2] Szukasz kluczy? Na chuja ci klucze, jeśli ja tu jestem? (ros.).

[3] Ja ciebie zajebię! (ros.).

[4] Jeden naród, jedna Rzesza, jeden wódz (niem.).

[5] Potrafisz latać, chuju? (ros.).

[6] Kto to? / Żywy trup. Zawieź go do komendanta. / Nie lepiej zastrzelić go na miejscu? / Nie twoja głowa. Jedź! / Spokojna głowa, dostarczę tego faszystę! (ros.).

[7] Ambit – przejście powstałe z przedłużenia naw bocznych i poprowadzenia ich wokół prezbiterium za ołtarzem głównym.

[8] Nawet nie drgnij, psie! (ros.).

[9] Flagowy statek wycieczkowy floty organizacji nazistowskiej Kraft durch Freude (KdF). Zatopiony 30 stycznia 1945 roku przez radziecką łódź podwodną S-13. Utonęło według ostatnich szacunków około 6600 osób; była to największa tragedia morska w historii.

[10] Rozkaz to rozkaz (niem.).

[11] Klawitterowie – rodzina znanych armatorów i producentów statków, właściciele słynnej stoczni założonej w Gdańsku w 1827 roku.

[12] Głodowa zima znana w Holandii pod nazwą Hongerwinter (dosłowne tłumaczenie: głód zimowy) – określenie klęski głodu, która dotknęła część Holandii okupowanej przez Rzeszę Niemiecką. Kryzys żywnościowy trwał między 1 października 1944 a 5 maja 1945 roku.

[13] Albert Forster (1902–1952 [?]) – od 15 października 1930 roku na polecenie Adolfa Hitlera pełnił funkcję gauleitera w Wolnym Mieście Gdańsk. Od października 1939 roku

wszechwładny namiestnik, gauleiter Okręgu Rzeszy Gdańsk–Prusy Zachodnie (Reichsgau Danzig–Westpreußen).

[14] Prywatna rezydencja marszałka III Rzeszy, Hermanna Goeringa, położona na północny wschód od Berlina w lasach Schorfheide.

[15] Obecnie Targ Drzewny, plac w śródmieściu Gdańska.

[16] Obecnie Długi Targ, reprezentacyjny plac na gdańskim Głównym Mieście, stanowi przedłużenie ulicy Długiej.

[17] Obecnie Dłgie Pobrzeże, deptak nad Motławą w Gdańsku.

[18] Reinhard Heydrich (1904–1942) – *SS-Obergruppenführer*, szef RSHA, Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Zastępca protektora Czech i Moraw, zginął w zamachu w Pradze.

[19] „Danziger Vorposten” – nazwa największej gazety nazistowskiej w Danzig. Kompleks budynków tego wydawnictwa oddano do użytku w lipcu 1940 roku.

[20] UFA Palast – największe i najbardziej nowoczesne kino w Gdańsku, zbudowane w latach 1930–1931. Jego projektantem był znany architekt Adolf Bielefeldt.

[21] „Chociaż milczą, krzyczą” – sentencja łacińska z mowy Cycerona do Katyliny.

[22] Obraz po wojnie został wywieziony do Moskwy i znajduje się obecnie w Muzeum Puszkina.

[23] Stock-Mine 43 (Stock, czyli „laska”) – niemiecka mina w kształcie laski, podobna do radzieckiej POMZ-2; ustawiana z jednym lub dwoma odciągami. Po wybuchu raziła ludzi odłamkami w promieniu do 60 metrów.

[24] Obecnie w budynku tym znajduje się Biblioteka Oliwska przy ulicy Opata Rybińskiego 9.

[25] Obecnie likwidowana fabryka słodyczy Bałtyk przy ulicy Droszyńskiego w Oliwie.

[26] Utworzona 19 lipca 1943 i otoczona złowrogą sławą struktura radzieckiego kontrwywiadu wojskowego.

[27] Malownicze schody u podnóża zamku w Kwidzynie, łączące Danzigerstrasse (Gdańska) z nieistniejącą już Kaffestrasse (Kawowa).

[28] Wydarzenia opisane w pierwszym tomie serii, pt. *Czarny manuskrypt*.

[29] RSHA, z niem. Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy – centrala państwowej policji bezpieczeństwa (*Sicherheitspolizei*, Sipo) i służby bezpieczeństwa (*Sicherheitsdienst*, SD), utworzona przez Heinricha Himmlera w 1939 roku.

[30] Paweł (Paul) Beneke (ur. ok. 1430 – zm. w 1477 w Gdańsku) – słynny żeglarz, kaper gdański. Najbardziej znany ze zdobycia w 1473 roku galery San Matteo, na której znajdował się obraz ołtarzowy *Sąd Ostateczny* Hansa Memlinga. Ołtarz został podarowany przez kaprów Bazylice Najświętszej Maryi Panny w Gdańsku (obecnie znajduje się w Muzeum Narodowym).

[31] Stanisław Radkiewicz (1903–1987) – minister bezpieczeństwa publicznego (1944–1954). Odpowiedzialny za liczne zbrodnie w okresie powojennym.

[32] Anatol Fejgin (1909–2002) – wysoki funkcjonariusz aparatu bezpieczeństwa Informacji Wojskowej i Urzędu Bezpieczeństwa PRL.